

Wiktor Suworow  
Akwarium

Tłumaczył Andrzej Mietkowski

*Dla Tani*

## Prolog

Mamy bardzo prostą zasadę: rubel za wejście, dwa za wyjście. To znaczy, że wstąpić do organizacji jest trudno, ale jeszcze trudniej ją opuścić. Teoretycznie dla wszystkich jej członków przewidziano tylko jedno wyjście: *przez* komin. Dla jednych z najwyższymi honorami, dla innych hańbiące, ale komin jest jeden. Tylko przez ten komin odchodzimy z organizacji. Oto on... - Siwy wskazuje mi ogromne, na całą ścianę, okno: - Podziwiał.

Z wysokości dziewiątego piętra rozpościera się przed moimi oczami panorama ogromnego, bezkresnego lotniska, na pustkowiu, sięgającym horyzontu. W dole prosto pod nogami - labirynt wysypanych piaskiem drózek wijących się pomiędzy sprężystymi ścianami krzaków. Potężny, betonowy mur najeżony gęstą siecią drutu kolczastego, rozpiętego na białych izolatorach, oddziela zieleń parku od spalonej trawy lotniska.

- Oto on... - Siwy pokazuje niewysoki, może dziesięciometrowy, gruby, kwadratowy komin wyrastający nad płaskim smołowanym dachem. Czarny dach unosi się nad zielonymi falami bzów, jak trawa na oceanie, albo jak staroświecki parowiec, o niskiej burcie, z pokracznym kominem. Z komina wypływa lekki, przejrzysty dymek.

- Czy ktoś właśnie opuszcza organizację?

- Nie - śmieje się Siwy. - Komin to nie tylko nasze wyjście, to również źródło naszej energii, a przy okazji powiernik naszych najtajniejszych sekretów. W tej chwili palą po prostu tajne dokumenty. Wiesz, lepiej spalić, niż przechowywać. To pewniejsze. Kiedy ktoś opuszcza organizację, dym jest zupełnie inny: gęsty, tłusty. Jeżeli wstąpisz do organizacji, też pewnego dnia wylecisz do nieba przez ten komin. Ale to nie teraz. Teraz organizacja daje ci ostatnią możliwość wycofania się, ostatnią szansę przemyślenia twojego wyboru. A żebyś miał się nad czym zastanawiać, pokażę ci pewien film. Siadaj.

Siwy przyciska guzik na pulpicie i sadowi się w sąsiednim fotelu. Ciężkie brunatne kotary lekko poskrzypując zasłaniają olbrzymie okna i z miejsca na ekranie, bez jakichkolwiek napisów czy wstępów, pojawia się obraz. Film czarno-biały, kopia stara, mocno podniszczona. Dźwięku nie ma i tym wyrazistszy jest terkot aparatu projekcyjnego.

Na ekranie - wysoki mroczny pokój bez okien. Coś w rodzaju hali fabrycznej czy kotłowni. Na zbliżeniu — piec z żelaznymi drzwiczkami przypominającymi bramę malutkiej twierdzy, oraz prowadnica kierunkowa: dwie szyny znikające w piecu, jak tory kolejowe w

tunelu. Obok pieca - ludzie w szarych fartuchach. Palacze. Pojawia się trumna. Ot co!... Krematorium! Pewnie to, które widziałem przed chwilą za oknem. Ludzie w fartuchach unoszą trumnę i ustawiają na szynach. Drzwiczki płynnie rozsunęły się na boki, ktoś popchnął trumnę, która uniosła swego nieznanego lokatora w ryczące płomienie. A oto najazd kamery na twarz żywego człowieka. Twarz zlna potem. Gorąco przy piecu. Twarz filmowana jest ze wszystkich stron i w długich ujęciach. Trwa to wieczność. Wreszcie kamera oddala się, ukazując całą postać. Człowiek nie nosi fartucha. Jest ubrany w drogi czarny garnitur, co prawda straszliwie wymięty. Krawat na szyi skręcony jak sznur. Przywiązano go stalową linką do noszy, które oparto o ścianę, na tylnych uchwytych, tak, aby mógł widzieć wlot pieca.

Wszyscy palacze raptem odwrócili się do przywiązanego. To powszechne zainteresowanie najwyraźniej mu nie w smak. Krzyczy. Straszliwie krzyczy. Nie słychać dźwięku, ale wiem, że od takiego krzyku szyby dzwonią w oknach. Czterej palacze troskliwie opuszczają nosze na podłogę, po czym zgodnie dźwigają w górę. Przywiązany dokonuje nadludzkiego wysiłku, aby im przeszkodzić. Tytanicznie napięta twarz. Żyła na czole nabrzmiała tak, że gotowa pęknąć. Ale próba ugryzienia palacza w rękę nie powiodła się. Zęby przywiązanego wpijają się w jego własną wargę - i czarny strumyk krwi spływa po brodzie. Ostre ma zęby, nie ma co. Skrępowany jest mocno, ale wije się, jak pojmana jaszczurka. Głowa ulegając zwierzęcemu instynktowi wali rytmicznymi uderzeniami w drewniany uchwyt. Przywiązany walczy nie o życie, lecz o lekką śmierć. Jego rachuby są oczywiste: rozhuścić nosze i wraz z nimi runąć z szyn na cementową posadzkę. To będzie właśnie lekka śmierć, a przynajmniej utrata świadomości. W nieświadomości nawet do pieca nie strach... Ale palacze znają swój fach. Po prostu przytrzymują nosze za uchwyty, nie pozwalając im się rozhuścić. A do ich rąk przywiązany nie jest w stanie sięgnąć zębami, choćby nawet kark sobie skręcił.

Powiadają, że w ostatnim mgnieniu życia człowiek może dokonać cudów. Instynktownie wszystkie jego mięśnie, cała jego świadomość i wola, całe pragnienie życia raptem koncentrują się w jednym krótkim szarpnięciu... I człowiek się szarpnął! Szarpnął się całym ciałem. Szarpnął się tak, jak wrywa się lis z potrzasku, przegryzając i wrywając własną skrwawioną łapę. Szarpnął się tak, że zadrżały metalowe szyny. Szarpnął się, łamiąc własne kości, rwąc żyły i mięśnie. Szarpnął się...

Ale stalowa linka nie puściła. I oto nosze płynnie ruszyły w stronę pieca. Drzwiczki wiodące do paleniska rozsunęły się na boki, rzucając na podeszwy dawno nieczyszczonych lakierków snop białego światła. Oto stopy zbliżają się do ognia. Człowiek stara się zgiąć nogi,

podkurczyć kolana, zwiększyć odstęp między stopami i szalejącymi płomieniami. Jego wysiłki spelzają na niczym. Operator pokazuje palce na zbliżeniu. Drut wpił się w nie głęboko. Ale koniuszki palców nie są skrępowane. I tymi koniuszkami człowiek usiłuje zahamować ruch noszy. Czubki palców są rozczapierzone i napięte.

Gdyby na cokolwiek natrafiły na swej drodze, człowiek niewątpliwie zdołałby się zatrzymać. I raptem nosze nieruchomieją przed samym otworem.

Nowa postać, ubrana jak wszyscy palacze w szary fartuch, daje im znak ręką. Na to skinienie palacze zdejmują nosze z szyn, po czym ponownie stawiają je na tylnych uchwytach przy ścianie. Co się stało? Dlaczego zwlekają? Ach, wszystko jasne. Do sali krematorium na niskim wózku wtacza się jeszcze jedna trumna! Wieko już dokręcone. Cóż za przepych! Jaka elegancja. Trumna ozdobiona frędzelkami i lamówkami. Wszyscy z drogi, jedzie honorowa trumna! Palacze ustawiają ją na prowadnicy - i już ruszyła w ostatnią podróż. Teraz przyjdzie niezmiernie długo czekać, nim spłonie. Trzeba czekać, czekać. Dużo, dużo cierpliwości trzeba...

A oto nareszcie i kolej na przywiązanego. Nosze ponownie na prowadnicy. I znowu słyszę ten bezdźwięczny krzyk, który mógłby zrywać drzwi z zawiasów. Z nadzieją wpatruję się w twarz przywiązanego. Staram się dostrzec oznaki szaleństwa. Szaleńcom łatwo jest na tym świecie. Ale nie dostrzegam takich objawów w przystojnej, męskiej twarzy, nie skażonej piętnem obłędu. Po prostu człowiek nie chce iść do pieca i stara się w jakiś sposób dać temu wyraz. A jakże wyrazić to, jak nie krzykiem? No więc krzyczy. Na szczęście ów wrzask nie został uwieczniony. O, już lakierowane buty *znalazły* się w ogniu. Poszły, niech to wszyscy diabli.

Ogień huczy. Pewnie tłoczą tlen. Dwaj pierwsi palacze odskakują, dwaj ostatni popychają nosze w głąb. Drzwiczki paleniska zamykają się, ucicha terkot aparatu projekcyjnego.

- On... Kto to?... - Sam nie wiem, po co zadaję to pytanie.

- On? Pułkownik. Były pułkownik. Był w naszej organizacji. Na wysokich szczeblach. Oszukiwał organizację. Za to został z niej usunięty. I odszedł. Taką mamy zasadę. Nikogo na siłę nie wciągamy. Nie chcesz, powiedz „nie”. Ale jeżeli powiesz „tak”, to należysz do organizacji bez reszty. Razem z butami i krawatem. No więc?... Daję ci ostatnią szansę. Na rozmyślanie minuta.

- Nie potrzebuję minuty na zastanowienie.

- Taki regulamin. Nawet jeżeli nie potrzebujesz tej minuty, organizacja ma obowiązek

ci ją dać. Posiedź i pomilcz. - Siwy strzelił wyłącznikiem i długa cienka wskazówka dobitnie, miarowo ruszyła w koło jarzącego się cyferblatu. A ja znowu miałem przed oczami twarz pułkownika, w tym ostatnim momencie, gdy jego nogi pożerał już płomień, ale głowa nadal żyła, jeszcze krew pulsowała, a z oczu bił rozsądek, śmiertelny smutek, straszliwe męczarnie i niepohamowane pragnienie, by żyć. Jeżeli przyjmą mnie do tej organizacji, będę służyć jej duszą i ciałem. Jest to poważna i potężna organizacja. Podoba mi się taki porządek. Ale jedno widzę cholernie jasno: jeśli przyjdzie mi wyfrunąć przez ten przysadzisty, kwadratowy komin, to z pewnością nie w trumnie z frędzelkami i falbankami. Mam zgoła inną naturę. Nie z tych jestem, co to z falbankami... Nie z tych.

- Minuta minęła. Czy potrzebujesz jeszcze czas do namysłu?

- Nie. ; - Jeszcze jedną minutę?...

- Nie.

- No cóż, kapitanie. W takim razie przypadł mi jako pierwszemu zaszczyt pogratulować ci przystąpienia do naszego tajnego bractwa, którego nazwa brzmi Główny Zarząd Wywiadowczy Sztabu Generalnego, w skrócie GRU. Czeka cię spotkanie z zastępcą naczelnika GRU, generałem-pułkownikiem Mieszczeriakowem, i wizyta w Komitecie Centralnym u generała-pułkownika Łemzenki. Myślę, że przypadniesz im do gustu. Tylko nie próbuj przypadkiem grać mądrali. Lepiej zapytaj, jeśli czegoś nie wiesz, zamiast głupio milczeć. W trakcie naszych egzaminów i testów psychologicznych pokażą ci niejedno, co samo nasuwa pytanie. Nie masz się co męczyć, pytaj. Zachowuj się tak, jak zachowywałeś się dziś, wtedy wszystko będzie dobrze. Życzę powodzenia, kapitanie.

## Rozdział I

Gdyby przyszła wam ochota pracować w KGB, udajcie się do byle jakiego powiatowego miasteczka. Na placu centralnym króluje niezawodnie posąg Lenina, a za nim obowiązkowo potężne gmaszysko z kolumnami; obwodowy komitet partii. Gdzieś pod bokiem również obwodowy komitet KGB. Wystarczy na tym samym placu zapytać jakiegokolwiek przechodnia, każdy wskaże drogę: o, tamten budynek, szary, ponury, tak, tak, właśnie ten, na który wskazuje Lenin swą betonową ręką. Ale też wcale niekoniecznie musicie udać się do komitetu powiatowego, wystarczy zwrócić się do osobowo *otdiela*, komórki bezpieczeństwa w zakładzie pracy. Tutaj również każdy przyjdzie wam chętnie z pomocą: korytarzem prosto, drzwi po prawej, obite czarną skórą. Istnieje jeszcze prostszy sposób zatrudnienia się w KGB. Należy zwrócić się do byle jakiego bezpieczniaka. Znajdziecie go na każdej zabitej deskami stacji kolejowej, w każdej fabryce, nierzadko na każdym fabrycznym wydziale. Jest w każdym pułku, instytucie, więzieniu, w każdej komórce partyjnej, w biurze projektowym, nie mówiąc już o komsomole, związkach zawodowych, organizacjach społecznych i stowarzyszeniach. Wystarczy podejść i zwyczajnie wyznać: chcę do KGB! Czy

przyjmą, czy nie - to już inna sprawa (pewnie, że przyjmą!), ale droga do KGB dla wszystkich stoi otworem.

Natomiast do GRU nie można się tak łatwo dostać. Do kogo się zwrócić? Kogo prosić o radę? Do jakich drzwi stukać? Może warto zasięgnąć języka na milicji? Ale milicjant też wzruszy tylko ramionami: taka organizacja nie istnieje.

Gruzińska milicja wydaje tablice rejestracyjne z literami „GRU”, nie podejrzewając, że mogą one mieć jakiś ukryty sens. I oto pędzi sobie taki samochód przez kraj — nikt nawet za nim się nie obejrzy. Normalnemu człowiekowi, jak zresztą całej radzieckiej milicji, owe litery niczego nie sugerują, nie budzą żadnych skojarzeń. Uczciwi obywatele ani milicja nigdy o czymś podobnym nie słyszeli.

KGB liczy miliony ochotników, w GRU jest to nie do pomyślenia. Na tym polega zasadnicza różnica. GRU jest organizacją tajną. Nikt o niej nie wie, nie pragnie więc do niej wstąpić z własnej inicjatywy. Ale założmy, że znalazł się ochotnik, który sobie tylko znanym

sposobem znalazł owe drzwi, do których należy zastukać: przyjmijcie mnie, mówi. Przyjmą? Nie, nie przyjmą. Ochotnicy wcale nie są mile widziani. Ochotnik zostanie niezwłocznie aresztowany, po czym czeka go długie, ostre śledztwo. Wiele padnie pytań. - Gdzieś te trzy litery usłyszał? W jaki sposób zdołałeś nas odnaleźć? Ale przede wszystkim, kto ci w tym pomógł? Kto? Kto? Kto? Mów, gnoju! - Chłopcy z GRU potrafią wydobyć właściwe odpowiedzi. Z każdego wyrwą zeznania. Ręczę za to. GRU, oczywiście, odnajdzie tego, kto pomógł ochotnikowi. I znów śledztwo od początku: -A tobie, bydlaku, kto te litery zdradził? Gdzieś je usłyszał? - Prędzej czy później dotrą po nitce do kłębka, do samego źródła. Okaze się nim być osobnik, który znał tajemnicę i nie potrafił powściągnąć języka. O, GRU potrafi takie języki wrywać. GRU oddiera takie języki wraz z głowami. I każdy, kto trafił do GRU, wie o tym doskonale. Każdy, kto trafił do GRU, strzeże własnej głowy, a może ją ocalić tylko w jeden sposób: strzegąc języka. O GRU można rozmawiać wyłącznie będąc w GRU. Mówić można tak, by głos nie wydostał się poza przejrzyste ściany majestatycznego gmachu na Chodynce. Każdy, kto trafi do

GRU święcie cześci regułę Akwarium: wszystko, o czym tu wewnątrz rozmawiamy, niech pozostanie wewnątrz. Niech ani jedno słowo nie opuści tych murów. I dzięki temu, że obowiązuje taka dyscyplina, mało kto za szklanymi ścianami orientuje się, co dzieje się wewnątrz. Ten zaś, kto wie, zachowuje milczenie. A ponieważ wszyscy, którzy wiedzą, milczą, ja nigdy nie słyszałem o GRU.

Byłem dowódcą kompanii. Po wyzwoleniczej wyprawie na Czechosłowację wir przetasowań zagarnął i mnie: wylądowałem w 318. Dywizji Strzelców Zmotoryzowanych 13. Armii Karpackiego Okręgu Wojskowego. Pod moje rozkazy odkomenderowano drugą kompanię czołgów batalionu pancernego 910. Pułku Strzelców Zmotoryzowanych. Moja kompania, choć się nie wybijała, nie należała też do najsłabszych. Całe swoje przyszłe życie przewidywałem na lata naprzód: po kompanii - szef sztabu batalionu, później trzeba będzie przedrzeć się do Akademii Wojsk Pancernych im. Marszałka Malinowskiego, potem przyjdzie batalion, pułk, może nawet coś wyżej. Ale los zrządził inaczej.

13 kwietnia 1969 roku o godzinie 4.10 adiutant trącił mnie delikatnie w ramię:

- Wstawajcie, starszy lejtnancie, czekają was wielkie czyny.

Z miejsca jednak zorientował się, że nie jestem w nastroju do żartów i dlatego, zmieniając ton, krótko zakomunikował:

- Alarm bojowy!

Uwinąłem się w trzy i pół minuty: koc na bok, spodnie, skarpety, buty. Mundurową



bluzę zarzuciłem na ramiona nie zapinając - można w biegu. Jeszcze koalicijkę z pasem na ostatnie dziurki zaciągnąć, mapnik przerzucić przez ramię i czapkę na głowę. Kantem dłoni — przez daszek, sprawdzić czy odznaka zgadza się z linią nosa. Ot i wszystko. I biegiem naprzód. Broń mam na przechowaniu w pokoju dyżurnego pułku. Wychodząc odbiorę pistolet z ogromnego sejf. Plecak, szynel, kombinezon i hełm zawsze czekają na mnie w czołgu. Biegiem schodami w dół. Ech, żeby tak można jeszcze pod przysnic i brzytwą podgolić policzki. Ale nie czas. Alarm bojowy! Perkaty GAZ-66 zapchany niemal do oporu. Oficerkowle wszyscy

młodzi i ich przyboczni jeszcze młodsi. A na niebie gwiazdy gasną. Znikają cicho bez słowa pożegnania, jak z naszego życia odchodzą ludzie, których wspomnienie przeszywa słodkim bólem nasze czerstwe dusze.

## ii

Dudni, ryczy setkami silników park pojazdów bojowych. W powietrzu wisi gęsta mgła i smród spalin. Huczą rozbudzone czołgi. Betonową drogą pełzną szarozielone pudełka. Na czele szerokie, przysadziste amfibie kompanii zwiadowczej, za nimi sztabowe transportery opancerzone i kompania łączności, dalej bataliony czołgów, za zakrętem trzy bataliony strzelców zmotoryzowanych, za nimi pułkowa artyleria, bateria przeciwlotnicza i przeciwpancerna, saperzy, wojska chemiczne i remontowe. Dla jednostek *zaplecza* nawet miejsca nie starcza na tym ogromnym terenie. Zaczną ustawiać się w kolumny, dopiero gdy oddziały czołowe posuną się daleko do przodu.

Biegnę wzdłuż pojazdów do swojej kompanii. Dowódca pułku wyzywa kogoś na czym świat stoi, szef sztabu pułku wyklóca się z dowódcami batalionów, krzykiem zagłuszając ryk motorów. Biegnę. Biegną też pozostali oficerowie. Prędkiej. Prędkiej. No, nareszcie, moja kompania. Trzy czołgi - pierwszy pluton, trzy następne - drugi, jeszcze trzy - trzeci. Mój czołg wysunięty na czoło. Cała dziesiątka w komplecie. I już słyszę wszystkie dziesięć silników. Wyróżniam je spośród łoskotu pozostałych. Każdy silnik ma swój własny charakter, swoje usposobienie, osobne brzmienie. Żaden nie poda fałszywej nuty.

Jak na początek wcale nieźle. Dochodząc do mojego czołgu przyspieszam kroku, odbijam się gwałtownie od ziemi i po pochyłej płycie pancerza wspinam się do wieży. Właz jest otwarty i radiotelegrafista podaje mi hełmofon, podłączony już do interkomu. Przenoszę się ze świata huk i łoskotu w krainę ciszy i spokoju. Ale raptem słuchawki ożywają i chwilowe złudzenie ciszy pryska: radiotelegrafista melduje ostatnie polecenia. Wszystko to bzdury. Przerywam mu pytaniem najważniejszym: - Wojna czy ćwiczenia? - Wzrusza

ramionami: - Diabli wiedzą.

Jakkolwiek by było, moja kompania jest gotowa do walki i ruależy ją jak najszybciej wyprowadzić z parku, tak brzmi instrukcja. Zgrupowanie setek pojazdów w jednym miej-sc»i to gratka, o jakiej nasi wrogowie tylko marzą. Patrzą do> przodu. Ale czy można cokolwiek zobaczyć? Przed nami pierwsza kompania czołgów nie rusza z miejsca. Na pewno dowódca jeszcze nie dobiegł. Wszyscy pozostali również czekają. Wyskakuję na wieżę. Stąd lepiej widać. Wszystko wskazuje na to, że w kompanii zwiadowczej któryś z czoł-gó'w nie może zapalić silnika, blokując przejazd całemu pułkowi. Spoglądam na zegarek. Dowódca pułku, ojczulek nasz, ma jeszcze osiem minut. Jeżeli za osiem minut kolumny czołgowe nie ruszą z miejsca - z dowódcy pułku zerrwą epolety i przepędzą z armii bez emerytury jak starego psa. A do czoła kolumny nie przepycha się w tej chwili za.den ciągnik z kompanii remontowej: całą centralną drogę, wciśniętą między szare ponure *garaże*, wypełniają sz;czelnie czołgi, od jednego krańca do drugiego. Patrzą na zaipasową bramę. Drogę do niej przecina głęboki rów: za-cz;ęto układanie jakiegoś kabla albo rur.

Skaczę do włazu i do kierowcy na całe gardło: - Na lewo, naprzód! - I do reszty kompanii: - Za mną! - Po lewej nie ima żadnej bramy, tylko murek ceglany między długimi bl .okami warsztatów remontowych. W czołgu dowódcy sie-ĆLSi najlepszy kierowca kompanii. Tak ustalono w całej ar-iruii długo przed moim przyjściem. Krzyczę do niego przez iruterkom: - Jesteś as kompanii! Ja cię draniu wybrałem! Nsajwyższy zaszczyt cię kopnął, gagatku: maszyny dowódcy chironić i doglądać. Jeśli zawiedziesz, zgnoję, zetrę na pył!

A kierowca nawet nie ma czasu odpowiedzieć. Na tym krróciutkim odcinku rozpędza swego pancernego dinozau-raa, wrzuca jeden po drugim coraz wyższe biegi. Czołg utderza z impetem w ceglany mur. Wszystko zadrzało, za-birzęczało, zajęczało. Lawina cegieł zwała się na pancerz, tlnikąc reflektory, łamiąc anteny, zdzierając skrzynie z narzędziami i sprzętem, kalecząc zewnętrzne baki paliwowe. R.yknął mój czołg i oplatany pajęczyną drutów kolczastych w<sup>T</sup>yrwał się z ceglanego pyłu na senną uliczkę spokojnego u~kraińskiego miasteczka. Spoglądam przez wsteczny tri-pllex. Czołgi mojej kompanii jeden za drugim poszły w wyłom, wesoło, zawadiacko. Dyżurny bazy biegnie do dziury w murze. Wymachuje rękami. Krzyczy coś w naszą stronę. Usta szeroko otwarte. Ale gdzie tam! Któż by dosłyszał, co krzyczy. Jak w niemym kinie, widzowie zdani są na grymasy twarzy. Domyślam się, że dyżurny klnie jak szewc. Mimika na to wskazuje. Nieomylnie.

Kiedy dziesiąty czołg z mojej kompanii wynurzył się z wyłomu, pojawiła się służba ruchu: czarne uniformy, białe kaski i koalicyjki. Ci zaprowadzą porządek. Ci wiedzą, kogo

najpierw przepuścić. Oddziały rozpoznania przede wszystkim - oto kogo. W każdym pułku jest jedna specjalna kompania zwiadowcza, wyposażona w specjalny sprzęt, wyspecjalizowanych żołnierzy i wyspecjalizowanych oficerów. Ale oprócz niej każdy pułkowy batalion strzelców zmotoryzowanych i czołgów ma też po jednej kompanii, które, choć nie posiadają specjalnego sprzętu ani wyspecjalizowanych żołnierzy, również mogą zostać użyte do zadań zwiadowczych. Te właśnie kompanie należy puszczać najpierw. Wypuście nas, białe kaski! Musimy teraz odskoczyć daleko do przodu.

### III

Spojrzysz na kompanie w dywizji czy w pułku - wszystkie na pierwszy rzut oka są jednakowe. Ale tak nie jest. W każdym batalionie pierwsza kompania jest rzeczywiście pierwsza. Niezależnie od tego, ilu niedorajdów liczy batalion, dowódca wyłowi wszystko co najlepsze i - do pierwszej kompanii. Nawet jeżeli brak oficerów, i tak najlepsza kadra wylądzuje w pierwszej kompanii. Wszak to ona maszeruje na czele, na głównej osi natarcia batalionu, prowadząc go do ataku. Ona pierwsza zderza się z wrogiem. A od tego, jak się wszczęło bitwę, zależy nierzadko jej wynik.

Druga kompania w każdym batalionie - to średniaki. Oficerowie w drugich kompaniach niczym specjalnie się nie wyróżniają, jak ja, żołnierze podobnie. Za to każda druga kompania ma dodatkowe przygotowanie wywiadowcze, jakby drugą pokrewną profesję. Stanowi przede wszystkim kompanię bojową, ale gdyby zaszła potrzeba, może prowadzić rozpoznanie dla całego batalionu albo

nawet dla pułku, zastępując lub uzupełniając działania specjalnej kompanii zwiadowczej.

Armia radziecka liczy 2.400 batalionów strzelców zmotoryzowanych. W każdym z nich trzecia kompania jest nie tylko z nazwy trzecią. W trzecich kompaniach służą najczęściej ci, którzy nie dostali się do pierwszych ani do drugich: młodzi niedoświadczeni oficerowie-żółtodzioby, albo przeciwnie, starzy i nie rokujący żadnych nadziei. Żołnierzy w trzecich kompaniach zawsze brak. Co więcej: na terytorium Związku Radzieckiego trzecie kompanie w przytłaczającej większości w ogóle nie mają żołnierzy. Cały ich sprzęt bojowy wciąż sterczy w remontach i konserwacji. Wybucho wojna - i tysiące owych kompanii uzupełnia się rezerwistami, szybko podciągając je do poziomu normalnych bojowych pododdziałów. W systemie tym zawiera się głęboki sens: dopełnić dywizje rezerwistami to rozwiązanie po tysiącokroć lepsze, niż formowanie owych dywizji składających się w całości z rezerwistów.

Moja druga kompania pancerna ostro wyrywa do przodu. Na zakręcie spoglądam do

tyłu i liczę czołgi. Jak na razie wszystkie utrzymuj ą narzucone tempo. Tuż za ostatnim czołgiem wybijając gaśnicami iskry z betonu sunie, nie odstępując na krok, transporter opancerzony z białą chorągiewką. Kamień spadł mi z serca. Mała biała chorągiewka oznacza obserwatorów. Ich obecność oznacza z kolei ćwiczenia, a nie wojnę. A więc - pożyjemy jeszcze...

Nade mną śmigłowiec ślizgiem wytraca wysokość, zmienia kierunek lotu i zachodzi nas ostro pod wiatr, by lepiej panować nad sterami. Zawisł po prawej. Wyglądam z włazu. Prawa dłoń nad głową. Pilot całkiem rudy. Twarz jak indyjskie jajo, nakrapiana piegami. Zęby śnieżnobiałe. Śmieje się. Dobrze wie, że dowódców kompanii, którym właśnie rozwiózł rozkazy, czeka jeden z mniej zabawnych dni.

#### IV

Czołg mój szeroką pierśią tnie świat na pół i to, co przed nami stanowiło jedność rozdwaja się po bokach. Migają zagajniki po prawej i po lewej. Huk w środku - piekielny.

Mapa na kolanach. Stopniowo wyjaśnia się to i owo. Dywizje, pchnięto w wyłom i w szybkim tempie posuwamy na zachód. Jedna jest tylko niewiadoma - gdzie jest przeciwnik. Z mapy to nie wynika. Dlatego właśnie przed samą dywizją pędzi ze dwadzieścia kompanii, wśród nich moja. Kompanie przypominają rozstawione palce jednej dłoni. Mają za zadanie wymacać słabe miejsca w obronie wroga i tam właśnie dowódca dywizji skieruje cios swej tysiącto-nowej pięści. Tego słabego miejsca wroga poszukuje się na ogromnych przestrzeniach i dlatego każda z wysłanych na rozpoznanie jednostek posuwa się w zupełnym osamotnieniu. Wiem, że gdzieś pędzą równie brawurowo i żywiołowo takie same kompanie, omijając ogniska oporu, wioski i miasta. Moja kompania też nie daje się wciągnąć w wyczerpujące potyczki: spotkałeś przeciwnika - zamelduj do sztabu i omijaj. Omiń go jak najprędzej - i naprzód. A gdzieś w oddali główne siły, jak rwący potok, co przerwał tamę. Naprzód chłopcy, naprzód, na zachód!

Transporter z białą chorągiewką nie pozostaje w tyle. Ten drań jest dwukrotnie lżejszy od czołgu, a moc ma niemal taką samą. Kilkakrotnie usiłowałem go zgubić, oderwać się, że niby duża prędkość to rękojmią zwycięstwa. Wszystko na nic. Kiedy dowodziłem plutonem, takie sztuczki były na porządku dziennym, ale z kompanią taki numer nie przejdzie. Porwiesz szyk, czołgi po różnych bagniskach pogubisz. Za to nikt po główce nie pogłaszcze, za to traci się dowodzenie kompanią. Pies was trącał, myślę, kontrolujcie sobie na zdrowie, nie rnam zamiaru rozciągać kompanii...

- Z przodu dźwig! - krzyczy w słuchawkach dowódca szóstego czołgu, wysłanego

naprzód jako czujka.

Dźwig? Rzeczywiście! Dźwig! Cały zielony, ramię dla zamaskowania oplecione szczelnie gałązkami. Gdzie na polu bitwy można dostrzec dźwig? Słusznie! W baterii raketowej! Nie co dzień trafia się taka gratka!

- Kompania! - wrzeszczę. - Bateria rakiet! Do boju... Naprzód!

Moi chłopcy wiedzą doskonale, jak trzeba sobie radzić z bateriami raketowymi. Pierwszy pluton, wyprzedzając mnie, rozsypuje się w szyk bojowy. Drugi gwałtownie

przyspieszając odpada w prawo i wyrzucając gaśnicami grudy błota pędzi przed siebie. Trzeci pluton zatacza wielki łuk w lewo, oskrzydlaając baterię z flanki.

- Gazu! - krzyczę. Kierowcy wiedzą, co robić. Każdy z nich w tej chwili prawą nogą zaparł się w pancerną podłogę, wciskając pedał do oporu. I dlatego silniki zawyły niepokornie i krnąbrnie. I stąd ten cały huk. I swąd nieznośny ł kopeć: paliwo nie *nadaża* spalać się do końca w silnikach i potężne ciśnienie gazu wyrzuca je przez wydechowe gardziele.

- Przerzywam zwiad... kwadrat 13-41... stanowisko wyrzutni... przyjmuję bitwę... - to mój strzelec-telegrafista wykrzykuje w eter nasze ostatnie być może posłanie. Pododdziały raketowe i sztaby przeciwnika każdy ma atakować przy pierwszym spotkaniu, nie czekając dodatkowych rozkazów, bez względu na szansę, za wszelką cenę.

Ładowniczy jednym pstryknięciem przerywa łączność i rzuca pierwszy pocisk na podajnik. Pocisk płynnie znika w komorze i potężny zamek jak ostrze gilotyny rygluje lufę kruszącym serce uderzeniem. Wieża płynie w bok, a pod moimi nogami odskakuje w lewo podręczny magazyn pocisków: oparcie kierowcy-mechanika. Komora nabojuwa drgnęła i zaczęła sunąć do góry. Celowniczy wczepił się palcami w pulpity celownika i potężne stabilizatory posłusznie ulegając jego zgrubiałym łapskom łagodnymi szarpnięciami przytrzymują działo i wieżę, by nie poddały się szalonej płasawicy czołgu, pędzącego po pniach i konarach. Dużym palcem prawej dłoni celowniczy łagodnie przyciska spust. Aby straszliwe uderzenie nie spadło zniemacka na nasze uszy, we wszystkich hełmofonach rozlega się ostry trzask, powodujący skurcz bębenków przed druzgocącym łoskotem potężnego działa. Trzask w słuchawkach wyprzedza eksplozję o setne ułamki sekundy i dlatego samego wystrzału w ogóle nie słyszemy.

Drgnęła czterdziestotonowa masa rozpędzonego czołgu. Lufa szarpnęła się w tył i rzygnęła brzęczącą zadymioną łuską. W tej samej chwili, za działem dowódcy zaszczekały jedno po drugim wszystkie pozostałe. A ładowniczy już drugi pocisk rzuca na podajnik.

- Gazu! - krzyczę co siłą.

Błota spod gąsienic - fontanny. Łoskot ich zagłusza nawet armatni huk. W hełmofonach trzask - to celowniczy ponownie naciska spust. I znowu nie słyszymy swojego strzału. Tylko działo kurczowo szarpnęło się w tył, tylko łuska przeraźliwie brzęczy, spadając na stal pancerza. Dobiegają nas salwy sąsiednich czołgów, oni słyszą tylko nas. Ta kanonada smaga moich dzielnych Azjatów jak kańczugiem po karku. Wyłażą z nich dzikie bestie. Każdego z nich mogę sobie teraz wyobrazić. W piątym czołgu celowniczy między jednym strzałem a drugim w upojeniu gryzie gumowy naczółek od celownika. Wszyscy o tym wiedzą, nie tylko w kompanii, ale w całym batalionie. Niedobrze. To go rozprasza, przeszkadza w obserwowaniu sytuacji. Za to o mało nie zdegradowano go do ładowniczego. Ale jedno trzeba mu przyznać: świetnie strzela, drań. W ósmym czołgu dowódca zawsze ma pod ręką siekiere i gdy jego działo zachłystuje się w intensywnym strzelaniu, wali w pancerz obuchem. W trzecim czołgu dowódca zapomniał ostatnio wyłączyć nadajnik, zagłuszając całą łączność w kompanii. I cała kompania słuchała, jak zgrzytał zębami i coraz to wył jak wilk.

- Rozwalaj! - szepczę. I szept mój fale radiowe roznoszą na trzydzieści kilometrów, jakbym każdemu z moich Azjatów wyszeptywał to słowo prosto do uszka. - Roz-z-zwalaj! I trzask po uszach, i brzęk łuski. Wystrzelone łuski wydzielają odurzający aromat. Kto ów jadowity aromat wdychał, tego ogarniało rozkoszne oszołomienie. Rozwalaj! Ten huk, ta moc niezwykła, te karabinowe trele upajają moich czołgistów. I nie powstrzyma ich teraz żadna siła. Kierowcy czołgów jakby się z łańcuchów pozrywali. Szarpią dźwignie, zadreńczają swoje maszyny, pędzą je, niepokorne, w samo piekło. A ja zerkam za siebie: żeby tylko nie zaszli nas od tyłu. Daleko, hen za nami transporter z białą chorągiewką. Pozostał w tyle, opadł z sił. Biedacy: nie mają działa potężnego, nie wiedzą, co to rozkosz, nie zaznali jej. Dlatego ich strachliwy kierowca omija ostrożnie każdy kamień czy pień. Pochwyć maszynę w swe ręce, rwijże ją i nekaj! Pojazd pancerny to subtelna istota. A gdy poczuje na sobie mocnego jeźdźca, rozbestwi się i ona. I poniesie cię galopem po granito-

wych głazach i pniach tysiącletnich dębów, przez leje i wadoły. Nie bój się, że zerwiesz gąsienice, nie obawiaj się, nie pęknie wał. Rozdzieraj i krusz, poniesie cię twój czołg jak ptak. Czołg - on też zachłystuje się tą walką. Też jest stworzony do walki. Rozwalaj!

- ...Wycofać kompanię z boju...

Iskry spod gąsienic. Kompania wdarła się na pozycje baterii raketowej. Zgrzyt w uszach - czy to zgrzytają gąsienice po stalowej płycie, czy to zęby celowniczego w moich słuchawkach?

- ...Wycofać kompanię z boju...

Aby nie trafić przypadkowo w swojego, czołgi nie czekając na *rozkaz* przerwały kanonadę, tylko warczą, jak wilki rozdzierające jelenia na części. Czołgi tłuką swymi pancernymi łbami delikatne podnośniki, dźwigi i wyrzutnie, w tłusty czarnoziem wgniatają dumę i chlubę artylerii raketowej. Rozwalaj!

- ...Wycofać kompanię z boju... - dobiega mnie po raz kolejny czyjś odległy skrzekliwy głos, i raptem rozumiem, że to do mnie zwraca się obserwator. Ech, do diabła! Któż to w chwili szczytowej, bez mała seksualnej rozkoszy odrywa ludzi od ulubionego zajęcia? Obserwatorze, niech cię szlag, moich ogierów tym sposobem na wałachów przerobisz! Coś ty, wróg ludu czy burżuazyj-ny szkodnik? Takiego wała! Kompania, rozwalaj! I waląc pięścią w pancierz, wymyślając w otwarty eter całej sztabowej swołoczy, która prochu nigdy w swoich kancelariach nie wahała, rozkazuję:

- Kompania! Zaprześcić walki! Plutonami jeden za drugim na polankę po lewej, marsz!

Mój mechanik w porywie wściekłości ściąga do oporu lewy drążek tak, że czołg całą swą masą przewala się w prawo, łamiąc w pół brzozę ślicznotkę. Po mistrzowsku wrzuca co sekundę kolejne biegi i błyskawicznie dochodząc do najwyższego przełożenia goni pancernego dinozaura w przód poprzez krzaki i głębokie wykroty, by za moment brawurowo zawrócić w miejscu, redukując obroty niemal do zera. Czujemy mocne szarpnięcie do przodu, jak w samolocie hamującym nagle przy końcu pasa startowego. Pozostałe czołgi z rykiem rozczarowa-

nia wypadają jeden po drugim z lasu i gwałtownie zwalniając ustawiają się na jednej linii.

- Rozładować! Broń do przeglądu! - rzucam rozkaz i wyrywam przewód hełmofonu z gniazdka, a ładowniczy strzela wyłącznikiem interkomu i przecina całą łączność.

V

Transporter opancerzony obserwatorów został daleko w tyle. Nim doczołgał się do kompanii, zdążyłem skon-trolować broń, odebrać meldunek o stanie pojazdów,

o zużyciu paliwa i amunicji, ustawić kompanię w szy-k u - i zamarłem pośrodku polany gotowy do raportu.

Stoję, czekam, dokonuję bilansu, podliczam plusy i minusy, za co mogą mnie pochwalić, a za co ukarać: kompania rozpoczęła wychodzenie z postoju osiem minut przed wyznaczonym terminem - za to pochwał nie szczędzą, za to czasem dowódcy kompanii nawet

złoty zegareczek wpaść może. Na wojnie czas liczy się na sekundy. Wszystkie czołgi, wszystkie samoloty, wszystkie sztaby muszą jednym szarpnięciem wydostać się spod uderzenia. Wtenczas pierwszy, najstraszliwszy cios wroga trafi w opuszczone miasteczka wojskowe. Osiem minut! To dla mnie niezaprzeczalny plus. Wszystkie czołgi pozostały sprawne i przez cały dzień nie nastąpił żaden defekt. To plus na konto zastępcy ds. technicznych. Sam sprawuję tę funkcję. Bazy nieprzyjaciela omijaliśmy wielkimi łukami, przekazując precyzyjnie wszystkie współrzędne. To plus na konto dowódcy pierwszego plutonu. Szkoda, że i jego nie mamy w kompanii: znowu ten brak. Baterii rakietowej nie przegapiliśmy, wywęszyliśmy, wdeptaliśmy w ziemię. A jedna taka bateria rakietowa, choćby najmarniejsza, to kilka Hiroszimy. Przerywając zwiad i rzucając swoje pancerne pudełka na te rakiety, zapobiegłem kataklizmom. Za taki numer na wojnie orderek na pierś się należy, a na manewrach długi czas słyszy się pochwały...

W końcu zjawia się pułkownik-observator. Dłonie bielutkie, czyściutkie, cholewy lśnią. Z obrzydzeniem omija kałuże, jak kot, żeby łapek sobie nie upaprać. Dowódca pułku, ojczulek nasz, to też pułkownik, ale

łapska ma spracowane, wielkie jak kat, do ciężkiego trudu przyuczone. Czerstwą gębę naszego ojczulka wysmagały mrozy, spiekota i wiatry wszystkich znanych mi poligonów i strzelnic. Do bladej twarzyczki pułkownika-observatora nie podobna ta gęba.

- Równaj! Bacność! W prawo-o patrz! Lecz observator nie wysłuchuje mojego raportu, przerywa mi w pół słowa.

- Porywa was akcja, starszy lejtnancie! Traciecie głowę! Jak szczeniak!

Milczę. Uśmiecham się do niego. Jakby w ogóle mnie nie beszał, lecz medal przypinał na piersi. A w nim na widok mojego uśmiechu narasta jeszcze większa wściekłość. Cała jego świta milczy ponuro. Wiedzą majorzy i podpułkownicy, że artykuł 97. kodeksu dyscyplinarnego zabrania beszać mnie w obecności moich podwładnych. Wiedzą majorzy i podpułkownicy, że strofując mnie w obecności moich podwładnych, pułkownik wystawia na szwank nie tylko mój autorytet dowódcy, lecz autorytet całego korpusu oficerskiego bohaterskiej Armii Radzieckiej, w tym także swój własny. A ja jakby nigdy nic. Uśmiecham się.

- Hańba, starszy lejtnancie! To hańba, nie słuchać i nie wykonywać rozkazów!

Ech, pułkowniku, na lufach armatnich powywieszałbym tych, których nie porywa wir walki, których nie upaja zapach krwi. To przecież tylko ćwiczenia, a gdyby w prawdziwej bitwie gaśienice naszych czołgów schlapała prawdziwa krew, wtedy dopiero Azjaci moi



dzielni pokazaliby, co potrafią. I nie jest to przejaw ich słabości. To przejaw siły. Nikt pod słońcem nie potrafiłby ich powstrzymać.

- No i jeszcze ten murek! Zburzyliście murek! To jest przestępstwo!

A ja już zdążyłem zapomnieć o tym murku. Wielkie rzeczy. Na pewno już go przez ten czas odbudowali. Ileż to roboty? Przygnać znad zatoki ze dwa tuziny więźniów, w kilka godzin wzniosą nowy murek jak się patrzy. A ponadto - skąd mam wiedzieć, pułkowniku, czy to manewry, czy wojna? Któż to może wiedzieć podczas alarmu bojowego? A gdyby to była wojna i murek zostawilibyśmy w spokoju, a dwustu chłopów wraz ze swoimi wspaniałymi pojazdami bojowymi spłonęłoby na jednej kupie? Co ty na to, pułkowniku? Zaszczytne tytuły nosisz, zwiesz się szefem wywiadu 13. Armii, więc może byś się zainteresował, ile obiektów bojowych moi Uzbegy wykryli w ciągu tego jednego dnia. Po rosyjsku nawet nie gadają, a obiekty odnajdują bezbłędnie. Pochwal ich, pułkowniku! Jeśli nie chcesz do mnie, to się choć do nich uśmiechnij. I uśmiecham się do niego. Stoję teraz plecami do całej kompanii i w żaden sposób nie wolno mi teraz obrócić się do nich twarzą, ale i tak wiem, że cała moja kompania stoi w tym momencie z uśmiechem na twarzach. Ot tak, bez powodu. Tacy oni są, przy byle okazji szczerzą te swoje zębiska.

A pułkownikowi nie przypada to do gustu. Myśli pewnie, że to z niego się śmiejemy. Wściekł się pułkownik. Zgrzytnął zębami, jak celowniczy w walce. Nie jest w stanie pojąć i ocenić naszych uśmiechów. I dlatego krzyczy mi w twarz:

- Szczeniaku, niegodnyś dowodzić kompanią. Zawieszam cię w czynnościach. Zdać kompanię zastępcy, niech prowadzi wojsko do koszar!

- Nie mam zastępcy - uśmiecham się w odpowiedzi.

- W takim razie dowódcy pierwszego plutonu.

- Też nie ma. - I chcąc oszczędzić pułkownikowi wymieniania wszystkich po kolei, wyjaśniam: - Jestem jedynym oficerem w kompanii.

Pułkownik przygasł. Opadł z niego zapal. Opadł, jakby nigdy go nie było. Sytuacja, w której na kompanię przypada jeden oficer należy w naszej armii, zwłaszcza na terytorium Związku, niemal do klasycznych. Wielu jest chętnych do oficerskich szlifów, tyle że wszyscy chcą być pułkownikami. Lejtнанcki start mało kogo pociąga. Stąd deficyt, brak młodszej kadry oficerskiej. Bardzo dotkliwy brak. Ale tam na górze, w sztabach, dziwnie się jakoś o tym problemie zapomina. Ot, najlepszy przykład: pułkownik po prostu nie pomyślał, że mogę być jedynym oficerem w kompanii. Zawiesił mnie jako dowódcę - jego prawo. Ale kompanię trzeba cofnąć do koszar. A wodzić kompanię, i to jeszcze pancerną, dziesiątki kilometrów bez oficera - to po prostu niemożliwe. To jest równoznaczne z przestępstwem. Może być ocenione

jako próba zamachu stanu. Na tej drodze, pułkownik, czeka cię klęska

24

kompletna. Skoro zawiesiłeś dowódcę w sytuacji, gdy nie ma zastępców, tym samym przejąłeś osobistą odpowiedzialność za całą kompanię i nie masz prawa tej kompanii komukolwiek powierzyć. Gdyby istniało takie prawo, wówczas byle dowódca dywizji mógłby wyprowadzić wojsko w pole, odwołać dowódców zastępując ich zgodnie ze swoim gustem, i pucz gotów. A u nas nie ma puczów, bowiem nie każdemu dane jest prawo rozstrzygnięcia delikatnej kwestii doboru i rozmieszczania kadr dowodzenia. Odwołać - twoje prawo. Odwołać - nic prostszego. Odwołać każdy potrafi. Jest to równie proste, jak zabić człowieka. Ale przywracać dowódców na ich stanowiska to nie to samo, to tak, jakby chcieć martwego ożywić. No i co, pułkownik, myślisz z powrotem postawić mnie na czele kompanii? Nic z tego. Nie jestem godzien. Wszyscy to słyszeli. Nie masz prawa powierzyć kompanii niegodnemu. A jeżeli na górze dowiedzą się, że nad samą niemal granicą dymisjonowałeś pełnoprawnych dowódców kompanii pancernych i na ich miejsce niegodnych mianowałeś? Co wtedy z tobą będzie? No jak, pomyślałeś o tym?

Najlepiej byłoby, gdyby pułkownik skomunikował się z dowódcą mojego batalionu albo pułku: że niby zabieracie swoją osieroconą kompanię. Ale ćwiczenia się skończyły. Skończyły się równie niespodziewanie, jak się zaczęły. Któż zezwoli na korzystanie z bojowej sieci łączności po zakończeniu manewrów? Ci, którzy pozwalali sobie na takie samowole, w trzydziestym siódmym szli pod mur. Od tego czasu nikomu nie zachciewa się takich żartów. No co tam, pułkownik? Prowadź kompanię. A może zapomniałeś już, jak to się robi? A może nigdy nie miałeś z tym do czynienia? Może wychowałeś się w sztabach? Takich pułkowników jest przecież na kopy. Z boku każda czynność wydaje się błahostką. I nawet prowadzenie kompanii czołgów wydaje się bardzo proste. Sek jednak w tym, że rozkazy należy wydawać zgodnie z nowym regulaminem. Kompania nie składa się z Rosjan, załoga nic nie rozumie. Albo co gorsza rozumie na opak. Wtedy nawet helikopter nie odzyska ich po lasach i bagnach. Czołg to straszliwa masa, może najechać na człowieka, może runąć wraz z mostem, może zatonać w bagnisku. A zapłata jedna i ta sama.

Przestałem się uśmiechać. Sytuacja jest poważna i nie ma się co weselić. Skoro tak, to może zaszutować, i: - Czy mogę się odmeldować, towarzyszu pułkownik? - Tak czy inaczej, jestem tu teraz osobą postronną: ani dowódca, ani podwładny. Wy nawarzyliście tego piwa, wy je spijajcie. Zachciało się komenderować, więc, towarzyszu pułkownik,

komenderujecie. Ale złość bardzo prędko ze mnie opadła. Moja kompania, moi ludzie i maszyny. Choć nie odpowiadam już za kompanię, nie porzucę jej ot tak.

- Towarzyszu pułkowniku - poderwałem palce do daszka - proszę o zezwolenie na ostatnie przeprowadzenie kompanii do miejsca postoju. Coś jakby pożegnanie.

- Zgoda - rzucił krótko. Przez chwilę wydawało mi się, że z przyzwyczajenia chce jak zwykle udzielić kilku pouczeń: nie pędź, nie zapalaj się, nie rozciągaj kolumny. Ale nie uczynił tego. Może w ogóle nie miał zamiaru, może tylko mi się wydawało.

- Tak, tak, prowadźcie kompanię. Traktujcie mój rozkaz jako jeszcze nieprawomocny. Doprowadzicie kompanię do koszar i tam ją zdacie.

- Rozkaz! - Odwracam się ostro na pięcie, kątem oka dostrzegając uśmieški w świetle pułkownika. Jakże to tak: prowadźcie kompanię. Świta zdaje sobie sprawę, że regulamin nie przewiduje takiej sytuacji. Albo dowódca godzien jest swego pododdziału i ponosi zań pełną odpowiedzialność, albo przeciwnie, jest go niegodny, i wówczas zostaje z miejsca zdymisjonowany. „Na razie macie dowodzić” - to nie rozwiązanie. Za taką decyzję pułkownik może słono zapłacić. Jest to jasne dla mnie, podobnie jak dla jego świty. Ale tymczasem nie zaprzętałem sobie tym głowy. Teraz czeka mnie poważne zadanie. Dowodzę kompanią i w nosie mam, co kto pomyślał, kto jak postąpił i jaka spotka go za to kara.

Dowódca musi podporządkować oddział swojej woli, zanim wyda pierwszy rozkaz. Musi spojrzeć na swoich żołnierzy tak, by przez szereg przebieg dreszcz, żeby wszyscy zamarli, aby każdy poczuł, że za moment z ust dowódcy padnie komenda. A komenderuje się w wojskach pancernych bez słów. Dwie chorągiewki w dłoniach. Tymi chorągiewkami dowodzę.

Biała chorągiewka ostro w górę. To mój pierwszy rozkaz. Tym krótkim i ostrym gestem przekazałem kompanii długi komunikat:

„Przed wami - dowódca kompanii! Od tej chwili obowiązuje zakaz korzystania z nadajników, aż do pierwszego kontaktu z wrogiem! Uwaga...”. Rozkazy dzielą się na wstępne oraz wykonawcze. Rozkazem wstępnym dowódca niejako chwyta podwładnych w stalowe cugle swojej woli. I ściągając je musi odczekać pięć sekund, zanim wyda rozkaz zasadniczy. Wszyscy muszą znieruchomieć w oczekiwaniu, każdy musi poczuć żelazne wędzidła, lekko drgnąć, muszą zagrać mięśnie, jakby wyprzedzając ostre smagnięcie, każdy musi czekać na następny rozkaz, jak dobry rumak czeka na cięcie szpicrutą.

Czerwona chorągiewka w górę, po czym obie - w dwie strony i do dołu. Drgnęła kompania, poszła w rozsypkę, podkutymi buciorami dudniąc po pancerzach.

Może chcieli się ze mną w taki sposób pożegnać, może kompania demonstrowała obserwatorom swoje wyszkolenie, a może po prostu wściekłość poniosła i nie mieli innej możliwości, by ją wyrazić. Ach, gdyby przyszło komuś do głowy włączyć stoper! Ale nawet bez sekundnika wiedziałem, że w świecie pułkownika jest niemało czołgistów z prawdziwego zdarzenia, czołgistów z krwi i kości, i że każdy z nich w tej chwili lubuje się moimi Azjatami. Sam byłem świadkiem wielu rekordów w wojskach pancernych, znam ich cenę. Widziałem połamane ręce, wybite zęby. Ale teraz szczęście sprzyjało chłopcom! Nie wiem jak, lecz z góry wiedziałem, że ani jeden nie zrobi fałszywego kroku, nie poślizgnie się, wykonując karkołomny skok do wjazdu. Wiedziałem, że nikomu nie przytraśnie palców. Nie tym razem.

Dziesięć silników ryknęło zgodnym chórem. Siedzę wysunięty z wieży czołgu prowadzącego. Biała chorągiewka w mojej dłoni oznacza: „Jestem gotów!” I w odpowiedzi widzę dziewięć innych chorągiewek: „Gotów! Gotów! Gotów!” Zdecydowany ruch nad głową i machnięcie na wschód: „Za mną!”

Wszystko bardzo proste. Elementarne. Prymitywne? Tak, ale żaden pelengator nie będzie w stanie niczego wykryć, gdyby nawet równocześnie wymaszerowały cztery

armie pancerne. Podobnie prymitywne i niezawodne sztuki mamy w zanadrzu przeciwko wszelkim innym sposobom rozpoznania. I dlatego pojawiajemy się zawsze niespodziewanie. Dobrze lub źle - zawsze zniemacka. Nawet w Czechosłowacji, nawet w sile siedmiu armii na raz.

Pułkownik-obszator wgramolił się na swój transporter. Świta za nim. Silnik ryknął, pojazd ostro zawrócił i ruszył inną drogą do bazy.

Świta pułkownika żywi do niego nienawiść, to widać na pierwszy rzut oka. W przeciwnym razie ktoś by mu podszeptał, że powinien się posuwać tuż za moim czołgiem. Jestem przecież teraz nikim. Samozwaniec. Powie-rzenie mi kompanii przypomina sytuację, w której na-i z.clnik policji zleciłby dokonanie aresztowania eks-poli-cjantowi, wydalonemu z pracy. Jeżeli już przyszedł ci do głowy taki pomysł, to przynajmniej nie odstępuj na krok, aby w razie czego na czas interweniować. Jeżeli powierzyłeś komuś kompanię, jeżeli nie potrafisz nią dowodzić, to przynajmniej bądź w pobliżu, żeby w razie po-trzby nacisnąć na hamulec. Ale nikt nie uprzedził pułkownika, że złożył swoje życie w ręce młodego lejtnanta. A lejtnant odsunięty od władzy może pozwolić sobie na każde świństwo, jest w kompanii obcym człowiekiem. Zaś odpowiadać przyjdzie tobie. A może wiedzieli wszyscy w świecie, że starszy lejtnant doprowadzi kompanię bez jakichkolwiek incydentów? Wiedzieli, że nie będzie starszy lejtnant łamać pułkowniczej kariery. A mógłby...

## VI

Tak bywa często: smagną dywizję knutem alarmu bojowego i ledwie wyrwie się na otwartą przestrzeń - już rozkaz powrotu. Tkwi w tym głęboki sens. W taki sposób wyrabia się przyzwyczajenie. Kiedy alarm rzuci dy-wlż.je w prawdziwy bój, ruszą nań jak na ćwiczenia. A przy okazji usypia się czujność nieprzyjaciela. Radzieckie dywizje wypadają ze swych baz często niespodziewanie. Wróg przestaje reagować na te ruchy wojsk. Kolumny czołgów zapchały wszystkie drogi. Widać, że •ygnął powrotu otrzymała równocześnie cała dywizja.

Kto to wie, ile dywizji poderwał dziś alarm bojowy; ile ich teraz powraca do swych zgrupowań! Może tylko nasza dywizja, może trzy dywizje, a może i pięć. Kto wie, może sto dywizji zerwało się na alarm bojowy.

Koło bramy naszej bazy rżnie orkiestra dęta.

Dowódca pułku, ojczulek nasz, stoi na czołgu - wita swoje zastępy. Patrzy na nas doświadczonym, wymagającym okiem. Jednego spojrzenia dość, by ocenić kompanię, baterię, batalion i ich dowódcę. Kulą się dowódcy pod ołowianym ojcowskim wzrokiem. Potężne chłopisko, koa-licyjka zapięta na ostatnie dziurki, ledwie ich starcza. Cholewy jego wielkich buciorów z tyłu z lekka ponacina-ne - w przeciwnym razie nie naciągnie ich na potężne łydki. Pięść ma jak czajnik. I tym czajnikiem komuś wymachuje. Pewnie dowódcy trzeciego batalionu strzelców zmotoryzowanych, którego transportery znikają właśnie w żarłocznej gardzieli bramy. W tej chwili wchodzi bateria moździerzcy należąca do tego batalionu, a za nią - nasza kolej. I chociaż wiem, że wszystkie moje czołgi suną jeden za drugim, i choć jest mi to teraz obojętne, nie jestem już ich dowódcą, to w ostatniej chwili rzucam za siebie spojrzenie: tak, są wszystkie, ani jeden nie został w tyle. Dowódcy wszystkich czołgów starają się pochwycić moje spojrzenie. Ja zaś znowu gwałtownie obracam się do przodu, prawą dłoń podrywam do czarnego hełmofonu i dowódcy wszystkich dziewięciu pozostałych czołgów powtarzają za mną ten stary gest wojskowego pozdrowienia.

Dowódca pułku wykrzykuje jeszcze jakieś przykre pogrożki w ślad za kolumną trzeciego batalionu, i wreszcie zwraca rozjuszony wzrok na moją kompanię. Leśny gorylu, atamanie zbójceki, któż wytrzymałby twoje spojrzenie? Ale spotkawszy jego wzrok, nieoczekiwanie dla siebie samego postanawiam wytrzymać wielotonowy nacisk. A ten rozchylił pięść w dłoń jak łopata - i do daszka. Nie każdemu ojczulek odpowiada powitaniem na powitanie. I nie byłem na to przygotowany. Mrugnąłem raz, drugi, trzeci. Czołg mój minął już jego stanowisko, a ja odchylam głowę coraz bardziej do tyłu: patrzę na dowódcę. I raptem uśmiechnął się do mnie. Gęba czarna jak negatyw, i dlatego ten uśmiech śnieżnobiały

zębów widzi doskonale

30

itU m

cała moja kompania, i pewnie bateria haubic, sunąca za nami, którą powita za chwilę wymachując pięścią.

Ech, komendancie. Nie wiesz jeszcze, że przestałem być dowódcą kompanii. Odebrano mi kompanię, komendancie.

Niesławna dymisja. Jakby publiczne baty. Ale nic to, komendancie. Myślisz, że zapłaczę? Nigdy w życiu. Będę się uśmiechać, tak samo jak w tej chwili uśmiecham się do ciebie, komendancie. Niebawem dostanę nową kompanię. Brakuje oficerów, sam wiesz jak jest. Żal mi tylko rozstawać się z moimi Azjatami. Wyjątkowo zgrana paczka się dobrała. No, trudno. Przeżyjemy to jakoś. Wystarczy mi to, że pułk na czas rozpoczął alarmowy wymarsz, że ty, dowódca pułku, nie zleciałeś ze stanowiska. I nie trzeba nam żadnego innego dowódcy w pułku. Wybaczamy ci, komendancie, twój charakter surowy. Jeżeli zajdzie potrzeba, pójdziemy za tobą wszędzie, gdzie nas poprowadzisz. I ja, komendancie, pójdę za tobą jak w dym, jeśli nie jako szef kompanii to jako plutonowy. A mogę też jako prosty celowniczy.

## VII

Gdy wóz bojowy powraca na miejsce postoju, co należy uczynić w pierwszej kolejności? Słusznie. Należy napęlić zbiorniki paliwem. Baki muszą być pełne. Sprawny czy zepsuty - nieważne. Ważne, żeby był zatankowany. Kto wie, kiedy gruchnie następny alarm? Każdy pojazd musi być przygotowany do powtórzenia wszystkiego od nowa w każdym momencie. I dlatego dudni całe obozowisko. Setki wozów równocześnie pobierają paliwo. Każdy czołg potrzebuje co najmniej tony ropy. Transportery opancerzone też są bardzo żarłoczne, podobnie ciągniki artyleryjskie. Wszystkie pojazdy transportowe też muszą być zatankowane. Równocześnie każdy wóz musi uzupełnić wyposażenie bojowe, amunicję. Pociski czołgowe ważą po 30 kilogramów. Zwieziono ich całe setki. Leżą po dwa w jednej skrzyni. Każdą skrzynię trzeba zdjąć z ciężarówki. Pociski wyjąć, oczyścić każdy z osobna z fabrycznego smaru ochronnego - i do czołgu. Naboje do cekaemów również w skrzyniach, po 800 sztuk. Trzeba uzupełnić taśmy do karabi-

nów maszynowych. Do jednej wchodzi 250 nabojów. Potem taśmy należy ułożyć w magazynkach, których jest 13 w każdym czołgu. Teraz z kolei trzeba zabrać wszystkie wystrzelone łuski, złożyć do skrzyń i zdać do magazynu. Lufy wyczyścimy później. Po kolei całym plutonem każdą lufę czołgową, po wiele godzin dziennie, powtarzając tę samą

czynność dzień za dniem. Ale na razie trzeba zalać lufy olejem. Potem przychodzi czas mycia czołgów. Na razie tylko z grubsza, właściwe umycie i czyszczenie odkłada się na później, a teraz trzeba nakarmić żołnierzy. Po kolacji wszyscy zabierają się do kontroli technicznej. Do rana wszystko musi być sprawdzone: silniki, układy transmisyjne, zawieszania, zespoły jezdne. Tam, gdzie to konieczne, należy wymienić ogniwa w gaśnicach. W czwartym czołgu - zniszczona lewa naciągarka. W ósmym - nawala reduktor obrotowy wieży. A w pierwszej kompanii czołgów muszą wymienić naraz dwa silniki. Od rana zacznie się ogólne czyszczenie luf. Żeby wszystko było gotowe! Bo zgnoją! I nagle czuję pustkę w sercu. Nagle przypominam sobie, że nie czeka mnie już poranna kontrola kompanii. A może nawet nie wpuszczą mnie jutro do parku?

Wiem, że wszystkie papiery w mojej sprawie już zostały przygotowane i że oficjalnie zostanę odwołany nie jutro rano, lecz już dzisiaj wieczorem. Wiem, że oficerowi przystoi iść po dymisję w pełnej gali, jakby maszerował po najwyższe odznaczenie. I moja kompania też to wie. Dlatego podczas gdy wyklócałem się z ekipą paliwową, gdy sprawdzałem karty zużycia amunicji, kiedy włąziłem pod trzeci czołg, to już ktoś mi cholewy wypolerował, kto inny spodnie przepasował i świeży kołnierzyk przyfastrygował. Zrzuciłem brudny kombinezon, prędko pod prysznic. Goliłem się długo i starannie. I już goniec ze sztabu pułku.

Huczy park. Przez bramę ciągnik wlecze rozbity transporter. Brzęczą zużyte łuski. Dudnią potężne Urale, załadowane piramidami skrzyń po pociskach. Spawarka wyrzuca snopy iskier jak sztuczne ognie. Do rana wszystko będzie lśnić i mienić się w świetle. Na razie brud, brud wokoło, hałas, łoskot jak na wielkiej budowie. Nie odróżnisz oficera od szeregowca. Wszyscy w kombinezonach, wszyscy brudni, wszyscy klną. I pośród tego hałasu idzie starszy lejtnant

Suworow. I milkną rozmowy. Umorusani czołgiści spoglądają za mną. Każdy wie - starszy lejtnant maszeruje po dymisję. Nikt nie wie, za co wyleciał. Ale każdy wie, że niepotrzebnie go zdejmują. Wszyscy czują to w głębi serca. Normalnie nikt nie zauważyłby starszego lejtnanta. Dłubaliby w swoich silnikach, wystawiając usmolone tyłki. Ale tu człowiek idzie po dymisję. I dlatego sięgając brudnymi łapskami do brudnych daszków salutują mi obcy, nieznajomi czołgiści. I ja im salutuję. I uśmiecham się do nich. I oni uśmiechają się do mnie, że niby może być gorzej, trzym się.

A za murami zgrupowania - całe wojskowe miasteczko. Kasztanowce takie, że we trzech nie obejmiesz. Młodzi rekruci porykują głośnym, lecz niezgodnym chórem. Starają się, ale niezdarnie im to jeszcze idzie. Starszy szeregowiec zawadiacko pokrzykuje. Ot, i

rekruci mi salutują. To jeszcze cielecia. Niczego jeszcze nie rozumieją. Dla nich starszy lejtnant to bardzo ważna figura, znacznie ważniejsza niż starszy szeregowiec. A to że cholewy jego lśnią wyjątkowo? Pewnie ma jakieś święto...

Oto i sztab. Tu zawsze czysto. Tu zawsze cicho. Marmurowe schody. Rumuni jeszcze przed wojną wybudowali. Dywany na wszystkich korytarzach. A oto półokrągła sala, zalana światłem. W kuloodpornym przezroczystym stożku - opieczętowany państwowymi insygniami sztandar pułku. Pod sztandarem zamarł wartownik. Krótki płaski bagnet rozprasza ostatni promyk słońca, rozsypuje iskrami po marmurach. Oddaję cześć sztandarowi pułku, a wartownik ani drgnie. Wszak trzyma automat. Uzbrojony człowiek nie musi oddawać honorów, nie zna żadnych innych form powitania. Jego broń starczy za powitanie.

Goniec idzie korytarzem prosto do gabinetu dowódcy pułku. Dziwne. Dlaczego nie do szefa sztabu? Zapukał w drzwi. Wszedł, starannie zamykając je za sobą. Po chwili wychylił się, w milczeniu ustąpił przejścia: - Proszę wejść.

Za dębowym stołem dowódcy pułku: nie znany mi podpułkownik, niewielkiego wzrostu. Widziałem go dziś w świetle pułkownika-observatora. Ki-diabeł? - dziwię się. A gdzie ojczulek, gdzie szef sztabu? Dlaczego podpułkownik siedzi w fotelu dowódcy? Czyżby z racji swej

funkcji stał wyżej niżli ojczulek? Jasne, że wyżej. W przeciwnym razie nie siedziałby za jego biurkiem.

- Siadajcie, starszy lejtnancie - nie wysłuchując raportu zwraca się do mnie podpułkownik.

Usiadłem. Na samym skraju. Wiem, że za moment wybuchnie krzykiem i trzeba będzie zerwać się w mgnieniu oka. Dlatego plecy mam wyprostowane, jak na defiladzie.

- Zameldujcie, starszy lejtnancie, dlaczego uśmiechaliście się, kiedy pułkownik Jerinołajew zwalniał was z dowodzenia kompanią?

Wzrok pułkownika przenika do samej duszy: mów tylko prawdę, ja ciebie, lejtnanciku, widzę na wskroś.

Spoglądam na podpułkownika, na świeżutki kołnierzyk jego podniszczonego, ale schludnego, odprasowanego munduru. I cóż mu na to odpowiesz?

- Nie wiem, towarzyszu podpułkowniku.

- Z kompanią żal się rozstać?

- Żal.

- Twoja kompania wykonała zadanie po mistrzowsku. Zwłaszcza pod koniec. A co do



mur, wszyscy są zgodni, lepiej zburzyć, niż cały pułk wystawić na strzał. Murek odbudować to żadna filozofia... Ot co, starszy lejtnancie. Nazywam się podpułkownik Krawców. Jestem szefem wywiadu 13. Armii. Pułkownik Jermołajew, który odebrał ci kompanię, jest przekonany, że to on kieruje wywiadem. W rzeczywistości został zdjęty, choć na razie się tego nie domyśla. Na jego miejsce wyznaczono mnie. Odbywamy objazd dywizji. On jest przekonany, że dokonuje inspekcji, ale w rzeczywistości to ja zapoznaję się ze stanem wywiadu w dywizji. Wszystkie jego decyzje i rozkazy nie mają mocy obowiązującej. On przez cały dzień zarządza i rozporządza, a ja pod wieczór przedstawiam odpowiednim dowódcom pułków i dywizji swoje dokumenty i wszystkie jego rozkazy tracą moc. On się tego nie domyśla. Nie wie, że jego krzyk to wołanie na puszczy. W hierarchii Armii Radzieckiej i całego naszego państwa jest już zerem, osobą prywatną, nieudacznikiem, wypędzonym z wojska bez emerytury. Wkrótce dowie się o tym z właściwego rozkazu dziennego. Tak więc jego decyzja o usunięciu was ze stanowiska dowódcy kompanii traci wszelką moc.

- Dziękuję, towarzyszu pułkowniku!

- Nie spiesz się z podziękowaniami. On nie ma prawa zdejmować cię z dowództwa kompanii. Dlatego robię to ja. - I gwałtownie zmieniając ton powiedział cicho, lecz dobitnie. - Rozkazuję zdać kompanię!

Jestem przyzwyczajony przyjmować ciosy losu z uśmiechem. Ale cios padł zniechęca i uśmiech jakoś nie wyszedł.

Poderwałem się z miejsca, dłoń pod daszek:

- Rozkaz! Zdać kompanię!

- Siadaj. Usiadłem.

- Istnieje pewna różnica. Pułkownik Jermołajew zdjął cię, ponieważ jest przekonany, że kompania to zbyt wiele szczęścia dla ciebie. Ja cię zdejmuję, bo sądzę, że kompania to dla ciebie za mało. Mam dla ciebie funkcję szefa sztabu batalionu rozpoznania.

- Jestem tylko starszym lejtnantem.

- A ja tylko podpułkownikiem. Ale wezwano mnie i rozkazano objąć wywiad i rozpoznanie całej armii. Tak więc obecnie nie tylko przejmuję wszystkie sprawy bieżące, ale również kompletuję własną ekipę. Kilka osób zabrałem ze sobą ze swojej poprzedniej pracy. Byłem szefem wywiadu 87. Dywizji. Ale mam teraz o wiele większe gospodarstwo i potrzebuję wielu rozzarniętych, sprawnych chłopaków, na których można polegać. Sztab batalionu rozpoznania: to dla ciebie minimum. Wypróbuję cię także na wyższych stanowiskach. Jeżeli się sprawdzisz... - Spogląda na zegarek. - Masz dwadzieścia minut na spakowanie. O

21.30 do sztabu 13. Armii w Równem jedzie od nas autobus. Jedno miejsce zarezerwowane dla ciebie. Zabieram cię do wydziału wywiadowczego sztabu 13. Armii, jeśli tylko zdasz jutro egzaminy.

Zdałem.

## Rozdział 2

Dwieście czterdzieści kroków dzieli hotel oficerski od sztabu 13. Armii. Co rano niespiesznie mijam szereg prastarych klonów, puste zielone ławki, zmierzając prosto ku wysokiej ceglanej ścianie. Za tą ścianą w gęstym sadzie kryje się stary pałacyk. Przed laty mieszkał tu pewien bogaty człowiek. Naturalnie, został zabity, bowiem to wielka niesprawiedliwość, żeby jedni mieli duże domy, a inni malutkie. Przed wojną w tym pałacyku mieściło się NKWD, a podczas wojny - Gestapo. Nic dziwnego: to nadzwyczaj wygodne miejsce. Po wojnie stanął tu sztab jednej z licznych naszych armii. W tym sztabie obecnie służę.

Sztab jest koncentracją bezwzględnej, nieubłaganej, nieugiętej władzy. W porównaniu z którymkolwiek przeciwnikiem nasze sztaby są bardzo niewielkie i maksymalnie mobilne. Sztab armii liczy siedemdziesięciu generałów i oficerów plus kompania ochrony. To wszystko. Żadnej biurokracji. Sztab armii może w każdej chwili ulokować się w dziesięciu transporterach i rozpląnąć w szarozielonej masie podległych mu wojsk, nie tracąc nad nimi kontroli. Ta niewidzialność i mobilność czyni go nieosiągalnym dla wroga. Ale również w czasie pokoju jest zabezpieczony przed wszelkimi przypadkami. Jesz-

rz.c pierwszy właściciel ogroził swój dom i wielki sad wysokim ceglanym murem. Wszyscy kolejni właściciele umacniali mur, dobudowywali, wyposażali w coraz to nowe urządzenia ochronne.

Przy zielonej bramie - wartownik. Okażmy mu przepustkę. Obejrzy ją uważnie i - dłoń pod daszek: proszę wejść. Z punktu kontroli nie widać samego budynku. Wiedzie doń droga wijąca się pośród gęstych krzaków. Z drogi nie skręcisz - krzaki przeplata nieprzebyta gęstwina drutów kolczastych. Idź więc tą drogą, jakbyś tunelem maszerował. Podprowadzi cię łagodnym łukiem do ukrytej wśród kasztanów willi. Okna na parterze od lat zamurowane. Na pierwszym piętrze okna z zewnątrz mocno zakratowane, a od środka szczelnie zasłonięte kotarami. Przed głównym wejściem placyk wybrukowany czystymi, białymi płytkami i otoczony ścianą żywopłotu. Wnikliwe oko dojrzy w tych krzakach prócz drutów kolczastych także szary, chropowaty beton. To kazamaty, gniazda cekaemów, połączone siecią podziemnych korytarzy z piwnicami sztabowymi zamienionymi na wartownię.

Od głównego dziedzińca droga zakręca wokół pałacyku i prowadzi do nowego

dwupiętrowego bloku, dostawionego do głównej budowli. Stąd można wreszcie przedostać się do parku, który zieloną mgłą otacza nasz Biały Dom.

W ciągu dnia w alejkach parkowych można spotkać jedynie oficerów sztabowych, nocą - warty z psami. W tym samym parku znajduje się niewidoczne dla obcych wejście do podziemnego punktu dowodzenia, skonstruowanego głęboko pod ziemią i chronionego tysiącami ton betonu i stali. Tam, pod ziemią, jest wszystko - pomieszczenia do pracy i pomieszczenia mieszkalne, węzeł łączności, stołówka, szpital, magazyny, słowem to, co jest niezbędne do życia i pracy w warunkach całkowitej izolacji. Ale prócz tego punktu dowodzenia istnieje jeszcze jeden. Chroni go nie tylko beton, stal i psy, ale również tajemnica. To miraż. Mało kto wie, gdzie się znajduje.

Do rozpoczęcia pracy pozostało jakieś dwadzieścia minut i spaceruję alejkami, szurając pierwszym złotem jesieni. Daleko, daleko w obłokach myśliwiec kreśli niebo, strasząc żurawie krążące nad niewidocznym stąd polem.

Oto oficerowie ciągną jeden za drugim do Białego Domu. Już czas. Na mnie też. Dróżką do szerokiej alei, koło szemrzącego strumyka, teraz omijam lewe skrzydło pałacyku, i już jestem z powrotem na głównym dziedzińcu, wśród gęstych krzaków, pod ciężkim wzrokiem karabinowych strzelnic.

Ponownie okazuję przepustkę salutującemu wartownikowi i wkraczam do wyłożonego białym marmurem hallu. Niegdyś dzwoniły tu kielichy, szeleściły jedwabne suknie, a strusie pióra wachlarzy kryły rozmarzony wzrok. Dziś sukni tu nie uświadczysz. Rzadko mignie telegrafistka z węzła łączności. Spódniczka z sukna, mundurowa, obcisła. Co tak wodzicie za nią oczami, pułkownicy? Fajna?

Schodami z białego marmuru - na górę. Teraz to za mną wiodą oczami. Na górze wartownik. Kolejna kontrola dokumentów. Nawet nie każdy sztabowy pułkownik może tu swobodnie wejść. A ja jestem tylko starszym lejtnantem - i warta mnie przepuszcza. Na dole nadziwić się nie mogą. Cóż to za gagatek? Z jakiej racji chadza marmurowymi schodami na piętra?

Ostatnia kontrola przepustki i wchodzę na przyciemniony korytarz. Dywan tłumi kroki. Na końcu korytarza - czworo drzwi, na początku - też czworo. Na końcu znajdują się gabinety dowódcy armii, jego pierwszego zastępcy, szefa sztabu i politycznego szamana 13. Armii, zwanego członkiem Rady Wojskowej.

Czworo drzwi u wlotu korytarza to najważniejsze wydziały sztabu: pierwszy, drugi, ósmy i specjalny, osobyz. Pierwszy Wydział - operacyjny, zajmuje się planowaniem bojo-

wym. Drugi Wydział - zwiadowczo-rozpoznawczy, dostarcza pierwszemu wszelkich informacji o przeciwniku. Ósmy Wydział nie ma nazwy, a tylko numer. Mało kto wie, czym się zajmuje. Z kolei Wydział Specjalny na odwrót: nie ma numeru, tylko nazwę. I wszyscy wiedzą, czym się zajmuje.

Nasz korytarz jest najbardziej chronioną częścią sztabu, dostęp ma tu zaledwie garstka oficerów. Naturalnie, zdarza się tu dojrzeć lejtnanta: bezpieczeniaka albo generalskiego adiutanta. Teraz też patrzą za mną pułkownicy: co to za gagatek? A ja ani bezpieczeniak, ani adiutant. Jestem oficerem Drugiego Wydziału. A oto nasze czarne obite skórą drzwi - pierwsze po prawej. Wystukuję kod -i drzwi odpływają na bok. Za nimi następne, tym razem p.mcerne, jak w czołgu. Naciskam guzik dzwonka, przez kuloodporny wizjer zerka na mnie czujne oko i słychać Jak strzela zamek - jestem w domu.

Dawniej była tu zapewne jedna wielka sala, później podzielono ją na sześć mniejszych gabinetów. Choć w ciasnocie, ale w zgodzie. W jednym gabinecie - szef wywiadu 13. Armii, mój dobroczyńca i protektor, na razie jeszcze podpułkownik, Krawców. W pozostałych gabinetach pracuje pięć grup wchodzących w skład Drugiego Wydziału. Pierwsza kieruje całym podległym wywiadem - batalionem rozpoznania, pułkowymi kompaniami wywiadowczymi, wydzielonymi kompaniami rozpoznania, zwiadem artyleryjskim, inżynieryjnym, chemicznym. Piąta grupa prowadzi wywiad elektroniczny. Ma do dyspozycji dwa bataliony pelengacji i nasłuchu, a ponadto kontroluje elektroniczny wywiad wszystkich dywizji wchodzących w skład naszej 13. Armii. Druga i trzecia grupa to dla mnie terra incognita. Ale po miesiącu pracy w czwartej zaczynam stopniowo domyślać się, czym zajmują się te otoczone najściślejszą tajemnicą grupy. Rzecz w tym, że nasza czwarta grupa dokonuje ostatecznej analizy informacji, spływających ze wszystkich pozostałych grup Drugiego Wydziału. Ponadto dochodzą do nas informacje z dołu - od sztabów dywizji, z góry - ze sztabu okręgu, od sąsiadów - z pogranicznych wojsk KGB.

Nasza grupa liczy w normalnych warunkach trzy osoby. W czasie działań wojennych winno ich być - dziesięć. Gabinet wyposażony jest w trzy biurka. Pracują tutaj dwaj podpułkownicy: analityk i prognosta, no i ja - star-szy lejtnant. Odpowiadam za najprostszy wycinek: przemieszczenia. Przełożonym jest, rzecz jasna, analityk.

Dawniej również przemieszczeniami zajmował się podpułkownik. Ale nowy szef wywiadu wypędził go z wydziału, zwalniając miejsce dla mnie. Zgodnie z wojskową nomenklaturą tego rodzaju robota podlega podpułkownikowi i dlatego, jeśli zdołam się przy niej utrzymać, to bardzo prędko zostanę kapitanem, a cztery lata później mam zapewnione szlify majora, i jeszcze za pięć

lat - rangę podpułkownika. Jeśli przez ten czas potrafię przebić się wyżej, to i kolejne stopnie przyjdą automatycznie, z wysługą lat. Ale jeśli zsunę się w dół, to dla | każdej nowej gwiazdki będę musiał wgrzyzać się w czyjeś gardło.

Podpułkownikom wcale nie przypadła do gustu inicjatywa nowego szefa wywiadu: posadzić w pułkowni-czy fotel starszego lejtnanta? Samo moje pojawienie się w tym gabinecie podważa ich autorytet i doświadczenie. Ale to nie najważniejsze. Najważniejsze, że również na ich miejsca nowy szef może posadzić młodych i krewkich. Tak więc obaj obserwują mnie uważnie i na powitanie odpowiadają ledwie widocznym skinieniem głowy.

W gabinecie grupy informacyjnej wydziału wywiadowczego znajdują się trzy biurka, trzy potężne sejfy, półki z książkami na całą ścianę i mapa Europy - też na całą ścianę. Na wprost wejścia - nieduży portret młodo wyglądającego generała. Po trzy gwiazdki na epoletach. Czasem, kiedy nikt nie widzi, uśmiecham się do generała i mrugam doń porozumiewawczo. Ale generał z portretu nigdy nie uśmiecha się do mnie. Spojrzenie jego pozostaje chłodne, surowe i pełne powagi. Oczy, zwierciadło duszy, są bezwzględne i władcze. W kącikach ust - lekki cień pogardy. Pod portretem brak jakiegokolwiek podpisu. Nie ma go także z tyłu portretu. Sprawdziłem, gdy byłem sam w pokoju. Zamiast nazwiska widnieje pieczęć „Jednostka Wojskowa nr 44388” i groźne ostrzeżenie: „Przechowywać jedynie w chronionych pomieszczeniach Akwarium i podległych mu instytucji”. Wyższy korpus oficerski Armii Radzieckiej znam na pamięć. Oficer musi go znać. Ale jestem absolutnie przekonany, że generała z naszego portretu nie widziałem w żadnym wojskowym czasopiśmie, z wewnętrznymi biuletynami włącznie. Dobra, towarzyszu generale, nie przeszkadzajcie mi w pracy.

Przedemną na biurku leży pakiet zaszyfrowanych komunikatów nadesłanych poprzedniej nocy. Moim zadaniem jest przejrzeć każdy z osobna, odnotować w „Dzienniku przegrupowań” wszelkie zmiany w składzie i dyslokacji wojsk przeciwnika, po czym nanieść je na Dużą Mapę, przechowywaną w Pierwszym Wydziale.

Już, pierwsza szyfrówka natychmiast zbija mnie z tropu: na moście kolejowym na Renie w pobliżu Kolonii zarejestrowano transport składający się z dwudziestu angielskich czołgów Chieftain. Idioci! W jakim kierunku oddalił się eszelon? To jest umocnienie czy osłabienie? 20 czołgów to głupstwo. Tyle, że z takich drobin, i tylko z nich, układa się ogólna panorama wydarzeń. Zarówno analityk, jak i prognosta mają na swoich stołach kopie tych

samych depech. I dlatego, że w swoich głowach przechowują tysiące liczb i wskaźników, nazwisk, nazw i dat, nie muszą sięgać do szyfrówek z poprzednich dni, aby odszukać w nich klucz do rozwiązania tak banalnej kwestii. Spoglądają na mnie wyczekująco i nie spieszą, by podpowiedzieć właściwe rozwiązanie. Wstaję z krzesła, idę do sejfu. Przejrzane szyfrówki z poprzednich dni powinny zawierać jed-noznaczną odpowiedź. A z tyłu dwie pary złych oczu utkwione w moich plecach: pracuj, starszy lejtnancie, ucz się, dowiedz się, za co podpułkownikom płacą.

## II

Pracujemy do 17.00 z godzinną przerwą na obiad. Kto ma pilną robotę, może zostać w gabinecie do 21.00. Później wszystkie dokumenty trzeba zdać do tajnej biblioteki, a sejfy i drzwi opieczętować. Tylko podziemny punkt dowodzenia zawsze czuwa. W zaostrożonej sytuacji każdy z nas po kolei zostaje w sztabie na nocny dyżur. Po jednym oficerze z każdej grupy. A w okresach kryzysowych - wszyscy oficerowie sztabowi po kilka dni z rzędu mieszkają i pracują w swoich gabinetach lub pod ziemią. W podziemnym punkcie dowodzenia warunki do życia są znacznie dogodniejsze, ale brakuje dziennego światła i dlatego w miarę możliwości staramy się spędzać jak najwięcej czasu w naszych ciasnych gabinetach.

Jeżeli nie ma szyfrówek, czytam „Kompedium wywiadowcze” Sztabu Generalnego. Polubiłem tę pokaźną 600-stronicową księgę. Zaczytuję się nią namiętnie, wiele stron znam niemal na pamięć, mimo iż niejedna zawiera czasem po kilkaset nazw i liczb. Jeśli nie jesteśmy w okresie napięć i kryzysów, podpułkownicy pun-

ktualnie o 17.00 znikają. Jak u doświadczalnych psów Pawiowa, o określonej godzinie ich gruczoły wydzielają ślinę, by splunąć na pieczęć i wcisnąć ją w plastelinę na sejfie. Od tej chwili zostaję sam. Czytam „Kompedium wywiadowcze” po raz setny z rzędu. Prócz ogólnego kompedium istnieje równie gruba księga poświęcona technice wojsk pancernych, flocie, systemowi mobilizacji Bundeswehry, francuskim badaniom nuklearnym, systemom alarmowym NATO i licho wie czemu jeszcze.

- Czy w ogóle kiedykolwiek śpisz? Nie zauważyłem, jak w progu stanął podpułkownik Krawców.

- Czasami, a wy?

- Też czasami. - Krawców śmieje się. Wiem, że każdego wieczoru siedzi do późnych godzin, albo na całe tygodnie znika w podległych mu jednostkach.

- Przepytać cię?

- Proszę.
- Gdzie stacjonuje 406. Taktyczne Treningowe Skrzydło Myśliwskie Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych?
- Saragossa, Hiszpania.
- Co wchodzi w skład 5. Armii USA?
- 3. Dywizja Pancerna, 8. Dywizja Zmechanizowana 111. Pułk Kawalerii Pancernej.
- Jak na początek, całkiem nieźle. Uważaj, Suworow, wkrótce kontrola, jeżeli nie podołasz pracy, wywalą cię ze sztabu. Mnie nie wywalą, ale po uszach dostanę.
- Robię, co mogę, towarzyszu podpułkowniku.
- A teraz marsz. Pora spać.
- Jeszcze z godzinkę można popracować.
- Powiedziałem, spać. Bzika dostaniesz i co mi po tobie.

### III

Po upływie dwóch tygodni wypadło mi zastąpić podpułkownika-prognostę, który znajdował się w sztabie okręgu. Dzień i dwie noce przygotowywałem swoją pierwszą prognozę rozpoznawczą: dwie cienkie kartki papieru z nagłówkiem „Przypuszczalna aktywność bojowa III Korpusu Bundeswehry w nadchodzącym miesiącu”.

szef wywiadu rzucił okiem i zarządził przekazać je do pierwszego Wydziału. Wszystko odbyło się \bardzo pro-zaicznie. Nikt mnie nie wychwalał, ale też nikt nie śmiewał się z mojej twórczości.

### IV

Poryw wiatru zdmuchnął papiery ze stołów. Podpułkownicy rzucają się, by nakryć je własnymi ciałami. Żeby się tylko nie rozleciały. Za każdy paperek grozi 15 lat. Drzwi In gabinetu otworzyły się na oścież. W progu lejtnant.

Witajcie, Konstantinie Mikołajewiczu - uśmiechają się do lejtnanta podpułkownicy. Przystojny ten lejtnant,

wysoki, barczysty. Paznokcie różowe, wypiełgnowane. Wszyscy w sztabie tak się zwracają do lejtnanta. Pozycję ma godną pozazdroszczenia: adiutant szefa sztabu 13 Armii. Gdyby zwrócić się do niego per „towarzyszu lejtnancie”, byłaby to zwyczajna obraza. Dlatego - Konst antin Mikołajewicz.

- Przemieszczenia - rzuca niedbale Konstantin Mikołajewicz. Można by naturalnie powiedzieć: „Szef szta-bu wzywa oficera odpowiedzialnego za przemieszczenia raportem o



zmianach w zgrupowaniach przeciwnika w ciągu ubiegłej nocy". Ale można też prościej, tak jak to mówi Konstantin Mikołajewicz: krótko, z lekkim od-  
cieniem pogardy.

Szybko wkładam szyfrówki do teczki. Adiutant generalski złagodniał nieco, nawet się uśmiechnął. - Nie ma

co się gorączkować pod klientem. - Podpułkownicy na adiutancki żarcik zęby wyszczerzyli. Sztabowe bydlaki. Przysysacie się do ciepłych posadek. Mierzi mnie wasza szluzalczość. Prócz łańcuchów nie mam nic do stracenia.

Bez chamstwa proszę, lejtnancie. Wydłużyła się twarz adiutanta. Podpułkownicy zamilkli, wbijają we mnie dzikie spojrzenia. Dureń, parwe-nniusz, cham. Jakże ty ośmielasz się rozmawiać z adiutancem? Z Konstantinem Mikołajewiczem? To nie batalion. To już sztab! Tu trzeba mieć pewną wrażliwość, wyczuwać pewne sytuacje. Prostaku nieokrzesany, jeszcze na nas gniew ściągniesz!

Wychodzę z gabinetu pierwszy, nie przepuszczając generalskiego adiutanta. I nigdy nie przepuszczę. Też mi wielkie co, adiutancik zakichany! Generalski fagas. Czyś ty w ogóle widział kiedykolwiek na własne oczy żołnierza na stanowisku strzeleckim? Na poligonie? Kiedy ściska załadowany karabin, a ty tylko czerwoną chorągiewkę? Czując broń w dłoni przymierza się żołnierz do celu i nagle dręcząca myśl go przeszywa: a może by tak długą serią we własnego dowódcę? W swoim życiu każdego mojego żołnierza dziesiątki razy przeprowadzałem przez linię ognia. I nieraz dostrzegałem w ich oczach: walić w dyktę, czy delektować się prawdziwą śmiercią? A ty, adiutancino, prowadziłeś ludzi na linię ognia? A spotkałeś się z nimi sam na sam w lesie, w polu, na mrozie, w górach? A widziałeś ty złość żołnierską? A zdarzało ci się zaskoczyć całą kompanię pijaną i z bronią załadowaną ostrymi nabojami? Adiutancie, klecisz swoją karierę na miękkich dywanach, i odwal się od Witi Suworowa. Może przełknąłbym to, gdybyś był kapitanem, albo gdybyśmy przynajmniej byli rówieśnikami. A ty, szczyłu, jesteś przynajmniej o rok młodszy ode mnie.

Na korytarzu adiutant generalski jakby niechcący nadepnął mi z całej siły na nogę. Spodziewałem się jakiegoś wybryku, byłem przygotowany. Szedłem trochę z przodu po lewej. Prawym łokciem ostro szarpnąłem w tył. Natrafiłem na coś miękkiego. Coś zabulgotało w adiutancie. Stęknął, szeroko otwartymi ustami łapie powietrze, zgiął się w pół, do ściany przypadł. Bardzo wolno prostuje się adiutant. Jest wyższy ode mnie i mocniej zbudowany. Dłonie jak łopaty. Piłkę koszykową taka dłoń może pewnie trzymać bez trudu. Ale kałdunio okazał się słabiutki. A może zwyczajnie nie spodziewał się ciosu. Ech ty, ad-

lutancie, dałeś się zrobić na szaro. Ciosu należy spodziewać się zawsze. W każdej chwili. Wtedy efekt nie będzie tak druzgocący.

Powoli prostuje się adiutant, nie odrywa oczu od mojej ręki. A ja trzymam dwa palce rozwarte, jak widelki. Na całym świecie jest to znak Wiktorii, znaczy się zwycięstwa. A u nas ten gest oznacza: „Gały wydłubię, gadzino”.

Sunąc plecami po ścianie stopniowo się podnosi, z roz-wartych palców nie spuszcza wzroku. I wie, że jego wysoki protektor nie jest mu teraz ochroną. Jest wyższy ode mnie szerszy w barach, ale teraz już rozumie, że mi na niczym nie zależy, że nic prócz zwycięstwa nie jest dla mnie waż-ne, i że zwycięstwo gotów jestem okupić każdą ceną, na-wet ceną życia. Już wie, że na byle ruch czy nawet sło-wo odpowiem straszliwym ciosem dwóch palców prosto w oczy i od razu chwycę za gardło, by go już nie wypuścić. Wolno unosi ręce do szyi, i namacawszy krawat, po-prawiaa węzeł:

Naczelnik sztabu oczekuje... Was... - podpowiadam. Naczelnik sztabu oczekuje WAS.

Trudno mi powrócić do tego świata. Już się z nim pożegnałem, przed śmiertelnym zwarem. Ale adiutant nie przyjął walki. Wciągam głęboko powietrze i rozcieram zdrętwiałe z napięcia ręce. Wciąż nie spuszcza wzroku mojej twarzy. Zapewne odczytał w niej jakąś zmianę, któremu podpowiada, że na razie nie zamierzam go zabić.

Odwracam się plecami i ruszam korytarzem. Idzie za mną. Jestem starszy lejtnant, a ty jak na razie tylko lejtnant, zasuwasz więc z tyłu, tam twoje miejsce.

W poczekalni dwa biurka, jak dwa bastiony bronią dostępu, każde do osobnych drzwi. Jedne prowadzą do gabinetu dowódcy, drugie do biura szefa sztabu. Przy

drzwiach dowódcy za biurkiem na wysoki połysk dyżu-uje jego adiutant. Też lejtnant, i do niego w sztabie rów-nież zwracają się bez stopnia. Po prostu Arnold Mikoła-jewicz. Też jest wysokiego wzrostu, też przystojny. Mun-dur nosi z generalskiego, a nie oficerskiego sukna. On też nie okazuje mi cienia szacunku, patrzy na mnie jak na powietrze, w ogóle nie zauważając. Są ku temu powody: mój przełożony, szef wywiadu podpułkownik Krawców, którego wyznaczono na tak wysokie stanowisko bez pytania o zgodę dowódcy armii, jego zastępcy i szefa Hztabu, wyparł z tej odpowiedzialnej funkcji ich protegowanego. To tłumaczy niechęć dowódcy i nieustanne pretensje szefa sztabu do mojego zwierzchnika. To

tłumaczy **też** powszechną nienawiść oficerów sztabowych, zwłasz-

cza zatrudnionych na Olimpie, na pierwszym piętrze, do wszystkich, kogo Krawców przyprowadził ze sobą. Jesteśmy obcy. Nieproszeni goście w dobranym towarzystwie. Szef sztabu generał-major Szewczenko stawia rzeczowe pytania, słucha, nie przerywa. Sądziłem, że będzie się czepiać, ale on tylko patrzy mi uważnie w oczy. W sztabie pojawiają się nowi oficerowie. Czyjaś niewidzialna potężna ręka wpycha ich prosto na miękkie dywany pierwszego piętra. Nie wiedzieć czemu nikt nie pyta szefa sztabu o zdanie, i nie może mu się to podobać. Władza przecieka przez palce jak woda, jak ją utrzymać? Odwraca się do okna i patrzy na sad, ręce złożonywszy za plecami. Skóra na policzku ma odcień fioletowy, widać prześwitujące żyłki. Stoję przy drzwiach w rozterce, nie wiem, co mam robić.

- Towarzyszu generale, czy mogę się odmeldować? Nie odpowiada. Milczy. Może nie dosłyszał pytania? Ale skąd, słyszał doskonale. Jeszcze chwila milczenia, po czym krótko, nie odwracając głowy, rzuca „tak”.

W poczekalni obaj adiutanci witają mnie niedobrym spojrzeniem. Jasne, że przyboczny szefa sztabu wszystko już zdążył koledze opowiedzieć. Naturalnie, jeszcze nie zameldowali o tym incydencie swoim protektorom, ale uczynią to niezawodnie. Muszą wybrać dogodną chwilę, kiedy boss będzie w odpowiednim nastroju.

Idę do drzwi, na karku czuję ich nienawistne spojrzenia, jak wymierzone lufy pistoletowe. Ścierają się we mnie dwa uczucia - ulga i irytacja. Koniec mojej kariery sztabowej. Czeka mnie biała bezkresna pustynia lodowa za kołem polarnym, albo rozżarzona żółta pustynia azjatycka.

Podpułkownicy witają mnie grobowym milczeniem. Nie wiedzą, naturalnie, co wydarzyło się na korytarzu, ale to, co zdarzyło się tu w gabinecie wystarczy, by mnie ignorować. Jestem parweniuszem. Raptem wzbilem się na wyżyny, ale nie doceniwszy należycie mojej szczęśliwej passy, nie potrafiłem utrzymać się na wysokości i runąłem w otchłań. Jestem nikim. I mój los nic ich nie obchodzi. Interesuje ich kwestia o wiele istotniejsza: czy zadany mi cios odwetu porazi przy okazji tak bardzo znienawidzonego *przez* nich mojego szefa.

Chowam dokumenty do sejfu i w te pędy do podpułkownika Krawcowa: uprzedzić o niechybnych kłopotach.

- Nie należy zadzierać z adiutantami - poucza mnie Krawców, nie wykazując jednak specjalnego zaniepokojenia tym, co zaszło. Wydaje się, że całą moją opowieść natychmiast

puszcza w niepamięć. - Jakie masz plany na dziś wieczór?

- Przyszykować się do zdania funkcji. '- Nikt cię jeszcze nie wywala.

- A więc nastąpi to niebawem.

- Niedoczekanie ich. Ja cię tutaj, Suworow, przyprowadziłem ze sobą, i tylko ja mogę cię wyrzucić. No więc, jakie masz plany na wieczór?

- Chcę przestudiować 69. Grupę Bojową VI Floty USA.

- Doskonale. Ale oprócz wysiłku umysłowego potrzeba ci *także* ćwiczeń fizycznych. Jesteś wywiadownicą, musisz przejść nasz kurs szkoleniowy. Wiesz, czym zajmuje się druga grupa naszego wydziału?

- Wiem.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Domyśliłem się.

- No więc, czym się według ciebie zajmują?

- Kierują wywiadem agenturalnym.

- Słusznie. A może wiesz także, czym się zajmuje trzecia grupa? - Spogląda na mnie nieufnie.

- Wiem.

Chodzi po pokoju, starając się przetrwać to, co przed chwilą usłyszał. Po chwili gwałtownym ruchem przysuwa do siebie krzesło.

- Siadaj. Usiadłem.

- Ot co, Suworow: z drugiej grupy otrzymywałeś do opracowania pewne strzępy informacji, i mogłeś wydedukować ich pochodzenie. Ale z trzeciej grupy ni cholery do ciebie nie docierało...

- Wnioskowałem opierając się na tym, że siły podporządkowane trzeciej grupie zaczynają działać dopiero w warunkach wojny. Reszty się domyśliłem.

- Twoje domysły mogły być fałszywe...

- Ale oficerowie z trzeciej grupy są bardzo -wysokiego wzrostu... wszyscy co do jednego.

- No więc, czym się według ciebie zajmują?

- Podczas wojny siłą wydzierają informacje...

- ...i podstępem - dorzucił Krawców.

- To dywersanci, terroryści.

- Wiesz, jak to się nazywa?

- Tego wiedzieć nie mogę.

- To się nazywa Specnaz. Wywiad specjalny. Zwiad dywersyjny, siłowy. Udało ci się wydedukować, ilu dywersantów podlega trzeciej grupie?

- Batalion.

Zrywa się z krzesła:

- Kto ci powiedział?!

- Domyśliłem się.

- Jakim sposobem?

- Przez analogię. W każdej dywizji jedna kompania jest specjalnie szkolona w głębokim zwiadzie na tyłach wroga. To oczywiście jeszcze nie Specnaz, ale coś bardzo podobnego. Armia jest o jeden stopień ponad dywizją, a więc musicie mieć do dyspozycji, towarzyszu podpułkowniku, nie kompanię, lecz batalion: tzn. o stopień wyżej.

- Cztery razy w tygodniu, wieczorami, masz się stawiać pod ten oto adres. Weź ze sobą dres. To wszystko. Możesz odmaszerować.

- Rozkaz!

- Jeżeli zostanie mianowany nowy dowódca armii i nowy szef sztabu, a więc i nowi adiutanci, postaraj się utrzymywać z nimi poprawne stosunki.

- Sądzicie, że dowództwo naszej armii może wkrótce ulec zmianie?

- Ja ci tego nie powiedziałem.

V

W naszej grupie informacyjnej wydziału wywiadowczego zaszły pewne przesunięcia. Podpułkownik, który dotychczas pracował przy prognozach raptem został przeniesiony do rezerwy. Wezwano go na komisję lekarską, która odkryła coś, co uniemożliwiałoby mu dalszą

czynną służbę. W stanie spoczynku będzie miał niezłe życie. Nie miał ochoty odchodzić, bowiem po dwudziestu pięciu latach służby każdy rok przynosi niezły dodatek do emerytury. Ale doktorzy byli nieubłagani: wasze zdrowie jest najważniejsze.

Po jego odejściu na prognozę wyznaczono kapitana z wywiadu 87. Dywizji.

VI

Szef sztabu musi wiedzieć o przeciwniku dosłownie wszystko, dlatego każdego ranka, przejrząwszy najnowsze szyfrówki, udaję się do niego z raportem. Nigdy nie wzywa mnie telefonicznie, po prostu przysyła adiutanta. Od naszego spięcia minęły dwa tygodnie. Jestem przekonany, że adiutant dawno zameldował swojemu szefowi o całym zajściu, naturalnie w korzystnym dla siebie świetle. Ale mimo to wciąż jeszcze chodzę po korytarzach pierwszego

piętra. Jeszcze nie spadłem w odmęty. Generalscy adiutanci nie mogą tego zrozumieć. Pojmują, że jestem jakimś odstępstwem od reguły, ale nie wiedzą, jakim i dlaczego, i to tłumaczy, dlaczego zaniechali swoich świństewek. Ta zagadka i mnie nie daje spokoju: dlaczego do licha jestem wyjątkiem?

## VII

Nastąpiły dalsze zmiany. Usunięto szefa Pierwszego Wydziału. Razem z nim zwolniono przełożonych poszczególnych grup i niektórych oficerów funkcyjnych. Pułkownika zastąpił podpułkownik, który przyprowadził ze sobą cały tabun kapitanów i lejtnantów i poob-sadzał nimi stanowiska należne podpułkownikom.

## VIII

Szef wywiadu 13. Armii skierował mnie na skrócony kurs przygotowawczy do pracy w trzeciej grupie.

- Tak, tak... wiem... wejdź. - Uśmiecha się szeroko. Łapy majak kleszcze kraba. - Oficerowie informacji po-

winni pracować właśnie u nas, winni zrozumieć, jak składa się w jedną całość strzępki danych, i jaką mają wartość. Przebieraj się.

Sam jest bosy, ubrany w zieloną kurtkę i w zielone spodnie, miękkie, ale chyba bardzo wytrzymałe. Ręce obnażone po łokcie przywodzą mi na myśl owłosione łapska chirurga, który przed pięcioma laty zbierał mnie z powrotem do kupy.

Jesteśmy w dużej nasłonecznionej sali gimnastycznej. Stojące samotnie na środku dwa krzesła wydają się zagubione w przestrzeni.

- Siadaj.

Siadamy na krzesłach twarzami do siebie.

- Połóż ręce na kolanach, swobodnie. Siedź tak zawsze. W każdej sytuacji musisz być całkiem rozluźniony. Dolne zęby nie powinny dotykać górnych. Szczeka ma leciutko zwisać. Rozluźnij kark. Nogi. Stopy. Nigdy nie zakładaj nogi na nogę, to tamuje krwioobieg. No, dobrze. - Wstał, obszedł mnie ze wszystkich stron, oglądając krytycznie. Potem obmacał moją szyję, mięśnie pleców, dłonie.

- Nigdy nie bębnił palcami po stole. To zachowanie typowe dla neurasteników. Radziecki wywiad wojskowy takich nie potrzebuje. No cóż, rozluźniłeś się wystarczająco, możemy przystąpić do zajęć.

Siada na krzesło, rękami trzymając się siedzenia buja się na dwóch tylnych nóżkach,

po czym niespodziewanie odchyła się do tyłu i razem z krzesłem przewraca na wznak. Uśmiecha się. Zrywa się z podłogi. Podnosi krzesło, siada na nim z rękami złożonymi na kolanach.

- Zapamiętaj, kiedy przewracasz się razem z krzesłem do tyłu, nic ci nie grozi, jeśli tylko nie masz za plecami muru albo dołu. Upadek na wznak siedząc na krześle jest równie niegroźny, jak stawanie na kolanach czy na czworakach. Ale natura ludzka przeciwstawia się upadkowi do tyłu. Jedyne, co nas powstrzymuje, to nasza psychika... Chwyć dłońmi za siedzenie... Nie będę cię ubezpieczać, i tak nic ci nie może się stać... Rozhuśtaj się na tylnych nóżkach... Zaraz, chwilę. Boisz się?

- Boję się.

- To nic, to normalne. Każdy się boi. Przytrzymaj się siedzenia. Zaczynj bez mojej komendy. Bujaj się.

Balansowałem przez moment, po czym silniejszym wahaniciem naruszyłem równowagę i krzesło wolniutko poczęło zsuwać się w otchłań. Sufit gwałtownie leciał do góry, ale upadek przeciągał się. Czas stanął w miejscu. I raptem oparcie krzesła runęło na podłogę. Wtedy dopiero przestraszyłem się naprawdę i zarazem roześmiałem się z ulgą: głowa instynktownie odchyliła się lekko do przodu, dlatego zwyczajnie nie mogłem uderzyć się potylicą. Cały impet uderzenia przypadł na plecy, przyciśnięte do oparcia krzesła. Powierzchnia pleców przewyższa znacznie powierzchnię stóp i dlatego upadek na wznak jest łagodniejszy, niż zeskok z krzesła na ziemię.

Podał mi rękę pomagając wstać z podłogi.

- Czy mogę spróbować jeszcze raz?

- No pewnie - uśmiecha się.

Siadam na krześle, chwytam siedzenie i lecę w tył.

- Jeszcze raz! Jeszcze! - krzyczę zachwycony.

- Dobra, dobra, naciesz się do woli.

IX

Na nasze zamówienie Akademia Nauk opracowała metodę wyskakiwania w pełnym biegu z pociągu, samochodu, albo tramwaju... Wzorów matematycznych nie potrzebujesz, zapamiętaj tylko wniosek: z rozpędzonego pociągu należy wyskakiwać tyłem i do tyłu, lądować na ugiętych nogach, starając się utrzymać równowagę i nie dotknąć ziemi rękami. W momencie zetknięcia z ziemią trzeba odbić się z całej siły i przez kilka sekund biec obok pociągu, stopniowo zwalniając. Nasi chłopcy skaczą z pociągów przy prędkości 75

kilometrów na godzinę. To ogólny standard. Ale są tacy, którzy potrafią ten wynik przebić zdecydowanie: skacząc ze znacznie szybszych pociągów, skacząc na nasypy, z mostów, skacząc z bronią w rękę, z obciążonym plecakiem. Zapamiętaj sobie raz na zawsze: grunt, to nie dotknąć rękami ziemi. Nogi cię utrzymają. Mięśnie nóg są obdarzone niezwykłą siłą, sprężystością i wytrzymałością. Dotknięcie ręką

może naruszyć rozpedzony rytm nóg w biegu, spowodować upadek i śmierć w okropnych męczarniach. *Zaczynamy* trening. Najpierw symulator. Na prawdziwy pociąg przyjdzie czas. Prędkość początkowa: dziesięć kilometrów na godzinę...

## X

Miesiąc później stoimy obaj na balustradzie mostu kolejowego. Hen, w dole - zimna, ołowianoszara rzeka wolno niesie swe wody, zwija się pod betonowymi przesłami w potężne pierścienie jak wielki wąż. Już się nauczyłem i wiem, że człowiek potrafi chodzić nawet po drucie telegraficznym napiętym nad otchłanią. Wszystko *zależy* od psychicznej zaprawy. Człowiek musi mieć pewność, że nic złego się nie przydarzy, i wtenczas wszystko przebiegnie normalnie. Cyrkownicy potrzebują wielu lat na opanowanie *rzeczy* elementarnych. Mylą się. Nie mają naukowego podejścia. Opierają swoje przygotowanie na ćwiczeniach fizycznych, lekceważąc psychologię. Dużo trenują, ale nie chcą myśleć o śmierci, boją się jej, starają się ją obejść bokiem, zapominając, że można czerpać przyjemność nie tylko z cudzej śmierci, ale także ze swojej własnej. I tylko ludzie nie lękający się śmierci mogą dokonywać cudów.

- Głupcy powiadają, że nie należy patrzeć w dół! -krzyczy do mnie. - Jakaż rozkosz, oglądać wiry z tej wysokości!

Spoglądam w czeluść, i stopniowo przestaje mnie przyciągać, jak zahipnotyzowaną żabkę paszcza gadziny. I moje dłonie przestaje pokrywać obrzydliwa zimna wilgoć.

## XI

Dalsze zmiany w dowództwie 13. Armii. W każdej armii - po dwóch generałów-majorów artylerii. Jeden dowodzi wojskami raketowymi i artylerią, drugi jednostkami obrony przeciwlotniczej. W 13. Armii odwołano obu.

## XII

W Karpackim Okręgu Wojskowym potężne zmiany.

Zmarł nagle dowódca okręgu generał-pulkownik Bisa-rin. Nie minął nawet rok odkąd dowodził Karpackim Frontem w Czechosłowacji. Pełen sił i tryskający zdrowiem, z lekkością



i swobodą komenderował czterema armiami swojego frontu. Powiadają, że nigdy nie chorował. I oto odszedł.

Dowództwo okręgu wojskowego objął generał-lejtnant wojsk pancernych Obaturów. Z miejsca w sztabie okręgu rozpoczęło się masowe usuwanie ludzi Bisarina i zastępowanie ich ludźmi Obaturów. Niebawem fala zmian potoczyła się w dół, ogarniając sztaby armii. Okręg liczy cztery armie: 57. Powietrzna, 8. Gwardyjska Pancerna, 13. i 28. Po miękkim dywanie naszego korytarza raźnie przemaszerowali dwaj nowi generałowie - nowy dowódca naszej 13. Armii i nowy szef sztabu.

Tego dnia otwieranie pancernych drzwi wydziału wywiadowczego spoczywało na mnie. Dzwonek. Przez wizjer widzę nieznanego lejtnanta. O, wiem doskonale, kto zacz.

- Hasło?

- Omsk.

- Upoważnienie?

- 106.

- Proszę wejść. - Masywne drzwi płynnie ustąpiły, przepuszczając lejtnanta.

- Dzień dobry. Towarzyszu starszy lejtnancie, potrzebuję szefa wywiadu.

- Zaraz zamelduję. Proszę chwilę poczekać. Pukam do drzwi mojego przełożonego i wchodzę:

- Towarzyszu pułkowniku, przybył adiutant nowego dowódcy armii.

- Niech wejdzie.

Lejtnant wkroczył do gabinetu:

- Towarzyszu podpułkowniku, wzywa was głównodowodzący.

Wiedziałem zawczasu, że przewidziane są manewry, że szyfrówki będą się sypać, jak z rogu obfitości, że młodzi adiutanci opadną z sił, że będą mieć czerwone, opuchnię-

te oczy, gdy po nocach będziemy razem ślęczeli nad Wielką Mapą. Wiedziałem, że po pierwszych ćwiczeniach dwaj nowi adiutanci i ja urzniemy się w sztok i zostaniemy przyjaciółmi. Będę opowiadać im świńskie kawały, a oni zabawne historyjki z życia intymnego ich zwierzchników. Ale już teraz, po tym jednym, jedynym spotkaniu, widząc jak adiutant przywitał się ze mną i jak wszedł do gabinetu mojego szefa, zrozumiałem, że jesteśmy ulepieni z jednej gliny. Nowi generałowie w sztabie armii to ludzie Obaturów. Nowi naczelnicy wydziałów, w tym również Krawców - ludzie Obaturów. Nowi adiutanci, nowi oficerowie w sztabie - wszystko to są ludzie Obaturów. Po raz pierwszy uświadamiam sobie, że ja również należę do tej grupy. I wiem, że sam nowo mianowany dowódca Karpac-

kiego Okręgu Wojskowego generał-lejtnant Obaturow też jest człowiekiem jakiejś potężnej grupy, gwałtownie i niepowstrzymanie zmierzającej do władzy.

Wszyscy ci, którzy jeszcze przed nami przyszli do tego sztabu i do pozostałych sztabów okręgu należą do innego gatunku. Ich czas dobiegł końca. Najstarszych wiekiem będą wywalać na rentę, pozostałych - na rozpalone pustynie. Stara grupa runęła.

W tajnej bibliotece zderzyłem się z byłym adiutantem byłego szefa sztabu. Zdawał dokumenty. Jedzie gdzieś hen, daleko, by tam dowodzić plutonem. Jest oficerem od ponad dwóch lat, ale nigdy nie miał pod swoimi rozkazami niezdyscyplinowanych, na wpół pijanych żołnierzy. Gdyby od tego zaczęła się jego służba, wszystko potoczyłoby się normalnie. Ale jego służba zaczęła się od miękkich dywanów. Niezależnie od okoliczności jadał do syta i siedział w ciepłku. Teraz wszystko runęło. Człowiek przyzwyczajony być na dnie przepaści. A jeżeli był tam zawsze, to z trudem sobie wyobraża, że istnieje jakieś inne życie. Lejtnanta wyniosło na szczyty, a teraz spadał na samo dno. I ten upadek był bardzo bolesny.

Uśmiecha się do mnie. A uśmiech ma sobaczy. Kiedyś, dawno temu, na Dalekim Wschodzie, widziałem dwa psy, które przylgnęły do obcej sfory. Sfora ryczała, nie chcąc obcych w swoim gronie. Wtedy jeden z tych psów rzucił

się na swego nieszczęsnego towarzysza. Walka ich trwała długo, i sfora cierpliwie czekała na wynik pojedynku. Jeden wył, a drugi, słabszy, przeraźliwie skowyczał, nie chcąc rozstać się z życiem. Kiedy poharatany zwycięzca zagryzł swojego towarzysza, a może brata, z podwiniętym ogonem zbliżył się do sfory, demonstrując swoją pokorę. Wtedy sfora rzuciła się nań, i rozerwała go na strzępy.

Nie wiedzieć czemu eks-adiutant przypominał mi tego psa, gotowego gryźć kogo popadnie, by tylko zostać przyjętym do sfory zwycięzców. Głupiec. Zachowaj godność. Jedź do swojej pustyni i nie merdaj ogonem.

T

JLe

### **XIII**

Tej nocy śnił mi się stary poczciwy Żyd, *diadia* Misza.

Miałem wtedy 15 lat. Uczyłem się w szkole i pracowałem w kołchozie. Zimą pracowałem dorywczo, latem - na równi z krzepkimi *mużykami*. Kiedy na porządku dziennym stanął poważny problem, to i mnie poproszono na zebranie. Sprawa była następująca: rokrocznie pod koniec sierpnia nasz kołchoz wysyłał do miasta Zaporozże człowieka, by przez dwa, trzy tygodnie handlował arbusami. Zbliżał się koniec sierpnia i trzeba było zdecydować,

kto pojedzie w tym roku sprzedawać kołchozowe arbuzy.

Siedzą chłopi w klubie. Pora gorąca - żniwa w pełni, ale *mużykom* nie do żniw. Wszyscy kłóca się, krzyczą. Przewodniczący zgłosił kandydaturę swojego zięcia, Sieriożki. Pierwsze rzędy milczą, a z tyłu gwizdy, tupot nóg, trzaskanie ławkami. Przewodniczący poddaje propozycję pod głosowanie. Rozgorączkował się, traci głowę. W takiej sytuacji należałoby najpierw zapytać: „Kto przeciw?” Nikt, rzecz jasna, nie podniósłby ręki. Wtedy koniec głosowania, znaczy się, wszyscy „za”. Natomiast przewodniczący z rozpędu pyta: „Kto za?” Przyzwyczaił się tak stawiać pytanie, kiedy trzeba wyrażać poparcie dla mądrej polityki naszej ukochanej partii. Ale tu decyduje się żywotna sprawa. Tu ludziska nie rwą się jak jeden mąż z rękami do góry.

- Kto za? - pyta przewodniczący.

A sala milczy. Ani jednej ręki w górze. Przeliczył się przewodniczący. Niewłaściwie zadał pytanie. Sieriożki, zię-

cia przewodniczącego, nie można, znaczy, wydelegować. Machnął ręką: sami w takim razie ustalajcie. Znowu hałasy i krzyki. Wszyscy pozrywali się z miejsc. Znowu wszyscy niezadowoleni. Siedzę w kącie. Nijak nie mogę zrozumieć, o co się ludziska kłóca. Chłopi, którzy w ubiegłych latach handlowali arbuzy, mówią, że to robota niebezpieczna: chuligani na targu mogą zadźgać. Jeżeli omylisz się w rachunkach, milicja zaaresztuje, albo trzeba będzie rozliczać się z kołchozem z własnej kieszeni. Dziwne, że żaden z tych, co to już handlowali, jakoś specjalnie się nie opiera, nie broni, kiedy go do tej niebezpiecznej i niewdzięcznej roboty proponują. Za to cała reszta z miejsca zaczyna tupać i wrzeszczeć, że to kanciarz i nicpoń, i że przez niego kołchoz poniesie straty.

Też dziwne: skoro robota niebezpieczna i niewdzięczna, to czemu by go nie zrobić, zamiast samemu się *narażać*? Ale nie, zebranie nie godzi się na żadnego z wymienionych.

Padają nazwiska coraz to nowych kandydatów. I wciąż zebranie uparcie odrzuca kolejne propozycje. Cuda się dzieją. Czemu nie przystać na pierwszą lepszą? Weźmy, jak proponował przewodniczący, jego nieszczęsnego zięcia i pošlijmy go na tę przeklętą delegację! Wszystkim od razu ulży. Ale nie, nikt nie ma ochoty wysłać ani swojego wroga, ani przyjaciela, ani sąsiada. Wygląda na to, że każdy sam ma ochotę się załapać, tyle że inni mu nie pozwalają. A skoro ja nie mogę, to i ciebie nie puszcze.

Kłócili się, spierali, wreszcie opadli z sił. Poprzebierali wszelkie możliwe kandydatury - i wszystkie odrzucili.

- No to kogóż mamy posłać! Witę Suworowa, czy jak? Za mały jeszcze.

Ale chłopcy byli innego zdania. Nie dorównuję im wiekiem, doświadczeniem ani autorytetem, jestem dla nich jakby nikim. I wysłać mnie, to tak jakby nie wysłać nikogo. Dobra, niech jedzie Witia - myślał każdy w duchu - żeby tylko mój wróg nie dostał się na delegację. Tak też zdecydowali. Przegłosowali jednomyślnie. Nawet przewodniczący i zięć jego Sieriożka podnieśli ręce.

Dwóch obrośniętych *muzyków* przywiozło mnie do miasta o trzeciej nad ranem. Razem rozładowaliśmy arbuzy, ułożyliśmy je w drewnianej skrzyni pod zieloną szopą, w której miałem przepracować szesnaście dni i przespać piętnaście nocy.

O piątej rano bazar huczał tysiącami głosów. Chłopcy dawno już odjechali, zostałem sam ze swoimi arbusami. Handluję. Nie wychylam się zza lady. Wstydzę się. Jestem bosy, a w mieście nikt tak nie chodzi.

Handluję, przeklinam swój los. Arbuzy mam pierwszorzędne. Kolejka do stoiska nie z tej ziemi. Wszyscy wrzeszczą, jak na zebraniu kołchozowym, a ja rachuję. Arbuzy kosztują po 17 kopiejek za kilogram. Jest to cena państwowa, najmniejsze odstępstwo - i więzienie gotowe. Liczę. Lubiłem matematykę, ale tu nic mi nie wychodzi. Arbus waży, powiedzmy, 6 kg i 87 dkg. Jeżeli brać po 17 kopiejek za kilogram, to ile kosztuje taki arbus! Gdyby tłum nie hałasował, gdyby ten tłusty babsztyl nie pchał się łapiąc mnie za włosy - policzyłbym raz dwa. A tak - ni czorta mi nie wychodzi. Jak na złość, nie mam papieru ani ołówka. Skąd mogłem wiedzieć, że będą potrzebne?

Grube baby w kolejce wściekają się, że za wolno się ruszam, napierają na ladę. Te, które już kupiły, liczą na boku resztę, znowu podbiegają do stoiska, straszą milicją. A arbuzy - każdy inny, każdy inaczej waży, każdy ma inną cenę, i kopiejki nie rozmienisz na drobne. Przypomniały mi się słowa chłopców na zebraniu: byle pomyłka, i z własnych pieniędzy będziesz się rozliczać z kołchozem. Skąd ja mam mieć własne pieniądze? Ni cholery mi nie wychodzi. Krzyczę, że zamykam kram. O mało mnie nie zlinczowali: arbuzy rzeczywiście pierwsza klasa.

Naprzeciw siedzi w sklepiku stary Żyd z krzaczastymi siwymi brwiami. Handluje sznurkami. Spogląda na mnie, krzywi się, jakby go zęby bolały. Nie jest w stanie patrzeć spokojnie na ten mój interes. Odwraca się, oczy do nieba wznosi, spluwa.

Długo tak siedział i się męczył. Nie wytrzymał. Zamknął swój straganik, stanął przy mnie - i zaczął się handel. Rzucam mu arbuzy, które wskazuje mi kościstym paluchem, i nim zdążę wyciągnąć arbuza ze stosu, łapie w locie poprzedni, waży, podaje, odbiera należność, wydaje resztę, pokazuje mi następny, i jeszcze zdąży do

każdego się uśmiechnąć. W dodatku nie wybiera byle arbuza, ale ze znajomością rzeczy: *a* to pogoni mnie na szczyt piramidy, a to z dołu każe wyciągnąć, a to z drugiej strony, a to znowu z tej. I do wszystkich z uśmiechem. I do niego wszyscy się uśmiechają, wszyscy go znają. Wszyscy go pozdrawiają: - Dziękujemy, wujaszku! W ciągu godziny załatwił całą kolejkę. A piramida zmaląła o połowę. Ledwie uporaliśmy się z kolejką, wywala mi kupę pieniędzy: banknoty trzyrublowe, porwane ruble, czasami nawet piątka się trafi. Drobne złożył na osobną kupkę, żeby było z czego resztę wydawać.

- Oto - powiada - twój utarg. Schowaj do prawej kieszeni, jest dość, żebyś mógł się rozliczyć za ten dzień ze swoim kołchozem. A wszystko co dziś jeszcze utargujesz pakuj śmiało do lewej kieszeni.

- No, wujaszku, nie zapomnę wam tego do końca życia!

- To nie wszystko - powiada. - To był dopiero wykład z praktyki. Teraz słuchaj teorii.

Przyniósł kartkę papieru. Napisał na niej: 1 kg - 17 kopiejek; 2 kg - 34 kopiejki, i tak aż do dziesięciu. Ale z kilogramami nie miałem większych kłopotów, problemy zaczynały się z gramami. Na to też miał swój sposób: napisał w osobnym słupku: 50, 100, 150...

- Kopiejka jest niepodzielna, dlatego za 50 g można nie brać ani grosza, a można wziąć jedną kopiejkę. Jedno i drugie w porządku. Za 100 g możesz wziąć Jedną kopiejkę, albo i dwie. Od dobrego człowieka bierz zawsze minimum, a od normalnego zawsze maksimum.

Szybko notuje mi odpowiednie ceny... 750 - minimum 12 kopiejek, maksimum - 13.

- Jakże wy tak szybko rachujecie?

- Ja nie rachuję, ja znam ceny.

- Do diabła! - mówię. - Przecież ceny stale się zmieniają!

- No i co tego? Jeśli każą ci od jutra sprzedawać, powiedzmy, po 18 kopiejek, to znaczy, że na przykład za 5 kg i 92 dkg można wziąć minimum 1,06 rubla, a maksimum 1,08 rubla. Gramy też trzeba zaokrąglić: porządnym ludziom w dół, a normalnym w górę. Porządnym ludziom dawaj porządne arbuzy, normalnym - normalne.

Odróżnić porządny arbuź od normalnego potrafię bez trudu. Porządny arbuź ma wysuszony ogonek i na boku żółtą łysinkę. Tylko jak odróżnić porządnych ludzi od normalnych? Jeśli spytam, to mnie przecież wyśmieje. Westchnąłem, ale wszak i ja muszę kiedyś zmańdrzeć, więc zebrałem się w sobie, i zapytałem...

Aż przysiadł. Długo wzdychał, kiwał głową, nadziwić się nie mógł mojej głupocie.

- Przyuważ gospodynie z pobliza, te, które codziennie u ciebie kupują. Im właśnie dawaj co lepsze arbuzy po minimalnej cenie. Jest ich niewiele, ale będą cię wychwalać, reklamę ci zrobią, że niby ten właśnie najuczciwszy, skrupulatny i słodkie arbuzy sprzedaje. To one nagonią ci klientów. Jeśli dwie koło ciebie stoją, *znaczy* się zaraz dziesięć następnych stanie w kolejce. Ale to już są nabywcy jednorazowi. Im właśnie dawaj arbuzy zwyczajne, słabsze, i po maksymalnej cenie. Jasne?

Karton z wypisanymi cenami zawiesił mi nad głową. Z zewnątrz nie widać, ale dość, bym głowę zadarł do góry, że niby sumuję - i wszystko mam przed oczami.

No i ruszył handel. Szybko, sprawnie, dochodowo. Pierwszorządne arbuzy! Doskonałe! Komu, komu, bo idę do domu. Już na drugi dzień okoliczne gospodynie zaczęły mnie rozpoznawać. Uśmiechają się. Sprzedają im arbuzy po minimalnej cenie - i uśmiech. Wszystkim pozostałym po maksymalnej - i też z uśmiechem.

Od jednego kupującego ułamek kopiejki. Od drugiego - tak samo. Nagle zrozumiałem sens przysłowia, że pieniądz idzie do pieniądza. Nie oszukiwałem nikogo, po prostu zaokrąlałem te drobne ułamki na swoją korzyść, ale stopniowo w lewej kieszeni pojawiły się pierwsze wymięte banknoty trzyrublowe, podarte jednorub-lówki, czasem nawet piątka.

Co podliczę dochód - stale mam nadwyżkę pieniędzy. Oddam kołchozowi utarg, a w lewej kieszeni ciągle przybywa. Pojawiła się nawet szeleszcząca dycha. Poszedłem do wujaszka Miszy. Podaję mu banknot.

- Wielkie dzięki - mówię. - Nauczyliscie mnie życia.

- Głupis - powiada wujaszek. - O, tam, milicjant stoi. Jemu daj. Ja mam swoich dość.

- Dlaczego milicjantowi? - dziwię się.

- Ot tak - mówi. - Podejdz i daj. Nie ubedzie ci. A milicjantowi sprawisz przyjemność.

- Przecież nie popełniam żadnego przestępstwa. Po co mam mu dawać?

- Daj, powiadam ci - sroży się wujaszek Misza. -A kiedy będziesz wręczać, nie gadaj wiele. Zwyczajnie wsadz mu do kieszeni i *zjeżdżaj*.

Podszedłem do milicjanta. Stoi surowy, w szarej bluzie, szyja spocona, oczy ołowiane. Aż strach bierze. Ani drgnie. Do kieszonki na piersi wsuwam mu tę dziesiątkę zwiniętą w rulonik. Nawet nie zauważył. Stoi jak posąg, okiem nie mrugnie. Nieporuszony. Przepadły, myślę, moje pieniążki. Nawet nie poczuł, jak mu wsunąłem.

Następnego ranka milicjant znowu na posterunku. -Dzień dobry, Witia - mówi.

Dziwne. Skąd może wiedzieć, jak mi na imię?

- Witajcie, obywatelu naczelniku - odpowiadam.

A co wieczór przyjeżdżał samochód z kołchozu. Odpałą chłopcy ze dwie, trzy tony arbuźów, a ja rozliczam się za miniony dzień: były równo dwie tony, sprzedałem 1.816 kg, 184 kg zostały - same zgniłki i poobijane. Oto utarg: 308 rubli 72 kopiejki. *Muzyki zważą*, odrzuty, zanotują w papierach - i do domu. A ja ładuję poobijane arbuzy do kosza i przez cały targ taszcę je na wysypisko. Na tym procederze przyłapał mnie wujaszek Misza. Jęczy, biadoli, nadziwić się nie może mojej głupocie. - Po co - mówi - czas tracisz na tę ciężką, brudną robotę, i w dodatku bez żadnej dla siebie korzyści?

- Jakież z nich pożytek? - pytam zdumiony. - Któż te zgniłki i odpady zachce kupić?

Znowu za głowę się *złapał*, *oczy do nieba* wznosi. Nie musisz ich, powiada, sprzedawać. Ale też nie ma potrzeby taszczyć na wysypisko. Zostaw je, odłóż na bok. Jutro przyjdzie kontrola, a ty pokaż je znowu, razem z tymi, które jutro pojedą na odrzut. Sprzedaż dajmy na to 1.800 kg, a mów, że tylko 1.650. Za trzy dni sprzedasz znowu 1.800, a pokażesz wszystkie zgniłki i odpady z trzech dni: że niby tylko 1.500 udało ci się upłynnić.

Tak też wszystko się potoczyło.

- Nie podniecaj się za bardzo - poucza wujaszek Misza. - Chciwość zgubą frajerów.

Tyle sam już zrozumiałem. Staram się panować nad sobą. Jeżeli zbieram dziennie po 150 kg odpadów, to nie pokazuję więcej niż 300 kg, chociaż mógłbym bez kłopotów zaserwować im nawet pół tony. Na tych poobijanych arbuźach zgarniałem dziennie do lewej kieszeni po 25 rubli. W kołchozie przez miesiąc bym tyle nie zarobił. A i z tych ułamków kopiejek co nieco zawsze się uzbierało. No i jeszcze parę sekretów podszeptał mi diodia Misza.

Ostatniego wieczoru zgarnąłem sześć butelek koniaku, włożyłem nowe lakierki, i pomaszerowałem do wujaszka.

- Głupis - mówi. - Bierz te butelki i daj swojemu przewodniczącemu, żeby i następnego lata wysunął na zebraniu twoją kandydaturę.

- Nie - sprzeciwiłem się stanowczo. - Może macie swoich pod dostatkiem, ale weźcie też moje. Przyjmijcie je ode mnie na pamiątkę. Jeżeli wam się nie podobają, rozbijcie o ścianę. Przyniosłem je w podarunku i z powrotem nie zabiorę.

Wziął.

- Handlowałem przez dwa tygodnie - zagajam rozmowę. - A wy jak długo?

- Mam teraz 73 lata, a zacząłem mając lat sześć. Za panowania Mikołaja Aleksandrowicza. - Pewnie wszystkim *zdarzało* wam się w życiu hand-lować?

- Nie - odpowiada. - Tylko sznurkami.

- A gdyby przyszło złotem obracać, dalibyście radę?

- No pewnie. Ale niech ci się nie wydaje, że na złocie łatwiej się dorobić niż na innych towarach. W dodatku wszyscy wiedzą, że jesteś zakonspirowanym milionerem. Na sznurkach zarobisz więcej i bez nerwów.

- A czym najtrudniej handlować?

- Zapalkami. To wyjątkowo trudna sztuka, ale jeśli ją sobie przyswoisz, milion możesz zbić w ciągu jednego roku.

- W świecie kapitalistycznym już dawno bylibyście milionerem...

Nic na to nie odpowiedział.

- U nas, w socjalizmie, skrzydeł nie rozwiniesz: raz, dwa i rozstrzelają.

- Nie jest tak źle - protestuje wujaszek. - W socjalizmie też nie wszystkich milionerów rozstrzelują. Trzeba tylko dychę zwinąć w rulonik, i milicjantowi do kieszeni. Wtenczas nie rozstrzelają.

- A poza tym - mówił wujaszek Misza - nie ma po co oszczędzać pieniędzy. Trzeba je wydawać. Nie warto popełniać dla nich przestępstwa ani ryzykować z ich powodu. Nie są tego warte. Inna sprawa, gdy same lgną do rąk, w takiej sytuacji nie ma powodu sprzeciwiać się losowi. Zgarniaj i korzystaj, ile wlezie. A na całym globie nie ma takiego miejsca, nie ma takiego człowieka, do którego milion sam by się nie prosił. To prawda, że ludzie tych możliwości po prostu nie zauważają i nie wykorzystują. - I powiedziawszy to, po trzykroć powtórzył, że pieniądze szczęścia nie dają. A co daje szczęście, tego mi nie zdradził...

Rzadko śni mi się wujaszek Misza. Nie wiem czemu, ale w te noce, gdy poczciwy starzec odwiedza mnie na zaśmieconym targowisku, płaczę przez sen. Nieczęsto zdarzało mi się w życiu płakać, nawet w dzieciństwie. A we śnie - tylko kiedy jego widzę. Szepcze wujaszek Misza na ucho swoje mądrości życiowe, a ja cieszę się, że niczego nie przeoczyłem. Każde jego słowo staram się zatrzymać w pamięci, aż do przebudzenia. Wszystko takie proste, same komunały. Ale budzę się - i nic nie pamiętam...

Zbudził mnie promyk światła. Przeciągnąłem się i uśmiechnąłem do własnych myśli. Długo wspominałem, co też mi wujaszek Misza szeptał do ucha. Kompletna pustka w głowie. A było to coś bardzo ważnego, czego nijak nie wolno zapomnieć. Spośród tysięcy reguł jeden tylko drobny strzępek ocalał: trzeba uśmiechać się do ludzi.



## Rozdział 3

### I

Najważniejszą część wyposażenia żołnierza Specnazu to obuwie. Nie licząc, oczywiście, spadochronu.

Magazynier, który, sądząc po bliźnie na policzku, sam swego czasu robił w dywersji, wydał mi parę butów i teraz oglądam je z zaciekawieniem. Nie są to półbuty ani buty z cholewami. Coś pomiędzy. Hybryda, skrzyżowanie najlepszych właściwości obu rodzajów. W rejestrach buty te figurują pod nazwą Ob-S - obuwie skokowe. Tak też będziemy je nazywać.

Buty te, wykonane z grubej miękkiej skóry wołowej, są znacznie lżejsze, niż wyglądają. Na każdym bucie masa pasków i zapięć: dwa paski wokół pięty, jeden szeroki wokół stopy, dwa - wokół goleni. Paski również bardzo miękkie. But jest sumą tysiącletnich doświadczeń. Przecież tak szykowali się do wypraw nasi przodkowie: owijali stopy miękką skórą i ściskali rzemieniami. Moje obuwie to właśnie miękka skóra i rzemienie.

Jednakże przodkowie nasi nie mieli pojęcia o takich podeszwach. Podeszwy są grube, szerokie i miękkie. Ale miękkie wcale nie oznacza, że mało odporne. Każda podeszwa zawiera trzy tytanowe płytki, zachodzące jedna na drugą, jak rybie łuski - bardzo wytrzymałe i zarazem

elastyczne. Takie łuski wykonane z tytanu stosuje się w kuloodpornych kamizelkach. Żaden pocisk ich nie przebije. Naturalnie, nie wstawiono ich w te podeszwy, by chroniły od pocisków. Te płytki tytanowe mają ochraniać stopę przed kolcami i szpikulcami, porozrzucanymi najczęściej wokół obiektów pod specjalnym nadzorem. Gdyby *zaszła* potrzeba, na tych podeszwach można biegać nawet po rozżarzonych węglach. Płytki odgrywają ponadto jeszcze jedną istotną rolę: wystają nieco poza krawędź podeszwy i mogą służyć jako zaczepy do wiązań narciarskich.

*Wzór* na podeszwach został skopiowany z butów używanych przez naszych potencjalnych przeciwników. W zależności od terenu działania, możemy zostawiać standardowe ślady wojsk amerykańskich, francuskich, hiszpańskich, czy jakichkolwiek innych.

Ale najlepsza sztuczka na czym innym polega: obuwie dywersanta, a ściślej mówiąc

Ob-S, ma obcas z przodu a podeszwę z tyłu. Tak więc dywersant idzie w jednym kierunku, a jego ślady w kierunku przeciwnym. Zrozumiałe, że obcas jest cieńszy, a podeszwa grubsza, aby nie było kłopotów z chodzeniem.

Doświadczonego tropiciela śladów oszukać się nie da. Wie doskonale, że podczas szybkiego marszu czubek buta zostawia *znacznie* głębszy ślad niż pięta. Ale czy wielu jest takich, którzy wpatrują się w ślady żołnierskich butów? Czy wiedzą, że czubki powinny zostawiać głębszy ślad? Czy zwrócą uwagę, że raptem pojawił się ślad, który ma wszystko na opak? A ilu z nich potrafi wyciągnąć z tego odpowiednie wnioski? Komu może w ogóle zaświtać w głowie pomysł buta z obcasem na nosku i podeszwą na pięcie? Komu przyjdzie na myśl, że skoro ślady wiodą na wschód, to znaczy, że człowiek posuwa się na zachód?

A my też nie w ciemną bici. Dywersanci jak wilki, w pojedynkę nie chodzą. I jak wilki idziemy po własnych śladach. Spróbuj, zorientuj się, ilu nas było w grupie -trzech czy stu? A gdy po tych samych śladach przemaszerowało wiele nóg, to taki szczegół jak głębokość śladu obcasa przestaje być możliwy do odróżnienia.

Do butów Ob-S nadaje się tylko jeden gatunek skarpet: bardzo grube, z czystej wełny. I gdziekolwiek byśmy się znaleźli, w tajdze czy na rozgrzanej pustyni, na nogach mamy zawsze takie same skarpety: bardzo grube, wełniane, szare. Taka skarpetka chroni stopę przed zimnem, potem i obtarciem, no i sama się nie wyciera. A żołnierz Specnazu ma w plecaku tylko jedną zapasową parę, nieważne, czy wyrusza na dzień, czy na miesiąc. Jego sprawa, jak sobie poradzi.

Bielizna lniana, cieniutka. Powinna być nie nowa, ale już trochę używana i przynajmniej raz wyprana. Na tę ciekawą bieliznę osobistą zakłada się „siatkę” - drugą parę bielizny, utkaną z grubych miękkich sznurków grubości palca. Tym sposobem między odzieżą wierzchnią i bielizną stale pozostaje niemal centymetrowa warstwa powietrza. Mądra głowa to wymyśliła. W razie upału, kiedy pot spływa po rozpalonym ciele, ta siatka jest jedynym ratunkiem. Ubranie nie lepi się do ciała, warstwa powietrza służy za doskonałą wentylację. Gdy nastaje chłód, ta sama warstwa utrzymuje ciepło, jak pierzyna, i w dodatku nic nie waży. Ale to nie wszystko: żądła komarów trafiają w pustkę, nie sięgają ciała. Żołnierz Specnazu tylko w ostateczności wyjdzie na otwartą przestrzeń. Bagno i las sajego żywiołem. Godzinami czai się na torfowisku, albo w parzących pokrzywach, otoczony chmurami brzęczących komarów. I sznurkowa siatka jest jego zbawieniem. Dopiero na tę siatkę zakłada się bluzy i spodnie - zielone, bawełniane. Szwy wszędzie potrójne. Kurtka i spodnie miękkie, ale bardzo solidne. Na przegubach, na łokciach i kolanach, na ramionach -

wszędzie potrójna, wzmacniająca warstwa materiału.

Na głowie żołnierz Specnazu nosi hełm-pilotkę. Zimą - ze skóry i futerka, z jedwabną podkładką, latem -bawełniany. Hełm składa się z dwóch części: pilotki i maski. Pilotka nie powinna nigdy, pod żadnym pozorem i w żadnych warunkach zsuwać się z głowy, nawet podczas desantu. Z zewnątrz musi być zupełnie gładka, bez jakichkolwiek sprzączek, pasków czy występów, bowiem w chwili skoku znajduje się przy samym spadochronie. Na hełmie nie może być niczego, co mogłoby

przeszkodzić w płynnym otwarciu czaszy lub zahaczyć o olinowanie, dlatego ściśle przylega do czaszki, szyi i brody, pozostawiając odsłonięte tylko oczy, nos i usta. W razie silnych mrozów, a także podczas wykonywania zadania, na twarz zakłada się osłonę maskującą, czyli maskę.

Żołnierz Specnazu ma również kurtkę: grubą, ciepłą, lekką, nieprzemakalną. Może taplać się w niej w bagnie - nie przemoknie, może spać na śniegu - nie przemarznie. Długość kurtki - do połowy uda - nie krępuje ruchów w marszu, ale też gdyby przyszło spędzić kilka dni z rzędu na lodzie, wówczas może służyć za siedzenie. Z dołu kurtka jest szeroka. To bardzo ważne podczas biegu, albo w szybkim marszu: zapewnia wentylację. W razie potrzeby można jednym ruchem ściągnąć dół kurtki tak, by szczelnie oblegała nogi, zatrzymując ciepło. Dawniej żołnierze Specnazu mieli takie same spodnie - grube, ciepłe. Okazały się niepraktyczne. Podczas forsownego kilkudniowego marszu powodowały zaburzenia całej wentylacji. Nasi mądrzy przodkowie nigdy nie szyli sobie futrzanych spodni. Zamiast tego nosili długie do pięt futra. Wiedzieli, co robią. Futrzane spodnie przygotowują o siódme poty, a futro - nigdy. Obecnie wykorzystano doświadczenie wieków, i żołnierz Specnazu ma wyłącznie kurtkę, do której w razie konieczności przypina się długie poły, chroniące ciało do samych pięt: zawsze ciepło, nigdy gorąco. Można je łatwo odpiąć, a zrolowane zajmują w bagażu żołnierza Specnazu bardzo niewiele miejsca.

Do niedawna kurtki można było nosić na dwie strony. Z jednej strony były w kolorze białym, z drugiej - w kolorze ochronnym. Ale to też nie było praktyczne. Kurtka winna być od podszewki delikatna, jak skóra kobiety, a z zewnątrz szorstka jak skóra nosorożca. Dlatego obecnie kurtek nie wywija się na dwie strony. Są delikatne od środka, a po wierzchu szorstkie, w kolorze jasno-burym, jak zeszłoroczna trawa, albo jak przybrudzony śnieg. Trzeba przyznać, że barwę dobrał ktoś bardzo trafnie. A gdyby zaszła potrzeba, na kurtki można narzucić lekkie białe pałatki maskujące.

Całe wyposażenie żołnierza Specnazu mieści się w PD - plecaku desantowym. Plecak, podobnie jak cała odzież i wyposażenie dywersanta, ma kolor jasnobury. Jest to niewielki prostokątny tornister, wykonany ze sztywnego materiału. Aby nie odciągał ramion do tyłu, nadano mu specyficzny kształt: płaski, szeroki i wysoki. Uchwyty i paski umożliwiają zaczepienie go na różne sposoby: można nosić go na piersi, na barkach, można opuścić na same pośladki i zaczepić na pasku, pozwalając wytchnąć obolałym plecóm.

Gdziekolwiek wyrusza żołnierz Specnazu, ma zawsze do dyspozycji tylko jedną manierkę z wodą: 810 g. Poza tym ma ze sobą flakonik z małutkimi brunatnymi pastylkami odkażającymi. Taką tabletkę można wrzucić do wody zanieczyszczonej ropą czy mydlinami, albo skażonej bakterią czerwonki, i po upływie minuty cały osad opada na dno, a górna warstwa nadaje się do picia. Uzyskana w ten sposób woda pitna ma obrzydliwy smak i silny zapach chloru. Ten kto wie, co znaczy prawdziwe pragnienie, pije taką wodę z największą rozkoszą.

Kiedy żołnierz Specnazu wyrusza na akcję - na tydzień, na miesiąc, czas nie gra roli - ma w plecaku zawsze taką samą rację żywności: 2.765 g. Czasem w trakcie operacji samolot podrzuci mu trochę jedzenia, wody i amunicji. Może się też zdarzyć, że nie podrzuci, i wtedy zdany jest na własne siły. Prawie trzy kilogramy żywności to bardzo dużo, jeśli uwzględni się niezwykle wysoką kaloryczność specjalnie opracowanego i przygotowanego pokarmu. Gdy go zabraknie, wówczas trzeba samemu zadbać o wyżywienie. Można upolować jelenia albo dzika, można łowić ryby, można jeść jagody, grzyby, jeże, żaby, żmije, ślimaki, dżdżownice, można robić wywar z kory brzozonej i żołądzi, można... a mało to *rzeczy* może zjeść wygłodzony człowiek, bogaty w doświadczenia tysiącleci?!

Oprócz żywności żołnierz Specnazu ma w plecaku cztery pudełka zapalek saperskich, wodoodpornych, zapalających się na wietrze i w deszczu. Ma też sto pastylek suchego paliwa. Nie wolno mu pod żadnym pozorem rozpalać ogniska; grzeje się i szykuje strawę przy płomyku pastylki. Płomyk jak od świeczki, tyle że bardziej

odporny na wiatr. Ma też w plecaku ze dwadzieścia innych tabletek, na wypadek różnych dolegliwości i zatruc.

Poza tym w plecaku - jeden ręcznik, szczotka i pasta do zębów, żyletka, tubka mydła w płynie, haczyk wędkarski i żyłka, igła z nitką. Żołnierz Specnazu nie używa grzebienia. Przed zrzutem jest strzyżony na zero - głowa mniej się poci i zlepione włosy nie przesłaniają oczu. Po miesiącu włosy odrastają, ale nie na tyle, by trzeba było tracić bezcenne miejsce na grzebień. I tak ma wystarczająco dużo do niesienia.

Istnieją dwa warianty uzbrojenia żołnierza Specnazu: uzbrojenie kompletne i wariant lżejszy.

Uzbrojenie kompletne składa się z karabinu samoczynnego Kałasznikowa AKMS i 300 naboji. Niektóre karabiny wyposażone są dodatkowo w tłumik PBS, oraz NSP-3 - noktowizor. Podczas zrzutu karabin spoczywa w futerale, by nie przeszkadzać w otwarciu spadochronu. Aby zaraz po wylądowaniu żołnierz Specnazu nie był bezbronny, dysponuje pistoletem wytłumionym PB-8 i 32 nabojami. Ponadto na prawym podudziu ma zawieszony ciężki dywersyjny nóż, a na lewym cztery zapasowe ostrza. Dywersyjny nóż to nie zwyczajny nóż. W klindze ma ukrytą mocną sprężynę. Można ją odbezpieczyć, po czym nacisnąć przycisk i ostrze z przeraźliwym świstem wystrzeli do przodu, odrzucając rękę z pustą rękojeścią. Ciężkie ostrze wylatuje na 25 metrów. Jeżeli trafi w drzewo, nie zawsze daje się wyciągnąć, i wtedy żołnierz Specnazu wstawia w uchwyt nowe zapasowe ostrze, ciężarem całego ciała napierając na rękojeść, by pokonać opór sprężyny. Następnie przekręca bezpiecznik i z noża dywersyjnego może znowu korzystać jak z każdego innego: kroić nim ludzi i chleb, używać go jako pilnika, albo nożyc saperskich do cięcia zasieków. Uzbrojenie kompletne uzupełnia sześć granatów, plastik wybuchowy, miny kierunkowe lub inna ciężka broń.

Lżejszy wariant uzbrojenia przysługuje oficerom i radiotelegrafistom. Zawiera karabin i 120 naboji, pistolet z tłumikiem oraz nóż. Wszystko to wydaje mi z magazynu tenże doświadczony eks-komandos. Pistolet mam

prawdziwy. Ruszam z grupą dywersantów jako obserwator i dlatego nie muszę strzelać. Ale jestem też oficerem wywiadu, więc muszę czuć na ramieniu ciężar karabinu i amunicji. Dlatego dostałem karabin szkoleniowy. Wygląda tak samo jak broń bojowa, tyle że jest już mocno sfatygowany i spisany ze zbrojowni. W komorze nabojujowej ma przewiercony otwór i wybity napis „szkoleniowy”. Przerzucam broń przez ramię. Od lat już nie zdarzyło mi się dźwigać karabinu z dziurą w komorze. Od takiej broni zaczynają służbę najmłodszy rekruci i kursanci wojskowych uczelni.

Naturalnie, nie czuję się żółtodziobem. Ale mimo wszystko w jednostce Specnazu jestem nowicjuszem. Po otrzymaniu karabinu z dziurką raptem zupełnie machinalnie postanawiam sprawdzić, czy nie zrobili ze mnie jelenia. Jednym ruchem zrzucam plecak, otwierani, z niewielkiej kieszonki wyciągam łyżkę. W łyżce, podobnie jak w zamku karabinowym, wywiercona dziura i identyczny napis: „szkoleniowa”.

- Wybaczcie, towarzyszu lejtnancie - stary wyga robi speszoną minę. -

Niedopatrzenie.

Jest zawiedziony, że nie jestem w armii od wczoraj, że znam te wszystkie oklepane kawały i wykazałem czujność. Wzywa swojego pomocnika, młodziutkiego żołnierzyka, i w mojej obecności strofuje go za nieuwagę. I on i ja rozumiemy doskonale, że młodzik nie ma z tym nic wspólnego, że „łyżkę szkoleniową” podsunął mi sierżant we własnej osobie. Sierżant rozkazuje z miejsca wyrzucić łyżkę, żeby uniknąć głupich żartów na przyszłość. Wiem, rzecz jasna, że nie pozbędą się jej za żadne skarby. Posłuży jeszcze wielu pokoleniom żołnierzy Specnazu. Ale porządek musi być. Sierżant musi wydać odpowiednie dyspozycje, a młody żołnierz musi zostać skarcony. Sierżant natychmiast podaje mi inną łyżkę. Żart się nie udał, ale widzi, że mam poczucie humoru, znam się na żołnierskich dowcipach i starych tradycjach: w wojsku nie należy obrażać się na żarty. Znowu jest poważny i rzeczowy:

- Powodzenia, starszy lejtnancie.
- Dziękuję, sierżancie.

## II

W Armii Radzieckiej każdy składa swój spadochron własnoręcznie. Odnosi się to także do generałów; nie wiem, czy Margielow skakał po tym, jak został mianowany generałem armii, ale będąc jeszcze generałem-puł-kownikiem - skakał. Wiem to na sto procent. Prócz Mar-gielowa w wojskach powietrznodesantowych jest bardzo wielu generałów, i wszyscy skaczą. Są również dziesiątki generałów w wywiadzie wojskowym, i ci z nich, którzy jeszcze skaczą, sami składają swoje spadochrony. To bardzo rozsądne. Jeżeli walniesz w kalendarz, będzie to wyłącznie twoja wina. A żywi nie ponoszą za ciebie żadnej odpowiedzialności.

Wszystkie spadochrony są przechowywane w magazynie, złożone, zapieczętowane, zawsze gotowe do użycia. Na każdym spadochronie - napis na jedwabiu: „Szeregowiec Iwanów. Spadochron składałem osobiście”.

Jeśli nie zrywa nas nocny alarm, jeśli udajemy się na zaplanowane ćwiczenia, z pełnym cyklem przygotowawczym, to wszystkie spadochrony zostają rozłożone i złożone od nowa. I znowu każdy podpisuje: „Spadochron składałem osobiście”.

Składanie odbywa się w warunkach identycznych jak te, w jakich wypadnie skakać. A skakać trzeba będzie na mrozie, toteż składamy na mrozie. Szósta rano.

Dziś cały batalion składa spadochrony. Na szerokim placu, odgrodzonym wysokim płotem od ciekawskich spojrzeń postronnych żołnierzy.

Rozłożyliśmy spadochronowe stoły. Stół spadochronowy to nie zwyczajny stół. Jest to

po prostu podłużna płachta brezentu, rozścielonego na betonie i umocowanego za pomocą specjalnych kołków. Składanie odbywa się dwufazowo. Najpierw we dwóch składamy twój spadochron: ty kierujesz, ja pomagam. Następnie złożymy mój, i role się odwrócą. Później złożymy twój zapasowy, znowu ty będziesz dyrygować, wreszcie mój zapasowy, i wtedy kieruję ja. Niektórych z nas zrzucą nie z dwoma, ale z jednym spadochronem. Komu przypadnie to w udziale - na razie nie wiadomo. I dlatego każdy szykuje dwa spadochrony.

Zaczęło się.

Czynność numer jeden: rozciągamy czaszę i linki na stołach spadochronowych. Do każdej kompanii przydzielony jest oficer, pełniący obowiązki zastępcy dowódcy kompanii ds. służby spadochronowo-desantowej -zastępca ds. SSD. On wydaje komendy. On też kontroluje dokładność ich wykonania. Po sprawdzeniu, że wszyscy wykonali pierwszy rozkaz, wydaje następny: -Zamocować szczyt czaszy! - I znowu rusza wzdłuż rzędów, kontrolując jego należyte wykonanie. Każdy z nas ma za sobą wielkie doświadczenie w układaniu spadochronów. Ale jesteśmy tylko ludźmi. Każdy może się omylić. Jeżeli błąd zostanie odkryty, spadochron będzie ponownie rozłożony i *zacznie* się układanie od początku. Pierwsza czynność. W porządku. Druga czynność... Kompania cierpliwie czeka, nim ten kto się pomylił wykona wszystko od początku i dogoni pozostałych. Czynność siedemnasta. A mróz - trzaskający...

Razem z całym batalionem w układaniu spadochronów biorą udział oficerowie wydziału wywiadowczego Armii. Zostaliśmy wyznaczeni na obserwatorów. A więc i nas czeka wielotygodniowy marsz przez śniegi z żołnierzami Specnazu...

Zimą wcześniej zapada zmrok. Kończymy składanie spadochronów przy świetle reflektorów, w mroźnej mgle. Za chwilę ruszymy do ciepłych koszar, a nasze spadochrony pozostaną na mrozie, pilnie strzeżone przez wzmocnioną wartę. Gdyby wniesiono je do zamkniętego pomieszczenia, na wyiębionym materiale osiadłyby niedostrzegalne gołym okiem kropelki wilgoci. A nazajutrz, na mrozie, te kropelki zamieniłyby się w drobnutkie lodowe igiełki, które wpiłyby się w warstwy jedwabiu. To śmierć. Prosta wydawałoby się sprawa. Oczywista dla każdego, nawet najmłodszego żołnierza. A jednak *zdarza* się czasem, że giną żołnierze Specnazu wszyscy jak jeden mąż. Całym plutonem, całą kompanią. Omyłek, możliwych podczas układania i składania są setki. Zapłata zawsze ta sama - życie.

Skostniałą ręką podpisuję się na jedwabnych paskach obu moich spadochronów:  
„Starszy lejtnant Su-

worów. Spadochron składałem osobiście". Roztrzaskam się, a winnego znajdą. Będę to, oczywiście, ja sam.

### III

Grzejemy się w przytulnym cieple koszar. Potem późna kolacja. Wreszcie ostatnie przygotowania. Wszyscy są już ostrzyżeni na zero. Teraz kolej na łaźnię. Wygrzejcie, chłopcy, swoje kosteczki, nieprędko nadarzy się wam następna okazja na ciepłą wodę. I spać. Już jest grubo po północy. Każdy musi wyspać się na zapas na wiele tygodni. Dla każdego po dziesięć godzin snu. Okna w koszarach szczelnie zasłonięte, żeby rano nikt się nie obudził. Każdy ma spać głębokim snem. Jest na to sposób. Położyć się na plecach, wyciągnąć się, rozluźnić całe ciało, zamknąć oczy i pod zamkniętymi powiekami wywrócić źrenice do góry. Jest to normalny stan oczu podczas snu. W tej pozycji człowiek zasypia bardzo szybko, łatwo i głęboko. Zbudzą nas bardzo późno. Nie będzie krzyku: „Kompania - pobudka! Za 30 sekund zbiórka!" Przeciwnie, kilku żołnierzy i sierżantów, którzy tym razem nie skaczą, którzy stój ą na straży kompanii, jej uzbrojenia i spadochronów, będzie cichutko podchodzić do każdego z osobna i ostrożnie budzić: „Wstawaj Kola, już czas". Czas. Czas. Czas. Wstawajcie, chłopcy. Na nas czas.

### IV

Czterdziesta trzecia grupa dywersyjna 296. wydzielonego batalionu zwiadowczego Specnazu liczy 12 osób. Ja, oficer informacji, idę z grupą jako trzynasty. Jestem obserwatorem, kontrolującym jej działania. Mam najłatwiejsze zadanie. Nie muszę podejmować żadnych decyzji. Moja rola ogranicza się do tego, by w najbardziej nieoczekiwanych momentach *zadawać* pytania -a to żołnierzom, a to dowódcy grupy, a to jego zastępcy. Mam ze sobą kartkę z setką pytań. Na wiele z nich nie znam na razie dokładnych odpowiedzi. Później oficerowie z trzeciej grupy pod kierownictwem pułkownika Krawcowa ustalą, kto się mylił, a kto nie.

### AKWARIUM

Grupa dywersyjna dźwiga ze sobą dwie radiostacje R-351-M, aparaturę szyfrującą, aparaturę do ultraszybkiej transmisji sygnałów.

Dziś w nocy zostanie przeprowadzona potężna operacja mająca na celu oślepienie, neutralizację stacji radio-

lokacyjnych 8. Gwardyjskiej Armii Pancерnej, przeciw której prowadzimy obecnie działania. Równocześnie nastąpi zmasowane uderzenie raketowe i lotnicze wymierzone w jej punkty dowodzenia i zgrupowania wojsk. W trakcie operacji zostanie zrzucony desant



dwudziestu ośmiu czołowych grup dywersyjnych naszego batalionu Specnazu. Grupy mają różne zadania i zróżnicowany skład: od trzech do czterdziestu ludzi. Na czele jednych stoją sierżanci, na czele innych oficerowie. Każdej nocy będą się odbywać kolejne desanty. Od trzech do ośmiu grup w ciągu jednej nocy. Zrzuty mają się odbywać w różnych rejonach, z różnych kierunków i wysokości. ; Dziś mamy skakać z bardzo niskiego pułapu. Bardzo niski pułap - to znaczy 100 metrów. Każdy z nas ma tylko jeden spadochron. Otwarcie nie swobodne, lecz wymuszone. Przy bardzo niskim pułapie zapasowy spadochron jest zbędny.

V

Widziałeś kiedy zwierzęcy strach w ludzkich oczach? Ja widziałem. Gdy zrzucają z bardzo niskiego pułapu z wymuszonym otwarciem spadochronu. Przed startem wszystkich nas zważono wraz z całym ekwipunkiem. Siedzimy w samolocie według wagi. Najcięższy musi skakać pierwszy, za nim trochę lżejszy, i tak do najlżejszego. Chodzi o to, by ciężsi nie wpadli w czasie lżejszym i nie tłamsili ich spadochronów. Jako pierwszy ruszy wysoki radiotelegrafista o wystających kościach policzkowych. Nazwiska nie znam. W grupie ma przydomek Łysy Tarzan. Jest to potężne ponure chłopisko. W grupie znalazłoby się paru cięższych od niego, ale jego zważono z radiostacją, wyszło, że najcięższy, więc pójdzie pierwszy. Za nim skacze jeszcze jeden radiotelegrafista o przyzwisku Brat Jewłampij. Trzeci według wagi figuruje Czyn-

72

gis-chan - szyfrant grupy. Tę pierwszą trójkę czeka bardzo trudny skok. Każdy z nich ma ze sobą kontener zawieszony na długiej, 15-metrowej linie. Skaczą, przyciskając ciężki, nieporęczny pojemnik do piersi, a po otwarciu spadochronu zrzucają go w dół. Kontener leci razem ze spadochroniarzem, tyle że pierwszy uderza o ziemię, po czym skoczek staje się jakby lżejszy i w ostatnich ułamkach sekundy jego prędkość spadania nieznacznie maleje. Ląduje tuż koło kontenera. Prędkość i podmuchy wiatru spychają spadochroniarza i dlatego prawie nigdy nie ląduje na kontenerze. Niewielka to pociecha. Skok z kontenerem to wyjątkowo ryzykowna rzecz, szczególnie z bardzo niskiego pułapu. Jako czwarty pójdzie zastępca dowódcy, starszy sierżant Drozdów. Jest największy w grupie. Wołają nań Piącha. Patrzę na jego tytaniczne łapska i rozumiem, że lepiej nie sposób wymyśleć. Ale człowiek! Ogromniasty. Że też natura zrodzi takie dziwo! Zaraz za Piącha ruszy dowódca grupy lejtnant Jelisiejew. Też potężny, choć daleko mu do swego zastępcy. Lejtnanta nazywają 43-1 - od numeru grupy. Oczywiście, też ma jakiś przydomek, ale czyż w obecności jednego oficera ktokolwiek ośmieli się wypowiedzieć na głos przyzwisko drugiego?

A za dowódcą siedzą mocarnej postury, zbudowani jak szafy szeregowcy Specnazu: Kańczug, Wampir, Żelazko, Mikołaj Trzeci, Negatyw, Szopen, Carl de la Du-chesse. Oczywiście, mnie też jakoś między sobą nazywają, ale oficjalnie nie mam żadnego pseudo, tylko numer 43-K. Znaczą się kontrola.

W 43. grupie dywersyjnej jestem najmniejszy i najlżejszy. Dlatego wypadło, że jako ostatni mam opuścić samolot. Ale to nie znaczy, że siedzę na samym końcu. Przeciwnie, siedzę przy samym włączniku desantowym. Ten kto skacze ostatni, pełni funkcję wypuszczającego. Stojąc przy włączniku wypuszczający w ostatnim momencie sprawdza, czy wszystko jest jak należy i w razie konieczności ma prawo w każdej chwili przerwać desantowanie. Trudna jest rola wypuszczającego, choćby dlatego, że siedzi w samym ogonie, jak na scenie: wszystkie spojrzenia skierowane są na niego. Gdzie spojrzę, widzę utkwio-

74

1

## AKWARIUM

ne we mnie oczy komandosów. We wszystkich oczach obłęd. Nie, nie we wszystkich: dowódca grupy drzemie spokojnie, rozluźniony. Ale z oczu całej reszty bije lekkie szaleństwo. Dobrze jest skakać z trzech tysięcy! Pysznie! A tutaj tylko sto. Niejedną sztuczkę wymyślono dla stłumienia strachu, ale gdzież się przed nim skryjesz? Ten strach jest tuż-tuż. Siedzimy razem w uścisku.

Gwałtowna zmiana ciśnienia zatyka uszy, samolot gwałtownie zniża lot. Tuż obok migają wierzchołki drzew. Przypadła mi w udziale fatalna rola: każdy skoczek ma linkę otwierającą spadochron przypiętą do centralnej liny, i tylko mój *zaczep* zwisa luźno na piersi. Po przepuszczeniu pozostałych muszę w ostatniej chwili zatrzaskać ka-rabińczyk nad głową. A jeśli nie trafię? A jeżeli rozgorączkowany wyjdę, nie zdążywszy go zapiąć? Będzie już za późno na ręczne otwieranie spadochronu: ziemia pędzi pod samymi nogami. Nagle wyobraziłem sobie, że spadam w dół bez spadochronu. Jak kot z rozpostartymi łapami. Ale będzie krzyku! Słyszę w uszach mój przedśmiertelny wrzask i ogarnia mnie niepohamowany śmiech. Komandosi patrzą wyrozumiale: obserwator wpadł w histerię. A to wcale nie histeria. Po prostu śmiać mi się chce.

Niebieska żarówka nad włącznikiem zamigotała nerwowo.

- Wszyscy wstać! Skłon.

Pierwszy skoczek Łysy Tarzan pochylił się do przodu, wysuwając prawą nogę dla lepszej równowagi. Brat Je-włampij całym ciężarem ciała wparł się w jego plecy. Trzeci wparł się w plecy drugiego, i tak cała grupa, sklejona w jedną całość zamarła w oczekiwaniu.

Na dany sygnał ci z tyłu będą napierać na stojących z przodu, i wszyscy niemal równocześnie wylecą przez szeroki właz. Dobrze mają, mnie nikt nie popchnie.

Gigantyczne skrzydła pokrywy włazu z lekkim zgrzytem rozsunęły się na boki. Mróz bije w twarz. Noc bezksiężycowa, ale śnieg jaskrawy, oślepiający. Wszystko widać jak w dzień. Ziemia tuż-tuż. Krzaki i leśne przecinki galopują, jak oszalałe. JAZDA!

- Chłopaki! JAZDA!!!

Niczego gorszego ludzkość nie wymyśliła. Przemknęły oczy ogarnięte szaleństwem. Syrena wyje, jak ginący

zwierz. Ten ryk rozdziera uszy. Twarze wykrzywia grymas. Każdy krzyczy jedno straszne słowo: JAZDA! Nie sposób się wykręcić. Z tyłu bezlitosny napór. Ci z przodu posypali się w mroźną mgłę. Strumień wiatru wywraca każdego do góry nogami. JAZDA!!! Ci z tyłu, pchani instynktem stadnym, też wylatują w czarny śnieżny wichur. Podrzuciłem rękę w górę. Pstryk. I wypadam w lodowaty mrok. Tu porządny człowiek nie ma czego szukać, tu tylko diabły i wiedźmy na miotłach, no i Witia Suworow ze swoim spadochronem.

Przy bardzo niskim pułapie wszystko dzieje się równocześnie: głowa w dół, pałacy mróz nahajką po pysku, nogi w górę, potężne szarpnięcie za kark, nogi w dół, wiatr za pazuchę, pod futrzaną kamizelkę, uderzenie w nogi, sztywnym spadochronowym olinowaniem znów po pysku, a w rękawicach i w rękawach aż po łokcie gorący śnieg, i od razu zaczyna topnieć. Obrzydlistwo...

Spadochrony zakopaliśmy pod śniegiem, z wierzchu posypaliśmy jakimś świństwem. To żeby zmylić psy. Cała miejscowa milicja, KGB, Jednostki MWD<sup>1</sup> - wszyscy biorą udział w ćwiczeniach. Wszystkich rzucono przeciw naszym nieszczęsnym grupom. A nam jakby związane ręce. Gdyby to była wojna, zdobylibyśmy kilka transporterów, albo innych pojazdów - i w teren. Ale wojny nie ma, i zabroniono nam kategorycznie zdobywać środki transportu. Drakoński rozkaz: na nogach, tylko na nogach, byle dalej od psów.

Narty mamy krótkie, szerokie. Od spodu wykończone prawdziwym lisim futerkiem. Narty świetnie suną do przodu, a w tył poślizgu nie ma. Lisie futro staje pod włos i doskonale hamuje. Specjalne wyposażenie Spec-nazu. Takie narty często w ogóle nie zostawiają śladów, zwłaszcza na ubitym zleżałym śniegu. Są szerokie, więc się nie zapadają. Z takich nart można nawet zbudować na śniegu małą kryjówkę: futrem do wewnątrz - spać, chłopcy, po kolei. Ale co najważniejsze, narty nie zamarzają, nie pokrywają się zlodowaciałą skorupą.

## VI

<sup>1</sup> MWD (Ministerstwo Wnutriennych Diel) - Ministerstwo Spraw Wewnętrznych [przyp. tłum.].

Nad ranem opadliśmy z sił. Trzy godziny wycofywaliśmy się z rejonu *zrzutu*, klucząc i zacierając ślady. Kurtki przemoczone. Twarze zaczerwienione. Pot spływa strumieniami. Serce łomocze, jakby chciało się wyrwać z piersi. Język wywalony, jak u psa w upał. Takie są zawsze początki. Za trzy, cztery dni już się wciągniemy i będzie szło jak po maśle. Pierwszy dzień jest zawsze bardzo ciężki. Pierwsza noc i dwie kolejne doby - straszne. Później już z górki.

- Psy we wsi szczekają. To zły znak. Na pewno obcy ludzie.

Tyle wie każdy głupi. Któż inny mógłby w tej głuszy i tak wczesną porą rozdrażnić wiejskie psy?

- Obejdziemy. Ruszamy w lewo.

- Po lewej zasadzka KGB. O, w tamtym lasku. Ptaki krążą nad drzewami.

Też racja. Kto je oderwał w powietrze w taki mróz? Ptaki o tej porze siedzą na gałęziach, nastroszone, pokryte szronem. Jasne, że w tamtym kierunku droga odcięta. Pozostaje jedynie marsz przez wąwozy i wiatrołomy. Droga dla wilków i dywersantów z grupy Spec-nazu.

- Gotowi? Naprzód.

## VII

Normy okrutne. Osiem kilometrów na godzinę.

Wieczór. Mróz tężeje. W ciągu dnia przeszliśmy 67 kilometrów, w tym dwa odpoczynki. Czas, by znowu walnąć się w śnieg.

- Ni cholery, darmożjady - syczy dowódca. - Wczoraj trzeba się było wyspać.

Dowódca wściekły. Grupa nie wytrzymuje tempa marszu. Grupa też wściekła. Zapada noc. To źle. W ciągu dnia grupa może przycząić się w śniegu, w krzakach, w moczarach - i przeczekać. Ale nigdy w nocy. Noc została wymyślona do pracy. Jesteśmy jak prostytutki - pracujemy po nocach. Jeżeli w dzień nie wypocząłeś, w nocy nie masz na co liczyć.

- Nie żreć śniegu! - wrzeszczy dowódca. - Nogi powyrywam!

To nie do mnie. To groźby pod adresem Czyngis-chana i Żelazka. Mnie zobowiązuje pełniona funkcja. Obserwator. Nie wolno mi brać śniegu do ust. Gdybym nie był obserwatorem, już po cichutku nałykałbym się białej wilgoci. Całymi garściami wpychałbym do gęby. Gorąco. Strumyki potu spływają po czole. Całe szczęście, że czaszka wygolona, bo miałbym na głowie jeden wielki kołtun. Kurtki parują na plecach. Wszystko prze pocone, wszystko skute mrozem. Całe ubranie zeszywniałe, jakby z desek uszyte. Przed oczami - pomarańczowe kręgi. Grupa nie wytrzymuje tempa marszu... Nie żreć śniegu!...

Powrywam!... Nie gap się daleko przed siebie -zdechniesz. Lepiej patrzeć pod nogi, cały czas - do ogłupienia. Machinalnie przestawiasz narty, nie irytuje nieosiągalny horyzont.

- Osły patentowane! Lenie! - wścieka się dowódca. -Patrzeć przed siebie! Wpadniemy w zasadzkę! Negatyw przegapił światelko po lewej. Uważaj, Negatyw, kijem zęby ci porachuję.

- Naprzód, dupy wołowe!

### VIII

Świta. W mroźnej mgle nad liliowymi wierzchołkami jodeł wypłynęło kosmate, nadęte słońce. Mróz hula w leśnych przesiekach.

Leżymy w zagajniku. Drugi raz tej nocy. Czekamy na powrót wysłanej na rozpoznanie czujki. Twarze trupio blade. Nogi jak kłody. Trzeba unieść je do góry, żeby krew odpłynęła. To przynosi ulgę. Radiotelegrafści leżą plecami na śniegu, nogi opierają o swoje kontenery. Pozostali też trzymają nogi w górę. Od *zrzutu* minęła doba. Cały czas w marszu. Co trzy, cztery godziny stajemy na kwadrans odpoczynku. Dwóch obserwuje sytuację, dwóch wyrusza na zwiad. Reszta kładzie się na plecach i z miejsca zasypia. Carl de la Duchesse odrzucił głowę, spod rozpiętej kurtki wypływa obłoczek pary. Płatek śniegu o nadzwyczaj regularnych kształtach powoli opadł na jego odsłonię-

tę gardło i zaraz się rozpląnął. Oczy mi się kleją. Jakby ktoś nasypał popiołu pod powieki. Dobrze by było zmrużyć oczy, zamknąć je i nie otwierać jakies sześćset minut. Dowódca grupy trze podbródek, zły znak. Jest w parszywym humorze. I zastępca jego Piącha też ponury. W kierunku węzła łączności armii pancernej sunęło równocześnie z różnych stron pięć grup dywersyjnych. Rozkaz był prosty: ci, którzy do trzeciej nad ranem zdołają dotrzeć do węzła, o godzinie 3.40 ruszą do ataku. Ci, którzy nie zdążą na czas nie wezmą udziału w akcji, obejdą węzeł łączności wielkim łukiem, po czyni ruszą do następnego celu. Nasza 43. grupa nie zdążyła. Dlatego ponury jest dowódca. Z oddali dobiegają odgłosy wybuchów i długie serie z broni maszynowej. To znaczy, że strzelają z bliskiej odległości. Dystans zerowy. Co najmniej trzy grupy dotarły na czas. Ale choćby zdążyła tylko jedna grupa, zdjęła wartę i pojawiła się w węzle łączności u schyłku lodowatej nieprzytulnej nocy... O, jedna grupa może masę zwojować przeciw węzłowi łączności, ogrzanemu w ciepłych kontenerach, przeciw spasionym łącznościowcom-okularnikom, przeciw rozpustnym i zawistnym telegrafistkom. Przykro dowódcy, że jego żołnierze nie zdążyli do tak ponętnego celu. Jest przekonany, że grupa lejtnanta Złego dotarła na czas. Pewnie i starszy sierżant Rek zdążył swoich chwatów doprowadzić na miejsce. Rek, to znaczy Rekin. Starszy sierżant ma zęby

ostre, mocne, ale nierówne, jakby rosły w dwóch rządach. Dlatego właśnie obdarzono go mianem Rekina. A może nie tylko dlatego. Zgrzyta nasz dowódca zębami. Jest oczywiste, że dzisiaj grupie nie popuści. Trzymać się, dupy wołowe.

## IX

Śpimy. Mija jedenasta doba tej operacji. W ciągu dnia nie sposób wychylić głowy. Śmigłowce latają bez przerwy. Na wszystkich drogach posterunki. Na skraju każdego lasu - zasadzka. Pojawiła się cała masa fałszywych obiektów: baterie raketowe, węzły łączności, punkty dowodzenia. Żołnierze Specnazu ruszają do ataku - i wpa-

dają w pułapki. Batalion stracił już dziesiątki grup dywersyjnych. Nie wiemy, ile. Co noc otrzymujemy zrzuty lotnicze: amunicję, ładunki wybuchowe, żywność, czasem spirytus. Taka troskliwość może oznaczać tylko jedno: nie zostało nas wielu. W tych dniach grupa wykryła linię radiotelefoniczną, o której istnieniu nasz sztab nie miał dotąd pojęcia. Badając kierunek anten nadawczych i odbiorczych grupa zlokalizowała też potężny węzeł łączności i punkt dowodzenia zapleczem. Piątego dnia operacji grupa po raz pierwszy uruchomiła nadajnik, by zakomunikować o swoim odkryciu. Głównodowodzący 13. Armii osobiście wyraził nam podziękowanie, po czym rozkazał wycofać się z tego rejonu. Z pewnością został obrobiony raketami, albo lotnictwem. Siódmego dnia grupa połączyła się z czterema innymi, tworząc oddział dywersyjny kapitana o przezwisku Czwarty Zbędny. Oddział w pełnym składzie przeprowadził atak na lotnisko, i to podczas ćwiczebnego startu pułku myśliwskiego. Bez strat oddalił się od prześladowców i rozbił się na drobne grupki. Nasza dotychczasowa 43. grupa chwilowo nie istniała, rozbita na dwie: 43-1. i 43-2. Teraz połączyły się na nowo. Ale z aktywnej pracy na razie nici: śmigłowce w powietrzu, posterunki na drogach, *zasadzki* w lasach, pułapki wokół obiektów strategicznych. A mimo to robimy swoją robotę: 8. Gwardyjska Armia Pancerna sparaliżowana niemal w stu procentach - zamiast prowadzić operacje bojowe zajmuje się wyłapywaniem dywersantów na własnych tyłach.

Dzień dobiega końca. Przez całą dobę nikt nas nie niepokoił. Wypoczęliśmy. Nasza grupa pozostaje niewykryta, bowiem dowódca jest przebiegły jak waż. Okazuje się, że wołają nań właśnie Waż. Wytropił nieprzyjacielski magazyn amunicji, i pod tym magazynem koczujemy od trzech dni. Tutaj założyliśmy swoją bazę, tu przechowujemy cały ciężki sprzęt. A po nocach część grupy bez zbędnego obciążenia wyrusza na dalekie wypady, dokonuje śmiałych napaści, wraca do bazy. Wszystkie pozostałe grupy, które ukrywały się w nieprzebytych borach dawno już zostały wytrzebione. A my się jeszcze trzymamy. Trudno przeciwnikom wyobrazić sobie, że naszą bazę mają pod samym

bokiem, i dlatego helikoptery nam nie dokuczają. A na zasadzki i posterunki trzeba uważać.

- No jak, dupy wołowe? Gotowi?

Grupa stoi gotowa do wymarszu. Narty przypięte, pasy i zaciski sprawdzone.

- Podskoki.

Przed wyruszeniem na akcje każdy musi podskoczyć kilka razy w miejscu, sprawdzić, czy nic nie brzęczy.

- Już czas. Naprzód.

X

Słuchaj, Szopen, wyobraź sobie, że jesteśmy naprawdę na wojnie. Zastępca dowódcy zginął, a dowódca ma przestreloną nogę. Ciągnąć go ze sobą, to wyrok na całą grupę, porzucić go, to samo. Nieprzyjaciel zmusi go do gadania, choćby miał mu wycinać wątrobę po kawałku. Specnaz nie wie, co to ewakuacja. Wyobraź sobie, Szopen, że przejąłeś dowodzenie grupą. Co poczniesz z rannym dowódcą?

Szopen bez słowa sięga do niewielkiej kieszonki na rękawie i wyciąga jednorazową strzykawkę: Błoga Śmierć.

- Bardzo dobrze, Szopen. Na wojnie mamy jedyny sposób przeżycia: zabijając swoich rannych własnoręcznie. - W notesie wpisuję kolejny plus.

Mija siedemnasty dzień od *zrzutu*. Aktywne działania prowadzi już tylko pięć, sześć grup Specnazu, w tym nasza. Grupa Rekina, grupa kapitana Złego dawno już wpadły. Dowódca 43. wyczuwa to szóstym zmysłem. Zarówno Rekin, jak Zły, to jego przyjaciele i rywale. Pewnie lejtnant Wąż myśli o nich w tej chwili, bo leciutki uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Gotowi? Podskoki. Dobra. Naprzód chłopcy. Już nie mówi na swoich żołnierzy „dupy wołowe”.

## Rozdział 4

### I

Idę po czerwonym dywanie. Nie było mnie tutaj 23 dni. Odzwyczailem się od ciszy, od dywanów, od ciepła. Zdziczałem. W ogóle człowiek bardzo szybko dziczeje i powraca do świata zwierząt łatwo i lekko, bez żadnych oporów.

Na korytarzu w sztabie cisza i spokój. Wszyscy syci, wypucowani, twarze starannie wygolone. Żadnego zziębniętego chrypienia dowódcy ani niecierpliwego skowytu psów na chwilę przed spuszczeniem ze smyczy.

Naszą 43. grupę dywersyjną pojmano jako jedną z ostatnich. Otoczono, zapędzono w wąwóz. Wszystko jak na prawdziwej wojnie. I psy były prawdziwe. A przecież czworonożny przyjaciel człowieka nie widzi żadnej różnicy: prawdziwa to nagonka, czy ćwiczebna... Jeden czort.

Zwinny, sprawny szeregowiec Kańczug nawet z tych tarapatów wyszedł obronną ręką. Jego pierwszego odbili od grupy i popędzili w stronę rzeki. Lody właśnie ruszyły, więc chcieli go dopaść na brzegu. Ale Kańczug zrzucił kurtkę, cisnął karabin - i popłynął, lawirując między, krą. Nie posłano helikoptera za jednym uciekinierem, ale j psy - nie w ciemną bite - skakać do wody nie chciały. Po 1 czterech dniach wrócił do koszar swojego batalionu, dój reszty wynędziały, w granatowym milicyjnym szynelu. [

Ukradł. Za ten wyczyn nagrodzono go stopniem sierżanta i piętnastodniowym urlopem. W batalionie nie on jeden taki chwyt. Wracają pojedynczo, na połamanych nartach, w poszarpanych kurtkach, krwawiąc z ran.

Naszą grupę pojmano w głębokim wąwozie, odcinając jej wszystkie drogi odwrotu. Przywieziono nas do koszar pułku MWD. Powitali jak starych kumpli, wyparzyli w łaźni, nakarmili, dobę dali się odespać. Dla schwytanych zawczasu wydzielono osobny barak i lazaret obsługiwał wyłącznie nas.

W łaźni żołnierze MWD spoglądają na nas z szacunkiem i przerażeniem: szkielety.

- Ciężka służba przypadła wam chłopcy w udziale.

Nikt nie oponuje. Ciężka. Tyle, że każdy rok w formacji Specnazu liczy się za półtora roku służby. Odsłużysz dziesięć lat - zapiszą piętnaście. Odpowiednio płacą nam po półtożej pensji, płacą za skoki, płacą specjalny dodatek za każdy dzień w terenie. A sadełko niebawem



się zawiąże. Odespałem zaległości. Wypocząłem. I oto znowu stąkam po miękkim dywanie. Sztab wita mnie żarcikami:

- Opowiedz, Witia, jak się odchudzałeś.

- Ej, zwiadowca, gdzieś się tak opalił? Twarz mam ogorzałą od mrozu, wiatrów i bezlitosnego zimowego słońca. Wargi czarne, spękane. Nos się łuszczy.

- Hej, stary, może w niedzielę na narty?

To okrutny żart. Takich żartów nie trawię. W ogóle po zaprawie w Specnazie najbardziej nienawidzę tych, co dobrowolnie przypinają narty, ot tak, bo nie mają niczego lepszego do roboty.

Udaję się do szefa wywiadu.

- Czy można? Towarzyszu podpułkowniku! O, przepraszam. ..

Na nowiutkich epoletach Krawcowa błyszczą zamiast dwóch - po trzy gwiazdki.

- Towarzyszu pułkowniku, starszy lejtnant Suworow melduje powrót z zadania ćwiczebno-bojowego!

- Cześć.

- Czołem, towarzyszu pułkowniku! Proszę przyjąć moje gratulacje.

- Dziękuję. Siadaj. - Patrzy na moją wychudzoną gębę. - Nieźle cię obciosало.

Wyspałeś się?

- Tak jest.

- Tutaj dużo pracy. Póki cię nie było, sporo zaszło na świecie. Wszystko zdążyłeś zapomnieć?

- Staralem się powtarzać wszystko w pamięci...

- Mam przepisać?

- Proszę.

- Śpangdahlem.

- Śpangdahlem: baza lotnicza Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych w Niemczech Zachodnich. 25 kilometrów na północ od miasta Trier. Stała baza 52. Taktycznego Skrzydła Myśliwców. Siedemdziesiąt dwa myśliwce RF-4. Jeden pas startowy. Długość: 3.050 metrów. Szerokość: 45 metrów. W skład skrzydła wchodzi...

- Wystarczy. Możesz odmaszerować.

II

Świat zmienia się w tempie błyskawicznym. Przez 23 dni nie miałem dostępu do informacji, i oto leżą przede mną grube teczki komunikatów, rozkazów, szyfrówek. Wiem

dobrze, że szef wywiadu nie chciał urazić mojej ambicji i *zadał* łatwe pytanie dotyczące obiektu stałego, bazy lotniczej. Gdyby spytał na przykład o 6. Zmotoryzowaną Dywizję Piechoty Bundeswehry, to nieuchronnie znalazłbym się w kropce. Sytuację trzeba obserwować z dnia na dzień, na gorąco, w przeciwnym razie zmieniasz się w kolportera zdezaktualizowanych informacji... A więc... „Ściśle tajne: agencja wywiadu Białoruskiego Okręgu Wojskowego wykryła wzmocnienie ochrony wyrzutni rakiet Pershing na terytorium RFN...”; „Ściśle tajne: Piąty Wydział Zarządu Wywiadowczego Floty Bałtyckiej zanotował całkowitą zmianę systemu kodowania w rządowych i wojskowych kanałach łączności w Danii...”; „Ściśle tajne: wywiad Sztabu Generalnego stwierdził...”; „Ściśle tajne: wywiad 11. Armii Gwardyjskiej Bałtyckiego Okręgu Wojskowego na terytorium RFN zarejestrował prace przy budowie szybów dla min jądrowych. Rozkazuję szefowi II Zarządu Głównego Sztabu Generalnego

nego, szefom wywiadów GSWG, SGW, CGW<sup>2</sup>, Bałtyckiego, Białoruskiego i Karpackiego Okręgów Wojskowych położyć szczególny nacisk na zbieranie wszelkich informacji odnośnie systemu min jądrowych na terytorium RFN. Szef Sztabu Generalnego generał armii Kulików...”

Dwadzieścia trzy dni temu nikt nie miał zielonego pojęcia o minach jądrowych... A w tej chwili kolosalne siły wywiadu agenturalnego rzucono z zadaniem rozpracowania tego tajemniczego systemu zachodniej obrony. Zmienia się także oblicze naszej armii: „Tajne: wyniki eksperymentalnych ćwiczeń 8. Powietrzno-Szturmowej Brygady Zabajkalskiego Okręgu Wojskowego...” Przed dwudziestoma trzema dniami takie brygady w ogóle nie istniały... „Ściśle tajne: rozkazuję wprowadzić do uzbrojenia artylerii przeciwpancernej wyrzutnię Malutka-M z triangulacyjnym systemem naprowadzania. Minister obrony marszałek Związku Radzieckiego A. Greczko.”; „Ściśle tajne: wyłącznie do wiadomości oficerów Specnazu... Dochodzenie w sprawie śmierci kursantów-obcokrajowców z Odeskiego Specjalnego Ośrodka Treningowego Specnazu podczas ćwiczebnych walk z «kukłami»... Rozkazuję nasilić kontrolę i ochronę... Zwrócić szczególną uwagę...”

Ten rozkaz czytam trzykrotnie. Jasne, jak należy postępować z „kukłą”, jak ją przechowywać i ochraniać. Tylko niejasne, co to takiego - „kukła”.

### III

Nielatwa sprawa szkolić cudzoziemców i agenturę Specnazu. My, radzieccy żołnierze tych jednostek, rozpoczniemy działania dopiero podczas wojny, a ci chłopcy, rozrzućni po

<sup>2</sup> Kryptonimy radzieckich sił zbrojnych stacjonujących w NRD, Polsce i Czechosłowacji [przyp. tłum.].

całym świecie, już dziś są w akcji. Bohatersko umierają za swoje światłe ideały, nawet nie podejrzewając, że są w szeregach Specnazu. Zdumiewający ludzie! My ich trenujemy, tracimy miliony na ich utrzymanie, rzucamy na szalę reputację naszego państwa, a ci uważają, że są niezależni. Trudno sobie z nimi poradzić. Zjeżdżając do nas na szkolenie przynoszą ze sobą ducha zadziwiającej zachodniej bez troski. Są naiwni jak dzieci i wielkoduszni jak bohaterowie powieści. W ich sercach płonie ogień, a w głowach mętlik przesądów. Podobno niektórzy uważają, że nie wolno zabijać ludzi podczas wesela, a inni są zdania, że nie wolno zabijać podczas pogrzebu. Dziwacy. Przecież cmentarz wymyślono dla umrzyków.

Specjalny Ośrodek Treningowy ma za zadanie wybić im te romantyczne głupoty z głów. Też szczuje się ich psami, też zmusza się do biegania po rozżarzonych węglach. Uczą ich nie bać się wysokości, krwi, szybkości, nie lękać się śmierci. Ci chłopcy nie raz demonstrują światu swoją pogardę wobec śmierci, cudzej i własnej, gdy w okamgnieniu opanowują samolot lub ambasadę. Specjalny Ośrodek uczy ich sztuki zabijania. Uczy, jak zabić umiejętnie, spokojnie, z przyjemnością. Ale co też w tym programie może się kryć pod słowem „kukła”?

Nasz system ochrony tajemnic wojskowych został udoskonalony, dopracowany do perfekcji. Likwidujemy tych, którym może się coś zbyt cennego wypsnąć; otaczamy ścisłą tajemnicą kolosalną liczbę faktów, często nie będących żadną rewelacją. Strzeżemy sekretów poprzez szczególny system selekcji osób, poprzez system upoważnień, poprzez system pionowego i poziomego ograniczania dostępu do ściśle tajnych informacji. Na ich straży stoją wartownicy, psy, urządzenia alarmowe, sejfy, pieczęcie, pancerne drzwi, totalna cenzura. Strzeże ich specjalnie w tym celu opracowany język, szczególny żargon. Jeżeli ktoś potrafi nawet wdrzeć się do naszych sejfów, to i tak niewiele zdoła zrozumieć.

Kiedy mówimy o wrogach, używamy normalnych, powszechnie zrozumiałych określeń: rakiet, głowic jądrowych, broni chemicznej, dywersantów, szpiegów. O naszych mówimy: „wyrób Gcz”, „spec. broń”, „Specnaz”, „specjalne źródło”. Wiele terminów posiada po kilka znaczeń. W zależności od kontekstu słowo „czystka” może oznaczać wyrzucenie z partii, albo masową eksterminację ludności.

Jedno normalne słowo może mieć wiele żargonowych synonimów. Radzieckich dywersantów można nazwać ogólnikowo Specnaz, ale też mówi się o nich „głęboki

zwiad”, „turyści”, „ciekawscy”, „rajdowcy”. Cóż więc kryje się w tej terminologii za enigmatycznym pojęciem „kukły”? Czy „kukły” stosuje się również w szkoleniu radzieckich żołnierzy, czy jest to przywilej zarezerwowany dla zagranicznych kursantów? Czy istniały

przedtem, czy też jest to innowacja, podobnie jak brygady powietrz-no-szturmowe?

Zamykam teczkę z mocnym postanowieniem dowiedzieć się znaczenia tego dziwnego terminu. Jest tylko jeden sposób: udawać, że wiem, w czym rzecz, i czekać, aż ktoś naprawdę poinformowany niechcący wygada jakiś dodatkowy szczegół. Czasem starczy mały detal, by domyślić się reszty.

#### IV

Sposób zakamuflowania 296. samodzielnego batalionu rozpoznania Specnazu dowodzi znajomości *rzeczy*, wręcz pewnego gustu. W skład 13. Armii wchodzi pułk łączności, obsługujący sztab i punkty dowodzenia. Przez ten pułk bezustannie przepływają informacje wagi państwowej, i dlatego jest szczególnie chroniony. Na terenie pułku znajduje się wydzielony obszar - i tam właśnie stacjonuje nasz batalion. Wszyscy dywersanci noszą mundury wojsk łączności. Wszystkie ciężarówki batalionowe mają zamknięte budy, jak pojazdy łącznościowców. Postronny obserwator zauważy pułk łączności i nic poza tym. Co więcej, nawet w samym pułku większość żołnierzy i oficerów jest przekonana, że w jego skład wchodzi trzy zwyczajne bataliony łączności, oraz jeden wydzielony, specjalnie chroniony; pewnie rządowa sieć komunikacyjna.

Również w samym batalionie niemało jest tajemnic. Wielu komandosów Specnazu sądzi, że batalion liczy trzy kompanie spadochronowe, składające się ze zwyczajnych, tyle że silnych i bardzo odpornych żołnierzy. Dopiero teraz dowiedziałem się, że jest inaczej. Prócz trzech kompanii jest jeszcze pluton specjalny, złożony wyłącznie z zawodowców. Pluton stacjonuje osobno, z dala od batalionu. Jest przeznaczony do wykonywania szczególnie trudnych *zadań*. O jego istnieniu dowiedzia-

łem się tylko dlatego, że jako oficerowi informacji polecono mi szkolić tych ludzi w zakresie mojej specjalności: prawidłowego i szybkiego odnajdywania ważnych obiektów na terytorium przeciwnika. Po raz pierwszy udaję się do specjalnego plutonu i mam lekką treść. Wiezie mnie osobiście pułkownik Krawców. On dokona mojej prezentacji.

- Zgadnij, jaki kamuflaż wymyśliliśmy dla tego plutonu?

- Towarzyszu pułkowniku, to przekracza moje możliwości. Nie mogę przeprowadzić analizy nie posiadając żadnych elementów.

- Postaraj się mimo wszystko. Będzie to test na inteligencję. Przedstaw sobie, jak wyglądają, masz przecież wystarczającą wyobraźnię, po czyni postaw się na miejscu szefa wywiadu 13. Armii i spróbuj ich wykryć.

- Powinni być doskonale obeznani z terenem, na którym przyjdzie im działać, dlatego

muszą często wyjeżdżać za granicę. Powinni być świetnie wytrenowani... Gdyby to ode mnie zależało, towarzyszu pułkowniku, zmontowałbym z nich drużynę sportową. Kamuflaż, możliwość częstych podróży zagranicznych...

- Słusznie! - śmieje się Krawców. - Proste jak drut. Uchodzą za drużynę CWKS: spadochroniarze, biegacze, strzelcy, bokserzy, zapaśnicy. Każda armia i każda flota ma podobną. Każdy okręg wojskowy, eskadra czy zgrupowanie mają jeszcze silniejsze i lepiej wytrenowane ekipy sportowe. Pieniądzy na rozwój sportu nie żałujemy. A gdzie byś umieścił ośrodek kondycyjny naszych „sportowców”?

- W Dubrowicy.

Jest wywiadowcą. Potrafi się opanować. Tylko zęby zgrzytnęły, i mięśnie szczęk zadrgały.

- Dlaczego właśnie w Dubrowicy?

- Kochana 13. Armia dysponuje tylko jednym karnym batalionem dla niepokornych: w Dubrowicy. Więzienie wojskowe. Z naszej dywizji często wygarniali żołnierzyków na zwiedzanie tego ośrodka. Wysokie płoty, wściekłe psy, gęste zasieki z drutu kolczastego. Dość wydzielić jeden sektor: idealne miejsce na najbardziej

tajne obiekty. Ludzi można przywozić w więziennych budach, nikt nawet nie zauważy...

- A mało to w naszej 13. Armii dobrze strzeżonych obiektów? Na przykład APRTB<sup>3</sup>...

- W APRTB nie ma miejsca dla „kukieł”, towarzyszu pułkowniku...

Posłał mi tylko długie, ciężkie spojrzenie, ale nie powiedział ani słowa.

V

Tylko w jesienną noc można ujrzeć tyle gwiazd. Tylko zimą, wrześnieją nocą wybijają się tak wyraźnie, jakby srebrne pluskiewki na czarnym aksamicie.

Ileż ich patrzy na nas z zimnej czarnej otchłani! Jeśli spojrzymy na Wielką Niedźwiedzicę, to tuż koło jasnej gwiazdy, tej przy załamaniu dyszla, można dostrzec jedną gwiazdkę zupełnie malutką. Być może wcale nie jest malutka, lecz po prostu bardzo oddalona. Być może jest to wielkie świecidło otoczone dziesiątkami planet. A może to galaktyka, z miliardami gwiazd...

Nie jesteśmy sami we Wszechświecie, to oczywiste. W kosmosie są miliardy planet, bardzo podobnych do naszej. Na jakiej podstawie mielibyśmy uważać, że stanowimy wyjątek? Nie jesteśmy wyjątkiem. Jesteśmy tacy sami, jak wszyscy inni. Możemy się *różnić*

<sup>3</sup> Armiejskaja Podwiżnaja Rakieto-Tiechniczeskaja Baza -jednostka odpowiedzialna za transport, składowanie i obsługę techniczną

co najwyżej kształtem i kolorem oczu. Mieszkańcy jednej planety mają oczy błękitne, jak pułkownik Krawców, ktoś inny ma oczy zielone, trójkątne, z odcieniem szmaragdu. Ale na tym, najwyraźniej, kończą się wszelkie różnice. Pod każdym względem jesteśmy jednakowi - co jeden to zwierzę. Naturalnie, bywają różne zwierzęta: myślące, cywilizowane i bezmyślne. Jedne różnią się od drugich tym, że starają się zamaskować swoją zwierzęcą naturę. Dopóki mamy dość żywności, ciepła i samic, dopóty stać nas na dobroć i współczucie. Ale gdy tylko natura i los stawiają sprawę na ostrzu noża - jeden ma przeżyć, drugi zdechnąć - bez wahania wpijamy się pożółkłymi kłami w gardło sąsiada, brata, matki.

Każdy z nas jest bestią. Ja - z pewnością, i nie staram się tego ukryć. I mieszkaniec dwunastej planety krążącej wokół pomarańczowego słońca, zagubiony w otchłani bezimiennej galaktyki - to również zwierzę, tyle że udaje dobrego, I szef wywiadu 13. Armii pułkownik Krawców to też zwierzę. To bestia, jakich mało. O, siedzi sobie przy ognisku, patykiem żar rozgarnia. Niewysoki, *zadbany*, przystojna młoda twarz, z lekka wyniosła. Szeroki, ujmujący uśmiech, ale kąciki ust zawsze trochę opuszczone: oznaka opanowania i determinacji. Drużgocące, przenikliwe spojrzenie sprawia, że rozmówca zaczyna mrugać, spuszczać wzrok. Wypielegnowane, nieproleta-rłackie dłonie. W szlifach pułkownika bardzo mu do twarzy. Ludzie jego pokroju miewają czasem dziwaczne skłonności. Niektórzy zbierają ponoć zardzewiałe kopiejki. Ciekawe, jaką pasję ma nasz pułkownik? Dla mnie, dla nas wszystkich jest prawdziwą zagadką. Wiemy o nim bardzo mało; on wie o każdym z nas wszystko. To zwierzę. Niepozorne, krwiożercze, śmiertelnie niebezpieczne. Wie, czego chce, i *zmierza* prosto do celu. *Znam* jego gwiazdę przewodnią. Na imię jej WŁADZA.

Siedzi przy ognisku i czerwone odblaski miotają się po jego męskiej twarzy. Czarny regularny profil. Czerwone cienie. Nic więcej. Żadnych przejsć. Żadnych kompromisów. Jeśli popełnię choć jeden błąd, zgniecie mnie, zniszczy. Jeżeli go oszukam, wyczyta to z moich oczu. Potężny łeb.

- Suworow, chcesz o coś zapytać?

Jesteśmy sami przy ognisku, w niewielkiej zapadlinie zagubionej w bezkresnym stepie. Nasz samochód stoi ukryty w zaroślach, kierowca odpoczywa. Czeka nas długa jesienna noc.

- Tak, towarzyszu pułkowniku, dawniej już chciałem was zapytać... Macie pod swoimi rozkazami setki młodych, sensownych, doskonale zapowiadających się oficerów, świetnie wyszkolonych, o wykwintnych manierach... A ja jestem chłop, nie czytałem wielu książek,

o których mówicie, nie jest mi łatwo w waszym kręgu... Nie interesują mnie pisarze i malarze, którymi wy się zachwycacie... Dlaczego wybraliście właśnie mnie?

Długo krząta się przy czajniku, najpewniej zastanawiając się, czy ma powiedzieć jak zwykle coś o mojej pracowitości i pojętności, czy wyłożyć prawdziwe powody. W czajniku warzy morderczy napój: mieszankę kawy z koniakiem. Wypijesz, i przez dobę oka nie zmrużysz.

- Powiem ci, Wiktor, całą prawdę, bo sam ją rozumiesz, bo trudno cię oszukać, bo powinienes ją znać. Żyjemy w okrutnym świecie. Jedyna szansa przeżycia, to piąć się do góry. Jeżeli staniesz w miejscu, stoczysz się w dół i zatratują cię ludzie, którzy po twoich gnatach gramolą się wzwyż. Nasz świat to krwawa bezkompromisowa walka systemów, a zarazem walka jednostek. W tej walce każdy potrzebuje pomocy i wsparcia. Ja też potrzebuję pomocników, zdecydowanych na wszystko, gotowych w imię zwycięstwa podjąć śmiertelne ryzyko. Muszę mieć pewność, że nie zdradzą mnie w najtrudniejszej chwili. Aby to osiągnąć, istnieje tylko jeden sposób: wybierać pomocników z samych dołów. Zawdzięczasz mi wszystko i jeżeli mnie wywalą, to wywalą również ciebie. Jeśli wszystko utracę, to i ty stracisz wszystko. Wyciągnąłem cię z tłumu nie z uwagi na twoje zdolności, lecz dlatego, że jesteś człowiekiem z tłumu. Nie jesteś nikomu potrzebny. Wystarczy, że coś mi się przydarzy, i znowu wylądujesz w tłumie, tracąc władzę i przywileje. Ten sposób doboru pomocników i ochrony osobistej jest stary jak świat. Tak postępowali wszyscy władcy. Zdradzisz mnie, stracisz wszystko. Mnie dokładnie tak samo wyłowiono z motłochu. Mój protektor pcha się do góry i ciągnie mnie za sobą. *Licząc* na moje wsparcie w każdej sytuacji. Jeżeli on zginie, komu będę potrzebny?

- Wasz protektor to generał-lejtnant Obaturów?

- Tak. Wziął mnie do swojej grupy, kiedy był jeszcze majorem, a ja lejtnantem... Niezbyt fortunnym.

- Ale i on komuś służy. Jego też ktoś ciągnie w górę?

- Ma się rozumieć. Ale to już nie twoja sprawa. Możesz być pewny, że jesteś w odpowiedniej grupie i że generał-lejtnant Obaturów ma wpływowych protekto-

rów w Sztabie Generalnym. Ale ja znam cię dobrze, Su-worów. Czuję, że nie tu cię boli. W czym *rzecz*?

- Opowiedzcie mi o Akwarium.

- To też już wiesz? Tego słowa nie mogłeś nigdzie usłyszeć. Znaczy, gdzieś je widziałeś. Zaraz, zaraz, powiem ci, gdzie je widziałeś.

- Na odwrocie portretu.

- Ach tam? Słuchaj uważnie, Suworow: nigdy nikogo o to nie pytaj. Akwarium zbyt poważnie traktuje własne tajemnice. Ty zapytasz, a oni wezmą cię na hak. Nie, ja nie żartuję. Za żebro, i w górę. Nie powinienem ci mówić o Akwarium. Mógłbyś opowiedzieć to komuś, a on jeszcze komuś, potem nastanie moment, gdy wypadki potoczą się inaczej i kogoś aresztują, dowiedzą się, gdzie usłyszał to słowo, on wskaże ciebie, a ty mnie.

- Sądzicie, że jeśli zaczną mnie torturować, sypnę wasze nazwisko?!

- Co do tego nie mam wątpliwości, i ty też możesz być pewny. Tylko głupcy powiadają, że twardy wytrzyma na torturach, a słabeusz pęka. Bzdury. Po prostu są dobrzy oficerowie śledczy albo źli. Akwarium ma dobrych śledczych... Jeżeli trafisz na konwejer, przynasz się do wszystkiego, łącznie z tym, czego nigdy nie było... Ale... ja wierzę, Wiktor, że ani ty, ani ja nie wylądujemy na konweje-rze, i dlatego powiem ci coś niecoś o Akwarium...

- Co za rybki tam pływają?

- Tylko jeden gatunek: piranie.

- Pracowaliście w Akwarium?

- Nie, ominął mnie ten zaszczyt. Może kiedyś, w przy szłości... pewnie uważają, że nie mam jeszcze dość ostrych zębów. No więc słuchaj. Akwarium to centralny gmach II Zarządu Głównego Sztabu Generalnego, znaczy się Głównego Zarządu Wywiadowczego GRU. Wywiad wojskowy istnieje pod różnymi nazwami od 21 października 1918 roku. W owym czasie Armia Czerwona stanowiła już potężny organizm. Armią kierował Sztab Generalny, jej mózg. Ale posunięcia Sztabu cechowała powolność i brak precyzji: organizm był ślepy i głuchy. Wszelkich informacji dotyczących przeciwnika dostarczała CzK. To tak, jakby mózg rejestrował infor-

maeje przekazywane nie przez własne oczy i uszy, lecz dostarczane z zewnątrz. A i czekał zawsze traktowali zapotrzebowania pochodzące od wojska jako drugorzędne. Inaczej zresztą być nie może: tajna policja ma swoje priorytety, a Sztab Generalny swoje. I choćby nie wiem ile dostarczano mu informacji, nigdy nie będzie dość. Wyobraź sobie, że następuje fiasko operacji. Kogo pociągnąć do odpowiedzialności? Sztab Generalny zawsze może powiedzieć, że nie miał odpowiednich informacji o przeciwniku, i stąd klapa. I zawsze będzie miał słuszość, bowiem choćbyś nagromadził diabli wiedzą ile danych, szef Sztabu Generalnego zawsze może zadać ci jeszcze milion pytań, które pozostaną bez odpowiedzi. Oto powód, dla którego zdecydowano przekazać wywiad wojskowy w jego ręce. Od tej



chwili jeżeli brakuje informacji, sprawa jest jasna: jest to wina samego Sztabu.

- I KGB nigdy nie dążyło do przejęcia kontroli nad GRU?

- Zawsze. Również dziś. Jeden raz udało się to Jeżowo-wi: był jednocześnie szefem NKWD i wywiadu wojskowego. Zapłacił za to własną głową: skupił w swoich rękach zbyt wielką władzę. Posiadał wyłączną kontrolę całej tajnej działalności. W oczach najwyższego kierownictwa jest to straszliwy monopol. Dopóki istnieją przynajmniej dwie tajne organizacje, toczące między sobą skrytą walkę, dopóty można nie obawiać się spisku w łonie jednej z nich. Póki są dwie organizacje, działa prawo konkurencji i obie lepiej pracują. Dzień, w którym jedna z nich pochłonie drugą, będzie ostatnim dniem istnienia Politbiura. Ale Politbiuro do tego nie dopuści. Działalność KGB ogranicza się do wrogich organizacji. Wewnątrz kraju MWD wykonuje bardzo podobną robotę. MWD i KGB gotowe są pożreć się wzajemnie. Ponadto w kraju funkcjonuje jeszcze jedna tajna policja: Kontrola Ludowa. Stalin, nim został dyktatorem, stał na czele tej właśnie instytucji. A za granicą przeciwwagę dla tajnej działalności KGB stanowi Akwarium. GRU i KGB toczą nieustanną walkę o źródła informacji, i dlatego obie instytucje odnoszą takie sukcesy.

Milczę, trawiąc wszystko, co usłyszałem. Przede mną długa noc. Trzydzieści metrów od nas w wierzbini ukryty jest wielki nadmuchiwany model rakiety Pershing - do-

kładna kopia amerykańskiego oryginału. Ubiegłej nocy cały batalion Specnazu zrzucono niewielkimi grupkami z dala od tego miejsca. Zawody. Marszruta - 307 kilometrów. Na trasie pięć punktów kontrolnych: rakiety, radar, sztab. Grupa, która pierwsza przebędzie ten dystans wykrywając wszystkie obiekty i komunikując ich dokładne współrzędne, otrzymuje urlop i złoty zegarek dla każdego. Wszyscy żołnierze zwycięskiej grupy zostaną młodszymi sierżantami, sierżanci - starszymi sierżantami.. Przemarsz grup kontrolują wyżsi oficerowie wydziału wywiadowczego. Sam Krawców zwykle lata śmigłowcem wzdłuż trasy, jednak dziś postanowił udać się na punkt kontrolny i na pomocnika wybrał mnie.

- *Zdaje się, że nadchodzą.*

- *Potem pogadamy.*

VI

Kilka kamyków poruszonych nieostrożnym stąpieniem stacza się w dół. Do rozpadliny bezszelestnie jak wąż wślizguje się gigantyczny cień. Płomień ogniska w pierwszej chwili oślepił barczystego dywersanta. Wpatruje się w nasze twarze i, rozpoznając Krawcowa, melduje:

- *Towarzyszu pułkowniku, 29. grupa rajdowa drugiej kompanii Specnazu. Dowódca*

sierżant Poliszczuk.

- Witamy, sierżancie.

Sierżant odwraca się w stronę grupy i cicho gwizdże, naśladowując głos susła. Po nasypie zatrzeszczały podeszwy dywersantów. Dwaj zajmują stanowiska na grzbiecie: obserwacja i obrona. Telegrafista błyskawicznie montuje antenę. Dwaj inni rozciągają brezent: pod płachtą będzie czarował szyfrant grupy. Zwyczajny śmiertelnik nie ma prawa znać tajemnicy komunikatów, dlatego szyfranta na czas pracy zawsze przykrywa się brezentem. W warunkach bojowych dowódca grupy odpowiada głową za jego bezpieczeństwo - no i za bezpieczeństwo szyfrów, ma się rozumieć. Gdyby grupa *znalazła* się w zagrożeniu, dowódca ma obowiązek zabić szyfranta, a księgę kodów i aparaturę szyfrującą zniszczyć. Jeżeli tego nie wykona, odpowie głową nie tylko on osobiście, ale również cała grupa.

Komunikat już gotowy, widzimy go wszyscy. Zwyczajna taśma filmowa z kilkoma rzędami perforacji. Wsuwa się ją prosto do radiostacji. Nadajnik jeszcze nie jest włączony ani wyregulowany. Telegrafista śledzi wskazówkę chronometru, i raptem wciska guzik. Radiostacja włącza się, nastroja automatycznie na właściwą częstotliwość, wciąga w swe czeluści perforowaną kliszę, i za moment ją wypluwa. Gasną kolorowe lampki na nadajniku. Cały seans łączności nie trwał dłużej niż sekundę. Radiostacja dosłownie strzela ładunkiem informacji.

Szyfrant przykładła do taśmy zapaloną zapałkę; złośliwy syk - i w mgnieniu oka taśma znika. Tylko z wyglądu przypomina zwyczajny film. Spala się równie szybko, jak nadajnik przesyła zakodowany komunikat.

- Gotowi? Podskoki! Dobra! Naprzód marsz!

Ostry jest sierżant Poliszczuk, wymagający. *Zajeździ* swoją grupę, nie da chwili wytchnienia. Na razie wszystko gra. Ale nie mów hop, dopóki nie przeskoczysz. Co będzie jeżeli grupa zdechnie po pierwszych dwustu kilometrach? Dowódcom pozostawiono dużo swobody w podejmowaniu decyzji. Chcesz - możesz *zatrzymać* grupę. Chcesz - połóż ją spać. Chcesz - rób postój co 10 minut. Tylko jeśli grupa wylądje wśród dziesięciu najsłabszych, to jednego możesz być pewny: spadną z twoich naramienników sierżanckie belki i zostaniesz zdegradowany do stopnia szeregowca; na twoje miejsce czyha już wielu chętnych.

- Towarzyszu pułkowniku, 11. grupa pierwszej kompanii. Dowódca sierżant Stolarz.

- Witajcie, sierżancie. Róbcie swoje, nie zwracajcie na nas uwagi.

- Tak jest! Nosorożec i Brzydkie Kaczętko, na nasyp!

- Tak jest!
- Rzygacz!
- Rozkaz!
- Dawaj łączność.
- Jest łączność!
- Gotowi? Podskoki! Dobra! Naprzód marsz!

Teraz grupy posypią się jedna po drugiej. Tak to jest zawsze na zawodach. Kilka grup wymyka się daleko do przodu, następnie idzie w krótkich odstępach - albo

i bez odstępów - główna masa, na końcu spóźnialscy, ci, którzy wypadli z trasy. Niektórzy odpoczywają przy naszym ognisku godzinę, inni dwie. Niektórzy stają tylko na chwilę, by nawiązać łączność, przekazać doniesienie - i dalej w drogę. Tuż koło nas kilka grup szykuje sobie niewymyślną kolację. Na manewrach nie wolno rozpalać ogniska, i komandosi gotują na suchym paliwie. Ale na zawodach nie zabrania się korzystać z ognia. Na zawodach liczy się przede wszystkim dokładność orientacji, szybkość, precyzja wyznaczania współrzędnych i łączność. Reszta jest mało ważna.

Od ogniska dochodzą smakowite zapachy. Dywersanci pieką kurę. Pieką ją specjalnym sposobem: obcieli głowę i łapki, wypatroszyli, ale nie oskubali, oblepili grubą warstwą mokrej gliny - i do żaru. Aromat roznosi się na wszystkie strony. Wkrótce kura upieczona. Odłupuje się warstwę wypalanej gliny, razem z gliną odchodzi całe pierze, i ociekający tłuszczem ptaszek gotów na stół.

- Towarzyszu pułkowniku, zapraszamy do nas.
- Dziękuję. Gdzieście wytrzasnęli kuraka?
- Dziki, towarzyszu pułkowniku. Bezdomny.

Podczas zawodów chłopcy ze Specnazu nierzadko „dzikiego” prosiaczka zdobędą, albo kurę czy kogucika. Czasem trafią się dzikie ziemniaki, dzikie pomidory i ogórki, dzika kukurydza. Inna grupa właśnie gotuje kukurydzę w wielkim czajniku.

- A skąd czajnik?

- Jak by tu powiedzieć. Leżał na drodze. Pomyśleliśmy, że niepotrzebnie się marnuje. Skosztujcie kukurydzy! Znakomita.

Krawców ma zasadę przyjmować każde zaproszenie prostego żołnierza z wdzięcznością, jakby go zapraszał szef sztabu okręgu albo sam głównodowodzący. Bez żadnej różnicy. Wokół ogniska zapanowało ożywienie.

Żartownis z pułkownika. Każdy dywersant gotów w ogień za niego skoczyć. Niełatwo

pozyskać sobie u nich taki mir. Podporządkowują się każdemu przełożonemu, ale szanują bynajmniej nie każdego, i przebiegły komandos znajdzie tysiąc sposobów, by *okazać* dowódcy szacunek, albo jego brak. A za co szanują Kraw-

cową? Za to, że nie ukrywa swojej zwierzęcej natury i ukryć się nie stara. Dywersanci wierzą głęboko, że ludzka natura jest nieodwołalnie zepsuta. Wiedzą to najlepiej. Każdego dnia ryzykują własne życie i każdego dnia mają okazję obserwować człowieka na granicy śmierci. Wszystkich ludzi dzielą na dobrych i złych. Dobry, to - w ich pojęciu - człowiek, który nie ukrywa siedzącego w nim zwierzęcia. A taki, co usiłuje udawać dobrego, jest wręcz niebezpieczny. Najgroźniejsi są ci, którzy sami głęboko wierzą, że są dobrzy. Odrażający, ohydny przestępca może zamordować jednego człowieka, dziesięciu, stu, ale nigdy nie zabija milionów. Miliony mordują ci, którzy mają się za samą dobroć. Osobnicy pokroju Robespierre'a nie wywodzą się spośród zbrodniarzy, lecz właśnie spośród dobrych, humanitarnych. Gilotyny też nie wymyślili przestępcy, ale humaniści. Najstraszliwsze zbrodnie w dziejach cywilizacji są dziełem ludzi, którzy nie pili, nie palili, nie zdradzali swoich żon i karmili wiewiórki z ręki.

Chłopcy, z którymi wcinamy właśnie kukurydzę, są przekonani, że człowiek może być dobry tylko do określonej granicy. Jeżeli życie przyciśnie, ludzie dobrzy staną się źli, i może to nastąpić w najbardziej niewłaściwej chwili. Aby nie dać się zniecka zaskoczyć taką przemianą, lepiej nie mieć z dobrymi do czynienia. Lepiej zadawać się z tymi, którzy dzisiaj są źli. Wiesz przynajmniej, czego możesz oczekiwać, gdy fortuna kły wyszczerzy. Pod tym względem dla nich pułkownik Krawców to swój gość. Powiedzmy, idzie ulicą piersiasta dziwa. Pośladki przewalają się, jak dwa arbuzy w siatce. Co dywersant robi w takiej sytuacji? Ano, przynajmniej wzrokiem ją zgwałci, jeżeli nie można inaczej. Pułkownik Krawców zachowa się identycznie, bez żenady. Za to go szanują. Niebezpieczny jest ten, kto nie ogląda się za kobietą. Niebezpieczny jest ten, kto stara się pokazać, że go te rzeczy w ogóle nie interesują. Tacy właśnie bywają skrytymi sadystami i zabójcami.

Krawców nie należy do tej kategorii. Lubi płeć piękną (a kto nie lubi?) i nie czyni z tego tajemnicy. Lubi władzę - po cóż miałby się kryć ze swoją namiętnością?

A lubi ją bardzo. Każdą władzę. Poczulem to, gdy po raz pierwszy zobaczyłem, jak bił „kukłę”. Była to apoteoza siły i bezwzględnej władzy.

„Kukła” to człowiek. Człowiek do treningu. Gdy toczysz walkę ze swoim towarzyszem, wiesz z góry, że cię nie zabije. On też wie, że go nie zabijesz. Dlatego taka

walka traci sens. Natomiast „kukła” może cię *zabić*, a i ciebie nikt nie zgani, jeżeli połamiesz jej żebra, albo przetrącisz kręgosłup.

Mamy odpowiedzialną pracę i ręka nie ma prawa nam *zadrzeć* w krytycznej chwili. I nie zadrzy. Żeby nasi dowódcy byli o tym całkowicie przekonani, podsuwają nam do treningu „kukły”. To nie myśmy wpadli na ten pomysł. „Kukła” była w użyciu już znacznie wcześniej, ale nazywano ją inaczej. W CzK mówiono o niej „gladiator”, w NKWD - „wolontariusz”, w SMIERSZ-u<sup>4</sup> - „robinson”, u nas - „kukła”.

„Kukła” jest to przestępca, skazany na karę śmierci. Podeszłych wiekiem, chorych, słabowitych, tych, którzy za dużo wiedzą, likwiduje się zaraz po ogłoszeniu wyroku. Ale co silniejszych i krzepkich wykorzystuje się jeszcze przed śmiercią dla wzmocnienia potęgi naszego państwa. Krążą pogłoski, że skazanych na śmierć posyła się do kopalni uranu. Bzdura. Uran wydobywają zwyczajni więźniowie. Skazanego na śmierć wykorzystuje się znacznie bardziej produktywnie. Na przykład robi się zeń „kukłę” w Specnazie, z pożytkiem dla obu stron. My możemy ćwiczyć kolejne chwyt, nie patyczkując się z przeciwnikiem, a dla niego to odroczenie kaźni.

Dawniej gladiatorów czy „kukieł” starczało dla wszystkich. Teraz brakuje. Wszystkiego u nas brak. A to mięsa, a to chleba, no i wreszcie zabrakło „kukieł”. A *zapotrzebowanie* bynajmniej nie maleje - i powstaje wąskie gardło. Dlatego zaleca się w miarę ostrożne używanie „kukieł”, by służyły jak najdłużej. Ta dyrektywa nie wpływa w istotny sposób na przebieg ćwiczeń. Tobie nie wolno partnera za bardzo kaleczyć, ale on nie ma żadnych hamulców. W każdej chwili może wpaść w furję. Nie ma nic do stracenia. Może ci śmiało kark ukreć. Dlatego walka z „kukłą” przynosi stokroć więcej pożytku, niż ćwiczenia z instruktorem, albo kolegą. Zmagania z „kukłą” to prawdziwa walka, prawdziwe ryzyko.

W całym batalionie Specnazu tylko jeden wydzielony pluton zawodowców jest dopuszczony do treningu z „kukłami”. Trzy zwyczajne kompanie dywersyjne nie mają w ogóle pojęcia o ich istnieniu. Pluton specjalny stacjonuje osobno, ukryty w Dubrowicy, wewnątrz karnego batalionu. Teren jest dobrze strzeżony i znalazło się tam miejsce dla „kukieł”.

Krawców nie lubi darmo ryzykować, ale lubi władzę. Dlatego za każdym razem, gdy trafi do Dubrowicy, wkłada dres i idzie sam potrenować na „kukłach”. Ćwiczy długo, zapamiętałe. Twardziel.

## VII

Tochę wody, pół puszki kawy rozpuszczalnej, solidna porcja koniaku - i na ogień. Ten

<sup>4</sup> W latach 1943-46 kontrwywiad wojskowy, podległy Ludowemu Komisariatowi Obrony [przyp. tłum.l.]

barbarzyński wywar musi się długo gotować. Wystarczy kilka łyków, i skaczesz jak młode kozłę. Przyjemny aromat łaskocze powonienie.

Szary świt. Zimna mgła. Gryzący dym od ogniska. Znowu zostaliśmy sami.

- Wiele Bezpieka naszej krwi wyszała?

- Masz na myśli całą armię, czy tylko GRU?

- I armię, i GRU.

- Wiele.

- Dlaczego tak wyszło?

- Byliśmy bardzo naiwni. My służyliśmy Ojczyźnie, a czekiści służyli samym sobie i partii.

- Czy to się może jeszcze powtórzyć?

- Tak, jeżeli będziemy równie naiwni, jak dawniej...

Warzy swoją miksturę, a mnie się widzi, że to mój los się waży. Nie przypadkiem *znalazł* się ze mną sam na sam w odludnym stepie. Nie przypadkiem prowadzi takie rozmowy. Opowiadając o Akwarium powierzył mi swój los. Przecież mogę go zniszczyć. Po co idzie na takie ryzyko? Ani chybi spodziewa się po mnie tego samego.

Jestem gotów ryzykować razem z Krawcowem i dla niego. Ale jak mam to wyrazić?

- Nie możemy dopuścić, by to się powtórzyło. W imię dobra naszej Ojczyzny musimy być silni. Armia nie może ustępować siłą KGB...

Nagle czuję, że tu właśnie czegoś ode mnie oczekuje i z miejsca podchwytuję:

- Nie możemy im na to pozwolić. Monopol władzy w rękach czekistów może zadusić radziecką władzę...

- Ale monopol władzy wojskowej też może zniszczyć władzę radziecką. Tego się, Wiktor, nie obawiasz? - Patrzy mi prosto w oczy.

- Nie.

- Co byś robił na moim miejscu? Na miejscu radzieckich marszałków i generałów?

- Utrzymywałbym ściśle kontakty z kolegami. Jeżeli jeden jest zagrożony, wszyscy generałowie i marszałkowie powinni go bronić. Musimy być solidarni.

- Wyobraź sobie, że taka solidarność już istnieje. Tajna, ma się rozumieć. Wyobraź sobie, że partia i KGB postanowiły któregoś z nas strącić. Jak pozostali mają zareagować? Ogłosić strajk? Podać się zbiorowo do dymisji?

- Myślę, że powinniśmy odpowiedzieć ciosem na cios. Ale nie uderzać we wszystkich

naszych wrogów, tylko wybierać najbardziej niebezpiecznych. Jeśli macie osobiście kłopoty z miejscowym kierownictwem partyjnym albo z Bezpieczeństwem, to nie wy powinniście się z nimi bić, lecz wasi przyjaciele z całego Związku powinni zadawać waszym wrogom skrytobójcze ciosy...

- Dobrze, Suworow, ale pamiętaj: ta rozmowa nigdy nie miała miejsca. Po prostu łyknąłeś za dużo koniaku i wszystko to sobie uroiłeś. Zapamiętaj sobie, że najlepiej trzymać się z dala od tych burd, ale wówczas do końca pozostaniesz w gnoju. Walka o władzę nie zna pardonu. Kto przegrał, ten przestępca. Zwycięzcy jest wszystko jedno, czy popełniałeś przestępstwa, czy nie. Tak czy inaczej: winny. Więc lepiej już je popełniać, a jeżeli popełniać, to nie dać się złapać, a jeżeli złapią, to się nie przyznawać! a jeżeli się przyznawać, to do czynów prostych, a nie zor j ganizowanych. Każdy, kto walczy o władzę ma swoją gru-

pę, swoją organizację, i tego nikt nie daruje rywalom. Udział w organizacji, to najstraszniejsze, do czego możesz się przyznać. *Oznacza* dla ciebie potworny koniec. Na najstraszliwszych torturach nie wolno ci odstąpić od tego, że działałeś w pojedynkę, bo inaczej czekają cię tortury jeszcze straszniejsze. A teraz słuchaj uważnie.

Głos zmienił mu się gwałtownie, podobnie wyraz twarzy.

- Za tydzień pójdziesz jako obserwator z grupą Spec-nazu. Zrzuca was na Storożenieckim poligonie. Nazajutrz grupa rozpadnie się na dwie części. Od tej chwili znikasz. Ruszasz do Kiszyniowa. Masz podróżować wyłącznie pociągami towarowymi. Tylko po nocach. W Ki-szyniowie znajduje się Wyższa Szkoła Pedagogiczna. Nastroje nacjonalistyczne na uczelni wychodzą poza normę. Nocą wymalujesz na ścianie to hasło.

Podsuwa mi karteluszek cieniutkiej bibułki.

- Nie *znasz* mołdawskiego, więc wkuj cały tekst na pamięć. Od razu. Spróbuj napisać. Jeszcze raz. Pamiętaj. Wszystko robisz sam. Jeżeli gdziekolwiek cię zatrzymają, mówisz, że straciłeś kontakt z grupą, wypadłeś z marszruty i starasz się na własną rękę wrócić do sztabu armii. Dlatego podróżujesz nocami w wagonach towarowych. Uważaj, nie zaśpij. Wysypiaj się w dzień w lesie.

- Jakiej wielkości mają być litery?

- 15-20 centymetrów wystarczy, żeby strącić przewodniczącego mołdawskiego KGB.

- Jednym hasłem?

- To jest szczególny przypadek. Z nacjonalizmem na uczelni walczy od dawna i bezskutecznie. Podejmowali najbardziej drakońskie środki. Wysłali do Moskwy raport, że sytuacja została opanowana. Ty musisz pokazać, że jest inaczej. Naturalnie, podejrzenie może

paść na Odeski Okręg Wojskowy, ale tamtejsze dowództwo bez trudu dowiedzie swojej niewinności. Zadajemy cios nie wprost, lecz zza węgła, z sąsiedniego okręgu. Powtarzam, działasz sam jeden. Zobaczyłeś to hasło na jakimś papierku na ulicy, nauczyłeś się go na pamięć i napisałeś na ścianie, nie rozumiejąc jego znaczenia. Lepiej być głupkiem niż spiskowcem. Hasła nie zapomniałeś?

- Nie.

101

### **WIKTOR tUWOKOW**

**Z VIII** rzucono nas z trzech tysięcy metrów. Drugiego dnia grupa *rozpadła* się na dwie mniejsze. Dowódcy obu podgrup wiedzieli, że od tej chwili działają samodzielnie, bez odgórnej kontroli...

IX Pięć dni później zjawiam się w sztabie armii. Zgłaszam się do szefa wywiadu. Melduję, że w trakcie manewrów po rozdzieleniu się grupy miałem spotkać trzecią ekipę, ale do spotkania nie doszło, straciłem orientację i długi czas szukałem właściwej drogi, nie korzystając z map ani z pomocy obcych. Nieznacznym uśmiechem daję do zrozumienia, że robota wykonana. Czysta robota. Lekkim skinieniem głowy pokazuje, że zrozumiał. Ale nie uśmiecha się do mnie.

Linęły trzy tygodnie. Uważnie śledzę wszystkie publikacje. Jasne, że ani w prasie lokalnej, ani w centralnej nic na ten temat nie może się ukazać. Jednakże w miejscowych gazetach mógłby pojawić się artykułik pod nagłówkiem „Umacniajmy proletariacki internacjonalizm!” Nie ma takiego artykułiku...

Kładzie mi rękę na ramieniu. Zawsze podchodzi niepostrzeżenie.

- Nie trać czasu. Nic się nie wydarzy.

- Dlaczego?

- Dlatego, że to, co wysmarowałeś na murze zda się psu na budę. Tekst był zupełnie nieszkodliwy.

- Więc po co malowałem go na ścianie?

- Po to, żebym mógł cię sprawdzić.

- Byłem cały czas pod obserwacją?

- Prawie cały czas. Znałem w przybliżeniu twoją trasę, znałem punkt docelowy, starczyło więc pchnąć dziesięciu chłopów na kontrolę, i niemal każdy twój krok został zarejestrowany. Kontrolerzy, rzecz jasna, nie mieli pojęcia, co robią... Kiedy człowiek jest w napięciu,



mogą mu wpaść do głowy najgłupsze pomysły. Trzeba go kontrolować. No więc cię kontrolowałem.

- Po co mi powiedzieliście, że byłem pod kontrolą?

- Aby również na przyszłość nie przychodziły ci do głowy głupie pomysły. Będę ci zlecać od czasu do czasu podobne drobiazgi, ale nigdy nie będziesz mieć pewności, czy podejmujesz śmiertelne ryzyko, czy cię po prostu sprawdzam. - Uśmiechnął się do mnie szeroko i przyjaźnie. - I wiedz jedno: mam na ciebie taki materiał, że w każdej chwili mogę zrobić z ciebie „kukłę”.

**xi**

Krawcow patrzy na mnie wyczekująco, potem nalewa po pół szklanki zimnej wódki i w milczeniu wskazuje jedną z nich.

- Z szefem też się czasem można napić. Nie bój się, to nie ty narzucasz mi się ze swoją przyjaźnią, to ja cię wezwałem. Pij.

Ujmuję szklankę, podnoszę na wysokość oczu, uśmiecham się do mojego szefa, i powoli wypijam. Wódka to *ożywczy* napój.

Ponownie nalewa po pół szklanki:

- Słuchaj, Suworow, swój wzlot zawdzięczasz tylko i wyłącznie mnie.

- *Zawsze o tym pamiętam.*

- Obserwuję cię od dawna i staram się cię zrozumieć. Na moje oko jesteś urodzonym przestępcą, choć się tego nie domyślasz i nie przeszedłeś kryminalnej szkoły życia. Nie protestuj, znam się na ludziach lepiej od ciebie. Widzę cię na wskroś. Pij.

- Wasze zdrowie.

- Zakąszaj ogóreczkiem.

- Dziękuję.

Ma posepny wyraz twarzy. Zapewne jeszcze przed moim przyjściem zdążył łyknąć co nieco. A po wypiciu zawsze robi się ponury. Zupełnie jak ja. Widocznie już to zauważył i na tej podstawie, a także innych prawie niezauważalnych cech szkicuje mój portret, będący projekcją jego samego.

- Gdybyś trafił, łotrze, pomiędzy knajaków, przyjąłbyś się, jak nic. Wzięliby cię za swego, a po kilku latach cieszyłbyś się w bandzie wyraźnym autorytetem. Bierz kielbaski, nie krępuj się. Przywożą mi ze specjalnego rozdzielnika. Pewnie w ogóle nie wiedziałeś, że taka kielbasa istnieje, zanim cię wziętem do siebie. Pij...

Ponad pół metra wódki pochłonął. Stopniowo zaczyna działać. Widelec w jego dłoni

utracił precyzję ruchów, ale głowa nie poddaje się działaniu alkoholu. Mówi jasno i wyraźnie, myśli tak samo.

- Jednego nie mogę w tobie, Suworow, zrozumieć: naprawdę nie sprawia ci przyjemności męczenie innych, czy tylko udajesz? Mamy szerokie możliwości rozkoszować się swoją siłą. Wańkę-pederastę można dręczyć, ile dusza zapagnie. Ale ty stronisz od tych uciech. Dlaczego?

- Nie bawią mnie męczarnie.

- Szkoda.

- Czy to źle w naszym fachu?

- W ogóle to nie. Na świecie jest astronomiczna liczba prostytutek, lecz tylko nieliczne delektują się swoją sytuacją. Dla większości jest to tylko ciężka fizyczna praca. Ale niezależnie od tego, czy kurwa lubi swój fach, czy nie, jakość świadczonych usług pozostaje w znacznym stopniu funkcją jej stosunku do wykonywanej pracy, poczucia odpowiedzialności, pracowitości. Niekoniecznie trzeba rozkoszować się swoją profesją, niekoniecznie trzeba ją lubić, ale w każdej sytuacji należy być pracowitym. Czego zęby szczerzysz?

- Ładnie powiedziane: „pracowita prostytutka”.

- Nie ma się z czego śmiać, nie jesteśmy wcale lepsi od prostytutek, też wykonujemy nie całkiem czystą robotę ku czyjemuś zadowoleniu, i za nasz ciężki trud płacą nam nieźle. Nie bardzo lubisz swój zawód, ale jesteś pracowity, i to mi wystarcza. Nalewaj sam.

- A wam?

- Kropelkę. Dwa palce. Starczy. Słuchaj, po co cię wezwałem. Przeżyć na naszej zasranej planecie można tylko pod warunkiem, że przegryza się gardziele innym. Taką możliwość daje władza. Utrzymać się przy władzy można jedynie drapiąc się wzwyż. Ja ciebie ciągnę do góry, ale

potrzebuję też twojej pomocy, każdej, choćby i kryminalnej. Kiedy wdrapiasz się za mną nieco wyżej, sklecisz własną grupę, i będziesz ciągnąć ją za sobą, a ja będę ciągnąć ciebie, a mnie jeszcze ktoś inny. I wszyscy razem będziemy wypychać naszego głównego lidera w górę. Nagłym ruchem chwycił mnie za kołnierz:

- Zdradzisz, pożałujesz!

- Nie zdradzę.

- Wiem. - Patrzy surowo. - Możesz zdradzać kogo dusza zapagnie, choćby nawet Ojczyznę Radziecką, ale nie mnie. Nie waż się nawet o tym pomyśleć. Ani ci to w głowie,

wiem, po twoich oczach diabelskich widzę. No, dopijmy, i fajrant. Jutro przyjdiesz do pracy o siódmej, i na dziewiątą przygotujesz do zdania wszystkie papiery. Zostałem mianowany szefem Zarządu Wywiadowczego Karpackiego Okręgu Wojskowego. Zabieram do Zarządu swoją ekipę. Oczywiście, biorę nie wszystkich i nie od *razu*. Niektórych przerzucę później. Ale ty jedziesz ze mną już teraz. Doceń.

## XII

Nie wiem, co się ze mną dzieje. Coś nie w porządku. Budzę się w środku nocy i długo gapię w sufit. Gdyby wysłali mnie gdzieś umierać w obronie czyichś interesów, zostałbym bohaterem. Nie żal mi życia, zupełnie go nie potrzebuję. Bierzcie, kto chce. No, bierzcie! *Zapadam* w krótki, niespokojny sen. I diabli unoszą mnie hen, daleko. Odlatuję wysoko, wysoko. Od Krawcowa. Od Specnazu. Od bezlitosnej walki. Jestem gotów walczyć. Jestem gotów gryźć gardziele. Tylko po co to wszystko? Walka o władzę, to bynajmniej nie bitwa w obronie Ojczyzny. W obronie Ojczyzny? Bronilem już, Ojczyzno, twoich interesów w Czechosłowacji. Nieprzyjemne zajęcie, powiedzmy wprost. Lecę coraz wyżej i wyżej. Z niedościgłych wysokości ogarniam wzrokiem mój nieszczęsny kraj ojczysty. Jesteś, mój kraju, ciężko chory. Nie wiem, co cię trawi. Może szaleństwo. Nie wiem, jak ci pomóc. Trzeba kogoś zabijać. Ale nie wiem, kogo. Dokąd lecę? Może do Boga? Boga nie ma! A może jednak do Boga? Boże, miej mnie w opiece!

## Rozdział 5

### I

Lwów to najbardziej zagmatwane miasto świata. Tak właśnie budowano przed wieloma wiekami - żeby wrogowie nie mogli odnaleźć centrum. Natura zrobiła co w jej mocy, by pomóc budowniczym: wzgórza, wąwozy, wijąca się rzeczka. Spiralnie pokręcone lwowskie uliczki wyrzucają nieproszonego gościa albo na jej brzeg, albo do urwistego wąwozu, albo w ślepy zaułek. Pewnie i ja jestem temu miastu wrogiem. Za nic nie mogę odszukać centrum. Zza drzew migocą kopuły cerkwi. Jest tuż--tuż... Wystarczy obejść kilka domów... Ale zaułek prowadzi mnie w górę, znika pod mostem, potem kilka ostrych skrętów - i już nie widzę cerkwi, nie bardzo nawet wiem, w jakim jest kierunku. Trzeba wrócić do punktu wyjścia i zacząć wszystko od nowa. To również kończy się niepowodzeniem. Droga zagłębia się w gęstą pajęczynę krzywych, garbatych, ale zaskakująco schludnych uliczek, i wreszcie wyrzuca mnie na hałaśliwy bulwar, po którym suną malusieńkie jak zabawki tramwaje. Nie, to niemożliwe, nie potrafię odnaleźć się w tym mieście, na nic całe moje dywersyjne przygotowanie.

- Taksówka! Hej, taksówka! Do sztabu okręgu!

- Do Pentagonu?

- No właśnie, do Pentagonu.

Potężne budynki sztabu Karpackiego Okręgu Wojskowego zostały wybudowane całkiem niedawno. Miasto nazywa szklane bryły Pentagonem.

Lwowski Pentagon to kolosalna organizacja, przytłaczająca nowicjusza mnóstwem wart, oficerskich epoletów i generalskich lampasów.

Jednak w rzeczywistości wszystko nie jest tak bardzo skomplikowane, jak się wydaje na pierwszy rzut oka. Sztab okręgu wojskowego dowodzi obszarem o powierzchni RFN i o liczbie ludności sięgającej siedemnastu milionów; odpowiada za nienaruszalność władzy radzieckiej na tym terenie, za mobilizację ludności, przemysłu i transportu w razie wojny. Ponadto sztab okręgu kieruje działaniami czterech armii: powietrznej, pancernej i dwóch ogólnowojskowych. Podczas wojny przekształca się w sztab frontu i dowodzi ich operacjami bojowymi.

Organizacja sztabu okręgu odpowiada strukturze sztabu armii, z tą różnicą, że każda

jednostka jest o stopień wyżej. Sztab składa się z zarządów, a nie z wydziałów, z kolei zarządy dzielą się na wydziały, a wydziały na grupy. Znając organizację sztabu armii można się tu orientować bez większych trudności.

Wszystko jest jasne, proste i logiczne. Nasza grupa nowo przybyłych stara się sprawdzić wyniesione wiadomości i wszędzie wścibia nosy: - Co to jest? Dlaczego tak, a nie inaczej? Po co?

Generał-major Bierestow został odwołany ze stanowiska szefa wywiadu Karpackiego Okręgu Wojskowego, wraz z nim wyniosła się cała jego ekipa: starcy na emeryturę, młodzi na Syberię, na Nową Ziemię, do Turkiestanu. Na szefa wywiadu wyznaczono pułkownika Krawcowa, i teraz my -jego ludzie - przechadzamy się bezceremonialnie szerokimi korytarzami lwowskiego Pentagonu. Wybudowano go stosunkowo niedawno i specjalnie z przeznaczeniem na kwaterę sztabu okręgu. Całość przemyślano co do najmniejszych szczegółów. Nasz II Zarząd zajmuje całe piętro w wewnętrznym bloku kolosalnego kompleksu budynków. Jedyne feler - wszystkie okna wychodzą na wielki, pusty, wybetonowany dziedziniec. Pewnie ze względów

bezpieczeństwa. Brak ładnego widoku za oknami to chyba jedyna wada, poza tym wszystko się nam podoba. Odpowiada nam sensowne rozplanowanie pomieszczeń, wielkie okna, przestronne gabinety. Ale najbardziej odpowiada nam odejście naszych poprzedników, którzy do niedawna kontrolowali wywiad w całym okręgu, łącznie z 13. Armią. A teraz zrzędzeniem losu rozrzuciło ich po najdalszych zakątkach imperium. Władza to rzecz wielce delikatna, krucha. Władzę należy trzymać mocno. I zarazem ostrożnie.

## II

Cała nasza ekipa, ja również, bardzo szybko zadomawiamy się w nowym miejscu. Robota ta sama, tyle że z większym rozmachem. Ciekawsza. *Zdążyli* mnie tutaj poznać i nawet uśmiechają się do mnie w sztabie. Mam dobre stosunki z chłopcami z „Inkwizycji”, to jest z grupy tłumaczy; szyfranci z węzła łączności i operatorzy z centrum nasłuchu radiowego sypią dowcipami. Znają mnie już także poza samym II Zarządem. Przede wszy<sup>^</sup>tkim w planowaniu bojowym - w I Zarządzie. Planowanie bojowe bez naszych prognoz nie może istnieć. Ale nie mają wstępu do II *Zarządu*, więc wołają nas do siebie:

- Witia, co też nieprzyjaciel knuje w tym tygodniu w Bitburgu?

Bitburg to amerykańska baza lotnicza w RFN. Żeby odpowiedzieć na to pytanie, muszę pogrzebać w moich papierach. Dziesięć minut później jestem z powrotem.

- Aktywność na lotnisku w granicach normy, z jednym wyjątkiem: w środę przylatują

z USA trzy transportowce C-141.

Z takich prognoz operatorzy są zadowoleni: „Udał nam się facet!”

Operatorzy nie mają prawa wiedzieć, kto nam zapewnia świeże „dostawy”. Ale operator też człowiek, też czyta powieści szpiegowskie, dlatego każdy domyśla się z pewnością, że Krawców ma swojego agenta w którymś ze sztabów NATO. Rzeczonego superszpiega nazywają w rozmowach „ten facet”. „Tego faceta” wychwalają i są

zeń bardzo zadowoleni oficerowie planowania bojowego. Rzeczywiście, ma Krawców kilku zwerbowanych ludzi. Każdy okręg wojskowy werbuje cudzoziemców dla otrzymywania informacji i dla dywersji. Tyle że w tym przypadku „ten facet” nie ma z tym nic wspólnego. Wszystko co dociera od tajnej agentury, Krawców przechowuje w sejfie i udostępnia bardzo nielicznym. Dane, którymi karmimy planowanie bojowe pochodzą z dużo bardziej prozaicznych źródeł. Te źródła to tak zwane harmonogramy aktywności. Ów sposób zdobywania informacji sprowadza się do uważnego śledzenia aktywności nadajników i radarów przeciwnika. Każda radiostacja, każdy radar ma swoje dossier: typ, przeznaczenie, dyslokacja, przyporządkowanie, częstotliwość robocza. Bardzo wiele komunikatów potrafi rozszyfrować nasz V Zarząd. Ale są też nadajniki, których kody przez całe lata pozostają dla nas zagadką. Na nich właśnie koncentrujemy uwagę, to są bowiem kluczowe radiostacje. Rozumiemy treść komunikatów czy nie rozumiemy - tak czy owak zakłada się harmonogram aktywności danej stacji, w którym odnotowujemy każdy seans łączności. Każdy nadajnik ma swoje własne, niepowtarzalne cechy, szczególną „melodię”. Jedne stacje nadają w dzień, drugie w nocy, inne mają przerwy w pracy, jeszcze inne nie mają. Systematyczne śledzenie i analiza każdego wyjścia w eter pozwala dosyć dokładnie przewidzieć ich zachowanie.

Ponadto aktywność radiostacji bezustannie konfrontuje się z działaniem wojsk przeciwnika. Bezcenne są dla nas informacje dostarczane przez kierowców radzieckich ciężarówek jeżdżących za granicę, konduktorów pociągów, załogi Aeroflotu, sportowców i, naturalnie, pochodzące od naszej agentury. Są to najczęściej wiadomości wyrywkowe i oderwane: „Alarmowy wymarsz dywizji”, „Bateria raketowa wybyła w nieznanym kierunku”, „Zmasowany start wszystkich samolotów”. Nasz komputer porównuje te sygnały z aktywnością w eterze. Odnotowuje się wszystkie prawidłowości, uwzględnia się przypadki szczególne i odstępstwa od reguł. I oto po wieloletnich analizach można wreszcie stwierdzić: „Skoro RB-7665-1 rozpoczęła nadawanie, to znaczy, że za cztery dni wystartują wszystkie

jednostki powietrzne z bazy w Ramstein”. Jest to *żelazna* reguła. Jeżeli

niespodziewanie odezwie się nadajnik, który określamy jako C-1000, to nawet dziecko będzie wiedziało, że amerykańskie wojska w Europie otrzymały rozkaz zwiększenia gotowości bojowej. A gdyby na przykład...

- Słuchaj, Witia, my oczywiście wiemy, że nie wolno o tym gadać... Ale tego, wiesz... Jak by ci to powiedzieć... No, tak w ogóle to ochraniajcie tego faceta.

### III

Sprawdzają mnie. Całe życie będą mnie sprawdzać. Taka praca. Sprawdzają, czy jestem zrównoważony, sprawdzają na wytrzymałość, na orientację, na wierność. Sprawdzają nie tylko mnie. Wszystkich sprawdzają- Do kogo się uśmiechasz, do kogo się nie uśmiechasz, z kim pijesz, z kim śpiesz. Jeżeli z nikim - znowu sprawdzanie: a dlaczego?

- Wejdz.

- Towarzyszu pułkowniku, starszy lejtnant...

- Siadaj - pada *rozkaz*.

Siedzę przed pułkownikiem Marcukiem, nowym zastępcą Krawcowa. Radziecki wywiad wojskowy nie posiada żadnych szczególnych dystynkcji. Każdy chodzi w mundurze tej formacji, z której trafił do wywiadu. Ja na przykład jestem czołgistą. Krawców - artylerzystą. W zarządzie wywiadowczym mamy piechotę, lotników, saperów, chemików. Pułkownik Marcuk jest lekarzem. W bordowych klapach munduru - złotą czaszę oplata wąż. Ładne insygnia mają medycy. Żołnierze tłumaczą tę symbolikę po swojemu: chytry jak wąż i od kielicha nie stroni.

Marcuk utkwiał we mnie ciężkie, przytłaczające spojrzenie. Hipnotyzer, czy jak? Poczulem się wręcz nieswojo, ale nie spuszczałem oczu. Przeszedłem pod tym kątem solidne przygotowanie. Każdy żołnierz Specnazu ćwiczy się na psach. Jeżeli patrzeć psu głęboko w ślepią, żaden ludzkiego wzroku nie wytrzyma. Człowiek może powstrzymać rozwścieczonego psa samym tylko spojrzeniem. Co prawda tylko jednego, a nie całą zgraję. Gdy masz do czynienia ze sforą, musisz pomóc sobie nożem.

Patrzysz psu w oczy, a kozikiem go pod bok, pod bok. Wtedy przenosisz wzrok na następnego.

- No, tak, Suworow, obserwujemy cię uważnie. Dobrze pracujesz, jesteśmy z ciebie zadowoleni. Masz głowę jak komputer... nie wyregulowany. Ale można cię wyregulować. Jestem przekonany. Inaczej nie zagrzałbyś tutaj miejsca. Pamięć masz doskonałą i odpowiednią zdolność analitycznego myślenia. Masz też gust. Dziewczynę z grupy kontrolnej upatrzyłeś sobie na medal. Pierwsza klasa. Znamy ją. Wszystkich trzymała na dystans. Niezły

z ciebie ananas... A zdawałoby się, cicha woda...

Nie rumienię się. Nie jestem pensjonarką. Jestem bojowym oficerem. Moja skóra też nie z tych delikatnych. Mam skórę i krew Azjaty. Inna fizjologia, nie rumienię się. Ale swoją drogą, w jaki sposób, pies ich trącał, wywieździeli się o mojej dziewczuszcze?

- Wiem, Suworow, że to niemiłe, ale musimy takie rzeczy wiedzieć. Musimy wiedzieć o tobie wszystko. Taką mamy robotę. Obserwujemy cię i wyciągamy odpowiednie wnioski, i najczęściej są to wnioski pozytywne. Najbardziej podoba nam się, że tak szybko wyzbywasz się własnych wad. Już prawie nie masz lęku wysokości ani klaustrofobii. Z krwią też nie najgorzej. Nie boisz się krwi, a to w naszej profesji rzecz wyjątkowo istotna. Nie straszna ci śmierć. Dobrze sobie radzisz z pieskami. Musisz się co prawda jeszcze trochę podciągnąć. Natomiast z płazami nie dajesz rady. Co, boisz się?

- Boję się - wyznałem szczerze. - A skąd wiecie?

- Nie twoja sprawa. Twoją sprawą jest pokonać ten strach. Czegóż się boisz? Widzisz, nawet mam takie gadziny w klapach. Są ludzie, którzy pałaszują żaby ze smakiem.

- Chińczycy?

- Nie tylko, Francuzi też.

- Gdyby głód przycisnął, wolałbym, towarzyszu pułkowniku, ludzkie mięso pożerać...

- Wcale ich głód nie przyciska. Dla nich żaby to delikatesy. Nie wierzysz?

Pewnie, że nie wierzę w takie głupoty. Propaganda, że niby we Francji bieda. Jeżeli będzie nalegać, to zgodzę się,

oczywiście, że francuski proletariatus żyje w nędzy. Ale to tylko na głos. W głębi ducha swoje wiem. Dobrze mają życie we Francji, proletariatus nie jada żab. Ale nie oszukasz Marczuka. Bez trudu dostrzegł w moich oczach wątpliwości.

- Chodź ze mną. - Przechodzimy do sali kinowej, gdzie wyświetlają nam zakazane filmy z życia wroga. Marczuk nacisnął guzik i na ekranie mignęła kuchnia, kucharze, żaby, kotły, purpurowa sala restauracyjna, kelnerzy, konsumenci. Nie wyglądali na sztukmistrzów, a żabie udka wcinali w rzeczy samej.

- No i jak?

A co tu można powiedzieć? Na pozór wszystko gra. Ale w kinie nie tylko żabę - samego Hitlera można na plasterki pokrajać. Inna sprawa, gdyby pułkownik sam żabę połknął. O tak, wtedy bym uwierzył.

- No i jak? - ponawia pytanie. Co mam począć? Powiem, że uwierzyłem, i zaraz się przyczepi: jakże ty wywiadowca, podobne bzdury przyjmujesz za dobrą monetę? Pokazuję ci



różne głupoty, a ty w to wszystko wierzysz? Jakże ty, oficer informacji, odróżnisz w takim razie prawdziwe dokumenty od podrobionych?

- Nie - powiadam - nie mogę w to uwierzyć. Falsyfikat. Tandeta. Jeżeli ludzie nie mają nic do jedzenia, to w najgorszym razie mogą zjeść kota albo psa. Dlaczego od razu żaby? - Nie ulega dla mnie wątpliwości, że film spreparowano dla celów szkoleniowych. Test na spostrzegawczość? Bardzo proszę. Ot, jakiego puszystego pudełka trzymała paniusia na kolanach! Chcą sprawdzić, czy go zauważyłem. No pewnie, że tak! I stąd wyciągam wniosek, na który tak bardzo czekacie: żaden normalny człowiek nie będzie jadł żab, skoro ma jeszcze pudła w rezerwie. Ewidentny brak logiki. A Marczuk zaczyna się denerwować.

- Za żaby trzeba płacić, i to słono.

Milczę. Nie podejmuję dyskusji. Każdy wie, że żaby nie mogą być drogie. Ale przyznaję pułkownikowi rację, dyplomatycznie zapewniając sobie możliwość odwrotu:

- Sadło uderza im do głowy. Burżuazyjna degeneracja.

- No proszę. Nareszcie uwierzył. Pokazałem ci ten film, żebyś wiedział, że ludzie je jedzą, a ty się brzydzisz nawet dotknąć. Jeśli mam być szczery, sam też nie wziąłbym do

ręki żaby ani żmii, ale też nie muszę. Ty to co innego: jesteś, Wiktor, młodym, dobrze zapowiadającym się oficerem wywiadu i musisz przełamywać w sobie takie opory.

Aż mnie ścisnęło w dołku: czyżby zamierzali zmusić mnie do jedzenia tego obrzydlistwa?

Marczuk jest psychologiem. Czyta w moich myślach jak w otwartej księdze:

- Nie bój się, nie każemy ci zjadać żab. Być może żmije, ale nie żaby.

IV

Fligranowy żołnierzyk. Twarzyczka jeszcze całkiem dziecinna. Rzęsy długie, dziewczęce. Komandos. Dywersant. Cztery bataliony dywersyjnej brygady Specnazu składają się z samych dryblasów. Idą przez miasteczko jak stado niedźwiedzi. Ale jedną kompanię skompletowano z żołnierzyków najróżniejszego kalibru, czasem zupełnie malutkich. Jest to wydzielona kompania zawodowców, znacznie groźniejsza niż cztery tamte bataliony razem wzięte.

Żołnierzyk ma wiotką szyję. Nazwisko nosi nierosyj-skie - Kipa. Nie przypadkiem trafił do wydzielonej kompanii: bez wątpienia jest specjalistą w jakiejś szczególnej kategorii morderstw. Pewnego razu widziałem, jak odpierał atak czterech osobników odzianych w ochroniacze i zbrojnych w długie drągi. Bronił się zwyczajną saperką. Nie było w nim złości, tylko kunszt walki. Taki pojedynek zawsze przykuwa uwagę. Choćby nie wiem jak spieszył

się dywersant, jeśli tylko zauważy, że na boisku toczy się walka, obowiązkowo przystanie na chwilę. Ach, jakaż to była wspaniała walka!

Ten sam żołnierz stoi właśnie przede mną. Będzie mnie czegoś uczyć... Zręcznym ruchem wyciąga z wiadra małą zieloną żabkę i wyjaśnia, że najlepiej oswajać się z nią przez zabawę. Z żabą można wyprawiać zadziwiające sztuczki. Można na przykład wstawić w nią słomkę i nadmuchać. Wówczas pływa cały czas na powierzchni i nie może nurkować; to bardzo zabawne. Żabkę można też ^rozebrać. Ot, taki mały strip-tease. Żołnierz wyciąga z kieszeni małe scyzoryki i pokazuje, jak się to robi. Dwa

niewielkie nacięcia w kącikach pyszczka i jednym ruchem ściąga z niej skórę. Okazuje się, że schodzi łatwo, jak rękawiczka. Rozebraną żabę Kipa puszcza na podłogę. Widać każdy mięsień, każdą kostkę i żyłkę. *Żabka* skacze po podłodze. Rechoce. Ma się wrażenie, że nie czuje bólu. Żołnierz wsadza rękę do wiadra, wyciąga następną żabę, ściąga z niej skórę, jakby obierał banana, też kładzie ją na posadzkę, skaczące sobie razem, będzie wam raźniej.

- Towarzyszu starszy lejtnancie, pułkownik Marczuk polecił mi zaznajomić was z moim gospodarstwem, oswoić was troszkę z tymi bydłkami.

- Ze żmijami też sobie tak swobodnie poczynasz?

- Dopiero z nimi sobie poczynam. Żaby trzymam tylko na karmę dla żmij.

- Te dwie też pójda na żer?

- Rozebrane? No pewnie. Czemu mają się zmarnować?^ Bierze obie gołe żabki i prowadzi mnie do pomieszczenia, gdzie trzyma żmije. Straszliwa wilgoć i duchota. Podnosi jakąś pokrywę i wkłada żaby do wielkiego terra-rium, w którego rogu zastygła szara, odrażająca gadzina.

- Co za paskudztwo tutaj trzymasz?

- Żmije, grzechotniki. Złożyliśmy zamówienie w wywiadzie Okręgu Turkiestańskiego na kobrę, ale jeszcze nie dotarła. Sama kobra to pestka, drogi jest transport. Trzeba ją w drodze grzać, dokarmiać, poić. To bardzo delikatne stworzenie: dość trochę tylko naruszyć reżim, zaraz wykorkuje.

- Kto cię nauczył tego wszystkiego?

- Nikt. Samouk jestem. Amator. Od dziecka mnie to bawiło.

- Lubisz je?

- Lubię. - Powiedział to całkiem naturalnie, bez cienia pozy. I nagle zrozumiałem, że

szelma nie kłamie... Chryste Panie! Do głowy by mi nie przyszło, że można lubić żmije!

W tym momencie obie gołe żaby przeraźliwie zaskrzeczały. To tłusta leniwa gadzina wreszcie zaszczyciła je swoją uwagą.

- Siadajcie, towarzyszu starszy lejtnancie. - Kątem oka zerkam na krzesło, czy nie zwinął się na nim jakiś zimny, oślizły padalec. Wzdrygając się przycupnąłem na brzeżku.

i; Kipa uśmiecha się:

- Jeszcze z dziesięć seansów i sami będziecie tu przybiegać.

Nie ziściła się jego przepowiednia. Czuję wciąż tę samą odrazę do żmij. Co prawda teraz jestem w stanie brać je do rąk. Wiem, jak należy je chwycić i patroszyć, potrafię piec węża na długim patyku albo na kawałku drutu. I jeżeli życie zmusi mnie do wyboru: zjeść człowieka albo zjeść żmiję, najpierw zjem żmiję.

V

Helikopter wysadził nas na bagnistej wysepce. Wkrótce powróci, by *zabrać* Krawcowa, a ja zostanę sam na punkcie kontrolnym.

- Jeżeli grupa *zacznie* od nawiązania łączności, bez zorganizowania obserwacji i obrony, z miejsca ładuj im jedną karną godzinę...

- Rozumiem.

- Za najdrobniejsze odstępstwo od regulaminu przygotowywania szyfrówek wycofaj całą grupę z zawodów.

- Rozumiem.

- Uważaj, żeby prawidłowo pili wodę. Nie wolno połykać wody. Trzeba nabrać troszkę do ust i przez kilka sekund trzymać w ustach, zwilżając język i krtań. Kto połyka wodę, ten nigdy się nie napije, ten się poci, temu stale wody brakuje, ten pierwszy odpada na trasie. Zobaczysz, że nieprawidłowo piją, wpisuj śmiało po pięć, nawet po dziesięć punktów karnych.

- Wszystko zrozumiałem, towarzyszu pułkowniku. Punkt kontrolny to dla mnie nie pierwszozna. Może byście się zdrzemnęli? Helikopter przylatuje dopiero za godzinę. W sam raz, żeby zmrużyć oko. Przecież w ogóle nie śpicie.

- Ach, to nic, Wiktor. Kłopoty służbowe to pestka. Gorzej, gdy partia zaczyna dawać w kość. My mamy farta: we Lwowie stosunki między kierownictwem partyjnym i dowództwem okręgu są nienajgorsze. A w Rostowie dowódca Północno-Kaukaskiego Okręgu Wojskowego generał-lejt-nant wojsk pancernych Litowcew robi już bokami. Uwzięli się na niego miejscowi macherzy partyjni do spółki z KGB.

Nie ma życia. Coraz to nowa skarga leci do KC. Więcej już spłodzili skarg i donosów, niż Dumas powieści napisał...

- I nikt mu nie może pomóc?

- Jak by ci powiedzieć... Ma wielu przyjaciół. Ale cóż można począć? Jesteśmy skrepowani masą zależności. Trzymamy się regulaminów, instrukcji, prawodawstwa wojskowego... Jak możemy mu pomóc nie przekraczając tych ram?

- Towarzyszu pułkowniku, może ja potrafię coś wskórać?

- Jakże ty, starszy lejtnant, mógłbyś pomóc generałowi?

- Długa noc przede mną, spróbuję coś wymyślić...

- W sumie nie ma tu wiele do myślenia... wszystko już zostało przemyślane. Trzeba działać. Oho, zdaje się, że słyszę helikopter... to pewnie po mnie. Słuchaj, Wiktor, na tych ćwiczeniach jest obecny mój kolega generał-major Zabałujew, szef wywiadu Północno-Kaukaskiego Okręgu\ Wojskowego. Pragnie osobiście zobaczyć, jak grupy Spec-nazu radzą sobie w terenie, ale nie chce peszyć chłopców swoją szarżą. Jutro zostanie z tobą na punkcie kontrolnym. Mundur ma zwyczajny, jak my wszyscy: szara bluza bez insygniów. Nie będzie się wtrącać do działań grup, chce się tylko przyjrzeć, no i pogadać z tobą... Jeżeli rzeczywiście gotów jesteś pomóc, zwróć się do niego...

- Myślicie, towarzyszu pułkowniku, że po zakończeniu zawodów będę musiał zachorować?

- Ode mnie takiego rozkazu nie usłyszałeś. Jeżeli sam czujesz, że trzeba, to inna sprawa. Ale wiesz, że w naszej służbie tak łatwo się nie choruje, potrzebne jest zaświadczenie lekarskie.

- Będzie zaświadczenie.

- W porządku, tylko uważaj: są sytuacje, gdy człowiek czuje się chory, a lekarz jest odmiennego zdania. Trzeba chorować tak, żeby lekarz nie miał wątpliwości. Musisz mieć rzeczywiście wysoką gorączkę. Wiesz, jak to bywa: czujesz się źle, a gorączki nie ma.

- Będzie gorączka.

- Dobra, Wiktor, życzę ci powodzenia. Masz czym nakarmić generała?

- Znajdzie się. P

- Tylko nie pchaj się z gorzałą... chyba, że sam poprosi.!

## VI

Dziewięć dni później zgłaszam się u pułkownika Krawcowa. Melduję, że po

ćwiczeniach zachorowałem, ale teraz czuję się znacznie lepiej. Ma iskierki w oczach i karci mnie dobrotliwie. Dobrze wytrenowany oficer wywiadu nigdy nie choruje. Trzeba się kontrolować. Trzeba pędzić precz wszelkie choroby. Nasze ciało podporządkowane jest naszej woli, wysiłkiem woli można wykurzyć każdą chorobę, nawet raka. Ludzie silni nie chorują. Chorują tylko ludzie słabi duchem.

Strofuje mnie, a sam aż promienieje. Nie potrafi powstrzymać uśmiechu. Uśmiecha się całkiem otwarcie. Tak uśmiechają się żołnierze po walce na bagnety: wara od naszych!

## VII

Wielu masz nieprzyjaciół, bracie-dywersancie. Przeciwno tobie jest wczesny świt i późny zmierzch. Bzyzące komary i huczący śmigłowiec to twoi wrogowie. Źle, gdy słońce bije w oczy, źle, gdy dościgną cię macki reflektorów. Niedobrze, gdy twoje serce galopuje jak oszałałe. Biada ci, gdy tysiąc elektronicznych radiolokatorów maca eter, wychwytyjąc twój chrapliwy szept i urywany oddech. Zawsze jest, bracie, niedobrze. Ale bywa gorzej. Bywa całkiem źle. Całkiem źle jest wtedy, gdy pojawi się twój największy wróg. Jeszcze wiele wynajdą na ciebie chytrych sztuczek -przeciwpiechotnych min i elektronicznych czujników - ale największy wróg zawsze pozostanie ten sam. Twój największy wróg, mój przyjacielu, ma sterczące uszy, poźółkłe kły w kropelkach złej śliny, szarą sierść i długi ogon. Oczy piwne w żółte cętki i ryże futro pod obrozą. Twój największy wróg jest szybszy od ciebie. Wyczuwa nosem twoją obecność i gigantycznym skokiem rzuca się do gardła.

Oto on, twój wróg. Największy. Większego nie ma. Patrz, jak drań szczyrzy zębiska. Sierść staje mu dęba. Ogon podwinięty. Uszy po sobie. Pręży się do skoku, Zaraz skoczy, bydlę. Nie ryczy, lecz charczy. Lepka ślina wokół pyska - ani chybi wściekły. W KGB każdy taki pies ma własne *dossier*, a w nim specjalną rubrykę: „stopień złośliwości”.

Tam właśnie uczeni spece wpisują straszne słowa: „złośliwość dobra”, „złośliwość doskonała”. Ten potwór ma pewnie w swoim *dossier* same wykrzykniki. Potwór wabi się Mars i jest własnością podległej KGB jednostki ochrony pogranicza. Nie powiem, że specjalnie okazały. Widywałem większe psy. Ale Mars zna swój fach, i wszyscy o tym wiedzą.

To nie mnie przypadło dziś w udziale zmierzyć się z Marsem. Dziś pracuje z nim Żeńka Byczenko. Krzyknęliśmy Żeńce kilka słów na drogę: „Trzym się, stary!”, „Dopieprz mu!”, „Pokaż, co potrafi Specnaz!” - i tyle. W takich sytuacjach nie udziela się rad, nie jest to

w zwyczaju. Każda porada, choćby najlepsza, może w krytycznej chwili rozproszyć uwagę - i niechybnie rozjuszone zwierzę chwyci za gardło. Dlatego wszelkich doradców posyła się do diabła.

Żeńka trzyma nóż w lewej ręce, a kurtkę - w prawej. Nie omotał dłoni kurtką. Trzymają po prostu w wyciągniętej ręce. Nie podoba się to psu. Jest inaczej niż zawsze. I nóż w lewej dłoni też mu się nie podoba. Dlaczego w lewej? Nie spieszy się psu. Przenosi swe zwierzęce spojrzenie z noża na gardło, z gardła na nóż. Raz po raz łypie na kurtkę. Czemu człowiek nie owinał jej wokół dłoni? Bryś wie swoim psim rozumem, że u człowieka tylko jedna ręka jest ważna, druga służy do odwracania uwagi. I on, pies, nie może sobie pozwolić na omyłkę. Musi rzucić się na tę straszniejszą rękę, na tę decydującą. Może by tak jednak do gardła? Łypie złym okiem, wybiera. Kiedy podejmie swoją psią decyzję, wzrok mu znieruchomieje - po czym runie naprzód. Człowiek na arenie i my, widzowie, czekamy na ten właśnie moment. Na ułamek sekundy przed decydującym skokiem, kiedy pies zamiera ze spojrzeniem wbitym w cel, a człowiek ma pierwszy wymierzyć cios. Ale Mars jest psem doświadczonym. Rzucił się nagle, bezgłośnie, bez ryku i charczenia. Rzucił się tak, jak tylko on potrafi. Nie było znieruchomiałych źrenic ani prężenia się do skoku. Jego wydłużony tułów zawisł raptem w powietrzu, jego paszcza, jego straszliwe oczy runęły niespodziewanie na Żeńkę, nawet nikt nie zdążył krzyknąć ani pisnąć. Nikt nie dostrzegł samego skoku. Spodziewaliśmy się go o sekundę później. Pies leciał na odsłonięte gardło Żeń-

ki w zupełnie ciszy. Tylko kurtka śmignęła brytana po oczach, tylko czarna podeszwa błysnęła okuciem, tylko zawył pies, odlatując w najdalszy kąt. Zaryczeliśmy ze szczęścia. O-o-o-o-o!... Ryknęliśmy jak dzikie świnie. Wrzasnęliśmy z radości.

- Rznij go, Żeńka! Kosą go! Nożykiem, nożykiem! Bierz szarego pod obcas, skończ z nim póki leży!

Ale Żeńka nie skopał skomlącego psa. Nie podźgał nożem ciężko dyszącej bestii. Przesadził barierę prosto w objęcia rozradowanej bandy Specnazu.

- Aleś mu dołożył. Żeńka! Buciozem w brzuszysko! W samym locie! Był tuż-tuż!!! Ależ facet!

A na arenie, w opiłkach, nad zdychającym psem płakał żołnierz w jasnozielonych epoletach, nie wiedzieć po co wkładał do skrwawionego pyska kostkę brudnego cukru.

## VIII

Towarzyszu starszy lejtnancie, wzywa was szef sekcji kadrowej.

- Już idę.

Sekcja kadrowa jest najmniejsza w całym sztabie. W sztabach okręgów wojskowych na czele wydziałów stoją najczęściej pułkownicy, zarządami kierują generałowie, i tylko sekcją kadrową zarządza major. Ale kiedy oficera wzywają do tej sekcji, zaraz poprawia na sobie mundur, cały się podciąga. Co też mi, do diabła, zgotowali?! Sekcja kadrowa mieści się w niewielkiej sali: za biurkiem zasiada siwy major gryziپیórek i trzech kancelistów w stopniach starszych szeregowców. Każdego kogo wezwą do sekcji kadrowej, przenika dreszcz niepokoju: nieważne czy to starszy lejtnant, czy generał-major. Sekcja kadrowa jest instytucją, w której wola dowódcy okręgu przeistacza się w rozkaz na piśmie. A wiadomo: mowa - trawa, pismo -grunt... Sekcja kadrowa, to kanał transmisyjny rozkazów od Naczelnego Wodza, ministra obrony, szefa Sztabu Generalnego do ich podwładnych. Sekcja kadrowa dostarcza te *rozkazy* poszczególnym adresatom.

- Towarzyszu majorze! Starszy lejtnant Suworow melduje się na rozkaz!

- Dowód tożsamości na stół.

Nabrałem powietrza w płuca, położyłem przed majorem małą zieloną książeczkę ze złotą gwiazdą. Major spokojnie wziął do ręki „Dowód tożsamości oficera”, uważnie przestudiował, nie wiedzieć czemu długo wpatrywał się w stroniczkę, gdzie zaznaczono moją grupę krwi. Na zwiotczącej twarzy nie drgnie żaden mięsień. Robi co do niego należy, rzetelnie jak maszyna i beznamiętnie jak kat. Major przekazał dowód starszemu szeregowcowi. Ten ma już wszystko przygotowane na swoim stole. Zanurzył długie pióro ze złotą stalówką w czarnym tuszu i coś bardzo starannie wpisał do książeczki. Stoję w postawie zasadniczej, nie wyciągam głowy, żeby zerknąć mu przez ramię. Wytrzymamy. Za minutę major odczyta czyjś rozkaz. Starszy szeregowiec przyłożył bibułę, zwraca dowód majorowi. Ten zerknął na mnie badawczo, wydobyl z małej sekretnej kieszonki wymyślny kluczyk na łańcuszku, otworzył drzwi potężnego sejfu, wyjął wielką pieczęć, długo mierzył, po czym nagle ostro i zdecydowanie stuknął w dopiero co zapisaną kartę.

- Do odczytania rozkazu! Stańm na baczność.

- „Rozkaz odnośnie składu osobowego Karpackiego Okręgu Wojskowego nr O257. Tajne. Punkt 17. Starszemu lejtnantowi Suworowowi W., oficerowi II Zarządu Sztabu Okręgu nadać przedterminowo stopień kapitana, zgodnie z wnioskiem szefa II Zarządu pułkownika Krawcowa i szefa Sztabu Okręgu generała-lejtnanta Wołodina. Podpisano: generał-lejtnant wojsk pancernych Obaturow”.

- Ku chwale Związku Radzieckiego!

- Gratuluję wam, kapitanie.

- Dziękuję, towarzyszu majorze. Proszę przyjąć zaproszenie na wyprowadzenie zwłok.

- Dziękuję, Witia, za pamięć. Niestety, muszę odmówić. Gdybym każde zaproszenie przyjmował, dawno już wylądowałbym na odwykówce. Nie miej mi za złe. Choćby dzisiaj, 116 osób na liście promocyjnej, w tym 18 przedterminowo. Nie gniewaj się, po prostu nie mogę.

Major podaje mi dowód i wyciąga dłoń.

- Raz jeszcze dziękuję, towarzyszu majorze.

Przelatuję po schodach i korytarzach, jakby mi skrzydła urosły.

- Coś taki zadowolony?

- Po co cię wzywał Borsuk do swej nory? Nikomu ani słowa. Nie wolno, można zauroczyć. Dowódca pierwszy musi dowiedzieć się o mojej promocji.

- Co tak rozkwitłeś, Witia? Awansowałeś, czy jak?

- Coś ty, na kapitana jeszcze półtora roku muszę poczekać.

Ach, żeby jak najprędzej dotrzeć do wydziału! Szlag by trafił te wszystkie drzwi pancerne, te wszystkie przepustki i upoważnienia.

- Towarzyszu pułkowniku, czy mogę się zameldować?

- Wejdz. - Krawców nie odwraca wzroku od mapy.

- Towarzyszu pułkowniku, starszy lejtnant Suworow. Melduję się w związku z przedterminowym przyznaniem mi stopnia kapitana.

Krawców taksuje mnie uważnie. Nie wiedzieć czemu spojrzał sobie pod nogi.

- Moje gratulacje, kapitanie.

- Ku chwale Związku Radzieckiego!

- W naszej armii kapitan ma najwięcej gwiazdek, aż cztery. Pod tym względem, Witia, osiągnąłeś maksimum. Dlatego nie życzę ci wielu gwiazdek; życzę ci, byś miał mało gwiazdek, ale za to dużych.

- Dziękuję, towarzyszu pułkowniku. Pozwólcie zaprosić was na wyprowadzenie zwłok.

- Kiedy?

- Dziś, no bo kiedy?

- Co byś powiedział, żebyśmy przenieśli imprezę na jutro? W nocy mamy jechać i przygotować ćwiczenia. Chłopaki spiją się z wieczora i nie zbierzemy ich potem do kupy. A tak wymaszerujemy jutro w teren i na świeżym powietrzu zabalujemy.

- Doskonale.

- Na dziś masz wolne. Pamiętaj, o trzeciej rano wyruszamy.



- Pamiętam.
- Możesz się odmeldować.
- Tak jest!

## IX

Manewry z zasady odbywają się każdego roku na tych samych łąkach i poligonach. Oficerowie sztabowi znają na pamięć miejsca, gdzie toczyć się będą ćwiczebne bitwy. Jednak w przededniu wielkich manewrów oficerowie, którzy mają wystąpić w charakterze łączników i obserwatorów są zobowiązani raz jeszcze sprawdzić czy wszystko zostało należycie przygotowane: teren zabezpieczony, makiety symbolizujące wroga ustawione, strefy zagrożenia *zaznaczone* specjalną sygnalizacją. Każdy obserwator musi na powierzonym mu odcinku wczuć się w zaplanowane operacje, przygotować dla swoich podopiecznych i elewów wstępne pytania i sytuacje modelowe, odpowiadające właściwej topografii.

Dzięki temu, że oficerowie znają w miarę dobrze teren przyszłych działań (niejeden tu właśnie przechodził swój lejtnancki chrzest, jego samego ktoś tutaj przepytawał), taki wyjazd przeradza się w swoisty piknik, zbiorowy wypoczynek, pewne odprężenie po nerwowej codzienności sztabowej.

- Czy wszystko jasne?
- Jasne - ryknęli zgodnym chórem sztabowcy.
- No, to pora na obiadek. Proszę do stołu. Dzisiaj podejmuje nas Witia Suworow.

Stołu, prawdę powiedziawszy, nie ma. Po prostu kilkanaście szarych wojskowych koców, rozłożonych na czystej polance w zagajniku, nad dźwięcznym ruczajem. Wszystkie zapasy są wyłożone: puszki rybne, konserwy mięsne, plasterki różowej słoniny, cebula, ogórki, rzodkiewki. Kierowcy upiekli w ognisku ziemniaki, ugotowali zupę rybną.

Zapraszam pułkownika Krawcowa na zaszczytne miejsce. Tak każe obyczaj. On odmawia, pokazując, że bym to ja tam zasiadł. To także tradycja. Powinienem odmówić. Dwukrotnie. Za trzecim razem mam się zgodzić i wskazać pułkownikowi miejsce po mojej prawicy. Cała reszta usadowi się według starszeństwa: zastępcy Krawcowa, szefowie wydziałów, potem grup, no i wszyscy pozostali.

Butelki ma rozstawiać na stole najmłodszy z obecnych. Tym razem wypadło na Tolę Buturlina, lejtnanta

z „Inkwizycji”. Dobry chłopak, a swój ą robotę zna doskonale. Zgodnie z tradycją nie wolno mu się teraz uśmiechać. Inni też mają poważne miny. Nie należy śmiać się ani

rozmawiać. Nie należy też pytać, czemu starszy lejt-nant siedzi na honorowym miejscu. Wszyscy wiedzą, z jakiego powodu pojawiają się kolejne ochłodzone butelki, ale o tym się nie mówi, bo nie wypada. Siedź spokojnie i trzymaj język za zębami.

Tola przynosi butelki ze strumyka. Leży ich tam cała piramidka w lodowatej wodzie. Struga wartko obmywa przezroczyste szkło, pluszcze i pieni się wesoło.

- Gdzież twoje naczynie? - pada sakramentalne pytanie.

- Oto ono. - Wyciągam do Krawcowa dużą graniastą szklanę. Pułkownik napełnia ją po brzegi krystalicznym płynem. Stawia ostrożnie przede mną. Ani kropla się nie przeleje.

Szklanica musi być pełna. Im pełniejsza, tym lepiej. Wszyscy milczą, jakby nie *zauważyli*, że coś się dzieje. Krawców wyciąga z raportówki małą złocistą gwiazdkę i ostrożnym ruchem opuszczają do mojej szklanki. Ledwo słyszalne brzęknięcie, gwiazdka zagrała na dnie, zaśniła.

Ujmuję szklanę - ach, żeby tylko nie rozlać! - i powolutku podnoszę do ust. Nie należy zbliżać warg do naczynia, choć sama natura podpowiada, żeby właśnie nad-pić odrobinę, wtedy nie przelejesz ani kropelki. Wznoszę szklanę wyżej i wyżej. O, już promyk słońca wtargnął do lodowatego napoju i roziskrzył się wielobarwną tęczą. Teraz szybki ruch: od słońca ku sobie i w dół. Brzeg szklanki styka się z ustami. Zimna. Pociągam ognisty napój. Denko coraz wyżej. Gwiazdka poruszyła się na dnie i łagodnie ześlizgnęła się ku wargom. Już ją czuję. Oficer jakby pocałunkiem wita nową gwiazdkę. Przytrzymałem ją lekko zębami, póki ognista wilgoć sączyła się do mojej duszy. To już ostatnie krople. Lewą ręką ostrożnie biorę gwiazdkę i rozglądam się wokoło: trzeba przecież rozbić szkło. Po to właśnie na miękkiej trawie czyjaś przewidująca ręka umieściła spory gład. Trzasnąłem szklaną o kamień, aż rozprysły się odłamki, a moką gwiazdkę podaję pułkownikowi Krawcowowi. Malutką linijką Krawców wyznacza miejsce na moim prawym naramienniku. Czwarta gwiazdka ma się znajdować dokładnie na czerwonej prąż-ce, 25 mm powyżej poprzedniej. Już mieni się, mokra, na swoim miejscu. Teraz moja kolej coś przegryźć, popić, zakąsić gorzałkę ogóreczkiem.

- Gdzież twoje szkło? - powtarza się jak refren pytanie.

Dwa ramiona. Dwa epolety. A więc dwie gwiazdki. Znaczy się, dwie szklanki... na wstępie ceremonii.

Podają mi drugą szklanę. Znów pełna po brzegi. Wstałem. Na stojąco łatwiej pić. To mi wolno. Nikt tutaj nie zaprotestuje. Mogłem również pierwszą szklanę wychyhć na stojąco. Obyczaj nie zabrania. Żeby tylko nie uronił oficer bezcennych brylantowych kropli.

Błysnęła druga gwiazdka ślicznotka w wódczanej strudze. Duszę wypełnia ognista

rozkosz. *Zadźwięczało* rozbite szkło - na drugim naramienniku lśni mokra i ostrokatna... Teraz Krawców nalewa sobie. Do pełna. Każdy w milczeniu napelnia własne szkło, każdy sam sobie panem. Lej, ile dusza zapragnie. Jeśli szanujesz Witię Suworowa, lej z czubem. Jeśli nie szanujesz, lej, ile chcesz. Tylko pij do dna.

- Wypijmy - łagodnie proponuje pułkownik.

W takiej chwili nie wznosi się toastów, nie mówi się za co pijemy. Pijemy, i tyle. Pijemy wolno i dostojnie. Do dna. Tylko ja nie piję. Teraz mogę przyjrzeć się każdemu z osobna, zobaczyć, kto ile sobie nalał. Kto do pełna, a kto dwie trzecie. Ale wszyscy mieli do pełna. Teraz zdążyli już opróżnić. Wciąż jeszcze jestem starszym lejtnantem.

Krawców opróżnił szklanke, zapił wodą. Teraz padną rytualne słowa...

- Przybyło w naszym pułku!

Od tego właśnie momentu uważa się, że oficer otrzymał awans. Dopiero teraz jestem naprawdę kapitanem.

W jednej chwili podniósł się ogólny harmider. Roześmiane twarze, gratulacje, życzenia. Wszyscy gadają na raz, ogólna radość. Skończyły się ceremonie. Teraz tradycje na bok: zaczyna się oficerska popijawa. I jeżeli *in vino ueritos*, to cała prawda dziś po naszej stronie. Leć, Tola, do strumyka. Zasuwasz biegiem. Jesteś najmłodszy. Nastanie, Tola, twój czas. I przed twoim okienkiem słońce zaświeci.

X

Upał. Kurz. Piach zgrzyta w zębach. Step po horyzont. Białe słońce, okrutne i obojętne, bije bezlitośnie w *oczy*, jak lampa śledczego na przesłuchaniu. Z rzadka tylko pokraczne drzewko obłamane stepowym buranem narusza niesamowitą monotonię krajobrazu.

Dobry człowieku, pluń na to wszystko, przeżegnaj się i wracaj do domu. Nic tu po tobie. A my, grzeszni, pójdziemy naprzód, tam, gdzie spalony step raptownie spada stromym urwiskiem do mętnego Ingułu, tam, gdzie w drżących oparach wilgoci mającą szkielety wież wartowniczych, gdzie dziesiątki zasieków kolczastych bezlitośnie oplątują rachityczne zagajniki. Wynędzniałe drzewka. Szare liście pokryte grubą warstwą pyłu. A może to nie wartownicze wieże? Może geologiczne albo wiertnicze? Do diabła, ładna mi ropa! Wieże z reflektorami i karabinami maszynowymi. Cała masa. Cała masa reflektorów. Cała masa karabinów. No, znaczy, nie zbłądziliśmy. Idziemy we właściwym kierunku. Kurs na Żółte Wody. Przyjdzie czas, gdy te dwa słowa będą brzmiały podobnie, jak Katyń, Oświęcim, Suchanowo, Babi Jar, Buchenwald czy Kysztyn. Ale ten czas jeszcze nie nastał i na razie nikt

nie wzdryga się na dźwięk tej strasznej nazwy. Nawet *zeki*, pędzone w niekończących się kolumnach ze stacji pod wieże niczego nie podejrzewają. Wielu nawet zaciera ręce: nie Kolyma, nie Nowa Ziemia, tylko Ukraina... Chłopaki, da się żyć! Nie wiedzą jeszcze, biedne ofiary, jakiego miały pecha, że trafiły do tego „Glino--Ziemnego Kombinatu”, do którego Komitet Centralny większą przywiązuje wagę, niż do Fabryki Czołgów w Czelabińsku. Dyrektor Kombinatu, połączony gorącą linią z KC, codziennie składa raport o stanie wydajności. Nie radujcie się zawczasu, że żarcie tu lepsze, że mięso pływa w kapuśniaku. Jeśli któremuś zęby zaczną wypadać albo wyłysieje, zaraz go stąd zabiorą. Jeśli któryś domyśli się co to za gliny, też bardzo szybko zniknie. A gdyby wam przyszedł do głowy bardziej dzikie pomysły, na przykład bunt, to musicie wiedzieć, że ochrona w Żółtych Wodach zna swój fach, a w razie potrzeby my też udzielimy pomocy. Miejcie na uwadze, że w sąsiedztwie

stoi największy ośrodek szkoleniowy Specnazu. Nie igrzajcie więc z ogniem. Zamiast podskakiwać lepiej zdychajcie powolutku... w „Glino-Ziemnym Kombinacie”.

## XI

Kurz. Upał. Step. Skaczemy. Skaczemy coraz więcej. Z dużego pułapu. Z niskiego. Z bardzo niskiego. Skaczemy dwutorowo z Ań-12 i czterotorowo z An-22. Myślicie, że jesteście w stanie wyobrazić sobie czterotorowy zrzut desantowy? Gówna prawda. Tylko ten, kto skakał, wie, co to takiego. Skaczemy w dzień i w nocy. Żółte Wody to Europa, leżą pod samym Kirowogradem. Ale latem zawsze panuje tutaj duchota i spiekota. Lato jest znojne i bezchmurne, nie zdarza się nielotna pogoda. Dlatego tu właśnie ściągają ze wszystkich krańców Związku kompanie, bataliony, pułki i brygady Specnazu, tutaj zrzuca się je na okrągło od czerwca do września. Boże, ześlij ulewę. Niechby rozmokło to przeklęte lotnisko. Jest wytrzymałe jak granit, choć to zwyczajna glina, ani grama betonu. Słońce zabetonowało je lepiej niż jakakolwiek technologia. Boże, ześlij nam deszcz! Niech wreszcie rozmoknie. Błagamy Cię, Boże! Jest nas tysiące, dziesiątki tysięcy. Zlituj się, spraw, żeby lało!

## Bur

## XII

Burza nadciąga jak światowa rewolucja: leniwie i niepewnie. Wysuszony step. Wiatr pędzi tumany kurzu. Horyzont cały w czerni, w oddali widać błyski, dobiega ledwo słyszalny grzmot. A deszczu ani na lekarstwo. Ach, z jaką rozkoszą wystawiłbym twarz pod ciężkie krople letniej burzy. Ale nie będzie burzy. Jutro czeka nas ten sam znój, gorący wiatr syjący drobnym piaskiem. Bezkresny wypalony step. Zasnętymi gardłami znowu będziemy

wrzeszczeć „Hurraaa!” Tak jak teraz. Na całej długości pasa startowego stoi w zwartym szyku kwiat Specnazu. Ledwie kołysze się morze zakurzonych, spłowiałych niebieskich beretów. - Baczność! Na prawo-o patrz! Prezentu-uj broń!

Zagrzmiał marsz powitalny. Już nie potrzeba mi wody ani deszczu. Marsz uskrzydla mnie. W oddali pojawia się samochód z marszałkiem potężnej postury. Ujrzawszy go, ryknął pierwszy batalion „Huraaa!” - i potoczyło się przez stojące szeregi zwielokrotnione echo: „A-a--a-a-a-a!” Zapewne z takim wrzaskiem pokrywały się bataliony do ataku. Hurrraaa!

- Towarzyszu marszałku Związku Radzieckiego, melduję połączony korpus sił specjalnych gotowy do przeglądu i defilady. Szef V Zarządu generał-pułkownik Pietruszewski.

Spojrzał marszałek na nieprzebrane szeregi dywer-santów, uśmiechnął się.

Generał Pietruszewski prezentuje swoje wojsko:

- 27. Brygada Specnazu Białoruskiego Okręgu Wojskowego!

- Czołem, zwiadowcy! - huknął marszałek.

- CZOEM...RZYSZU...AŁKU...ZWIĄ...CKIEGO!!! - ryknęła w odpowiedzi 27.

Brygada.

- Dobrze służycie!

- KU CHWALE ZWIĄŻ...CKIEGO!!!

- 3. Morska Brygada Specnazu Floty Czarnomorskiej!

- Czołem, zwiadowcy!

- CZOEM...RZYSZU...

- 72. Samodzielny Ćwiczebny Batalion Specnazu!

- CZOEM...RZYSZU...

- 13. Brygada Specnazu 6. Gwardyjskiej Armii Pancernej!

Marszałek wykrzykuje słowa pozdrowienia, echo niesie je aż po horyzont: DOBRZE SŁUŻYCIE! SŁUŻYCIE! SŁUŻYCIE!!!

Podniosły i surowy jest ceremoniał wojskowych defilad. Nie na darmo wymyślono parady, nie na darmo. Wóz generała Pietruszewskiego jedzie po prawej i trochę z tyłu za samochodem marszałka. Co też maluje się w oczach generalskich? Duma! Oczywiście, że duma! Patrz, marszałku, na swoich chwatów. Czy są gorsi od zbirów Margielowa? Pewnie, że nie gorsi!

- 32. Brygada Specnazu Zakaukaskiego Okręgu Wojskowego!

- Czołem, bohaterowie!

- CZOEM...RZYSZU...

Lotnisko nie ma końca. Bezkresnym murem stoi Specnaz.

- Dobrze służycie!

Zwyczajowo już każde poważne ćwiczenia kończą się ogólnym przeglądem wojsk. Jest to wielowiekowa tradycja. Tak samo po bitwie wódz zbierał swoje hufce, liczył straty, pozdrawiał zwycięzców. Wielkie manewry zostały zakończone. Dopiero tu, na bezbrzeżnym polu można sobie wyobrazić potęgę V Zarządu GRU. A przecież wielu tu nie ma.

- 703. Samodzielna Kompania Specnazu 17. Armii!

Jedzie marszałek wzdłuż szeregów i na pewno nurtuje go myśl: na kogo by całą tę sforę spuścić z łańcucha? Na Europę? Na Azję? A może na towarzyszy z Politbiura?

No i co, marszałku? Czemu zwlekasz? Tu sami swoi, sami źli. No, spuścisz z łańcucha. Całą Rosję we krwi skapiemy. Daj tylko rozkaz. Oczywiście, nie wszystkich będziemy zabijać. Tym co mają okazałe *dacze* i zgrabne limuzyny włos z głowy nie spadnie. To nie grzech mieć *dacze* i piękny samochód. Tych, co głoszą sprawiedliwość społeczną też zostawimy w spokoju. Grzeszą, ale nie jest to grzech śmiertelny. Wykańczać będziemy, marszałku, tylko tych, którzy gadają o społecznej sprawiedliwości, a sami jeżdżą w limuzynach. Tych będziemy wieszać jak wściekłe psy - na latarniach, na słupach telegraficznych. No, spuść nas z uwięzi! Marszałku! Przecież jeśli nie ty, to twój następca spuści Specnaz z łańcucha. Spuści. Możesz być pewny. Będzie wiele krwi. Im dłużej będziecie zwlekać, tym więcej krwi popłynie. Ale popłynie! Hurraaa!!!

Przetacza się ryk po polu, goni dalej, odbija się echem w wyschniętych parowach.

- To jak chłopaki, popracujemy? - pyta marszałek.

- A-a-a-a! - triumfalnie ryczy w odpowiedzi Specnaz.

### XIII

Pacujemy. Pracujemy dzień i noc. Wszystko jak w kołowrocie. Skoki dzienne, skoki nocne, skoki z niskiego pułapu, skoki ze średniego. Skoki z katapultowa-niem, nie dla wszystkich. Skoki ze stratosfery, też tylko dla wybrańców. Zawody. Zawody. I znów skoki. Gorzki kurz w ustach. Zaczerwienione oczy. Złość rozpiera.

Czasem kompletna apatia. Spadochrony składamy już bez drzenia. Żeby tylko złożyć jak najprędzej i przespać się z pół godzinki. Może sprawdzić jeszcze raz, dla świętego spokoju? A, do diabła... Obejdzie się... Ćwiczebne walki. Napalm. Psy. MWD. KGB. Znowu strzelanie i znowu skoki.

A śmierć za nami krok w krok. Nie, jak dotąd nikogo nie zagarnęła pod swe czarne skrzydła. Ale czuwa kostucha.

W 112. samodzielnym batalionie testują nowy spadochron D-1-8. Niedobry spadochron. Boi się go Specnaz. Coś w nim nie gra. Na sto prób co najmniej raz zwija się olinowanie. Konstruktor spadochronu i jego ludzie są na miejscu. Objaśniają, że nieprawidłowo układamy, że źle składamy. A niech was szlag... przecież to my ryzykujemy! Starszy sierżant ze 112. skoczył, przerzuciło mu taśmy przez czaszę, w ostatniej chwili przeciął je sztyletem. Dobrze wylądował, miękko. Na ziemi żarty sobie z niego stroją: jakże to tak, nie trzeba było siekać taśm, należało poszukać miejsca, gdzie są zszyte jedwabną nitką i starannie wypruć szew. Starszy sierżant po takim skoku zupełnie nie zna się na żartach, klnie w żywy kamień dowcipnisiów i konstruktora przy okazji.

Śmierć czai się tuż-tuż. O, za tamtymi ogrodzeniami. Żółte Wody. Obóz koncentracyjny. Uran. Więc śmierć. Czyż to nie tu szefowie jednostek zaopatrują się w „kukły” i „gladiatorów”? Zakazane rewiry. Wieże strażnicze. Wieże spadochronowe. Wszystko na kupie. Kacet i my. Czemu tak jest? Żeby nas zastraszyć? A może istnieje jakiś inny powód sąsiedztwa Centralnego Ośrodka Szkoleniowego Specnazu z kopalnią uranu? Z obozem koncentracyjnym? Ze śmiercią?

#### XIV

I znowu skoki. „Kapitan Suworow. Spadochron składałem osobiście”. Czynność pierwsza: zamocować szczyt czaszy spadochronu. „Spadochron składałem osobiście”. Gotowi? Podskoki. Naprzód. Naprzód. Naprzód marsz.

„Generał-major Krawców. Spadochron składałem osobiście”. Długo wpatruję się tępym spojrzeniem w podpis mojego sąsiada, który właśnie zakończył układanie. Coś mi tu nie gra. Ale jestem otepiały. Brak snu. Z trudem wyteżam umysł i raptem olśnienie:

- Towarzyszu generale!
- Cicho, nie hałasuj. Tak, Witia. Tak. - Śmieje się. -Tylko nie rób gwałtu. Już od 32 godzin jestem generałem. Ty pierwszy na to wpadłeś.
- Moje gratulacje...
- Dziękuję.
- Życzę wielu gwiazd...
- Przecież mówię, nie rób hałasu... Później się napijemy. Teraz nie czas. Do diabła, jestem kompletnie wykończony. Swój spadochron chociaż złożyłeś?

- Oba, towarzyszu generale.
- Zdaj oba do magazynu.
- Rozkaz. - I czując coś przez skórę pytam nieregu-laminowo: - Nie skaczą już dzisiaj?
- Nigdy już nie będziesz skakać.
- Zrozumiałem - mówię, chociaż nic nie rozumiem.
- Wzywają cię do Kijowa. Stamtąd do Moskwy.
- Tak jest.
- Nikomu ani słowa. W dziale osobowym powiesz, że wzywa cię X Zarząd Główny

Sztabu Generalnego.

- Tak jest!
- No, to trzym się, kapitanie. Powodzenia.

## XV

Kapitanie, otrzymaliście wstępną decyzję Sztabu Generalnego o zrzuceniu was na tyłach wroga ze specjalnym zadaniem. - Nieznajomy generał zmierzył mnie ciężkim spojrzeniem. - Hę czasu potrzebujecie, by się przygotować?

- Trzy minuty, towarzyszu generale.
- Dlaczego nie pięć? - Po raz pierwszy uśmiech pojawił się na jego twarzy.
- Muszę skoczyć do toalety, trzy minuty wystarczy. -Spostrzegłszy, że może nie poznać się na żarcie, dodaje: -Całą noc wieźli mnie tutaj autobusem, nie było kiedy.

- Mikołaju Gierasimowiczu - zwrócił się do kogoś generał - zaprowadźcie kapitana do toalety.

Po upływie dwóch i pół minuty ponownie staję przed generałem.

- Teraz gotów?
- Gotów, towarzyszu generale.
- A dokąd?
- W ogień i w wodę, towarzyszu generale.
- I nie ciekawi was, dokąd?
- Ciekawi, towarzyszu generale.
- Gdybyśmy postanowili bardzo długo przygotowywać was do wykonania zadania, powiedzmy pięć lat, jak byście się na to zapatrywali?
- Pozytywnie.
- Dlaczego?
- To by oznaczało, że zadanie jest rzeczywiście poważne. To mi odpowiada.



- Co wy wiecie, kapitanie, o X Zarządzie Głównym Sztabu Generalnego?
- Jest odpowiedzialny za dostawy broni dla wszystkich bojowników o wolność, szkoli przywódców ruchów narodowowyzwoleńczych, kieruje doradców wojskowych do Azji, Afryki, na Kubę...
- Co byście powiedzieli na propozycję skierowania was do X Zarządu Głównego?
- Byłby to dla mnie najwyższy zaszczyt.
- X Zarząd Główny posyła doradców do krajów należących do strefy klimatów gorących suchych, albo gorących wilgotnych. Co byście wybrali?
- Gorący wilgotny.
- Dlaczego?
- To jest Wietnam, Kambodża, Laos. Tam toczy się walka. W gorących suchych działania bojowe są zawieszane...
- Jesteście w błędzie, kapitanie. Walka toczy się zawsze i wszędzie. Rozejmu nigdy nie było i nie będzie. Wojna trwa bezustannie. Jawna wojna czasem przycicha, ale i u j na, nigdy. Rozważamy właśnie projekt wysłania was na wojnę. Na tajną wojnę.
- Do KGB?
- Nie.
- Czyż może być tajna wojna bez udziału KGB?
- Może.
- I tę wojnę prowadzi X Zarząd Główny?
- Nie, prowadzi ją II Zarząd Główny Sztabu Generalnego, GRU. Dla zamaskowania swojego istnienia GRU wykorzystuje najróżniejsze organizacje, także X Zarząd Główny. Skierujemy was, kapitanie, na egzaminy do tajnej Akademii GRU, ale wszystko zostanie przeprowadzone w taki sposób, jak byście mieli zostać doradcą wojskowym. X Zarząd Główny to wasza przykrywka. Wszelkie papiery i dokumenty przygotujcie dla was wyłącznie ten Zarząd. On też wezwie was do Moskwy, a tam na miejscu zostaniecie przewiezieni do nas na egzaminy...
- Co będzie, jeżeli obleję? Otrząsnął się z obrzydzeniem.
- Wtedy naprawdę przekazemy was do X Zarządu i rzeczywiście zostaniecie doradcą wojskowym. Chętnie was przyjmą, podobacie im się. Ale nam też się podobacie. Jesteśmy przekonani, że zdacie egzaminy, w przeciwnym razie ta rozmowa nie miałaby miejsca.
- Wszystko jasne, towarzyszu generale.
- Skoro tak, to pozostały pewne niezbędne formalności. Wyciągnął z sejfu szeleszcząca jak nowiutki banknot kartkę papieru opatrzoną godłem i nadrukiem „Ściśle

tajne".

- Przeczytajcie i podpiszcie.

Na kartce - dwanaście zwięzłych punktów. Każdy zaczyna się od słów: „Zabrania się” i kończy się surową przestrożą: „grozi najwyższy wymiar kary”. Konkluzja brzmi: „Wszelka próba ujawnienia tego dokumentu lub jego dowolnego fragmentu podlega *karze śmierci*”.

- Przeczytaliście?

W odpowiedzi skinąłem tylko głową. Podsunął mi pióro. Złożyłem podpis i kartka zniknęła w czeluści sejfu.

- Do zobaczenia w Moskwie, kapitanie.

## XVI

Po zdaniu wszystkich papierów i akt młodziutkiemu starszemu lejtnantowi, zjawiłem się w gabinecie mojego byłego już dowódcy:

- Towarzyszu generale, kapitan Suworow melduje się w związku z przeniesieniem do X Zarządu Głównego Sztabu Generalnego.

- Siadaj. Usiadłem.

Długo patrzy mi w oczy. Wytrzymuję jego wzrok. Jest zebrany w sobie i poważny.

- Decydujesz się, Wiktor, na bardzo poważny krok. Biorą cię do Dziesiątki, ale myślę, że to tylko parawan. Sądzę, że wezmą cię gdzieś wyżej. Może nawet do GRU. Do Akwarium. Po prostu na razie nie mają prawa rozmawiać z tobą na te tematy. Ale zapamiętaj moje słowa, przyjdiesz do X Zarządu, a zabiorą cię gdzieś indziej. Na pewno tak się stanie. Jeżeli moja ocena sytuacji jest trafna, czekają cię bardzo trudne egzaminy. Jeżeli chcesz je zdać, musisz w każdej sytuacji być sobą. Jest w tobie coś występnego, coś zepsutego, ale nie staraj się tego ukryć.

- Nie będę tego ukrywać.

- I bądź dobry. Staraj się zawsze być dobrym. Przrzekasz mi? Jeżeli będziesz zmuszony zabić człowieka, bądź dobry! Uśmiechaj się do niego, zanim go zabijesz.

- Postaram się.

- Ale jeżeli ciebie będą zabijać, nie skowycz i nie płacz. Tego ci nie wybaczą. Uśmiechaj się, gdy będą cię zabijać. Uśmiechaj się do kata. Tym się unieśmiertelnisz. Tak czy owak każdy z nas prędzej czy później zdechnie. Zdychaj jak człowiek, Witia. Zdychaj z godnością.

Następnego dnia zielony autokar dowiózł grupę oficerów na odludną stację kolejową,

gdzie formowano wojskowy eszelon. Wszystkich wzywał do Moskwy X Zarząd Główny Sztabu Generalnego. Wszystkich czekała przyszłość wojskowych doradców w Wietnamie, w Algierii, w Jemenie, w Syrii, w Egipcie. W tej grupie byłem też ja. Od tej chwili dla wszystkich moich przyjaciół, kolegów, przełożonych i podwładnych po prostu przestałem istnieć. Pierwszy punkt dokumentu, który podpisałem zabraniał mi jakichkolwiek kontaktów z kimkolwiek, kogo znałem w przeszłości.

## Rozdział 6

### I

Rosjo-mateczko, machasz do mnie dziecięcą rączką z kolejowego nasypu, odsłaniasz przede mną swe nieobjęte przestworza. Osiki, brzoźki, jodełki, splądrowane cerkwie, dziewczyny przy sianokosach, fabryczne kominy i znowu dziatwa na nasypie. Machają w moją stronę i śmieją się. Mosty, mosty. Rzeka Desna zagruchotała stalowymi przęsłami. Konotop, Briańsk, Kaługa. Koła pociągu podskakują na złączach. Tuk. Tuk. Tuk.

W wagonie gwarno. W wagonie popijawa. Tutaj sami swoi. Wojskowy eszelon, żadnych obcych. Sami przyszli doradcy wojskowi. Piją za pomyślność. Za X Zarząd Główny. Za generała-pułkownika Okuniewa. Kolejna butelka poszła w ruch. Pij, kapitanie! Za twoje gwiazdki! Za dalszy awans! Dziękuję, majorze, nawzajem! Roziskrzone oczy. Banda chłopaków zafascynowanych wojną. Nie po to kończyliśmy szkoły wojskowe, żeby sprawdzać czystość żołnierskich buciorów. Szliśmy do tych szkół, bo urzekła nas wojenna romantyka. Dziś X Zarząd Główny daje nam, szczęściarzom, tę upragnioną szansę. Za Dziesiątkę, chłopcy! Za Dziesiątkę!

Jest nas tu cała zgraja. Artyleria, lotnicy, piechota, czoł-giści. Jeszcze wczoraj nie znaliśmy się nawzajem, a dziś

jesteśmy kumplami. Znowu butelka w koło. Wasze zdrowie, chłopcy, za waszą pomyślność. Za wasze gwiazdy. A dokąd to diabli mnie niosą? W dokumentach stoi Kuba, ale tylko dlatego, że w całej grupie poza mną nie ma nikogo na Kubę. Bardzo wielu do Egiptu, do Syrii. Niektórzy do Wietnamu. Gdyby rzeczywiście wyznaczono kogoś na Kubę, wtedy dla mnie wymyślono by coś innego. Krawców oczywiście domyśla się, że Kuba to tylko pozór. Tak naprawdę, to i on nie wie nic konkretnego. Krawców. Generał. Widziałem go w stopniu generała. Miał na sobie zakurzony kombinezon i błękitny wypłowiały берет. Wyglądał jak pierwszy lepszy żołnierz Specnazu. Staram się go sobie wyobrazić w generalskim mundurze, ze złotymi epoletami i szerokimi lampasami - i nie mogę. Widzę go tylko takim, jak podczas naszego pierwszego spotkania: nienaganny mundur, szlify pułkownika, twarz młodziutkiego kapitana. Życzę wam sukcesów, generale.

### II

Krasnaja Priesnia to największy na świecie wojskowy węzeł kolejowy. Eszelony.

Eszelony. Eszelony. Tysiące ludzi. Wszystko otoczone drutem kolczastym. Wszystko ukryte za wysokimi płotami. Wszystko w oślepiającym świetle reflektorów. Transport czołgów do NRD. Transport rekrutów do Czechosłowacji. Łoskot i zgrzyt. Lokomotywy manewrowe formują nowe zestawy. Eszelon haubic na Daleki Wschód. To znowu jakieś kontenery. Wokół obstawa, jakby samego Breżniewa wieźli. Magazyny, składy, rampy, załadunek i wyładunek. Transport zdemobilizowanych żołnierzy z Polski. Tuż obok wagony więzienne. Okna wąskie i podłużne, zamalowane białą farbą, zakratowane. Krasnaja Priesnia to nie tylko wojskowy węzeł, to również więzienie tranzytowe. *Żołnierze z psami*. Czerwone naramienniki. Transport niespiesznie rusza do żony. Wielkie stalowe wrota. Zasięki. Niebieskie oślepiające światło. Więzienne eszelony. Do Ba-dajbo. Do Czeriepcowa. Do Siewierodwińska. Do Żółtych Wód. Ogromne szare bloki wojskowego punktu tranzytowego.

- Grupa doradców do Południowego Jemenu! Zgłosić się w bloku B pokój 217.

Doradca na Kubę!

- Jestem!

- Kapitan Suworow?

- Tak jest.

- Proszę za mną.

Młody przystojny major prowadzi mnie wzdłuż niekończących się płotów i stosów zielonych skrzyń. Tędy, kapitanie. Na niewielkim podwórku oczekuje karetka pogotowia ze znakami Czerwonego *Krzyża*.. Proszę przodem. Drzwiczki zatrzasnęły się i samochód ruszył. Kilka razy stajemy - pewnie kontrola przed opuszczeniem zamkniętego terenu. I oto jesteśmy w Moskwie. Wiem, że nie jedziemy szosą, że wiozą mnie ulicami dużego miasta. Wóz skręca raz po raz i często zatrzymuje się na światłach. Ale to tylko moje domysły. Dojrzeć niczego nie mogę: okna matowe jak w wagonie więziennym.

### III

Jaki nacisk na centymetr kwadratowy gruntu wywiera amerykański czołg M-60? Jakie wolicie rakiety przeciwpancerne: amerykańskie czy francuskie? Dlaczego? Dlaczego schody kręcone w pałacach są - patrząc z dołu -lewoskrętne, a nie prawoskrętne? Dlaczego w powozie przednie koła są mniejsze, a tylne większe? Co wam mówi pojęcie „trzy linie”? Dlaczego lufa w rosyjskim karabinie Mosina jest nagwintowana prawoskrętnie, a w japońskim Arisaka na odwrót? Jakie są podstawowe wady silnika rotacyjnego Wankla? Ile waży wiadro rtęci? Jaki typ kobiet wam odpowiada? Ile numerów pisma „Ogoniok” ukazuje się rocznie? Kto pierwszy zastosował „oskrzydlenie pionowe”? Co oznacza litera L w nazwie

radzieckiego myśliwca bombardującego Su-7-BKL? Gdyby polecono wam zmodernizować amerykański bombowiec strategiczny B-58, które parametry poprawilibyście w pierwszej kolejności? Dlaczego w niemieckich czołgach Panther stosowano krzyżowe zawieszenie? Radziecka dywizja strzelców zmotoryzowanych liczy 257 czołgów. Uważacie, że ich liczbę należy zwiększyć, czy zmniejszyć? O ile? Dlaczego? Jak to

wpływie na organizację zaopatrzenia dywizji? Pytania sypią się jedno po drugim. Nie ma czasu na zastanowienie... Dość się zawahać - już pada następne. Kto to jest Czechów? Snajper ze 138. Dywizji Strzelców 62. Armii. A Do-stojewski? Też mi pytanie. Któż by nie znał Dosto-jewskiego? Mikołaj Gierasirnowicz Dostojewski, generał--major, szef sztabu 3. Armii Uderzeniowej. Wybuchają śmiechem. „Wicie, kapitanie, niezupełnie o to nam chodziło, ale zaliczamy wam odpowiedź. Bardzo wymownie o was świadczy. Nie zwracajcie uwagi na nasz śmiech. Niech was nie peszy". A czy cokolwiek jest mnie w stanie speszyć?

#### IV

Czuję się tak, jakby mi zadali milion pytań. Dopiero później oszacowałem, że było tego koło pięciu tysięcy: 50 pytań na godzinę, 17 godzin dziennie przez 6 dni. Niektóre wymagają pięciominutowych, czasem dziesięciominutowych odpowiedzi. Na inne wystarczają sekundy. Niekiedy pytania się powtarzają. Czasem jedno i to samo pytanie powraca kilkakrotnie. Nie denerwuj się. Odpowiadaj szybciej. Nie próbuj łączyć, nie próbuj kombinować. No więc, ile wódki możesz wypić za jednym razem? Oto zdjęcia dziesięciu kobiet, która podoba ci się najbardziej? Pomnóż 262 przez 16. Szybciej. W pamięci. To łatwe: najpierw trzeba pomnożyć 262 przez 10, potem dodać połowę tego wyniku, potem jeszcze 262. Egzaminator patrzy mi w oczy. Prędeż, kapitanie. Przecież to błahostka. Przenoszę wzrok na sufit. Z wysiłkiem dodaję wszystko do kupy. Spoglądam przed siebie. Któremuś z moich poprzedników zadano to samo pytanie, cieniutkim ołówkiem wynotował wszystkie obliczenia na zielonym papierze, pokrywającym stół. Łapię gotową odpowiedź i natychmiast pojmuję, że to zwyczajna prowokacja. Mój poprzednik nie mógł mieć przy sobie cieniutkiego ołóweczka, nie mógł pod tym świdrującym spojrzeniem rachować po kryjomu na papierze. Zaciskam szczęki i rzucając mój własny wynik: 4.192. Nawet nie zerkam na zielony papier na stole. Wiem, że tamta odpowiedź jest świadomie błędna. A pytania sypią

się jak groch: jak byście zareagowali, kapitanie, gdybyśmy wam zaproponowali handel arbuzami?

Czasem na sali jest tylko jeden egzaminator. Niekiedy trzech, kiedy indziej piętnastu.

Oto dwieście fotografii, rozpoznajcie na nich osoby, które widzieliście w tym pokoju podczas egzaminów. Czas - start! *Teraz* wybierzcie tych, którzy byli tu tylko jeden raz. W następującym tekście macie skreślić wszystkie litery O, podkreślić wszystkie litery A, otoczyć kółkiem wszystkie C. Nie zwracajcie uwagi na tego osobnika ani na radio. Czas - start! Gość robi małe miny, stara się wyrwać mi ołówek, wytrąca krzesło spod tyłka. A radio wrzeszczy: skreślić C, podkreślić O... Czasami w trakcie egzaminów do sali wjeżdża wspaniały obiad, czasem zapominają w ogóle o jedzeniu. Czasami puszczają do toalety na pierwszy znak, kiedy indziej trzeba prosić po trzy razy. Każdego dnia doprowadzają mnie do kresu moich możliwości umysłowych i fizycznych. Zarówno ja sam jak i oni czujemy tę granicę bardzo wyraźnie. Dobrze po północy zwałam się bez rozbierania na wyro i z miejsca zasypiam. Na to właśnie czekają. Oślepiająca lampa w oczy. 262 razy 16! Szybciej. W pamięci. Przecież to takie proste! Odpowiedziałeś już na to pytanie. No, co jest z tobą?! 4.192! - wrzeszczę w odpowiedzi. Światło gaśnie.

## V

Znacznie później dowiedziałem się, że ci, którzy odpowiedzą prawidłowo na więcej niż 90% pytań, odpadają. Nie potrzebują tu zbyt mądrych. Egzaminów nie mają bynajmniej na celu ustalenia poziomu wiedzy delikwenta. Wcale nie. Ważna jest tylko ocena zdolności przyswojenia jak największej ilości informacji w możliwie najkrótszym czasie i w maksymalnie stresowych warunkach. Bada się również stopień poczucia humoru, optymizmu, opanowania, zdolność do intensywnego działania, stałość nastrojów i wiele, wiele innych czynników.

- No cóż, młody człowieku, nadajesz się do nas -oświadczył mi pod koniec szóstego dnia siwy egzaminator. - Nasza organizacja, to nie przelewki. Tutejsze reguły są krótkie i węzłowate. Zrozumie je każdy, nawet jeśli nie chce zrozumieć. Mamy bardzo prostą zasadę: rubel za wejście, dwa za wyjście. To znaczy, że wstąpić do organizacji jest trudno, a jeszcze trudniej ją opuścić. Teoretycznie dla wszystkich jej członków przewidziano tylko jedno wyjście: przez komin. Dla jednych z najwyższymi honorami, dla innych hańbiące, ale komin jest jeden. Tylko przez ten komin odchodzimy z organizacji. Oto on...

## VI

Byłem przekonany, że twarz pułkownika będzie mnie przez całe życie prześladować w nocnych koszmarach. Ale nie przyśnił mi się ani razu. Wiele o nim myślałem. Jednego nie mogłem pojąć. Tłumaczyli mi, że kochał pieniądze, alkohol, kobiety. Właśnie za pieniądze sprzedał się obcym wywiadowi. Przypuśćmy, że to prawda. Ale przecież miał doskonałe możliwości ucieczki na Zachód. Nie skorzystał. Na Zachodzie miałby w bród pieniędzy,

wina, kobiet. W Moskwie i tak nie mógł wydać ani grosza. Nie mówiąc o tym, że nie bardzo można tu zaszaleć.

Babiarz zwałby dla kobiet i forsy, a on został i balansował nad krematorium. Licho wie, dlaczego. Kręcę się na wygrzanej poduszce, sen nie przychodzi. Pierwsza noc bez egzaminów. A może również po nocach obserwuje mnie oko ukrytej kamery? Pies ją trącał! Wstaję, podchodzę kolejno do każdego kąta i pokazuję figę. Jeżeli nawet *teraz* mnie podglądacie, to jutrzejszy wyjazd do Komitetu Centralnego zostanie z pewnością odwołany. Po chwili dochodzę do wniosku, że figa to za mało, więc wystawiam do kamery - jeśli rzeczywiście tu jest - wszystko, co tylko mogę. Rano zobaczymy, czy mnie wywalą, czy też nie. Następnie kładę się z poczuciem głębokiej wewnętrznej satysfakcji, po czym z miejsca zasypiam, pewny, że nazajutrz pogonią mnie na Sybir, bym tam dowodził kompanią czołgów. Jeżeli stanie się inaczej, to znaczy, że i tu da się żyć i omijać drakońską kontrolę.

Śpię błogo i słodko. Śpię kamiennym snem. Wiem, że przyjmując mnie do Akwarium radziecki wywiad popełnia kardynalny błąd. Wiem, że gdy pozostaje tylko jedna droga wyjścia i tylko przez komin, to w moim przypadku nie będzie to wyjście z honorami. Wiem, że nie umrę naturalną śmiercią. O nie, tacy nie umierają zwyczajnie! Doprawdy, wywiad wojskowy wygrałby na tym, gdyby już dziś przepuścił mnie przez kwadratowy komin!

## VII

Znowu wiozą mnie gdzieś zamkniętym, samochodem z matowymi szybami. Nie widać nic na zewnątrz i mnie nikt nie widzi. Ciekawe dokąd to: Do KC czy na Sybir? Chyba jednak do KC. Gdyby na Syberię, kazaliby zabrać walizkę; skoro walizka została, znaczy to, że nie wyby-wam na dobre, że to krótka wizyta, że wrócimy tam, skąd jedziemy.

Zza okna dochodzi hałas wielkiego miasta. Pewnie przecinamy śródmieście. Może to Łubianka? Koło Łubianki, na placu Dzierżyńskiego, zawsze huk jak nad Niagarą. Jakoś wydaje mi się, że jesteśmy obok Łubianki. Nic dziwnego: Komitet Centralny jest dwa kroki stąd. Samochód stoi dłuższą chwilę, potem wolniutko gdzieś się wtacza. Za nami zgrzyt żelaznej bramy. Drzwiczki otwierają się: - Prosimy.

Stoimy na wąziutkim mrocznym dziedzińcu. Z czterech stron wysokie mury. Z tyłu wrota. Po obu stronach - sierżanci KGB na posterunku. Na podwórze wychodzi kilkoro drzwi. Przy jednych - również ochrona KGB, przy pozostałych nie widać nikogo. Nad naszymi głowami gołębie gruchają na gzymsie. - Proszę tędy. - Siwy pokazuje jakieś papiery. Sierżant KGB salutuje. Przejście wolne. Siwy zna drogę. Prowadzi mnie niekończącymi się korytarzami. Czerwone dywany. Sklepione stropy. Drzwi obite skórą. Ponowna kontrola przepustek. - Proszę dalej. - Winda bezgłośnie wiezie nas na trzecie piętro. Znowu korytarze.



Ogromna poczekalnia. Starsza kobieta za stolikiem. - Proszę zaczekać. - Czekamy. - Proszę wejść. - Siwy lekko popchnął mnie do przodu i zamknął za mną drzwi, sam pozostając w poczekalni.

Wysoki gabinet. Okno do samego sufitu, bez widoku. Za oknem głucha ściana, gołębie na parapecie. Dębowe biurko. Za biurkiem szczupły mężczyzna w okularach w żółtej oprawie. Brązowy garnitur bez dystynkcji: żadnych medali ani orderów. Dobrze jest w wojsku - rzut oka na naramienniki i już wiesz jak się zwracać: towarzyszu majorze, towarzyszu pułkowniku... A tu jak zagaić? Po prostu przestawiam się:

- Kapitan Suworow.

- Witajcie, kapitanie. Bardzo wnikliwie was zbadaliśmy i zdecydowaliśmy przyjąć was do Akwarium, po odpowiednim przeszkoleniu, ma się rozumieć.

- Dziękuję. To dla mnie zaszczyt.

- Dziś jest 23 sierpnia. Zapamiętajcie tę datę, kapitanie, na całe życie. Począwszy od dziś wchodzić do nomenklatury. Wprowadzamy was na bardzo wysoki jej szczebel: do nomenklatury Komitetu Centralnego. Prócz rozlicznych wyjątkowych przywilejów uzyskanie jeden przywilej szczególny: Od dziś nie podlegacie kontroli KGB. Odtąd KGB nie ma prawa zadawać wam żadnych pytań, żądać na nie odpowiedzi, podejmować jakichkolwiek działań przeciwko wam. Jeżeli popełnicie jakiś błąd, macie zameldować waszemu przełożonemu, a on poinformuje nas. Jeżeli nie zameldujecie, dowiemy się tak czy inaczej. W każdym razie wszelka kontrola waszych poczynań należy wyłącznie do kierownictwa GRU, albo Wydziału Organów Administracyjnych KC. O każdym kontakcie z KGB macie zameldować swojemu przełożonemu. Pomyślność KC zależy od tego, w jakim stopniu struktury i poszczególne osoby należące do nomenklatury KC zdołają zachować niezależność od wszelkich innych organizacji. Pomyślność KC to zarazem wasza pomyślność, kapitanie. Możecie się szczycić zaufaniem, jakim KC darzy wywiad wojskowy i was osobiście. Życzę powodzenia.

Zasalutowałem służbiście i opuściłem gabinet.

## VIII

Rozległe jezioro ukryte w lasach. Brzegi porośnięte trzcina. Brzozy nad urwiskiem. Tam, za wysokim płotem, mieści się nasza *dacza*. Miniaturowa plaża. Łódki odwrócone do góry dnem. Na przeciwległym brzegu też jakieś drewniane zabudowania, też za zielonym ogrodze-

niem, też pod ochroną. Specjalny teren wydzielony na *dacze*, ale tylko dla wąskiego

kręgu wybranych towarzyszy. Nie tak łatwo tutaj trafić. Dębowe zagajniki, jeziora, gęste lasy. Gdziekolwiek czerwone dachy. Znowu zielone płoty. Do naszego jeziora prowadzi tylko jeden dojazd. Innej drogi nie ma. Możesz kręcić w kółko do woli, a tak czy inaczej stale natykasz się na zielone ogrodzenia. Za naszymi płotami też czyjeś lotnisko. Słychać, jak grają w siatkówkę. Nie powinniśmy wiedzieć, kto tam piłkę odbija. Im do nas też nie wolno zajrzeć. Płot po lewej nieco wyższy niż po prawej. Stamtąd dochodzą wieczorami dźwięki muzyki. Bardzo przyjemna melodia: tango. Nasz ośrodek jest całkiem spory. Mieszkają tu 23 osoby, a miejsca starczyłoby dla trzydziestu. Każdy ma osobny pokój. Ściany z sosnowych belek. Zapach żywicy. Na ścianie malutki pejzaż. Ogromne, wygodne łóżko. Półka z książkami. Na dole hali wyłożony wielkim wschodnim dywanem. Wstajemy, kiedy chcemy i robimy, co nam się żywnie podoba. Syte śniadanie. Skromny obiad. Wystawna kolacja. Wieczorami siedzimy przy kominku. Pijemy. Gawędzimy. W poprzednim życiu wszyscy byliśmy oficerami średnich szczebli w radzieckim wywiadzie wojskowym. W grupie jest jeden podpułkownik, dwóch majorów i starszy lejtnant. Cała reszta to kapitanowie. Jeden z nas był poprzednio pilotem myśliwca, dwaj służyli w jednostce raketowej, jeden w desancie, jeden był dowódcą kutra raketowego. Jest też lekarz wojskowy oraz prawnik. W sumie barwne towarzystwo. Służyliśmy pod rozkazami różnych dowódców. Z rozmaitych względów każdy z nas wpadł w oko jakiemuś oficerowi wywiadu dywizji, armii albo jeszcze wyższego stopnia. Każdego z nas ktoś wyłuskał do swojej grupy. Właśnie spośród tych grup Akwarium dobiera swoich kandydatów. Zrozumiałe, że zabierając ludzi szefom wywiadów niższego szczebla Akwarium nie dąży do tego, by zagarnąć wszystkich albo najlepszych. Nie, jeżeli dziś Akwarium pozbawi Krawcowa wszystkich jego orłów, to jutro Krawców nie będzie już tak pieczołowicie kompletować własnej grupy. Dlatego Akwarium bardzo ostrożnie zabiera ludzi, żeby nie zniechęcić tego czy innego dowódcy do dalszej skrupulatnej selekcji.

Dużo śpię. Dawno już nie sypiałem równie twardym i błogim snem. Budzę się późno i idę nad jezioro. Pogoda pochmurna, ale woda ciepła. Pływam godzinami. Wiem, że ten sen i ta swoboda nie potrwają długo. Po prostu pozwalają nam odprężyć się po egzaminach i przed rozpoczęciem roku akademickiego. Więc się odprężam.

## IX

Szybko zawiązana przyjaźń kończy się często wrogością. Wiem to doskonale. Moi towarzysze z grupy też to wiedzą. Dlatego bez pośpiechu bardzo ostrożnie badamy się wzajemnie. Gadamy o głupstwach. Dowcipy opowiadamy niezbyt ostre. Pełny luz. Na razie możemy popijać. W imponującym barze obfitość trunków: pij, ile dusza zapagnie. Ale

pijemy z umiarem. Kiedyś zostaniemy przyjaciółmi. Kiedyś będziemy sobie ufać. Kiedyś będziemy się wzajemnie wspierać. Wtedy dopiero zaczniemy pić na serio. Jak na prawdziwych oficerów przystało. Ale jeszcze nie dziś.

Obmierzono nas dokładnie i wszyscy paradujemy w cywilnych garniturach. Niektórym z nas przyjdzie wrócić do munduru, kiedy zostaną generałami. Innym wypadnie pozostać po cywilnemu, nawet gdy zdobędą generalskie szlify. Taka służba.

X

Nazywam się pułkownik Piotr Fiodorowicz Razu-mow - przedstawił się korpulentny osobnik w dresie sportowym i z piłką siatkową w ręce. - Mam 51 lat, z czego 23 służę w Akwarium. Pracowałem w trzech krajach. Za granicą spędziłem 16 lat. Mam na koncie 7 werbunków. Byłem odznaczony czterema orderami bojowymi i kilkoma medalami. Będę szefem-Instrukto-rem waszej grupy. Oczywiście, wymyślicie mi jakąś ksywę. Żebyście nie musieli łamać sobie głowy, zdradzę wam kilka moich nieoficjalnych przezwisk. Jedno z nich brzmi Słoń. Tak przeżywa się wszystkich wykładowców i profesorów Wojskowej Akademii Dyplomatycznej. Na samą Akademię mówi się Konserwatorium, jeśli dotyczy

to was, młodzieży, lub też Cmentarzysko Słoni, jeśli mowa jest o nas, profesorach i wykładowcach. Być może któryś z was też zostanie słońciem i przyjdzie tu, by szkolić młode słońtka. Tymczasem chciałbym pogadać z każdym z was z osobna. Kapitan Suworow.

- Jestem, towarzyszu pułkowniku.

- Zwracajcie się do mnie zwyczajnie: Piotr Fiodorowicz.

- Tak jest.

- Zapomnijcie, że istnieje zwrot „tak jest”. Pozostajecie oficerem Armii Radzieckiej, co więcej, wznosicie się na jej najwyższe piętro: do Sztabu Generalnego. Ale mimo to na jakiś czas wyrzucicie z pamięci to „tak jest”. Czy rozmawiając z przełożonymi potraficie nie strzelać obcasami?

- Nie potrafię, towarzyszu... Piotrze Fiodorowiczu.

- Pierwsza sprawa, Wiktor, twoje pierwsze zadanie. Naucz się siedzieć na krześle bardziej niedbale... Siedzisz sztywno, jakbyś połknął bagnet. Cywilni dyplomaci tak nie siedzą. Jasne?

- Jasne.

XI

Od dawna zdumiewało mnie, że można zorganizować tajną szkołę szpiegowską w centrum wielkiego miasta tak, żeby nikt się nie mógł zorientować, żeby nikt nas nie sfoto-

grafował ani pojedynczo, ani w grupie. Okazuje się, że to proste. Główny kompleks Wojskowej Akademii Dyplomatycznej wznosi się przy ulicy Pospolitego Ruszenia. Rzecz jasna, nie ma tu żadnych tablic informacyjnych. Ogrodzenie we wzory z kutego żelaza, bujne zarośla bzu, kolumnady, kraty w oknach, szczelne kotary, warty na każdym rogu. Ale to nie jest miejsce najważniejsze. Tutaj przygotowuje się tylko tych, którzy zostaną w „wielkiej żonie”, w KDL-ach. My zaś, którzy znajdujemy się na warunkowym zwolnieniu, przeznaczeni do roboty poza „obozem”, szkolimy się gdzie indziej. Słuchacze głównych kierunków są porozrzucani po całej Moskwie, po niewielkich punktach szkoleniowych. A gdzie się mieści mój punkt, tego i ja nie wiem...

Każdego ranka o 8.30 zjawiam się w Instytucie Promieniowania Elektromagnetycznego, tuż koło parku Ti-

miriazewa. Oficjalnie instytut uchodzi za placówkę Ministerstwa Przemysłu Radiowego, ale mało kto wie, do kogo w rzeczywistości należy i czym się naprawdę zajmuje. Na początku lat pięćdziesiątych ta niepozorna wówczas instytucja zajmowała 4-piętrowy pałacyk w typowym stylu późnego stalinizmu: kolumnady, balkoniki, sztukateria. Pracowało tam najwyżej dwieście osób. Z biegiem czasu instytut szybko się rozrastał, o czym świadczą 6-piętrowe masywne szare bloki. Nieotynkowa-na cegła sylikatowa - to już piętro chruszczowowskiej nierozrzutności. Obok potężne bryły ze szkła i aluminium: symbol militarno-przemysłowego rozmachu epoki Breżniewa. Labirynt murów i ogrodzeń szatkuje ten obszar na strefy i sektory. Drut kolczasty, białe izolatory. „Mijając posterunek okazać rozłożoną przepustkę!”

Masa ludzi. Poranna zmiana. Tłum przepływa przez wartownię rozbitą na dwanaście potoków. „Na terenie obiektu palenie wzbronione!”, „Bądź czujny! Gadulstwo służy wrogom!”, „Przekroczymy plan pierwszego kwartału!”, „Nie stój pod suwnicą!” Szara masa ludzka rozplywa się strumykami po wydziałach i sektorach. Zgrzyta hamulcami lokomotywa manewrowa. Potężny hangar połyka 60-tonowe wagony. Spiesz się uczona brać. Tłum wali w milczeniu. Wszyscy tajni. Wszyscy ściśle tajni. „Wejście wzbronione!”. „Okazać rozłożoną przepustkę!” Betonowe przegrody. Ceglane przegrody. Różnobarwne kominy. Strefa 12-B.

Nad czym się tutaj pracuje? Lepiej nie pytać. Jeszcze raz okazujemy przepustkę. Cała jest upstrzona masą zakodowanych symboli. Każdy posiadacz przepustki porusza się wyłącznie w ściśle określonych granicach swojej strefy. Bez specjalnych znaczków na legitymacji nikt cię nie wpuści poza wyznaczony obszar. Wykręcamy numer na tarczy - i już jesteśmy w hangarze. Tutaj zbiera się cała nasza grupa. Obok stoi zaparkowany potężny MAŻ

z pomarańczowym kontenerem. Zajmujemy miejsca w jego wnętrzu. Przypomina kabinę komfortowego samolotu: wygodne fotele, dywany... Tylko okien brakuje. O godzinie 8.40, gdy kontener jest wewnątrz zamknięty na cztery spusty, w hangarze zjawia się kierowca i wyjeżdża ciężarówką na miasto. Nigdy nie widzieliśmy go na oczy. On zaś

nawet nie podejrzewa, że wozi ludzi. Zadanie ma następujące: o 8.40 wejść do hangaru, wsiąść do wozu i przewieźć kontener z jakimś bardzo niebezpiecznym ładunkiem do sosnowego lasu, kilka dzielnic stąd. Tam również znajduje się pewien tajny obiekt, też stoi hangar. Kierowca wprowadza wóz do środka, po czym wychodzi do poczekalni. Wieczorem robi jeszcze jeden kurs. Resztę czasu wozi inne pomarańczowe kontenery po Moskwie. Może transportuje zapalniki do bomb atomowych, może śmiertelne wirusy, zdolne pożreć całą ludzkość, a może aparaturę do prowadzenia wojny genetycznej. Skąd miałyby wiedzieć, co zawierają kontenery? Wszystkie są jednakowe. Wszystkie pomarańczowe. Pewnie też zgarnia niezły szmal. W takich ośrodkach badawczych nikomu krzywda się nie dzieje.

## XII

Jeden po drugim wyskakujemy z pomarańczowego kontenera. Hop. Hop. W hangarze wysoko pod dachem ćwierka wróbelek. Tylko on zna wszystkie nasze sekrety: kto jest kierowcą, kto tu po nocach sprząta, kto w takim samym kontenerze przywozi nam jedzenie i nakrywa do stołu. Dopóki jesteśmy w żonie, personel pomocniczy ma zakaz wstępu. Nawet wejście do stołówki przypomina służbę: jeżeli drzwi ze stołówki do hangaru są otwarte i ktoś szykuje nam śniadanie, to nie ma mowy, żeby dostać się do któregoś z tych pomieszczeń. Jak psom Pawiowa dzwonek sygnalizuje nam, że możemy wejść do jadalni, nikt z zewnątrz nie może otworzyć drzwi. Automatyka. Jedzenie doskonałe. Nigdy dotąd mnie tak nie karmiono, nawet w Czechosłowacji. Jednak żona pozostaje żoną, a nasz kontener nazywamy między sobą pomarańczowy *woron*<sup>5</sup>. Na dobrą sprawę wożą nas jak *zeków*, tyle że z wygodami.

W specjalnej księdze wpisuję podziękowanie za pyszne śniadanie i zamówienie na dzień następny. I czym prędzej na zajęcia.

- Wszyscy gotowi?

- Tak jest!

- Pięć minut odprężenia: wdech-wydech.

Mamy miłe, zadbane podwóreczko. Krzewy bzu niemal w całości zasłaniają szare betonowe mury. Przytulnie. Nad bzami zasieki z drutów kolczastych. Co za tym drutem - nie wiadomo. Możemy jedynie dojrzeć półokrągłe dachy hangarów, jak u nas nad basenem i

<sup>5</sup> *Czornyj woron, woronok*- „czarna wrona”: więźniarka, milicyjna buda do przewożenia aresztantów [przyp. tłum.].

kortem tenisowym. Może mieści się tam jeszcze jeden punkt szkoleniowy? Może ćwiczą tam nasi polscy lub węgierscy koledzy, albo kubańscy, włoscy czy libijscy? Któż to może wiedzieć? Możliwe, że to nie punkt szkoleniowy, tylko tajne laboratorium albo magazyn, albo po prostu więzienie. Wczuwa-jąc się w ruch naszego pomarańczowego kontenera, staram się każdego ranka odgadnąć kierunek jazdy. Wydaje mi się, że wożą nas bardzo niedaleko. Mam wrażenie, że gdzieś w pobliżu więzienia na Krasnej Priesni. Nie sposób, rzecz jasna, ustalić dokładnego miejsca. A sosnowych zagajników wokół Moskwy jest rzeczywiście od metra.

- Odetchnęli? Dobra.

Wszyscy do sali wykładowej. Każdy rusza do swojego sejfu. Mój zawiera cztery 96-stronicowe zeszyty: zapas na trzy lata. Notuj gęsto, staraj się jak najwięcej zapamiętać, łap w locie podawane informacje. Ucz się oszczędzać papier.

Zeszyt z teorii wywiadu pod pachę, sejf na klucz - i do sali.

Wykładowca siedzi za muślinowym parawanem. Nie rozróżnia wyraźnie naszych twarzy, ani my jego rysów, ale rozmowa toczy się bez przeszkód.

Wszyscy wykładowcy i dowódcy to Słonie. Niektórzy mają prawo kontaktować się z nami w ramach zajęć, większość jednak widzi tylko nasze sylwetki za półprzezroczystym ekranem i zwraca się do nas po numerach.

To starzy wyjadacze. Spędzili lata za granicami wielkiej żony. Niektórzy działali z ukrycia jako wysokiej rangi funkcjonariusze GRU, inni występowali bardziej jawnie: w charakterze wojskowych *attache*, cywilnych bądź wojskowych doradców, dziennikarzy, dyplomatów, przedstawicieli central handlowych, urzędników placówek konsularnych, Aeroflotu, Morfłotu, Inturistu czy organizacji międzynarodowych. Każdy z nich ma na swoim koncie jakąś poważną wpadkę, dlatego wszyscy wylądowali na Cmenta-rzystku Słoni. Kto zdołał uniknąć wsypy, nadal trudni się zdobywaniem albo przynajmniej analizą informacji.

Spalony as wywiadu włącza aparaturę ochronną, co powoduje lekką wibrację ścian pomieszczenia, po czym przystępuje do wykładu:

- Tak oto wygląda szpieg. - Na dużym plakacie barczysty osobnik w prochowcu, ciemne okulary, postawiony kołnierz, ręce w kieszeniach. - Tak przedstawiają szpiegów autorzy sensacyjnych powieści i filmów, tak też widzi ich szeroka publiczność. Zapamiętajcie: nie jesteście szpiegami, jesteście dzielnymi radzieckimi wywiadowcami. Nie przystoi wam przypominać szpiega, dlatego kategorycznie zabrania się:

- a) nosić ciemne okulary, nawet w upalny, słoneczny dzień;
- b) nasuwać kapelusz na oczy;
- c) trzymać ręce w kieszeniach;

d) stawiać kołnierz palta lub płaszcz.

...Sposób poruszania się, rozglądania, oddychania będzie poddany długotrwałym ćwiczeniom, ale od samego początku musicie zapamiętać, że w żadnym wypadku nie możecie być napięci. Spojrzenie spode łba, zerkanie ukradkiem przez ramię: to odwieczny wróg wywiadowcy. Podczas treningów będziecie karani za takie odruchy równie bezwzględnie, jak za błędy zasadnicze. Wasz wygląd nie powinien w najmniejszym stopniu kojarzyć się z ustalonym stereotypem szpiega. Wasze otwarte, uczciwe twarze były jednym z najważniejszych argumentów przy selekcji. Długi czas badaliśmy tysiące oficerów, potencjalnych kandydatów GRU. Niektórych po kilka lat trzymaliśmy pod obserwacją. Przez ten czas każdy z nich dziesiątki razy latał jako cywilny pasażer na normalnych trasach. Ten, którego policja choć raz skontrolowała przed wejściem do samolotu, odpadał. Potrzebujemy ludzi niepozornych, na których żaden policjant nie zwróci uwagi. Spójrzcie teraz na siebie: miłe, proste robotniczo -chłopskie twarze, żadnych inteligencików w okularkach, żadnych Jamesów Bondów. Doskona-

le. To dowodzi, że sekcja rekrutacyjna spisuje się na medal.

.. Wygląd to nie wszystko, liczą się także metody pracy. Autorzy kryminałów najczęściej ukazują agenta jako pierwszorzędnego strzelca i specjalistę od łamania kości. W większości przyszlście do Akwarium z niższych szczebli wywiadu w jednostkach Specnazu albo Floty Wojennej. Tam wszystkie te metody miały swoje uzasadnienie. Ale tutaj, na górze, w strategicznym wywiadzie agenturalnym Sztabu Generalnego, nie będziemy uczyć was strzelania ani rozbijania cegieł ciosami karate. Osiągnęliście najwyższy możliwy pułap pracy wywiadowczej, i to, co teraz przyda wam się najbardziej, to wasze głowy. Będziecie użyci do niezwykle trudnych zadań; jeżeli zawiedzie was kiedyś rozum, nie liczcie, że pistolet albo pięść wam pomogą.

...Japońskie chwytaki samoobronne, pistolety i noże przypominają pasy bezpieczeństwa, stosowane przy pracy na dużych wysokościach. Zauważcie: tylko mało doświadczony młodziak używa takiej uprzęży. Stary wyga nigdy. Pas daje złudzenie bezpieczeństwa. Wystarczy raz zapomnieć, i po tobie. Kto pasa nie używa, nie ma złudzeń, stale jest świadomy niebezpieczeństwa i ma się na baczności. Ciągła asekuracja osłabia czujność i dlatego radziecki wywiad strategiczny nie daje swoim zuchom pasów bezpieczeństwa.

...Niech tylko zdarzy wam się popełnić błąd, z miejsca kontrwywiad przeciwnika rzuci przeciwko wam śmigłowce, gaz, psy, supernowoczesną technikę, sto samochodów, trzystu zawodowych policjantów. Na nic zda się wtedy pistolecik. Stwarza tylko złudne poczucie

bezpieczeństwa. Pragniemy pozbawić was wszystkich złudzeń. Możecie liczyć tylko na własną głowę, na własną inteligencję. Nie macie żadnej asekuracji. Jeden fałszywy krok, i lecicie w dół. Na tym polega różnica między wami i przysłowiowym szpiegiem w ciemnych okularach. Osiągnięcia, jakimi może się poszczycić Akwarium są wymownym dowodem właściwego wyboru metod działania.

...Temat dzisiejszego 6-godzinnego seminarium brzmi: „Metody agenturalnej penetracji”.

Otworzyliśmy notesy. Szkolenie oficerów w GRU odbiega diametralnie od tego, co można wyczytać w sensacyjnych powieściach. W ciągu następnych trzech lat studiów w Wojskowej Akademii Dyplomatycznej czekało nas jeszcze wiele zaskakujących odkryć.

### XIII

Człowiek może dokonywać cudów. Może trzykrotnie przepłynąć kanał La Manche, może wypić na raz sto kufli piwa, chodzić boso po rozżarzonych węglach, może opanować trzydzieści języków, zostać mistrzem olimpijskim w boksie, wynaleźć telewizor albo rower, zostać generałem GRU albo miliarderem. Wszystko jest w zasięgu jego możliwości. Po prostu chcieć - to moc. Najważniejsze - chcieć, reszta jest kwestią treningu. Jednak regularne ćwiczenie pamięci, mięśni lub charakteru samo w sobie do niczego nie prowadzi. Regularność treningu jest ważna, ale nie decydująca. Pewien dziwak ćwiczył bardzo regularnie. Przez dziesięć lat raz dziennie podnosił żelazko, a mimo to nie rozwinęła mu się muskulatura. Sukces przychodzi tylko wówczas, kiedy każde ćwiczenie (pamięci, mięśni, psychiki, siły woli, wytrwałości) doprowadza człowieka do kresu jego możliwości. Kiedy trening staje się pod koniec torturą. Kiedy człowiek krzyczy z bólu. Trening jest skuteczny tylko wtedy, gdy człowiek jest świadomy swoich możliwości, wie, że może skoczyć wzwyż na 2 metry, zrobić 153 pompki, zapamiętać dwie strony tekstu w obcym języku. Każdy następny trening ma sens tylko, jeżeli stanowi próbę pobicia rekordu z poprzedniego dnia: zdechnę, ale zrobię 154 pompki...

Chodzimy na treningi przyszłych mistrzów olimpijskich. Oto oni, 15-letni bokserzy, 5-letni akrobaci, 3-letni pływacy. Spójrzcie na ich wyraz twarzy. Poczekajcie do końca treningu, do ostatniej chwili, kiedy na malutkiej dziecinniej twarzyczce pojawi się wściekła determinacja, pragnienie pobicia wczorajszego wyniku. Patrzcie na nich! To właśnie oni przyniosą kiedyś olimpijskie złoto pod wielką czerwoną flagę z sierpem i młotem. Spójrzcie

na tę twarz! Ile w niej napięcia. *Jakaż męka!* To droga ku sławie. To droga do



sukcesu! Championem może być tylko człowiek, który wie, że za moment sztanga zwali mu się na głowę - i wyciska ją dalej. W tym życiu wygrywa tylko ten, kto pokonał samego siebie. Kto pokonał swój strach, swoje lenistwo, swoją nieśmiałość.

Słoń przyprowadził nas na trening młodych olimpijczyków.

- Tak właśnie nasz kraj przygotowuje zastępy obrońców jego sportowej chwały. Czyżbyście chłopcy, sądzili, że mniej poważnie traktuje przygotowanie wywiadowców?

## Rozdział 7

### I

Niezapomniany luty 1971 roku. Szef GRU generał--pułkownik Piotr Iwaszutin otrzymał stopień generała armii. Akwarium szaleje z zachwytu. Cały Sztab Generalny nie posiada się z radości. Wywiad wojskowy górą! Przewodniczący KGB Jurij Andropow nadal będzie tylko generałem-pułkownikiem. Co za afront!

Wiemy doskonale, że Komitet Centralny świadomie dolewa oliwy do ognia i zderzenie KGB - GRU jest nieuniknione. Jakiś czas temu doszło do zachwiania równowagi między KGB i wojskiem, i oto KC stara się skorygować przeoczenie. Rozpoczęła się czystka w średnim aparacie KGB. Trwają masowe dymisje pułkowników i generałów-majorów KGB. Towarzyszą im promocje oficerów i generalicji GRU, całego Sztabu Generalnego, całej Radzieckiej Armii. Głównodowodzącego Północno-Kaukaskiego Okręgu Wojskowego generała-lejtnanta wojsk pancernych Litowcewa awansowano do rangi generała-pułkownika. Czy pamiętacie, towarzyszu generale, wasz trudny start na tym stanowisku? Ktoś wam wówczas przyszedł z pomocą, ryzykując własną głową. Za tę pomoc zostałem przedterminowo kapitanem. Przecież wy także, towarzyszu generale, po cichutku komuś pomagaliście i nadal pomagacie, inaczej nikt by was nie

popierał. Nie załśniłyby na waszych naramiennikach trzy generalskie gwiazdy. Powodzenia, generale.

W lutym 1971 roku KGB i GRU rzuciły się sobie do gardeł. Ale któż mógłby dojrzeć to z boku? Wszyscy znają generała-pułkownika Andropowa. Kto zna generała armii Iwaszutina? Ale też on nie szuka rozgłosu. Iwaszutin, w odróżnieniu od Andropowa, stoi na czele tajnej organizacji, działającej w cieniu, nie potrzeba mu reklamy.

### II

Planowaniem wojny zajmuje się Sztab Generalny. Sztab jest mózgiem armii. Wszelka próba ingerencji KGB w proces planowania nieuchronnie przywodzi całe państwo na skraj katastrofy. Jeżeli państwo chce przetrwać, musi ograniczyć wpływy KGB na Sztab Generalny. Aby zapewnić zwycięstwo w przyszłej wojnie, Sztab Generalny musi mieć własny punkt widzenia na świat. Dlatego powinien zbierać niezbędne informacje siłami własnych oficerów obeznanych z zagadnieniami planowania bojowego, zdolnych do podejmowania samodziel-

nych decyzji. Sztab Generalny nie ma czasu dopraszać się informacji, sam rozkazuje swoim służbom wywiadowczym, co należy rozpracować w pierwszej kolejności. Dla zwiększenia efektywności tych operacji Sztab Generalny musi być władny premiować najlepszych wywiadowców, a także surowo karać nieudolnych. Takie uprawnienia zostały mu nadane. Posiada własną służbę wywiadowczą, postrzega świat nie przez pryzmat KGB, lecz swoimi własnymi oczami, nie zbiera informacji siłami policji, lecz siłami oficerów Sztabu Generalnego, naszymi siłami.

Każdy z nas winien stać się równocześnie oficerem wywiadu i oficerem Sztabu Generalnego. Mamy na to bardzo mało czasu - zaledwie 5 lat. Właśnie dlatego nasz program przygotowawczy jest tak napięty. Jesteście oficerami Sztabu Generalnego! Jeżeli nie możecie wytrzymać tych obciążeń, przeniesiemy was na niższe szczeble.

Robimy, co w naszej mocy. Wytrzymujemy obciążenia. Nie wszyscy.

Po nocach śnią mi się wielkie ofensywy. Głębokie pancerne kliny. Desanty z powietrza. Brygady Specnazu na tyłach wroga. Nielegalne rezydentury i strumień informacji spadających do Sztabu Generalnego. Śni mi się huk bitewny i ogień. Otwieram oczy. Słyszę obrzydliwy terkot budzika; zimne światło bije mi w oczy. Długo siedzę na łóżku. Chyba nie wytrzymam.

### III

Czas leci nieubłaganie. Sesja zimowa. Osiem egzaminów. Sesja letnia. Osiem egzaminów. Urlop zimowy -piętnaście dni. Urlop letni - miesiąc. Nie wyjeżdżam na wakacje. Co prawda zdałem wszystkie egzaminy, ale mam jeszcze masę do zrobienia. Znowu ferie zimowe i znowu nie ruszam się z miejsca. Z naszej grupy prawie nikt nie wyjeżdża. Trzeba pracować. Trzeba więcej pracować. Kto chce się utrzymać, musi bardzo dużo pracować. Aż przed oczami zatańczą czerwone kręgi. Nikt nam w pracy nie przeszkadza. Można ślęczeć po nocach. Można spać po trzy godziny na dobę.

Nasza grupa stopniowo się wykrusza. Podpułkownik -rozkład moralny, seksualna rozwiązłość. Wygnany na kosmodrom w Plesiecku. To też GRU: karna kolonia dla zesłanych za wykroczenia. Major wywiadu artyleryjskiego: pijaństwo. Odesłany z powrotem do bazy Specnazu nad Bajkałem. Topnieje grupa. Było nas dwudziestu trzech. Zostało siedemnastu. Wywalają tych, którzy słabną z przepracowania, którzy nie potrafią *zauważyć* inwigilacji, którzy myślą się albo gorączkują przy podejmowaniu decyzji. Odpadają ci, co nie są w stanie opanować dwóch języków obcych, nie potrafią przyswoić historii dyplomacji i wywiadu, całej struktury, taktyki, strategii i uzbrojenia naszej armii i sił zbrojnych naszych wrogów.

Znikają i niepostrzeżenie. Nigdy już nie awansują. Wyszykuje się dla nich miejsca,

gdzie pracują tacy sami pechowcy z GRU, gdzie kwitnie nieufność i prowokacja. Nota *bene*, gdzie nie kwitnie?

#### IV

Każdą wolną chwilę poświęcamy wyszukiwaniu kryjówek. Penetrujemy okolice. Wywiadowca potrzebuje setek zakamarków, gdzie nikt nie zakłóci jego samotności, miejsc, gdzie wiedziałby, że nikt nie depte mu po piętach, skrytek, w których mógłby schować tajne materiały i mieć pewność, że ani dzieci, ani żaden przypadkowy przechodzień ich nie odnajdą, że nie wyrosnie tu budowa, że nie uszkodzą ich wiewiórki ani szczury, ani woda, ani śnieg. W każdej chwili wywiadowca musi mieć w rezerwie masę takich kryjówek i żadnej nie ma prawa wykorzystać dwukrotnie. Powinny znajdować się na uboczu, z dala od więzień, dworców, zakładów zbrojeniowych, dzielnic rządowych i dyplomatycznych o zwiększonej aktywności policyjnej, gdzie o wpadkę nietrudno. Niebagatelna sprawa znaleźć w Moskwie miejsce, gdzie nie ma więzień, budynków rządowych albo strzeżonych wojskowych obiektów.

Cały wolny czas schodzi nam na myszkowaniu. Myszkujemy w podmiejskich zagajnikach, w parkach, na zarzuconych wysypiskach i opuszczonych budowach. Myszkujemy w śniegu i w błocie. Potrzeba nam masy dogodnych skrytek. Ten, kto nauczy się wyszukiwać ich w Moskwie, potrafi znaleźć je także w Chartumie, w Melbourne, w Helsinkach.

#### V

Uczymy się zapamiętywać ludzkie twarze. Ta analityczna czynność mózgu powinna stać się odruchem. Przed moimi oczami migają na ekranie tysiące twarzy, tysiące ludzkich sylwetek. Trzymam palec na przycisku, jak na spuście. Gdy tylko po raz drugi ujrzę tę samą twarz, mam natychmiast nacisnąć. Jeżeli się mylę, czuję lekkie, ale nieprzyjemne kopnięcie prądu. Naciskam w niewłaściwym momencie - buch! Nie nacisnąłem, gdy należało -buch! Treningi odbywają się regularnie i szybkość ukazywania się twarzy stale wzrasta. Za każdym razem oglądam coraz więcej nowych postaci. Tych samych ludzi pokazują mi w perukach, ucharakteryzowanych, przebranych w coraz to inne okrycia. Każdy błąd - kopnięcie prądem.

#### VI

Wywiadowca winien zwracać baczną uwagę na numery rejestracyjne wozów. Jeśli drugi raz wpadła ci w oko ta sama tablica, miej się na baczności: może jesteś śledzony? Pokazują mi tysiące numerów rejestracyjnych. Przelatują przez ekran jak francuski ekspres

TGV. Nie trzeba ich zapamiętywać, należy je rozpoznawać. Analityczny umysł nie zda się na nic. Liczy się tylko refleks, odruch warunkowy. Ten odruch wpajają nam jak psom, metodą Pawiowa. Błąd - i elektrowstrząs, błąd - i wstrząs.

Tablice rejestracyjne mogą się stale zmieniać, dlatego trzeba umieć rozpoznawać pojazdy nie tylko po rejestracji, lecz także z wyglądu. Ulicami dużej metropolii jeżdżą miliony samochodów, a nasz mózg nie jest w stanie zapamiętać nawet setki, zwłaszcza że tak wiele jest identycznych. Tu refleks przychodzi wywiadowcy z pomocą. Nasz umysł może utrwalić miliony szczegółów, ale po prostu nie potrafimy wykorzystać tej masy informacji. Spokojna głowa. Akwarium nauczy.

I

## VII

Jesteśmy oficerami Sztabu Generalnego. Często wożą nas na bulwar Gogola i tam uczą podejmowania decyzji w toku operacji militarnych na wielką skalę. Na ogromnych mapach i bezkresnych równinach próbujemy kierować wielkimi masami wojsk w nowoczesnej wojnie; najpierw nieśmiało i niepewnie, na papierze, później naprawdę, w terenie. Być może nigdy nie będziesz miał okazji wykorzystać w praktyce tych umiejętności, ale wystarczy raz przesunąć, choćby na mapie, 5. i 7. Gwardyjską Armię Pancerną z Białorusi do Polski - z miejsca pojmujesz, jak wiele i jakiej konkretnie informacji potrzebuje Sztab Generalny, by móc wykonać ten manewr w realnej wojnie.

## VIII

Myszkuje po mieście. Uczymy się bezbłędnie rozpoznawać inwigilację. Przed rozpoczęciem każdej operacji oficer wywiadu musi jednoznacznie odpowiedzieć so-

156

i

## AKWARIUM

bie na pytanie: czy jest śledzony. Tak, czy nie? W rzeczywistej tajnej wojnie, do której teraz się przygotowuje, nikt mu nie pospieszy z pomocą i nie będzie dzielić z nim odpowiedzialności za popełniony błąd.

Tak, czy nie? Cztery godziny kluczyłem po Moskwie zawczasu przemyślaną trasą. Zmieniałem taksówki, autobusy, tramwaje. Z zatłoczonych ulic wycofywałem się na odludzie, po czym znowu rzucałem się w tłum, jak w fale oceanu. KGB również ćwiczy. Dla nich to ważna sprawa: poznać własne błędy w inwigilacji. Pod tym względem interesy GRU i KGB są zbieżne. Na tym terenie dochodzi do współpracy między dwiema rywalizującymi organizacjami. Słoń wie, że dziś trenuję na mieście, że dokładnie o 15.00 wyruszam spod

hotelu „Metropol”, który jest niby radziecką ambasadą w kraju nieprzyjaciela. Od chwili gdy opuszczam „ambasadę” decyzja należy do niego: dzwonić do KGB albo nie. No więc - tak, czy nie? Raz na tydzień Słoń gania nas po mieście. Marszruty każdy opracowuje sam dla siebie. Zeszłym razem byłem śledzony, bez żadnych wątpliwości. A dziś? Tak, czy nie? Nie wiem. Nie jestem pewny. W takiej sytuacji powinienem wrócić do „ambasady” i zameldować Słoniowi, że nie jestem pewny. Wtedy każe mi dalej krążyć po Moskwie, nazajutrz będę musiał dać ostateczną odpowiedź. No więc - tak, czy nie?

## IX

Biegła znajomość języków i wyostrzony wzrok to ważna broń wywiadowcy. Akwarium dokłada wszelkich starań, by zmusić swych oficerów do opanowania języków obcych. Za znajomość jednego języka zachodniego płacą 10% więcej. Za każdy język orientalny - 20%. Jeśli władasz pięcioma językami Wschodu - masz podwójny okład. Ale to nie premie zmuszają mnie do wysiłku: jeśli nie opanuję dwóch języków, wywalą na plesiecki kosmo-drom. Wcale mi to nie w smak. Dlatego wkuwam. Języki obce przychodzą mi z trudem, nie mam dobrego słuchu. Wrażliwość układu słuchowego obniżona po służbie w wojskach pancernych. Staram się jak mogę. Podciągam się. Pod tym względem jestem najgorszy w grupie.

Byli słabsi, lecz już odpadli. Jestem następny w kolejności. Niech to diabli, nadrobie w innych dziedzinach.

- Miałem te same trudności - pociesza mnie Słoń. -Ucz się całych stron na pamięć. W ten sposób w rozmowie i na piśmie będziesz mieć w zanadrzu gotowe zwroty, zdania, kwestie. Biegłość przyjdzie z czasem.

Uczę się całych stron. Wkuwam je na pamięć. Następnie piszę to, co zapamiętałem. Przepisuję te strony po trzydzieści razy, starając się wyeliminować wszystkie błędy.

Ze wzrokiem jeszcze gorzej niż z językiem. W Specna-zie nauczyłem się patrzeć w oczy psom. Ale tutaj to nie wystarcza. Każą nam ćwiczyć przed lustrem: patrz w oczy bez mrugania. Nie spuszczać wzroku. Jeżeli chcesz kogoś zwerbować, musisz przede wszystkim wytrzymać jego wzrok. Przyjaźń zaczyna się od uśmiechu, werbunek - od spojrzenia. Jeżeli nie wytrzymałeś pierwszego badawczego spojrzenia swojego rozmówcy, nie próbuj go zwerbować: jest silniejszy psychicznie. Nie ulegnie.

Wychodzę z metra na stacji „Krasnaja Priesnia” i idę do ZOO. Jeśli macie ten sam problem, przyjdźcie tuż przed zamknięciem ogrodu. Nikt wam nie będzie przeszkadzać. Tu patrzę w oczy tygrysom, panterom. Staram się kierować swoją wolą, zaciskam szczęki. Nieru-

chome, żółte źrenice drapieżnika rozpływają się przede mną. Mocniej ściskam pięści, wbijam w dłoń paznokcie. Trzeba niezmiernie wolno zmrużyć oczy i znów wolno, powolutku rozszerzyć, tak, aby nie mrugać. Oczy pieką, łzawią. Jeszcze moment - i mrugnąłem. Wielki, rozleniwiony, ryży kocur odwraca mordę: słabyś jeszcze, Suworow, żeby się ze mną mierzyć.

To nic, stary. Jestem uparty. Przyjdę tu w następną niedzielę. I w następną. I jeszcze raz. Jestem uparty...

Szary kołowrót nocy i dni. Nasz program można by z powodzeniem rozłożyć na 10 lat. Ale został skondensowany do lat pięciu i nie każdy wytrzymuje. Może to też rodzaj próby? Może do tego właśnie sprowadza się główny sens naszego przygotowania: już tutaj pozbyć się słabeuszów, na własnym terytorium, żeby uniknąć niespodzianek w przyszłości?

i

X

W wywiadzie obowiązuje zasada: nie wolno odrywać się od ogona! Jeżeli widzisz, że jesteś śledzony, przede wszystkim nie daj po sobie poznać, że się zorientowałeś, nie panikuj i nie miotaj się nerwowo. Jesteś dyplomata, do diabła! Poszwendaj się po mieście. Dziś musisz zrezygnować z wyjścia na operację. Może udają, że zdjęli obstawę, a w rzeczywistości sterczą pod bokiem, jeszcze liczniejsi i w zmienionym składzie: same nowe twarze. W dniu, gdy wykryłeś inwigilację - zakaz operacji. To żelazna reguła. Każdą operację opracowuje się w kilku wariantach. Dziś śledzą - powtarzamy ją nazajutrz albo za tydzień, albo za miesiąc. Ale nie próbuj się wymykać! Jeśli ich zgubisz, choćby nawet pod najlepszym pretekstem, pokażesz tym samym, że jesteś szpiegiem, a nie zwyczajnym dyplomata, że potrafisz rozpoznawać inwigilację, że z jakichś tobie tylko znanych powodów musisz się od niej uwolnić. Odtąd nie *zaznasz* spokoju. Będą siedzieć ci na karku dzień i noc, i cała twoja robota na nic. Jeden raz zdołasz ich zgubić, a oni zaliczą cię do kategorii niebezpiecznych i już nigdy się od nich nie uwolnisz, każdego dnia ze trzydziestu będzie dreptać ci po piętach. Tak więc nie wolno gubić ogona. Ale nie dziś...

Dziś mamy zielone światło. - Pieprzyć wasze kariery dyplomatyczne - powiedział Słoń. - Zdarzają się sytuacje, kiedy Akwarium rozkazuje wykonać zadanie za wszelką cenę. Urywać się!

Jest nas dwóch, Żenią i ja. Urywać się! Łatwo powiedzieć. Nad Moskwą zapadł już zmierzch. Ziąb. Opustoszały ulice. Za trzy dni zapije, zatańczy Moskwa. Święta, defilady, orkiestry dęte. Miasto zamarło przed wybuchem pijanego szaleństwa. Tylko my dwaj i czarne cienie za plecami. Nasze, ale nie tylko nasze. Miotają się, nie kryją swojej obecności.

Gdybyśmy pracowali w pojedynkę, zgubilibyśmy ich bez trudu. Co prawda nie wolno odrywać się, ale nauczyli nas, jak to się robi.

Pierwszy raz wyrwaliśmy w pasażu Pietrowskim. Świetne miejsce, ludne. Skoczyliśmy w tłum, przez stojące kolejki, rozpychając na prawo i lewo, po stromych schodkach, i znowu w tłum, kilka przejść - do metra!

Ale cienie wciąż za nami, nie pozostają w tyle. Na stacji „Wzgórza Leninowskie” próbujemy jeszcze raz. Też niezłe miejsce. Metro odjeżdża, trzask zasuwanych drzwi. Na ułamek sekundy przed tym trzaśnięciem - wyskakujemy! Ale i oni nie w ciemność bici.

Pusta jest Moskwa. Zimno i ciemno. Żenią zna jeszcze jakieś miejsce, na placu Maryny Raskowej. Idziemy.

Ilu mamy dziś na karku? Dużo, psia krew, bardzo dużo. Szkoda, że nie możemy się rozdzielić. Operacja zaplanowana na dwóch. Może jednak, co, Żeńka? Przekroczenie pełnomocnictw, nie wolno. A jeżeli zawalimy całą operację? Co wtedy?

Żeńka prowadzi mnie po wyludnionych uliczkach. Dawno już przyszykował sobie to miejsce. Za moment wyrwiemy do przodu, zaułkami. Ale nie, szlag by trafił! Za nami trzech dryblasów, nie odступują na krok. Nie chowają się. To się nazywa obstawa demonstracyjna. Presja psychiczna. Wielu jeszcze śledzi nas z ukrycia, w uliczkach, zaułkach. Ta trójka zaś otwarcie depcze po piętach. Śmieją się prosto w kark. - Jeżeli zaczną wiać? - pyta tubalny głos. - Dogonimy - zapewnia inny. I śmiech. Żenią szturcha mnie łokciem: szykuj się. Jestem gotów. Płatki drobnego śniegu zawirowały w świetle latarni, pierwszy śnieżek tej zimy. Chciałoby się pospacerować po ulicach, wdychając kryształowe powietrze. Ale nie czas na przechadzki. Najwyższy czas się oderwać...

Żenią szarpnął mnie za rękę, wpadliśmy w jakąś bramę. Brudne schody w górę i w dół, ciemne korytarze rozchodzą się w różnych kierunkach. No, żeby tylko nóg nie połamać. Na dół, na dół po schodach. Jakieś wiadra, smród. Kolejne drzwi, znowu schody i korytarze. - Uff, uff- Żenią dyszy ciężko. Traci oddech, ale biegnie świetnie. Potężne chłopisko, nie jest mu łatwo. Za to widzi w ciemnościach jak kot, każdy szczegół. Znow jakiegoś drzwi, szmaty, gruz, potłuczone szkło. Wypadliśmy na ulicę, nawet nie wiem gdzie. Całą Moskwę schodziłem wzdłuż i wszerz, ale takich miejsc nie widziałem.

Przed nami trzy uliczki. Żenią ciągnie mnie do lewej. Ale facet z ciebie, Żeńka! Mogło się nawet udać. Ileż miesięcy musiałeś się nadreptać po Moskwie, żeby takie

cacko wynaleźć? Coś takiego trzeba by w złotą ramkę oprawić i szpiegom



nowicjuszom pokazywać: patrzcie, co za wymarzone miejsce. Wzorowe. Przyjdzie wam pracować w Londynie, w Nowym Jorku, w Tokio - każdy musi stanowczo mieć coś takiego dla siebie! Żeby w razie czego mógł na pewniaka oderwać się od policji. Ale dziś mamy pecha. Nawet miejsce nam nie pomoże. Lekki śnieżek nad Moskwą. Pierwszy tego roku. Przylepia się do butów i ślady ciągną się za nami, jak ślady pierwszych astronautów na Księżycu. Biednemu zawsze wiatr w oczy. Żenka, nie ujdziemy im! Ujdziemy! Ciągnie mnie Żenią za rękę. Opustoszała Moskwa. Pochowali się porządni obywatele w swoich norach. W całym mieście tylko Żenią i ja... I barczyści chłopcy z KGB.

- Uff, uff, uff - dyszy Żenią. - Nie boisz się, Witia, skoczyć z pociągu?

- Nie, Żenka, nie boję się.

- W takim razie zasuwamy, jest jeszcze jedna szansa. Pójdiesz na operację sam, ja cię będę ubezpieczać.

Biegniemy zaułkami i podwórkami. Gdybyśmy wyszli na główną ulicę, śladów może by nie było, za to warują wszystkie ich samochody. Przed samochodem nie uciekniesz.

Przeskoczyliśmy płot, za nim stacja, pociąg podmiejski staje ze zgrzytem. Uff, uff. Żenią łapie kurczowo powietrze. Za plecami sapanie trzech dryblasów. Przesadzili ogrodzenie, jak rozszalałe konie. Żenią ciągnie mnie do kolejki, wpadamy do ostatniego wagonu i biegiem do przodu. Ach, żeby drzwi się teraz zatrzasnęły! Nic z tego. Z tyłu tupot, cała trójka wpada do wagonu i w te pędy za nami. Przelecieliśmy jeden korytarzyk, drugi, raptem Żenią popycha rennie mocno do przodu, sam zawraca w miejscu - i jak myśliwiec wali na nich taranem. Pędzę do wyjścia. Muszę zdążyć! Całym ciężarem rzucam się na jedno skrzydło drzwi, słyszę ich trzask za plecami - i pociąg płynnie rusza ze stacji.

Z pociągu trzeba wyskakiwać tyłem i do tyłu. Dopiero później sobie to przypomniałem. Wypadłem z wagonu przodem i do przodu. Należało ścisnąć szczęki, ale o tym też zapomniałem i dlatego zęby trzasnęły, jak potrzask, o mało nie odgryzłem sobie języka. Wagon sunął jeszcze

zupełnie wolno, wysokość też była minimalna: peron i schodki są na tym samym poziomie. Tyle że nogę skręciłem i rękę rozdarłem. Pies ją trącał! Zerwałem się z ziemi, właśnie przemknął ostatni wagon. Moskiewskie kolejki błyskawicznie nabierają prędkości. Uszy świdruje przeraźliwy zgrzyt: to moje dryblaszy szarpnęły za hamulec bezpieczeństwa. Ja jestem na ćwiczeniach, ale oni też. Działam tak, jakbym zachowywał się podczas prawdziwej akcji, oni tak samo. Też czekają ich egzaminy, też dostają stopnie z zajęć. Muszą mnie teraz schwytać za wszelką cenę. Niedoczekanie wasze, chłopcy! Rzuciłem się w stronę płotu i do

góry. I w nogi. Uff, uff, uff. Byle dalej. Dzięki ci, Żeńka!

## XI

Minęła północ. Dłuższy czas gonię przejściami podziemnymi i co ciemniejszymi uliczkami, teraz daję nura do metra. Ma to jedną niezaprzeczalną zaletę: samochód za tobą nie jedzie. Pusto w wagonie. Późna pora, zresztą chyba zgubiłem ich na dobre. Teraz najważniejsze, to omijać kamery telewizyjne w korytarzach metra. Pełno ich na każdej stacji. Jeżeli KGB zgubiło mój ślad, to centralna dyspozytornia dawno już otrzymała opis mojej skromnej osoby i wszystkie kamery przetrząsają podziemną Moskwę.

Ja też mam swój rozum. Wsiadę na stacji „Park Izmajłowski”. Wykryłem tam zaledwie cztery kamery, znam dokładnie ich rozmieszczenie. Jeżeli siedzisz w ostatnim wagonie, masz szansę śmignąć niezauważony, a dalej już tylko betonowe ogrodzenie, wąskie przejście dla pieszych i z dziesięć drózek do lasu. Szukaj potem wiatru w polu!

Skrzypi pod butami pierwszy śnieg, ale dróżki już wydeptane. Pod wieczór emeryci schodzą się tu na spacer, a w pobliskim zagajniku przesiadują podchmieleni gówniarze. Teraz kompletne pustki. *Zataczam* w lesie wielką pętlę. Przystaję i długo nasłuchuję. Spokojnie rozglądam się na wszystkie strony. Zazwyczaj w książkach pisze się w takiej sytuacji „zerkał ukradkiem na boki”. Tak. Dokładnie. Nie mam się czego obawiać. Zgubiłem ich definitywnie. Nikt mnie nie śledzi. Miejsce kryjówki znam tylko

162

J

## AKWARIUM

ja, nikt więcej. Oto ona. W najdalszym zakamarku do betonowej ściany przylega ze dwadzieścia garaży, a między nimi i ścianą - ledwo widoczna szczelina. W powietrzu odór moczu. To dobrze, nie *znajdzie* się wielu chętnych, by wścibiać nos do zaświnionej szczeliny. Zrobią, co mają zrobić - i pójdą... No, ja to co innego, taki już mój fach. Rozejrzałem się ostatni raz, na wszelki wypadek, wciskam się w szczelinę. Jest sucho i czysto, tyle że ciasno. Muszę przepchnąć się ze trzy metry, nim dotrę do styku pierwszych dwóch *garaży*. Tam właśnie na odległość wyciągniętego ramienia można czubkami palców wymacać pozostawiony przez kogoś pakiecik. Nielatwo przychodzi mi te metry. Żenią nie zmieściłby się tutaj za żadne skarby. Wypuszczam powietrze z płuc, przepycham się o kilka centymetrów, łapię oddech, znowu wypuszczam powietrze i znowu naprzód. Ale ze mnie frajer! Trzeba było zdjąć palto! Dawno temu znalazłem to miejsce; wtedy wlałem bez trudu, ale to było latem. Jeszcze jeden wydech i jeszcze trochę do przodu. *Teraz* prawą rękę trzeba wyciągnąć przed siebie. Jeszcze ociupinkę, żeby sięgnąć załomu. Teraz rozstawić palce. W górę, w dół. A-a-a-

a! Czyjaś ręka żelaznym chwytem łapie za nadgarstek. Oślepiające światło w oczy. Słychać stłumione głosy. Ręka jak w potrzasku - boli, niech to diabli. Ktoś szarpnął mnie za nogi. Bez trudu wywlekli mnie z niszy. Dalej ciągną za nogi, twarzą po świeżym śniegu, po nieświeżym moczu. Nie wiedzieć skąd pojawia się samochód osobowy, choć Park Izmański ponoć zamknięty dla ruchu. Pisk hamulców. Ręce wykręcili mi do tyłu, aż *zatrzeszczało* w stawach. Tylko jęknąłem. Trzask zimnych kajdanków.

- Proszę zawiadomić konsula! - tak mam wrzeszczeć w podobnej sytuacji.

Tylnie drzwiczki otwarte na oścież. Teraz powinienem zaprotestować: nie wsiądę do samochodu! Ktoś zręcznym ruchem podciął mi obie nogi, ziemia usunęła się spod stóp, jak taboret pod szubienicą. Ale krzepa! Chłopaki na schwał! Tylko strzeliły mi zęby - i już siedzę na tylnym siedzeniu, pomiędzy dwoma herkulesami.

- Zawiadomić konsula!

- Co tutaj, gnoju, robisz?

- Zawiadomić konsula!

- Każdy twój gest został utrwalony na taśmie!

- Prowokacja! Na kliszy mógłbym zademonstrować nawet jak pieprzycie Brigitte Bardot! Zawiadomić konsula!

- Miałeś w ręku tajne dokumenty!

- Wepchnęliście mi na siłę! To nie moje papiery!

- Przekradałeś się do skrytki!

- Granda! Złapaliście mnie w centrum miasta i siłą wciągnęliście do tej śmierdzącej dziury! Wezwać konsula!

Samochód skręca z piskiem opon i unosi mnie gdzieś w nieznane, w ciemność.

- Wezwijcie konsula! - drę się ile sił. Dostyc mają moich ryków.

- No dobra, stary, poćwiczyłeś i będzie tego. Skończ z tym wrzaskiem!

Znam te numery. Gdybyście mnie teraz zwolnili, to by znaczyło, że trening się skończył. Skoro mnie nie puszczacie, to znaczy, że trwa. Zacerpnałem pełne płuca powietrza i drę się jak opętany:

- Wezwijcie konsula, bydlaki! Jestem niewinnym dyplomata! Konsula!!!

- Wezwijcie konsula!

Światła nie załują. Dwa reflektory prosto w twarz. Oczy pieką, łzawią. Posadzili mnie, a za moimi plecami stanął ponury olbrzym. Ani mi w głowie tutaj siedzieć. Wezwijcie konsula! Wstaję. Ponurak swymi wielkimi łapami wciska mnie z powrotem w głęboki,

drewniany fotel. Czekam, aż zelżeje nacisk na barkach i raz jeszcze próbuję wstać. Wielkolud znowu wciska mnie w fotel, pomagając sobie potężnym buciorem. Lekko podcina mi nogę, jak w judo, znów opadam. Bucior wylądował prosto na mojej kostce. Boli. Zza reflektorów dobiega głos:

- Jesteś szpiegiem!

- Wezwijcie konsula. Jestem dyplomatą Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich!

- Wszystkie twoje knowania przy skrytce zostały sfilmowane!

- Ohydna prowokacja! Wezwijcie konsula!

Próbuję wstać z fotela. Wielkolud jednym ruchem buciora podcina mi lewą nogę i tracę równowagę. Znowu czuję dotkliwy ból. Uderza lekko, w kostkę tuż nad piętą. Nigdy nie przypuszczałem, że to tak boli.

- Co robiłeś nocą w parku?

- Wezwijcie konsula!

Znowu wstaję. Znowu kopie mnie lekko i celnie. Przecież nawet sińców nie będzie, nie będę mógł nikomu udowodnić, że ten bydlak mnie torturował. Znowu wstaję i znowu sadza mnie lekkim kopniakiem. Hej, duży, przecież to tylko ćwiczenia. To tylko trening. Czemu znęcasz się nade mną? Raz jeszcze wstaję i raz jeszcze przywołuje mnie do porządku. Zerkam przez ramię - co też za gębę ma ten gagatek? Nic nie widzę. Przed oczami skaczą mi roztańczone kręgi. Cały pokój ciemny, tylko dwa jaskrawe reflektory. Nie wiem nawet, czy pokój jest duży, czy mały. Chyba spory, bo od reflektorów bije nieznośny żar, ale czasem czuję lekki powiew świeżego powietrza. W małym pomieszczeniu nie jest to możliwe.

- Złamałeś prawo...

- Powiedzcie to mojemu konsulowi.

Czuję ból i wcale nie mam ochoty raz jeszcze dostać kopniaka w kostkę. Postanawiam podjąć jeszcze trzy próby. Potem będę siedzieć nieruchomo. O rany, ale mi się nie chce podnosić z drewnianego fotela! No, Witia, do roboty. Zapieram się nogami o posadzkę, ostrożnie przenoszę ciężar ciała na mięśnie nóg i odetchnąwszy głęboko odpycham się gwałtownie do góry. Pada cios. Lewa stopa wylatuje mi trochę do góry, a ja z lekkim stęknięciem opadam na fotel. Szkoda, że nie jest miękki, byłoby wygodniej.

- Kto dostarczył materiały do skrytki?

- Wezwijcie konsula!

Wiem, że ten, który kopie mnie w kostkę też się w tej chwili uczy. W przyszłości

będzie miał taką robotę: stać za krzesłem i zmuszać przesłuchiwanego do posłusznego siedzenia. Nie jest to łatwe. Ale olbrzym jest pilnym, wytrwałym uczniem. To entuzjasta. Ostatni cios był silniejszy od poprzednich. A może mi się tylko zdawało, bo wciąż godzą w to samo miejsce? W zasadzie po cóż ja w ogóle próbuję wstać? Przecież mogę zwyczajnie sie-

dzieć i domagać się konsula, a póki go nie wezwą, nie dawać się wciągnąć w żadne rozmowy. No więc spokój ze wstawaniem. Jeszcze tylko trzy próby i basta.

Następny kopniak dowiódł wielkiego kunsztu i zamiłowania do wykonywanej pracy. Dlatego nie zrozumiałem ostatniego pytania. Wiem, że było pytanie, ale nie wiem, jakie. Kilka sekund zastanawiałem się nad odpowiedzią, po czym znalazłem:

- Wezwijcie konsula!

Monotonia przesłuchania zaczyna mnie nużyć, ich również. Wtedy potężne łapy wcisnęły mnie w siedzenie, ktoś włożył mi ołówki między palce. Znam te sztuczki. Jest to bardzo prosty sposób i niezwykle skuteczny, co więcej -nie zostawia żadnych śladów. Zanim ścisną, przywołuję z pamięci całą teorię: po pierwsze - nie *krzyczeć*, po drugie - rozkoszować się cierpieniem i *życzyć* sobie jeszcze większego bólu. To jedyny ratunek. Czyjaś spocona ręka obmacała moją dłoń, poprawiła ołówki między palcami i gwałtownie je ścisnęła: dłoń jak w imadle. Dwa reflektory drgnęły, zadrżały i zawirowały jak szalone. Odpląnąłem gdzieś z dużego ciemnego pokoju z ceglana posadzką. Życzyłem sobie tylko większego bólu i śmiałem się z kogoś.

## XII

Nad Moskwą wstaje szary, chłodny poranek. Listopad. Wszyscy jeszcze śpią. Przejechał samochód pocztowy. Zaspany dozorca zamiata ulicę. Leżę na miękkim odchylonym siedzeniu. Za oknami przelatuje Moskwa. Boczna szyba lekko uchylona, mroźny wiatr unosi strzępy jakichś koszmarów. Czuję, że mam zarost na policzkach, włosy na czole zlepione, twarz mokrą. I jest mi dobrze. Wielka, czarna limuzyna wiezie mnie w nieznanym kierunku. Odwracam głowę do kierowcy. To Słoń. To on prowadzi wóz.

- Towarzyszu pułkowniku, nie puściłem pary z ust.

- Wiem, wiem.

- Dokąd jedziemy?

- Do domu.

- Zwolnili mnie?

- Tak.

Milczę długą chwilę. Raptem poczułem lęk. Ni stąd, ni zowąd zaczęło mi się wydawać, że śmiejąc się wszystko wygadałem.

- Towarzyszu pułkowniku... czy sypnąłem?

- Nie.

- Jesteście pewni?

- Absolutnie. Cały czas byłem w pobliżu, nawet w trakcie aresztowania.

- Na czym polegał błąd?

- Nie było żadnego błędu. Oderwałeś się doskonale i do skrytki przyszedłeś czysty jak łąza. Ale to za dobre miejsce. KGB od dawna ma je na oku. Wykorzystałeś kryjówkę, której obcy szpiedzy używają naprawdę i dlatego jest pod obserwacją. Wzięli cię za prawdziwego agenta, nie wiedzieli, że to ćwiczenia. Ale niebawem wkroczyliśmy do akcji. Aresztowanie było prawdziwe, a przesłuchanie ćwiczebne.

- A jak tam Żeńka?

- W porządku. Trochę go potarłosili, też nie pisał ani słowa. W takich sytuacjach trzeba wziąć się w garść, nie wolno litować się nad sobą, nie wolno myśleć o zemście. Wtedy wytrzymasz najgorszą próbę. Śpij. Dam ci rekomendacje do roboty z prawdziwego zdarzenia.

- A co z Żenią?

- Tak samo.

### **XIII**

Czy byłeś kiedyś w Mytiszczach?

- Nigdy.

- Tym lepiej. - Słoń raptem spowaźniał. - Oto twoje bojowe ćwiczenie. Obiekt: Zakłady Rakietowe w Mytiszczach. Zadanie: znaleźć odpowiedniego człowieka i zwerbować go. Cel pierwszy: poznać praktykę prawdziwego werbunku. Cel drugi: wykryć ewentualne kanały, których wrogie służby wywiadowcze mogłyby użyć celem werbowania naszych ludzi w ośrodkach o szczególnym znaczeniu strategicznym. Ograniczenia: po pierwsze, całą operację należy przeprowadzić w dni wolne od zajęć, w niedziele, święta i podczas urlopu, więc nie licz, że zostanie ci wydzielony czas na werbunek; po drugie, ograniczenia finansowe: wszelkie ko-

sza pokrywa się wyłącznie z własnej kieszeni, nie otrzymasz ani kopiejki z funduszy operacyjnych. Pytania?

- Co wie o tym KGB?

- Wie tylko tyle, że za zgodą Wydziału Organów Administracyjnych KC prowadzimy

podobne działania regularnie na terenie całego miasta i okolic. Jeżeli KGB cię aresztuje, wyciągniemy cię z tarapatów, ale... za granicę już nie pošlemy.

- Co mam prawo powiedzieć werbowanemu o sobie i o swojej organizacji?

- Wszystko, na co masz ochotę. Oprócz prawdy. Werbujesz go nie w imieniu radzieckiego państwa, to potrafiłby każdy głupi, ale we własnym imieniu ł za własne pieniądze.

- To znaczy, że gdybym go zwerbował, będzie uchodzić za prawdziwego szpiega?

- Dokładnie. Z jedną istotną różnicą: przekazane przezeń informacje nie opuszczają granic kraju.

- Ale to w żadnym stopniu nie łagodzi jego winy?

- W żadnym.

- Cóż go czeka?

- Artykuł 64. Kodeksu karnego. Czyżbyś nie wiedział?

- Wiem, towarzyszu pułkowniku.

- No, to życzę powodzenia. Pamiętaj, powierzono ci sprawę wagi państwowej. Ucząc się równocześnie pomagasz naszemu państwu pozbywać się potencjalnych zdrajców. Cała grupa otrzymała podobne zadania, tyle że w innych obiektach. Cała Akademia robi to samo. Rokrocznie. Ostatnia sprawa: podpisz tutaj, że otrzymałeś zadanie. To całkiem poważne zadanie.

Te,

#### **XIV**

Teoria werbunku głosi, że na wstępie należy zlokalizować dany obiekt. Nie jest to trudne. Mytiszcze to niewielkie miasteczko pod Moskwą. W samym miasteczku znajdują się duże zakłady. Drut kolczasty rozciągnięty na izolatorach. Nocą fabrykę zalewa morze jaskrawego światła. Za ogrodzeniem ujadają wilczury. Nie ma mowy o pomyłce. Zresztą przedsiębiorstwo musi mieć odpowiednią nazwę. Jeżeli napis nad bramą głosi, że zakład

produkuje elektryczne oprzyrządowanie do traktorów, może to znaczyć, że poza produkcją zbrojeniową wytwarza również coś dla traktorów, ale gdy widnieje nic nie mówiąca nazwa typu „Uralmasz”, „Kuźnica Leninowska”, „Sierp i Młot” - możecie nie mieć wątpliwości: fabryka zbrojeniowa w czystej postaci.

Druga zasada werbunku przypomina, że nie trzeba forsować ogrodzeń. Ludzie sami wychodzą z zakładu. Zmierzają do czytelnicy, do klubów sportowych, do restauracji, na piwo. W pobliżu wielkiej fabryki musi znajdować się osiedle, gdzie żyje spora część pracowników,

gdzie mieści się szkoła, przedszkole, przychodnia, tereny rekreacyjne itp. To wszystko trzeba sprawdzić.

Trzecia zasada werbunku mówi, że nie ma potrzeby werbować dyrektora ani naczelnego inżyniera, o wiele prościej zwerbować ich sekretarki, które wiedzą nie mniej niż ich zwierzchnicy. Z tym kłopot: reguły szkoleniowego werbunku zakazują nam rekrutacji kobiet. Za granicą - proszę bardzo, na treningach - nie wolno. Trzeba znaleźć kreślarza, programistę, archiwistę tajnej dokumentacji, obsługę fotokopiarki itp.

Wszyscy otrzymaliśmy podobne zadania i każdy szykuje własny plan, jak przed decydującą bitwą. Ćwiczebny werbunek wcale nie jest łatwiejszy niż bojowy. Jeżeli gdziekolwiek na Zachodzie przyłapią cię na takim procederze, zapłata może być tylko jedna - ekspulsja. Natomiast jeżeli dopuścisz się błędu na treningu i wpadniesz w łapy KGB, konsekwencje są poważniejsze: nigdy nie wypuszczą cię na Zachód. Na placówce zagranicznej masz do dyspozycji niezbędny czas, finanse też nie są ograniczone, a tutaj sesja na głowie: egzaminy ze strategii, z taktyki, z sił zbrojnych USA, z dwóch języków obcych. Kombinuj, jak potrafisz. Chcesz, ucz się do egzaminów, chcesz - werbuj.

## XV

Przede wszystkim wyznaczyłem sobie hipotetyczny obszar o średnicy jednego kilometra wokół fabrycznych murów. Na tym terenie noga moja nie może postać. Tam

każdy centymetr kwadratowy jest pod bezustanną obserwacją KGB. Nic tam po mnie.

*Teraz* wyczekuję końca zmiany. Jęknęła syrena. Z bramy wylewa się czarny potok ludzi. Gwar, tupot, śmiech.

Na przystanku autobusowym tłum. Skrzypi śnieg. Latarnie spowija mroźna mgła. Ludzie gadają, pokrzykują, rozchodzą się po knajpach i barach. Na razie to mnie nie interesuje, to zbyt ryzykowna droga, zachowam ją na wypadek, gdyby inne warianty nie wypaliły. Teraz potrzebuję biblioteki. Jak ją znaleźć? Nic prostszego. Trzeba obserwować, dokąd też podążają okularnicy. Przyczepiłem się do takiej grupki inteligentnie wyglądających chłopaków. Miałem rację, szli do biblioteki. Nie, to nie tajna biblioteka, tajną mają na terenie zakładu. Zwyczajna, osiedlowa, wstęp wolny. Wchodzę razem z nimi. Puszczam oko do dziewczyny za stołem, uśmiecha się do mnie - i stoję przy półkach.

Przeglądam książki i bacznie obserwuję, kto się czym interesuje. Potrzebuję punktu zaczepienia. O, tamten rudy okularnik przebiera w fantastyce naukowej. Dobrze. Zaczekamy na niego. Przeszedł do drugiej półki, potem do następnej.

- Przepraszam - szepczę mu do ucha - gdzie tu jest fantastyka naukowa?



- O, tam.

- Gdzie, nie widzę?

- Chodźmy, pokażę wam.

Dopiero po dwóch dniach udało mi się nawiązać dobry kontakt.

- Gdzie mogę *znaleźć* coś o kosmonautach? O Ciołkowskim?

- Tutaj, na drugiej półce.

- Gdzie, gdzie?

- Chodźmy, pokażę wam.

## xvi

W filmach szpiegowskich oficer wywiadu błyszczy elokwencją i dowcipem. Jego argumenty są nieodparte i ofiara bez trudu przystaje na wszystkie propozycje. Kompletna

bdzura. W rzeczywistości wszystko odbywa się zupełnie inaczej. Czwarta zasada werbunku głosi, że każdy człowiek nosi w sobie masę genialnych pomysłów i każdy najbardziej cierpi dlatego, że nikt go nie chce słuchać. Problemem w życiu człowieka jest znalezienie sobie słuchacza. Każdy szuka słuchacza dla siebie samego i nie kwapi się do wysłuchiwanie cudzych bredni. Kunszt werbunku sprowadza się przede wszystkim do umiejętności uważnego słuchania rozmówcy. Nauczyć się słuchać bez przerywania - sukces zagwarantowany. To bardzo trudna sztuka. Chcesz znaleźć przyjaciela - słuchaj nie przerywając. Znalazłem sobie przyjaciela. Przeczytał wszystkie książki o Canderze, Ciołkowskim, Korolowie. Mówiąc o nich wspominał czasem zakazanych wynalazców i uczonych: Jangela, Czelamieja, Babakina, Steczkina. Ja tylko słuchałem.

W bibliotece nie można głośno rozmawiać, w ogóle obowiązuje cisza. Słuchałem go na zaśnieżonej leśnej polance, gdzie biegaliśmy na nartach, w kinie, gdzie oglądaliśmy „Poskromienie ognia”, w małej kawiarence, gdzie pociągaliśmy piwo.

Piąta reguła werbunku, to zasada truskawek. Lubię truskawki. Lubię łowić ryby. Jeżeli zacznę łowić ryby zakładając na przynętę truskawki, nie złowię ani jednej. Rybie trzeba zaproponować to, co lubią ryby - dżdżownicę. Jeżeli chcesz się z kimś zaprzyjaźnić, nie rozmawiaj z nim o truskawkach, które ty lubisz. Rozmawiaj o dżdżownicach, które on lubi.

Mój przyjaciel miał fioła na punkcie systemów doprowadzania paliwa ze zbiorników do silników rakietowych. Istnieją dwa sposoby tłoczenia paliwa: pompy wirowe i systemy wyporowe. Słuchałem go i przytakiwałem. W pierwszych niemieckich rakietach zastosowano pompę wirową. Dlaczego obecnie zarzucono ten prosty i tani patent? A rzeczywiście -

dlaczego? Ten sposób, choć wymaga zbudowania nadzwyczaj solidnych i precyzyjnych turbin, chroni nas przed sporą nieprzyjemnością - eksplozją zbiorników paliwa w razie skoku ciśnienia sprężonej mieszanki waporowej. Zgadzam się z tym w zupełności.

Na następnym spotkaniu miałem w kieszeni magnetofon w formie papierośnicy; przez rękaw marynarki

biegi cieniutki przewód do mikrofonu, wmontowanego w mój zegarek. Siedzieliśmy w restauracji i gadaliśmy o perspektywach wykorzystania czterotlenku dwuazotu jako utleniacza i mieszanki ciekłego tlenu z naftą jako właściwego paliwa. Uznał, że jest to co prawda kombinacja przestarzała, ale sprawdzona w działaniu, więc na dwadzieścia lat mamy spokój.

Nazajutrz puściłem nagranie Słoniowi. Popeliłem dość poważny błąd natury technicznej: nie należy umieszczać mikrofonu w zegarku, jeżeli rozmowa toczy się w restauracji. Przerażliwy brzęk sztucców na pierwszym planie po prostu ogłuszał, a nasze głosy dochodziły jakby z oddali. Niezwykle ubawiło to Słonia. Raptem spoważniał i zapytał:

- Co on wie na twój temat?

- Tylko tyle, że mam na imię Wiktor.

- A nazwisko?

- Nigdy nie zapytał.

- Kiedy masz następne spotkanie?

- W czwartek.

- Przed tym spotkaniem zorganizuję ci konsultację w X Zarządzie Informacji GRU. Będzie z tobą rozmawiać oficer, zajmujący się analizą amerykańskich silników raketowych. Wie, naturalnie, masę także o naszych silnikach. On da ci prawdziwe zadanie, takie, które by go interesowało, gdybyś miał się spotkać z amerykańskim inżynierem raketowym. Jeżeli potrafisz wydusić z okularnika w miarę jasną odpowiedź, to możesz uznać, że ci się powiodło. Jemu nie...

I

I

## **XVII**

Informacja GRU zapragnęła dowiedzieć się, co mój znajomy wie o paliwie borowodorowym.

Siedzimy w obskurnej piwiarni i mówię mojemu przyjacielowi, że paliwo borowodorowe nigdy nie będzie zastosowane. Nie wiem, dlaczego jest przekonany, że

pracuję na czwartym wydziale fabrycznym. Nigdy nic podobnego mu nie mówiłem, zresztą nawet nie mam pojęcia, co to za czwarty wydział. Rzuca mi długie, badawcze spojrzenie:

- To u was na czwórce tak myślą. Znam ja was, aseku-rantów. Toksyczność i wybuchowość... Wszystko prawda.

### **AKWARIUM**

Za to jaka wydajność energetyczna! Zastanawialiście się nad tym? Toksyczność można zredukować, nasz drugi wydział nad tym pracuje. Wierz mi, sukces gwarantowany, a wtedy otworzą się przed nami niesłychane możliwości...

Przy sąsiednim stoliku poznaję czyjeś znajome plecy. Czyżby Słoń? Tak jest. W towarzystwie jakichś imponujących osobistości.

Następnego dnia Słoń pogratulował mi pierwszego werbunku.

- Szkoleniowy. Ale to nic. Zanim kociak zostanie kotem, musi zaczynać od piskląt, a nie od wróbli. A o borowodorowym paliwie zapomnij. To nie dla ciebie sprawy.

- Rozkaz zapomnieć!

- Okularnika też zapomnij. Jego sprawę razem z twoimi raportami i nagraniami prześlemy komu należy. Żeby trzymać Bezpiekę w ryzach, Komitet Centralny potrzebuje konkretnych materiałów o złej pracy KGB. Skąd je wziąć? Proszę bardzo! - Słoń otwiera na oścież sejf, pełen meldunków moich kolegów o pierwszych ćwiczeb-no-bojowych werbunkach...

Jednak wypadło mi raz jeszcze zetknąć się z systemami waporowymi i paliwem borowodorowym. Przed samym zakończeniem Akademii umożliwiono nam konsultacje z konstruktorami broni, abyśmy mieli ogólne pojęcie o radzieckim przemyśle zbrojeniowym. Pokazywali nam czołgi i artylerię w Sołniecznogorsku, najnowsze samoloty w Monino, rakiety w Mytiszczach. Spędziliśmy po kilka dni w towarzystwie czołowych inżynierów i konstruktorów, nie znając ich nazwisk, ma się rozumieć. Oni też nie bardzo wiedzieli, z kim mają do czynienia. Ot, jacyś młodzi ludzie z Komitetu Centralnego.

I oto w Mytiszczach przewieziono mnie przez trzy wartownie, *przez* niezliczonych kontrolerów i strażników. W wysokim, jasnym hangarze pokazano nam zielony kadłub. Po długich objaśnieniach pytam, czemu by nie powrócić do starych wypróbowanych pomp wirowych na miejsce systemów waporowych.

- Specjalizujecie się w rakietach? - zaciekał się inżynier.

- W pewnym sensie...

172

173



## Rozdział 8

### I

Trzeciego dnia po przylocie do Wiednia wezwał mnie do siebie szef wiedeńskiej rezydentury dyplomatycznej GRU, generał-major Golicyn.

- Walizki już rozpakowane?
- Jeszcze nie, towarzyszu generale.
- To się nie spiesz. \_ ?

Potężna pięść huknęła w dębowe biurko, aż podskoczyła filiżanka:

- W piątek leci nasz samolot do Moskwy. Odeślę cię z powrotem, leniu patentowany! Gdzie twoje werbunki?!

Czerwony ze wstydu wypadłem z generalskiego gabinetu prosto na „przodek” - do wielkiej sali rezydentury. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, wszyscy zanadto pochłonięci byli pracą. Trzy osoby stały pochylone nad wielkim planem miasta, ktoś pisał na maszynie, inni usiłowali bezskutecznie wcisnąć wielki, szary podzespół elektroniczny z francuskim napisem do kontenera poczty dyplomatycznej. Tylko jeden stary wyga uzalił się nade mną:

- Nawigator, rzecz jasna, obiecał, że odeśle cię następnym lotem? To niewykłuczone.
- Cóż mam począć?

- Pracować.

Była to doskonała rada, na lepszą nie miałem co liczyć. Jeżeli ktoś wie, gdzie i jak można zdobyć tajne papiery, to sam się tym zajmuje. Po cóż miałby dzielić ze mną swoje zasługi?

Nie miałem wyboru, zabrałem się ostro do roboty. Nie zdołałem przed piątkiem nikogo zwerbować - cztery dni to jednak zbyt krótki okres - ale wykonałem krok we właściwym kierunku i rezydent zawiesił mój odlot na tydzień, potem na następny. W ten sposób przepracowałem u generała Golicyna cztery lata. Zresztą wszyscy, łącznie z Pierwszym Zastępcą, byli w takiej samej sytuacji.

### II

Jestem szpiegiem.

Ukończyłem Wojskową Akademię Dyplomatyczną i pół roku spędziłem na stażu w IX

*Zarządzie* Służby Informacji GRU. Potem z pionu analizy danych przeniesiono mnie do działu zajmującego się ich zdobywaniem. Nie, informacji nie zdobywa się wyłącznie za granicą.

Związek Radziecki odwiedzają miliony cudzoziemców, część z nich jest w posiadaniu interesujących nas wiadomości. Tych właśnie należy wyławiać, werbować, wydierać im sekrety - siłą, postępem albo pieniędzmi.

Praca przy zdobywaniu informacji, to bezwzględna walka tysięcy oficerów KGB i GRU o najbardziej interesujących obcokrajowców. Jak sfora psów rzucają się na zdobycz. I jest to doprawdy pieskie życie. W Moskwie kieruje tą robotą bezwzględny generał-major GRU Borys Aleksandrów, któremu najtrudniejsze nawet zadania wydają się wykonalne, który bez wahania z powodu błahych potknięć łamie kariery młodym wywiadowcom. Rok przepracowałem w Zarządzie generała Aleksandrowa. Był to najcięższy rok w moim życiu. Ale był to zarazem rok mojego pierwszego werbunku, rok pierwszego samodzielnie zdobytego tajnego dokumentu. Ten kto potrafi dokonać tego w Moskwie, która już nie ma dla nas wielu tajemnic -może liczyć na wyjazd. Kto potrafi pracować w Moskwie, wszędzie da sobie radę. Dlatego właśnie siedzę w malutkiej wiedeńskiej piwiarni, ściskając w dłoni zimny, wilgotny kufel aromatycznego, prawie czarnego piwa.

Jestem oficerem zdobywającym informacje, tak zwanym oficerem operacyjnym. Moi starsi koledzy mają pełne ręce roboty, każda akcja wymaga odpowiedniego ubezpieczenia. Trzeba odwracać uwagę policji, skontrolować na trasie „testowej” każdego oficera wyruszającego na operację, ubezpieczać go podczas sekretnego spotkania, trzeba odbierać od niego zdobyte materiały i ryzykując własną karierę dostarczać je do rezydentury. Trzeba regularnie odwiedzać skrytki i skrzynki kontaktowe, kontrolować sygnalizację, wykonywać tysiące czynności, często nie rozumiejąc ich sensu i znaczenia. Wszystko to wymaga wyteżonej pracy, wszystko wiąże się z ryzykiem.

### III

Ambasada radziecka w Wiedniu do złudzenia przypomina Łubiankę. Ten sam styl, te same barwy. Typowe bezpieczniejskie bezguście. Sztuczny majestat. Kłasyzm rodem z Łubianki. W swoim czasie mój kraj obfitował w takie napuszone budowle - kolumny, fasady, gzymsy, iglice, wieżyczki, balkoniki. Wewnątrz ambasady też jak na Łubiance: ponuro i szaro. Obsypujące się sztuczne marmury, spleśniała sztukateria, obite skórą drzwi, czerwone dywany, nieśmiertelna woń tanich bułgarskich papierosów.

Jednak nie cała ambasada przypomina filię Łubianki. Jest tu jedna wydzielona wyspa, będąca suwerenną i niezależną ekspozyturą Akwarium. Mamy nasz własny styl, własne

tradycje i reguły. Gardzimy stylem Łubianki. Nasz jest prosty, surowy, żadnych upiększeń, nic zbędnego. Ale nasz styl kryje się pod ziemią. Tylko my możemy go zobaczyć. Tak jak w Moskwie, gdzie potężne gmachy KGB wznoszą się w samym środku miasta, a budynki GRU są skrzętnie ukryte. GRU tym się różni od KGB, że jest organizacją tajną. Tu, w Wiedniu, podobnie: bezpieczniacki styl wystawiony na pokaz, styl GRU starannie zakamuflowany.

Lecz na terenie radzieckiej ambasady istnieje jeszcze jeden, trzeci styl. W zarośniętym ogrodzie wznoszą się

surowe i majestatyczne dzwonnice cerkwi prawosławnej. Pięć kopuł zwieńczonych złotymi krzyżami, nad nimi jeszcze jedna kopuła, też z krzyżem. Dlaczego nie zburzyli tej świątyni? Nie wiem. Stoi dumna i niezawisła, jej złote krzyże górują nad czerwoną flagą.

Dobrze wiem, że Boga nie ma. Nigdy w życiu nie byłem w kościele. Nigdy w życiu nie przystanąłem przed żadną cerkwią, choćby zburzoną, oprócz tej jednej, w Wiedniu. Dzień w dzień mijam ją w drodze do pracy. Nie wiem, dlaczego budzi we mnie dziwny niepokój. Jest w niej coś mistycznego i magicznego. Od ponad stu lat stoi w tym samym miejscu. Rzecz jasna, przez ostatnie 50 lat nie odprawiono tu żadnej mszy, jej dzwony głucho milczały. Ale i bez bicia dzwonów jest po prostu piękna.

Mijam cerkiew i patrzę pod nogi. Czuję, że jeśli podniosę wzrok, nie zdołam się powstrzymać, by nie paść na kolana przed tym tajemnym, kuszącym pięknem -i tak pozostać na zawsze.

M,

**IV**

Melduję o moich pierwszych posunięciach. Nawigator słucha w milczeniu, nie przerywa. Wzrok wbity w biurko. Dziwne. Abecadło szpiega każe patrzeć rozmówcy prosto w oczy, wytrzymać przeciągłe spojrzenie. Dlaczego więc szczywany lis nie respektuje elementarnych zasad? Coś tu nie gra. Spinam się wewnętrznie, nie spuszczać zeń wzroku, i w myślach szykuję się na najgorsze.

- Dobra - powiedział wreszcie, nadal nie odrywając wzroku od papierów - w przyszłości nadal będziesz pracować pod kontrolą Pierwszego Zastępcy, ale dwa razy na miesiąc wysłucham cię osobiście. Jak na pierwsze tygodnie zrobiłeś niemało, dlatego dam ci teraz poważniejsze zadanie. Udasz się na spotkanie z człowiekiem, którego zwerbował Pierwszy Zastępca. Nie chcę, aby sam poszedł na spotkanie, to zbyt ryzykowne. Dlatego pójdiesz ty. Ten człowiek ma dla nas szczególne znaczenie. Towarzysz Ko-sygin osobiście interesuje się naszą pracą. Nie mamy prawa zmarnować takiego człowieka. Pracuje w

Niemczech Zachodnich, skąd dostarcza nam części do amerykańs-

kich rakiet przeciwpancernych TO W. Przerzucimy cię dyskretnie do RFN. Zobaczysz się z facetem. Otrzymasz części. Opłacisz usługi. Zjeździsz szmat drogi, żeby zatrzeć ślady. Spotkasz się z pomocnikiem radzieckiego *attache* wojskowego w Bonn. Przekażesz mu towar, ale w opakowaniu. Nie powinien wiedzieć, co otrzymał. Dalej ładunek pojedzie pocztą dyplomatyczną do Akwarium. Pytania?

- Dlaczego by nie zlecić całej operacji naszym oficerom w RFN?

- Po pierwsze dlatego, że jeśli jutro Niemcy Zachodnie wywalą wszystkich naszych dyplomatów, to strumień informacji o RFN nie zmaleje. Będziemy odbierać tajne przesyłki przez Austrię, Nową Zelandię, Japonię. Dla KGB ekspulsja całej siatki szpiegowskiej z Wielkiej Brytanii oznacza katastrofę; dla nas nie. Nadal możemy otrzymywać angielskie sekrety przez Austrię, Szwajcarię, Nigerię, Cypr, Honduras i te wszystkie kraje, w których znajdują się oficerowie Akwarium.

- Po drugie dlatego, że po otrzymaniu zdobytych przez nas części rakiet szef GRU zwoła wszystkich dyplomatycznych i „nielegalnych”<sup>6</sup> rezydentów GRU w Niemczech Zachodnich i całej tej ósemce generałów zada pytanie: „Jak to się dzieje, że Golicyn będąc w Austrii potrafi zdobywać takie cacka na terytorium RFN, a wy, tacy i owacy, siedzicie tu, na miejscu - i nic?! Czekać, aż same wpadną wam do kieszeni? Do kitu z taką robotą!” Właśnie w taki sposób, Suworow, rodzi się konkurencja, a tylko bezwzględna konkurencja leży u podstaw naszych sukcesów. Wszystko zrozumiałeś?

- Wszystko, towarzyszu generale.

- Chcesz o coś spytać?

- Nie.

- Chcesz, znam twoje pytanie! Jedno nie daje ci teraz spokoju: za te części Pierwszy Zastępca dostanie order, a ryzykować za niego będzie młody kapitan i gównu mu z tego ryzyka przyjdzie. Tak myślisz?

Nagle odrywa oczy od papierów. To jest jego sztuczka! Wyczekał z tym spojrzeniem do ostatniej chwili. Wzrok ma okrutny, żadnej iskierki. Rzuca spojrzenie niespodziewanie, błyskawicznie. Nie byłem na to przygotowany. Wytrzymuję jego wzrok, ale wiem, że nie potrafię skłamać.

- Tak, towarzyszu generale.

<sup>6</sup> „Nielegalna” siatka, „nielegalna” rezydentura - agentura wywiadowcza w danym kraju składająca się z ludzi ukrywających swoje powiązania z ZSRR: mieszkańców tego kraju, obywateli państw zaprzyjaźnionych i osób pod przybraną tożsamością. Działa równoległe do „jawnej” sieci - „rezydentury dyplomatycznej” czyli agentów występujących jako radzieccy dyplomaci,



- Pracuj aktywnie. Szukaj. Werbuj. Wtedy i ciebie będzie ktoś asekurować. Będiesz pracować wyłącznie głową, a ktoś inny za ciebie nadstawi karku.

Zadrgały mu mięśnie twarzy, wzrok zimny, ołowiany.

- Szczegóły uzgodnisz z Pierwszym Zastępcą. Możesz się odmeldować.

Strzeliłem obcasami i zawróciwszy na pięcie opuściłem gabinet dowódcy. Na korytarzu pusto. W dużej sali -żywej duszy. Urządzenie do klimatyzacji z cichym świstem rzuca w półmrok strumień chłodnego powietrza. Podkreśliłem nieco błękitne oświetlenie i po gęstym, tłumiącym dźwięk kroków dywanie przeszedłem w najdalszy koniec sali do sejfów. Kilka sekund gapię się bezmyślnie na obrotową tarczę, ciężko wzdycham i wykręcam kombinację cyfr. Ciężkie drzwi pancerne ustępują płynnie i bezszelestnie, odsłaniając dwanaście par niewielkich masywnych drzwiczek. Własnym kluczem otwieram te, na których widnieje starannie namalowany numer 41. W środku spoczywa moja teczka. Zamykam sejf, kładę ją na swoim biurku, ostrożnie ciągnę za dwa jedwabne sznurki, naruszając wyraźny wzór dwóch pieczęci -najpierw z godłem, potem mojej. Z teczki wydaję kartkę sztywnego białego papieru z regularną kolumną napisów, raz jeszcze westchnąwszy głęboko, notuję:

„Teczka nr 11 otwarto w dniu 13 lipca, godzina 12.43 czasu miejscowego”. Cofam się nieco, podpisuję.

Ostrożnie chowam papier do teczki, po czym wyciągam cieniutką błyszczącą aktówkę z numerem 173-W-41. Pierwsza kartka gęsto zapisana, następne zupełnie czyste. Jedną z nich ujmuję ostrożnie w dwa palce i kładę przed

sobą. W lewym górnym rogu stawiam własną pieczęć, po czym wkładam kartkę do maszyny. W prawym górnym rogu jak zwykle szybko wystukuję „Ścisłe tajne”, następnie, przepuściwszy kilka linii, na samym środku: PLAN.

Opieram głowę na ręce, tęsknie spoglądam na ścianę. Aż mnie rozsadza z wściekłości. Nienawidzę całego świata, nienawidzę siebie, nienawidzę biurka, błękitnego światła, brązowych dywanów i zielonych teczek.

Spośród ludzi i przedmiotów, których nienawidzę, wynurza się jedna twarz, najbardziej nienawistna. Twarz Nawigatora.

Łatwo jest wydawać rozkazy! Przecież to nie dowodzenie dywizją. Pójdź tam, zrób to. Wszak nigdy nie byłem w Niemczech Zachodnich. Posłać mnie na taką robotę po trzech tygodniach pracy w rezydenturze! A jeżeli zawalę całą operację?

Gdybym mógł w tej chwili dać komuś w gębę, ulżyłoby mi z pewnością. Omiotłem przedstawicieli Aeroflotu, Inturi-stu itp. [przyp. tłum.].

wzrokiem wypolerowaną powierzchnię biurka szukając czegoś, na czym mógłbym wyładować swoją złość. Wpadł mi w rękę gustowny kubeczek pełen długopisów i ołówków. Ścisnąłem go w dłoni, oglądając uważnie, po czym z całej siły trzasnąłem o ścianę.

- Szajba ci odbiła?

Odwracam się. Za moimi plecami, koło sejfów - Pierwszy Zastępca. Pograżony w myślach nawet nie zauważyłem, kiedy się pojawił.

- Przepraszam - wydusiłem z siebie, nie podnosząc wzroku.

- O co chodzi?

- Nawigator polecił mi udać się na spotkanie z waszym człowiekiem...

- No to ruszaj. Co za problem?

- Szczerze mówiąc nie wiem, od czego zacząć, co robić...

- Napisać plan! - wybuchnął nagle. - Napisz, ja ci podpiszę, i w drogę...

- A jeżeli wypadki potoczą się niezgodnie z moim planem?

- Że co proszę? - patrzy zdumiony. Spogląda na ze- /j garek, na mnie, wzdycha i mówi z wyrzutem: - Zabieraj swoje papiery. Chodźmy.

Gabinet instruktażowy zawsze kojarzy mi się z kajutą na wielkim luksusowym statku. Kiedy system ochronny jest włączony, podłoga, ściany i sufit pomieszczenia ledwo wyczuwalnie wibrują, jak pokład liniowca, gdy pełną parą pruje fale oceanu. Wewnątrz murów, za warstwami izolacji, umieszczone są potężne zagłuszarki. Izolacja tysiąckrotnie osłabia ich ryk, a w pomieszczeniu słychać tylko stłumiony pomruk, jakby szum dalekiego przyływu.

Gabinet instruktażowy lśni bielą. Niektórzy nazywają to pomieszczenie „blokiem operacyjnym”. Ja tej nazwy nie lubię, zawsze mówię „kajuta”. W kajucie stoi tylko stół i dwa krzesła. Zarówno stół, jak i krzesła są przezroczyste, co stwarza wrażenie luksusu i niecodzienności.

Pierwszy Zastępca gestem pokazuje mi krzesło i siada naprzeciw.

- Na Cmentarzysku Słoni nie nauczono cię niczego pożytecznego. Jeżeli chcesz odnosić sukcesy, musisz przede wszystkim zapomnieć o wszystkim, czego uczono cię w Akademii. Słoniami zostają ci, którzy sami nie potrafią pracować w terenie. Teraz słuchaj uważnie. Przede wszystkim trzeba ułożyć plan. Musisz go rozpisać na różne warianty i przedstawić swoje postępowanie w odpowiednich sytuacjach. Im więcej napiszesz, tym lepiej. Plan jest zabezpieczeniem na wypadek fiaska. Gdyby Akwarium rozpoczęło dochodzenie, wówczas masz solidny argument na swoją korzyść: proszę, fazę przygotowawczą

potraktowałem bardzo poważnie. Zapamiętaj: czym więcej papieru, tym czystszy tyłek. Po napisaniu planu weź się do przygotowań. Odpręż się maksymalnie, posiedź w saunie. Wyrzuć z siebie wszelkie negatywne emocje, stesy, wątpliwości. Musisz wyruszać na akcję z absolutnym przeświadczeniem o jej powodzeniu. Jeżeli nie masz tej pewności, lepiej zrezygnuj na wstępie. Najważniejsze to narzucić sobie ton agresywnego zwycięzcy. Kiedy już odprężysz się należycie, posłuchaj Wysockiego, na przykład „Obławy”. Ta muzyka powinna brzmieć w tobie podczas całej operacji. Zwłaszcza gdy będziesz już wracać. Największych błędów dopuszczamy się po udanym spotkaniu, w drodze powrotnej. W radosnym uniesieniu zatracamy ducha agresywnego zwycięzcy. Nie

wyzbywaj się tego uczucia dopóty, dopóki nie zatrzasną się za tobą nasze pancerne drzwi. Powtarzam: najważniejsze to nie plan, lecz nastawienie psychiczne. Jesteś zwycięzcą tak długo, jak długo sam czujesz się zwycięzcą. Życzę ci powodzenia.

## V

Do spotkania zostało jeszcze 27 minut. Czas wlecze się niemiłosiernie. Siedzę w starym, poobijanym samochodzie, zaparkowanym na poboczu leśnej drogi. Według paszportu jestem obywatelem jugosłowiańskim, ni to turystą, ni to bezrobotnym. Mój Boże! Dopiero tu, na miejscu zorientowałem się, jaką masę ludzi wciągnięto do operacji, bym w efekcie mógł znaleźć się w tym lesie. Ktoś musiał wynająć dla mnie wóz, tak, aby nikt się nie zorientował, że to obywatel radziecki zażyczył sobie właśnie starego grata. Ktoś inny pomógł mi przekroczyć granicę. Ktoś wreszcie zdobył dla mnie solidne papiery.

No więc siedzę i czekam. Szkatułkę złotych monet na wszelki wypadek zakopałem w pobliskim zagajniku. Gdyby aresztowano nas podczas spotkania, te pieniądze stanowiłyby dodatkową okoliczność obciążającą. Jestem przecież biednym włóczęgą. Skąd więc złote dukaty? Nasz „przyjaciół” zażądał zapłaty nie w dolarach, nie w markach, ale właśnie w złocie. Wymyślił, cwaniaczek, że w razie wpadki będzie się tłumaczyć, że to spadek po prababce.

Czekam. „Przyjaciół” czy - jak go nazywamy - „specjalne źródło” ma się zjawić o 13.00. Moje znaki rozpoznawcze to japońskie radyjko w lewej ręce i *znaczek* piłkarski w klapie. Jego mam poznać po tym, że zjawi się punkt trzynasta i zapyta o godzinę, stojąc po mojej prawej ręce.

Ciekawe w jaki sposób nasz przyjaciel zdobywa części amerykańskich rakiet przeciwpancernych? Czyżby był generałem? A może konstruktorem? Któż inny mógłby zwędzić taką część, bo ani inżynier, ani magazynier, ani strażnik w fabryce zbrojeniowej.

Każdy wyprodukowany element jest odpowiednio ponumerowany. Właściwie konstruktor i generał też nie mogą ukraść kawałka ra-

kiety. Ktoś jeszcze wyżej? A jeżeli to generał albo naczelny inżynier, to w jaki sposób Pierwszy Zastępca zdołał nawiązać z nim kontakt i go zwerbować?

Niezbyt odpowiada mi rola turysty nędzarza: podarty sweter, znoszone buty. I w takim stroju mam spotkać amerykańskiego generała? Co sobie pomyśli o GRU, gdy ujrzy mój pogruchotany wehikuł?

Wybiła umówiona godzina. Nikt się nie zjawia. Generale, co z twoją dyscypliną? Zza zakrętu wyłania się wielki zabłocony traktor z przyczepą. Stary Niemiec, rolnik, cuchnie nawozem. Niech to szlag, tego tylko brakowało! Spędziłem tu dwie godziny i - żywego ducha. Pewnie przez następnych pięć dni też ludzka noga tu nie postanie. A tego właśnie teraz diabli nadali! No zjeżdżaj, byle szybciej. Jak na złość zatrzymuje traktor, wysiada. Czego chcesz, stary durniu? - Która godzina? - pyta. Masz godzinę! Podtykam mu zegarek pod sam nos. Zobaczyłeś i jazda. Ale jemu nie spieszy się. Stoi koło mnie po prawej, pokazuje na przyczepę. Cholera jasna, pewnie coś nawaliło, trzeba będzie pomóc, a tu lada chwila generał się zjawi... I nagle olśnienie: skąd mi przyszło do głowy, że „specjalne źródło” to generał? Wskakuję na przyczepę, zdzieram podarty zatłuszczony brezent. Wielkie nieba! Pod plandeką - pogruchotane szczątki rakiety TOW. Pamiętacie ten drapieżny srebrzysty ryjek? Przerzucam do bagażnika odłamki stabilizatorów, zakurzone obwody drukowane, poszarpane, splątane przewody, rozbity i zabłocony blok układu naprowadzania. *Danke schön.* I biegiem za kierownicę. Chłop groźnie stuka laską po masce samochodu. O co chodzi, stary capie? Gestem pokazuje, że czeka na zapłatę. Na śmierć zapomniałem. Pędem do zagajnika, wykopuję szkatułkę. Bierz. Teraz dopiero gęba mu się rozjaśnia. Sprawdź jeszcze na ząb, dziadygo! Na co ci, staruchu, tyle złota? I tak do grobu ze sobą nie zabierzesz. Przypomniała mi się instrukcja: „specjalne źródła” należy szanować, a przynajmniej okazywać szacunek. Więc uśmiecham się do niego.

Rusza w swoją stronę, ja w przeciwną. Szybko oddalam się z miejsca spotkania. Teraz rozumiem prosty mechanizm całej operacji.

Amerykańska I. Dywizja Pancerna otrzymała rakiety TOW i strzela nimi na poligonie. Naturalnie bez głowic bojowych. W końcowej fazie lotu pocisk po prostu rozbija się uderzając o miękki grunt.

U nas podczas strzelania Falangami albo Trzmielami ogromne przestrzenie poligonu

pokrywa się brezentem, a po zakończeniu ćwiczeń rzuca się batalion do wyszukiwania najdrobniejszych odłamków. Amerykańska armia takimi głupstwami nie zajmuje się, dlatego nie ma potrzeby werbować generałów czy naczelnych inżynierów, wystarczy skaptować pastucha, leśniczego, stróża, chłopca. Nazbiera wam odłamków choćby i dwieście kilo. Ile zmieści się w bagażniku! Stary śmierzący łajnem chłop może stać się „specjalnym źródłem” i za trzydzieści srebrników sprzeda wszystko, czego dusza zapragnie.

Nie ma głowic? To bez znaczenia. Bez głowic układ naprowadzania zostaje niemal nienaruszony. Zresztą nasze głowice dorównują amerykańskim. Interesuje nas układ naprowadzania, obwody drukowane. Nasi spece oczyszczą je i wypucują na medal. Jeśli czegoś zabraknie - przywieziemy następnym razem. Chcemy zbadać skład stopów, materiałów kompozytowych, mechanizm otwierania stabilizatorów, resztki paliwa, nawet osad na turbinach sterujących - to wszystko stanowi dla nas bezcenny materiał. I wszystko to spoczywa w moim bagażniku. I wszystkim tym interesuje się osobiście towarzysz Kosygin.

Pędzę prostymi jak strzała niemieckimi autostradami. Hitler budował. Solidnie. Dodaję gazu, podśpiewuję pod nosem. Kiedy wrócę, udam się do Nawigatora i Pierwszego Zastępcy, żeby ich przeprosić. Nie wiem za co, ale podejść i powiem: „Towarzyszu generale, proszę mi wybaczyć”, „towarzyszu pułkowniku, jeśli możecie - wybaczyć”.

Są wywiadowcami najwyższej klasy. Tylko tak należy działać. Szybko, bez przyciągania uwagi. Jestem gotów ryzykować własną karierę i własne życie dla dobrej sprawy, dla powodzenia waszych olśniewających swoją prostotą operacji. Wybaczcie mi, proszę.

184

1

## **AKWARIUM**

VI Uważa się na ogół, że początkujący szpieg, występujący jako dyplomata, dziennikarz czy biznesmen w pierwszych miesiącach pracy na placówce winien unikać udziału w aktywnych operacjach. Tymczasem ma za zadanie wczuć się w rolę: poznać miasto i kraj, w którym będzie pracować, poznać obowiązujące przepisy, obyczaje, tradycje. Liczne służby wywiadowcze tak właśnie przygotowują swoich agentów do przyszłych odpowiedzialnych *zadań*. W tym czasie miejscowa policja nie zwraca na nich specjalnej uwagi, miejscowa policja ma dość kłopotów z rutynowanymi szpiegami.

Ale GRU to wywiad szczególny. Nie przypomina żadnego innego. Skoro w początkowym okresie cieszysz się względną swobodą - wykorzystaj to maksymalnie.

Przez pierwszy miesiąc byłem w nieustannym ruchu: umieściłem jakiś pakiet w skrytce, przez tydzień obserwowałem miejsce, gdzie ktoś miał zostawić umówiony sygnał,

nocą odbierałem w lesie jakieś skrzynki i dostarczałem je do ambasady, ściągałem naszych oficerów, gdy grupa nasłuchu stwierdziła zwiększoną aktywność policyjnych nadajników w rejonie operacji. Moja działalność sprowadzała się do ubezpieczania innych, pomocy innym, do udziału w operacjach, których celu ani znaczenia nie znałem. W naszej rezydenturze na czterdziestu oficerów GRU z pionu operacyjnego ponad połowa wykonuje taką robotę - „ubezpieczają ogon”. Przeżywa się ich pogardliwie chartami. Chart to pies myśliwski, którego karmić dużo nie trzeba, a gania się go po polach i lasach w poszukiwaniu lisów czy zajęcy. Można napuścić charty także na grubego zwierza, oczywiście nie w pojedynkę, lecz całą zgrają. Chart - to długie nogi i mała głowa.

Wszystko jest względne na tym świecie. Jestem oficerem Sztabu Generalnego. W stosunku do milionów oficerów Armii Radzieckiej należę do najwyższej elity. W ramach Sztabu Generalnego jestem oficerem GRU, a więc wyższą kastą wśród tysięcy innych oficerów tegoż Sztabu. W GRU jestem oficerem „wyjazdowym”, co *oznacza*, że można mnie wypuszczać na robotę za granicę. Oficerowie „wyjazdowi” - to znacznie wyższa kategoria niż zwyczajni oficerowie GRU, których za granicę się nie puszcza. Wśród „wyjazdowych” również *zaliczam* się do lepszej klasy, ponieważ należę do sekcji operacyjnej, a ta ceni się wyżej od naszej służby łączności i nasłuchu, od służb wartowniczych, od naszych mechaników i techników. Wewnątrz elity natomiast jestem plebejuszem.

Oficerowie pionu zdobywania informacji dzielą się na charty i wikingów. Ci pierwsi - to uciskana, pozbawiona wszelkich praw większość uprzywilejowanej kasty oficerów operacyjnych. Każdy pracuje pod ścisłą kontrolą jednego z zastępców rezydenta, niemal nigdy nie spotykając samego rezydenta. Polujemy na tajemnice, mówiąc ściślej na ludzi, będących w posiadaniu tych tajemnic. To nasza główna działalność. Poza tym jesteśmy bezlitośnie wykorzystywani do ubezpieczania tajnych operacji, których znaczenia możemy się tylko domyślać.

Wikingowie stoją znacznie wyżej w hierarchii rezydentury. W języku Prasłowian Wikingowie oznaczali nieproszonych, zamorskich przybyszów - okrutnych, podstępnych, drapieżnych, zuchwałych. Nasi wikingowie pracują pod osobistą kontrolą rezydenta, respektują jego zastępców, ale operacje prowadzą najczęściej samodzielnie. Ci, którzy odnoszą najwięcej sukcesów, z czasem sami zostają zastępcami rezydenta. Wówczas otrzymują do dyspozycji zgrają chartów.

Pierwszy Zastępca rezydenta sprawuje ogólną kontrolę nad ekipą. Aktywny i zdolny oficer wyspecjalizowany w zdobywaniu informacji nadzoruje - prócz własnych bieżących operacji i swoich chartów - również grupę nasłuchu radiowego, a także pracę wszystkich

oficerów, w tym również technicznych i operacyjno-technicznych. Odpowiada przy tym za ochronę rezydentury i jej bezpieczeństwo. Nie podlegają mu jedynie szyfranci, którymi dowodzi sam rezydent.

Rezydent czyli Dowódca, czyli Nawigator, czyli Przechera odpowiada za wszystko. Posiada praktycznie nieograniczone pełnomocnictwa. Dla przykładu, ma prawo zabić każdego z podlegających mu oficerów, włącznie z Pierwszym Zastępcą, gdyby w grę wchodziło bezpieczeństwo rezydentury, a ewakuacja oficera powodujące-

186

1

### **AKWARIUM**

go zagrożenie nie była możliwa. Prawo zabijania oficerów GRU ma - oprócz rezydentów - jedynie Sąd Najwyższy i to wyłącznie za zgodą KC. Tak więc nasz Dowódca jest w pewnych kwestiach ponad Sąderr. Najwyższym; nie potrzebuje żadnych rad ani konsultacji. Decyduje sam. Nasz Nawigator podlega szefowi 5. Sektora I Zarządu GRU, jednak w wielu sprawach podporządkowuje się wyłącznie szefowi GRU. W razie różnicy zdań ma prawo w wyjątkowych okolicznościach komunikować się bezpośrednio z Komitetem Centralnym. Bezgraniczną władzę Rezydenta równoważy jedynie fakt istnienia równie potężnej, niezależnej i antagonistycznej rezydentury KGB. Obaj rezydenci nie są podporządkowani ambasadorowi. Ambasador figuruje wyłącznie jako parawan dla zamaskowania w składzie radzieckiej misji obecności dwóch grup uderzeniowych. Zrozumiałe, że w obecności osób postronnych obaj rezydenci - dyplomaci wysokiej rangi - okazują mu pewien szacunek. Na tym szacunku kończy się ich zależność od ambasadora. Każda rezyden-tura posiada na terenie ambasady własne, wydzielone terytorium, którego broni przed obcymi jak twierdzy.

Drzwi rezydentury przypominają solidny sejf. Dawno temu jakiś zartowniś przywiózł ze Związku metalową tabliczkę zdjętą ze słupa wysokiego napięcia: „Uwaga! Grozi śmiercią!”. U góry - trupia czaszka. Przyczepiono ją do zielonych drzwi i od lat chroni naszą twierdzę przed ciekawością postronnych.

### **VII**

Ciekawe, że podczas wojny w naszym lotnictwie były dwie kategorie pilotów: jedni (mniejszość) z dziesiątkami strąceń na koncie, drudzy (większość) z bardzo mizernym dorobkiem. Pierwsi: cała pierś w orderach, drudzy: jeden, dwa medale. Pierwsi w większości przeżyli wojnę, drudzy ginęli tysiącami. Wojenne statystyki są bezlitosne: średnio dziewięć godzin w powietrzu, potem śmierć. Przeciętnie pilot myśliwca ginął podczas piątego lotu. A

w tej pierwszej kategorii na odwrót: każdy zaliczał setki lotów bojowych i tysiące godzin w powietrzu... - Mój roz-

mówca to Bohater Związku Radzieckiego generał-major lotnictwa Kuczumow, w czasie wojny as lotnictwa, po wojnie as wywiadu wojskowego. Z polecenia szefa GRU przeprowadza inspekcję zagranicznych ekspozytur Akwarium. Do pewnych krajów przybywa jako członek najróżniejszych delegacji do spraw rozbrojenia, redukcji, przyjaźni itp., w innych zjawia się w charakterze członka rady weteranów wojennych. Sam bynajmniej nie zalicza siebie w poczet weteranów, jest czynnym oficerem tajnego frontu. Dokonuje inspekcji i - mogą dać głowę - przeprowadza błyskawiczne i oszałamiające tajne operacje. Teraz siedzimy we dwóch w „kajucie”. Wzywa nas pojedynczo. Rozmawiając z nami kontroluje zarazem naszego dowódcę, a przy okazji mu pomaga.

- Na wojnie obie kategorie pilotów dzieliła przepaść. Żadnego ogniwa łączącego, żadnej warstwy pośredniej. Przyczyna takiego stanu *rzeczy* była bardzo prosta. Wszyscy lotnicy otrzymywali jednakowe przygotowanie, stawiali się do jednostek reprezentując mniej więcej taki sam poziom. Po pierwszej walce dowódca dzielił ich na aktywnych i biernych. Ci, którzy rwali się do boju, nie chowali się w chmury, nie bali się czołowego ataku, z miejsca zostawali prowadzącymi, reszta miała osłaniać aktywnych. Nieraz selekcja aktywnych odbywała się od razu w czasie pierwszej bitwy powietrznej. Dowódcy eskadr, pułków, dywizji, korpusów i armii rzucali wszystkie siły, by wspierać aktywnych w walce, by ich ubezpieczać, chronić w najbardziej *zazartych* starciach. Im większe sukcesy odnosił aktywny pilot, tym bardziej asekurowano go w walce, tym bardziej mu pomagano. Widziałem w akcji Pokryszkina, gdy miał już na koncie ponad 50 zestrzelonych samolotów niemieckich. Na osobisty rozkaz Stalina aż dwie eskadry ubezpieczały go w każdej walce. Sam wyrusza na łowy, na ogonie ma skrzydłowego, za nim dwie eskadry: jedna nad nim, druga pod nim. Dziś na piersi lśnią mu trzy złote gwiazdy i jedna diamentowa, jest marszałkiem lotnictwa, ale nie myśl, że to wszystko samo spadło z nieba. Bynajmniej. Już w pierwszej walce wykazał się aktywnością i odtąd go ubezpieczano. Był bardziej zadziorny, więcej umiał i dlatego coraz więcej mu pomagano. Gdyby ta

pierwsza walka potoczyła się inaczej, od początku zostałby jednym z biernych, i wiecznie osłaniających czyjś ogon, skończyłby jako młodszy lejtnant. W myśl statystyki byłby zestrzelony w piątym locie, albo i wcześniej.

Kuczumow ciągnął dalej:



- Opowiadam ci to dlatego, że nasza praca wywiadowcza prawie niczym nie różni się od walk powietrznych. Radziecki wywiad wojskowy szkoli i rzuca do walki tysiące oficerów. Życie bardzo szybko dzieli ich na aktywnych i biernych. Jedni wzbijają się na szczyty, inni spalają się na pierwszej delegacji.

...Zapoznałem się z twoim dossier, podobasz mi się. Dziś twoja praca sprowadza się wyłącznie do osłaniania innych. Ubezpieczanie jest ciężkim, niebezpiecznym i niewdzięcznym zajęciem. Ktoś wypina pierś po order, a ty ryzykujesz karierę, odwalając najbrudniejszą, najcięższą robotę. Zapamiętaj jedno: nikt cię od tego nie uwolni. Każdy dowódca GRU na placówce zagranicznej przyjmując świeżą partię młodych oficerów wykorzystuje ich do działań ubezpieczających. Bardzo prędko wpadają w ręce kontrwywiadów; następują aresztowania, ekspulsje, a potem do końca życia wegetacja w Służbie Informacji Akwariów albo w naszych bratnich krajach. Lecz jeśli sam wykażesz się aktywnością, będziesz szukać na własną rękę odpowiednich ludzi i ich werbować, wówczas dowódca po trochu będzie cię uwalniał od pracy przy ubezpieczaniu, co więcej, zarządzi, by cię z kolei osłaniano, narażano się dla twoich operacji. Taka to prosta filozofia.

...Kilka lat temu nasz rezydent w Paryżu polecił pomocnikowi wojskowego *attache*, by poświęcił się dla dobra kilku innych agentów. Możesz być pewny, że dowódca oddał na pożarcie biernego oficera. Za nic nie dałby równie niewdzięcznego zadania aktywnemu, zdolnemu wywiadowcy. Popieramy taką postawę. Kierownictwo GRU stawia sobie za cel wychować jak najwięcej operatywnych, śmiałych, skutecznych asów. Nie martw się, nie zabraknie małodusznych, bezwolnych facetów do ubezpieczania tamtych. Nie myśl też, że mówię ci to wszystko, bo darzę cię szczególną sympatią. Wcale nie. Wszystkim wam, młodym, mówię to samo. Taką mam

robotę: podnosić ducha bojowego i skuteczność działań. Niestety, nie do każdego docierają moje słowa. Mamy wielu fajnych chłopaków, którzy nigdy nie wybiją się na prowadzących, pozostaną w ubezpieczeniu, do pierwszej wpadki. Życzę ci powodzenia i pomyślnych wiatrów. Wszystko *zależy* od ciebie. Dokładaj starań, wtedy dwie eskadry będą cię osłaniać w walce.

W

## VIII

W imieniu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich minister spraw zagranicznych ZSRR zwraca się do rządów zaprzyjaźnionych państw oraz podlegającej im administracji wojskowej i cywilnej z prośbą, by na mocy Konwencji Wiedeńskiej z 1815 roku

umożliwiły swobodny przewóz poczty dyplomatycznej ZSRR, bez poddawania jej jakiegokolwiek kontroli, w tym również celnej. Minister spraw zagranicznych ZSRR A. Gromyko...

Policjant czyta dokument, Wydrukowany na szeleszczącym papierze opatrzonym godłem i filigranami. Gdyby czegoś nie rozumiał, ma do dyspozycji wersję angielską i francuską. Krótko i jasno: poczta dyplomatyczna ZSRR. Policjant zgrzyta zębami i zerka na potężny kontener. Coś mu nie gra.

Przez Wiedeń radziecka poczta dyplomatyczna płynie nieprzerwanym potokiem. Istna Niagara. Raz na tydzień uzbrojeni kurierzy radzieccy zatrzymują się w Wiedniu, po czym ruszają w dalszą drogę: do Berna, Genewy, Rzymu. W radzieckich ambasadach zostawiają przywiezione kontenery i zabierają inne, przeznaczone do Moskwy. Do ambasad wiozą zazwyczaj po pięć, czasem dziesięć 50-kilogramowych kontenerów, w drodze powrotnej - po trzydzieści lub czterdzieści. Zdarza się, że sto. Za utratę kontenera kurierom grozi śmierć.

Za każdy kontener odpowiada głową sam ambasador. Do niego należy odbiór i wysyłka poczty dyplomatycznej. My również uczestniczymy w tej procedurze. Dopóki kurier ze swoimi kontenerami podróżuje po danym kraju, stale towarzyszy mu przedstawiciel ambasady, by w razie konieczności przypomnieć komu trzeba, że na próbę

zatrzymania kontenera Związek Radziecki może odpowiedzieć sankcjami, z militarnymi włącznie. Gdyby ktoś ciekawski pragnął zaznajomić się z zawartością przesyłki, kurier ma prawo własnoręcznie się z nim rozprawić. To jego przywilej. Konwencja przewiduje użycie broni celem ochrony poczty dyplomatycznej, więc kurierzy są odpowiednio wyposażeni.

Obfita jest nasza waliza dyplomatyczna. Pęka w szwach. Kontenery transportują wszystko, co zdołamy zebrać: naboje i pociski, optykę i elektronikę, odłamki pancerzy i części rakiet, i dokumenty, dokumenty. Najróżniejsze. Plany militarne, opisy techniczne, projekty nowych rodzajów broni, które wkrótce wejdą do produkcji albo trafią do lamusa. Kurierzy wiozą to, co Zachód zatwierdził i to, co odrzucił. Przyjrzymy się z bliska. Pomysłimy. Być może weźmiemy to, co Zachód odrzucił; może wymyślimy antidotum na to, co Zachód zamierza produkować. Podróżują informacje w zielonych skrzyniach. Ściśle tajne! W imieniu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich! Na mocy Konwencji Wiedeńskiej z 1815 roku!

Jadą kurierzy, wiozą kontenery. Zgrzyta zębami policja.

Dziś ma szczególnie twardy orzech do zgryzienia. Dzisiaj nasi kurierzy wiozą nie jak

zwykle wiele kontenerów, lecz jeden wielki - 5 ton! W imieniu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich! Zgromadziło się całe policyjne naczalstwo. Klną pod nosem. Krzywo patrzą na nasz kontener. Dziś ja mu towarzyszę. Okazałem już wszystkie niezbędne papiery. W zanadrzu mam gotową formułkę: „Zatrzymanie poczty dyplomatycznej ZSRR, jak również próba jej przejścia, kontroli, przeglądu, pociąga za sobą...” - i tak dalej.

Pusty kontener dostarczono do Wiednia osobną platformą towarową. Teraz jest załadowany. Z każdej strony czerwienieją wielkie pieczęcie: „Poczta Dyplomatyczna ZSRR. Nadawca - Ambasada ZSRR. Wiedeń”. Kontener otaczają nasi kurierzy. Są uzbrojeni. Towarzyszy im radziecki dyplomata, co prawda niewysokiej rangi, ale zawsze nietykalny przedstawiciel ZSRR. Tylko go ruszcie, spróbujcie. Napaść na dyplomatę równa się obrazie

państwa, które on reprezentuje. Napaść na dyplomatę może być uznana za napaść na samo państwo. Zgrzyta zębami policyjna góra.

- Możemy sprawdzić, czy kontener jest należycie przymocowany do platformy?

- Wasze prawo - odpowiadam. Ale nie wolno im dotykać go rękami. Tylko spróbujcie. Mam bezpośrednią łączność z konsulem generalnym ZSRR w Wiedniu; konsul ma na linii radziecki MSZ. Sprawdzajcie.

Kręcą się policjanci wokół kontenera. Jakże chcieliby wiedzieć, co też zawiera! Nic z tego, panowie.

Kiedy wywoziliśmy kontener z bramy ambasady, nasi sąsiedzi z KGB psioczyli zawistnie: a to szubrawcy wywinęli numer! Ani chybi GRU gwizdnęło kawałek reaktora! Miejscowa policja jest najwyraźniej tego samego zdania. Jeden z nich snuje się stale koło platformy. Na pewno ma w kieszeni licznik promieniowania. Postanowił sprawdzić, czy nie wieziemy bomby atomowej. Nie mogę mu w tym przeszkodzić. Nie rusza kontenera, tylko przechadza się tam i z powrotem. Na nic zda się licznik - to nie bomba atomowa i nie kawałek reaktora jądrowego. Jeszcze jeden kręci się w pobliżu. Straszliwy upał, a ten w płaszczu. Pod spodem pewnie cały obwieszony aparaturą elektroniczną. Jak nie starają się sprawdzić, czy wieziemy coś metalowego, czy nie. A jeżeli zwędziliśmy silnik z najnowszego modelu czołgu? O, pojawiły się psy. Że niby dla naszego bezpieczeństwa. Obwąchują kontener. Daremne starania. Nie ma co wąchać.

Nasi kurierzy patrzą na mnie z szacunkiem. Dobrze wiedzą, że mam z tą sprawą bezpośredni związek. Ale zawartość kontenera to dla kurierów tabu. Nigdy się nie dowiedzą, co wieźli. Wiedzą jedno: ładowało GRU, a nie KGB. Kurierzy dyplomatyczni mają w tym względzie szczególnego nosa. Latami wykonują tę robotę. Znają odbiorcę ładunku i stąd

wnioskują, kto jest nadawcą. W tym wypadku polecono im tylko przewieźć kontener *przez* granicę. W Bratysławie czeka na nich radziecki konwój wojskowy, któremu mają go przekazać.

Ależ zdziwiliby się kurierzy dyplomatyczni, gdyby im powiedziano, że po przyjeździe do Bratysławy kontener

zostanie przewieziony na pierwsze z brzegu radzieckie lotnisko wojskowe i tam cała zawartość wylądować w piecu. A przecież tak się właśnie stanie.

Już od dawna Nawigator prosił ambasadora o udostępnienie nam strychu ambasady. Z początku ambasador odmawiał. Nie, powiada, i kropka. Tymczasem rezydentura się rozrasta. Z roku na rok przybywa różnych szarych skrzynek najeżonych antenami i lampkami.

- Musimy mieć ten strych - molestuje Nawigator. - Takie pomieszczenie się marnuje, a tymczasem ja nie mam gdzie się wcisnąć z elektroniką podsłuchową.

Ambasador machnął ręką.

- Dobra, niech ci będzie - powiedział. - Tyle, że to istna stajnia Augiasza. Trzeba wszystko doprowadzić do porządku. Potrafisz, masz strych na własność. Tylko żebyś nie miał dodatkowych kłopotów. Musicie sobie radzić własnymi siłami.

- Bardzo zagracone? - zaciekawiał się Nawigator.

- Wszystko, co znajdziesz, jest twoje - odpowiedział enigmatycznie ambasador. - Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Gdybym potrafił, dawno już sam bym uporządkował. Poprzednicy zostawili tam niemały spadek...

Ubili interes. Ambasador dał Nawigatorowi kluczyk od strychu i jeszcze raz poprosił, żeby nie opowiadał za dużo, co tam się znajduje. Nawigator w te pędy na strych, otworzył drzwi, łamiąc osobistą pieczęć ambasadora, zaświecił latarkę - i zmarł. Pełen strych książek. Piękne wydania. Kredowy papier, błyszczące okładki. Książki mają różne tytuły, ale autor ten sam: Nikita Chruszczow. Nawigator z miejsca zrozumiał, w czym rzecz.

Przed laty partia zapragnęła, by cały świat usłyszał jej głos. W tym celu wystąpienia Wodza drukowano na najlepszym papierze i rozsyłano do wszystkich krajów. Poszczególne ambasady rozdawały je bezpłatnie, rozsyłały do bibliotek. Partia bacznie śledziła, który ambasador gorliwie rozpowszechnia jej słowo, a który za mało się przykłada. Współzawodniczą ambasadorowie: kto więcej książek rozda w swoim kraju. Ślą kolejne raporty: sto tysięcy egzemplarzy! Trzysta tysięcy!! Moskwa zaciera ręce, że dzieła

Wodza cieszą się takim powodzeniem. Skoro tak dobrze idzie, masz jeszcze sto

tysięcy! Rozdawaj i pamiętaj: w Paryżu ambasador znacznie lepiej radzi sobie z kolportażem! W Sztokholmie nasze książki wzbudzają sensację! W Kanadzie opędzić się nie można od chętnych... Nie wiem, jak to wyglądało w Paryżu, w Ottawie. W Wiedniu po latach wykryto wszystkie książki na strychu ambasady. Nawigator udał się do ambasadora.

- Wywalić wszystko na śmieci - powiada.

- Coś ty - zachnął się ambasador. - Zaraz prasa bur-żuazyjna się dowie. Gazety napiszą, że skoro mydliliśmy oczy poprzedniemu szefowi naszej partii, to może obecnego tak samo nabijamy w butelkę.

- No to spalić! - zaproponował Nawigator, ale ugryzł się w język. Jak można niepostrzeżenie spalić taką liczbę książek? Wiadomo, gdy w ambasadzie pali się tony papieru, znaczy że wojna. Wybuchnie panika. Kto ma za to odpowiadać? Palić po trochu też się nie da, potrzeba lat, żeby opróżnić strych.

Nawigator zaklął siarczyście, po czym skreślił szy-frówkę do Akwarium: dostaniemy strych na nasze potrzeby pod warunkiem, że bez zbędnego hałasu wyręczymy ambasadora. Akwarium dało zgodę. Przesłano kontener i odpowiednie glejty.

Dwie noce zgraja chartów na własnych grzbietach dźwigała książki ze strychu do kontenera. Ledwie dotkniesz - kichania na dwie godziny. Upał, kurz, karkołomne schody. Przeleć się tam i z powrotem - serce wali, pot spływa z czoła. Zwymyślaliśmy cię, Nikita, od najgorszych!

Kontener trzeba było podwieźć pod same drzwi; prześwit zasłoniliśmy płachtami brezentu, dookoła rozstawiliśmy warty. Sąsiedzi z KGB zawistnie zerkają na ochronę, na kontener.

Policjanci raz jeszcze obrzucili wzrokiem ładunek na platformie, po raz kolejny sprawdzili papiery, machnęli ręką: pies was trącał. Nie ma wątpliwości, że radziecki wywiad wojskowy buchnął coś bardzo ważnego, ale nie wiadomo, jak zdołano wtaszczyć to do ambasady. Ale skoro tak się stało, to trudno. Jazda!

## Rozdział 9

### I

W GRU powiały nowe wiatry. Pojawiły się nowe twarze. Nazwiska nowo mianowanych szefów II, VII i XII Zarządu, 8. Sektora VI Zarządu i 4. Sektora XI Zarządu są mi zupełnie obce. Sami generałowie i admirałowie. Natomiast nazwisko szefa V Zarządu znam aż nadto dobrze. Generał-lejtnant Krawców. Pięć lat temu, gdy wyruszałem do Akademii, otrzymał swój ą pierwszą generalską gwiazdkę. Teraz ma dwie, pewnie wkrótce przyjdzie trzecia. Wszyscy jego poprzednicy na tym stanowisku mieli stopień generała-pułkownika. V Zarząd! Ten nieduży, żyłasty człowiek kontroluje dziś cały Specnaz. Podlegają mu siatki dywersyjne i siatki agenturalnego zdobywania informacji szesnastu okręgów wojskowych, czterech grup wojsk, czterech flot marynarki wojennej, czterdziestu jeden armii i dwunastu flotylli. Ma dziś 44 lata. Życzę powodzenia, generale.

Mnie się natomiast nie wiecie. Wiem, że trzeba szukać dojsć do tajnych informacji, lecz zwyczajnie brak mi czasu. Całe dnie i noce, świątki i piątki schodzą na ubezpieczeniu naszych agentów. Licznik w moim samochodzie dostaje kręcka. Nie ma tygodnia bez co najmniej tysiąca przejechanych kilometrów. Czasami te tysiące

wskakują w przerażającym tempie, wtedy Sierioża Ne-sterowicz - nasz mechanik samochodowy - na polecenie Pierwszego Zastępcy podkręca licznik. Ma do tego specjalne urządzenie: pudełeczko z długą metalową linką w rurce. Gdybym był na jego miejscu, już dawno zwałbym z tym cudzeńkiem do Ameryki. Skupowałbym używane samochody, podkręcał liczniki i sprzedawał jak nowe.

Sierioża majstruje nie tylko przy moim samochodzie. W rezydenturze jest spora zgraja chartów. Każdy z nas śmiga po Europie jak Henry Kissinger.

Licznik to legitymacja wywiadowcy. Nie wolno nam pokazywać własnej twarzy. Podkręcaj, Sierioża!

### II

Nawigator zaciera ręce:

- No, wchodźcie. Siadajcie. Wszyscy są? Pierwszy Zastępca obrzuca nas spojrzeniem. Przelicza. Uśmiecha się do Nawigatora:

- Wszyscy obecni, towarzyszu generale, z wyjątkiem szyfrantów, grupy kontroli

radiowej i grupy nasłuchu.

Nawigator spaceruje po sali, patrzy pod nogi. Oto podnosi głowę, widać, że zadowolony. Nigdy nie widziałem go w tak doskonałym humorze.

- Dzięki wysiłkom Dwudziestego Dziewiątego nasza rezydentura zdołała zebrać informacje dotyczące systemu bezpieczeństwa na mającej się odbyć w Genewie wystawie TELECOM-75. Podobne materiały uzyskały rezydentury dyplomatyczne GRU w Marsylii, Tokio, Amsterdamie i w Delhi. Ale nasze informacje są wcześniejsze i bardziej precyzyjne. Dlatego szef GRU - Nawigator zawiesił głos, by dodać wagi końcowej frazie - dlatego szef GRU powierzył nam przeprowadzenie podczas targów masowej akcji werbunkowej!

Zawyliśmy z radości. Ściskamy dłoń Dwudziestemu Dziewiątemu. Nazywa się Kola Butenko. Jest kapitanem, jak ja. Przyjechał do Wiednia później ode mnie, a zdążył zaliczyć dwa werbunki. Wiking.

- Dwudziesty Dziewiąty!

- Tak jest, towarzyszu generale. - Kola zerwał się na baczność.

- Dobrze się spisujesz!

- Ku chwale Związku Radzieckiego!

- A teraz spokój. Na zachwyty będzie czas później. Wiecie dobrze, jak wygląda zmasowana akcja werbunkowa, nie jesteście dziećmi. Na targi wyjeżdżamy całą rezydentura, w komplecie. Wszyscy pracujemy wyłącznie przy zdobywaniu informacji. Ubezpieczanie bierze na siebie genewska rezydentura dyplomatyczna GRU generała-majora Zwiedzina i berneńska rezydentura generała-majora Łarina. W razie konieczności wyjazdu na terytorium Francji, marsylska i paryska rezydentury GRU są przygotowane do akcji ubezpieczających. Ja sprawuję ogólne kierownictwo. Na czas trwania operacji zostanie oddelegowany pod moje rozkazy szef 3. Sektora IX Zarządu Służby Informacji GRU generał-major Fe-klenko. Przybędzie na czele potężnej delegacji. Mikołaju Mikołajewiczu...

- Tak jest - zerwał się zastępca do spraw informacji.

- Odpowiadasz za przyjęcie delegacji, zakwaterowanie, transport.

- Oczywiście, towarzyszu generale.

- Podczas masowego werbunku stosujemy klasyczną taktykę. Jeżeli ktoś zrobi głupstwo, nie zawaham się poświęcić go dla dobra całej operacji, jak paryski rezydent GRU poświęcił swojego *attache* wojskowego podczas akcji na Le Bourget. Pierwszy Zastępca zapozna was z tymi członkami delegacji, z którymi będziecie pracować. Życzę powodzenia.

Ekspres z Moskwy przybywa do Wiednia o godzinie 17.58. Wolno przesuwać się zielone wagony. Lekki zgrzyt hamulców. - Dobry wieczór, towarzysze! Witamy na gościnnej ziemi austriackiej! - Bagażowych wołać nie trzeba, sami ściągnęli na nasz peron; wiedzą, że oficjalna delegacja radziecka nie poskąpi sutych napiwków.

Delegacja rzeczywiście potężna. Oficerowie informacji GRU, oficerowie z Komisji Wojskowo-Przemysłowej przy Radzie Ministrów<sup>7</sup> ZSRR, eksperci z różnych resortów przemysłu zbrojeniowego, konstruktorzy broni. Ma się rozumieć, żadna z tych kwalifikacji nie figuruje w ich paszportach. Sądząc po paszportach są to przedstawiciele Akademii Nauk, Ministerstwa Handlu Zagranicznego, jeszcze jakichś nieistniejących instytucji. Ale czyż można zaufać naszym paszportom? Czy w moim paszporcie dyplomatycznym stoi, że jestem oficerem operacyjnym GRU? Witajcie! Witajcie!

Na naszej małej, śmiesznej planecie dzieją się zdumiewające rzeczy, które poza mną nikogo nie dziwią. Nikogo w ogóle nie interesuje przybycie ogromnej radzieckiej delegacji. Nikt nie zadaje kłopotliwych pytań. Na przykład: dlaczego radziecka delegacja nie jedzie prosto do Genewy, po co ten trzydniowy postój w Wiedniu? Czemu delegacja przybyła do Austrii w zwartym szyku, jak batalion, po czym w Wiedniu natychmiast się rozpadła, rozsypała, zatomizowała? Dlaczego delegaci udają się do Genewy różnymi drogami, różnymi środkami - pociągiem, autokarem, samolotem? Dziwne - do Wiednia niespiesznie, pociągiem, a dalej szybko samolotem? Dlaczego na genewskich targach dyplomatom ZSRR towarzyszą radzieccy funkcjonariusze ONZ z Wiednia, a nie ich koledzy z Genewy? Wiele jest pytań. Na szczęście, nikt ich nie zadaje i nie szuka na nie odpowiedzi.

#### IV

W gabinecie instruktorskim, na przezroczytych krzesłach, w które nie sposób wmontować jakiegokolwiek aparatury, siedzą dwaj nieznajomi. Pierwszy Zastępca dokonuje prezentacji:

- Oto Wiktor. Kłaniam się z rezerwą.
- Wiktorze, to jest Mikołaj Siergiejewicz, pułkownik--inżynier zN-II-107.
- Witam, towarzyszu pułkowniku.
- To jest Konstantin Andriejewicz, pułkownik-inżynier z 1. Sektora IX Zarządu Służby Informacji GRU.

<sup>7</sup> Wojenno-Promysziennaja Komisija (WPK) - instytucja koordynująca szpiegostwo naukowo-technologiczne, odpowiedzialna za: a) gromadzenie i analizę konkretnych zapotrzebowań nadsyłanych przez ministerstwa powiązane z sektorem militarnym; b) ustalanie na ich podstawie rocznego planu dla służb specjalnych; c) przekazywanie planu do odpowiednich instancji wykonawczych (KGB, GRU, wywiady wschodnioeuropejskie); d) zbieranie wszystkiego, co owe służby zdobyły w ciągu roku szpiegowaniem i kradzieżą; e) sporządzanie rocznego bilansu płynących stąd oszczędności w sektorze badawczym i produkcji [przyp. tłum.].



- Witam, towarzyszu pułkowniku. Ściskam wyciągnięte dłonie. Mikołaj Siergiejewicz od razu przystępuje do rzeczy:

- Interesują mnie wszelkie urządzenia odbiorcze, służące do przechwytywania odbitego promienia laserowego, oświetlającego ruchome cele podczas ostrzału z osłoniętych stanowisk ogniowych...

- Ma się rozumieć, moje wiadomości w tym zakresie są bardzo powierzchowne.

- Zdajemy sobie z tego sprawę. Dlatego tu jesteśmy. Do was należy werbowanie, do nas, zapewnienie odpowiedniego nadzoru technicznego.

Mikołaj Siergiejewicz otwiera teczkę.

- Według danych uzyskanych przez Służbę Informacji GRU największe sukcesy w tej dziedzinie osiągnęła amerykańska firma Hughes.

- Nie mogę prowadzić przeciw niej jakichkolwiek operacji na targach.

Skonsternowani pułkownicy spoglądają na mojego przełożonego, ale Pierwszy Zastępca jest tego samego zdania:

- Taka obowiązuje zasada. Na każdej wystawie przy stoiskach dużych kompanii aż się roi od agentów ochrony. Na targach rozpracowujemy wyłącznie niewielkie firmy, których stoisko obsługuje tylko jeden człowiek, z reguły właściciel przedsiębiorstwa. Z takim można ewentualnie próbować szczęścia.

- Wielka szkoda.

- Nie ma rady, styl naszej pracy zmienia się zasadniczo zależnie od okoliczności...

- Trudno. Przywieźliśmy prospekty i wycinki prasowe o niewielkich firmach, związanych z interesującym nas zagadnieniem. Oto plan ich rozmieszczenia na "tar-gach. Oto zdjęcie eksponatu. Za tę szarą skrzyneczkę WPK gotowa jest zapłacić 120 tysięcy dolarów: opracowanie podobnego systemu w kraju pochłonęłoby wiele lat i milionów. Skopiować zawsze taniej.

- Macie ze sobą forszę?

- Tak.

- Można rzucić okiem? Muszę się przyzwycząić.

Konstantin Andriejewicz kładzie nowiutką, błyszczącą dyplomatkę na przezroczysty stół, otwiera. W środku pełno gazetowych wycinków, folderów reklamowych, jeszcze jakichś papierów: makulatura dla zmylenia kontroli przy wejściu i wyjściu z wystawy. Rozlega się trzask i uchyla się drugie dno.

Co za bogactwo! Zamarłem z wrażenia. Pewnie tak hrabia Monte-Christo napawał się

widokiem swoich skarbów. Jakież ludzki wysiłek, jaka rozkosz zawiera się w tych szeleszczących, starannie ułożonych paczkach zielonych papierków! Pieniądze są mi obojętne, powiedzmy: prawie obojętne. To co ujrzałem przerosło jednak moje wyobrażenie. Zagryzłem wargę.

- Ta teczka służy tylko do demonstracji - objaśnia Konstantin Andriejewicz. - Pieniądze są prawdziwe, ale jest ich mniej, niż się wydaje. Nie możemy zabierać ze sobą na targi dużej gotówki. Właśnie dlatego skrytka została tak spreparowana, że sprawia wrażenie, iż mieszczą się w niej setki tysięcy dolarów. W rzeczywistości jest dość płytka. Nigdy nie płacimy na terenie wystawy, demonstrujemy tylko zawartość. Najlepiej prezentują się nowe banknoty o dużych nominałach. Wypłaty dokonujemy z dala od wystawy, mniejszymi, używanymi banknotami. Oto one...

Otwiera starą, podniszczoną walizeczkę, wypełnioną po brzegi paczkami pieniędzy. Dotykam ich, biorę do ręki, wacham i odkładam na miejsce. Wszyscy wybuchają śmiechem. Z czego się śmieją?

- Nie gniewaj się, Wiktor - mówi Pierwszy Zastępca. - Druga walizeczka zawiera o wiele więcej forsy, ale nie zrobiła na tobie wielkiego wrażenia. Natomiast dyplomatka po prostu cię urzekła. Było to tak uderzające, że trudno powstrzymać się od śmiechu. Cóż, cieszy nas, że teczka przeznaczona na pokaz nawet na ciebie działa tak sugestywnie.

## V

Wystawa, a zwłaszcza wielkie targi międzynarodowe, to dla GRU wymarzona przestrzeń operacyjna; to pole, z którego GRU zbiera obfite żniwa. Przez ostatnie pół wieku na naszej planecie nie odbyła się ani jedna wystawa, której nie odwiedziłoby GRU.

Targi są miejscem spotkań specjalistów, są swoistym zjazdem fanatyków. Wiadomo, że fanatyk potrzebuje słuchacza. Potrzebuje kogoś, kto kiwałby ze zrozumieniem głową i wysłuchiwał jego bredni. Słuchać i przytakiwać, zaskarbić sobie zaufanie - to nasza robota.

GRU interesuje się każdą wystawą. Wystawą kwiatów, wojskowej elektroniki, czołgów, kotów, maszyn rolniczych. Jeden z najlepszych werbunków w dziejach GRU miał miejsce na wystawie chińskich złotych rybek. Kto zwiedza takie wystawy? Ten, kto ma dużo forsy. Kto ma powiązania ze światem finansów, wielkiej polityki, wielkiego biznesu. Chadzają hrabiowie i markizy, ministrowie i ich sekretarki. Różni ludzie tam bywają, to jasne, ale trzeba też umieć wybierać.

Wystawa to takie miejsce, gdzie bardzo łatwo nawiązuje się kontakty, gdzie można zagadać z każdym, nie bacząc na rangę.

GRU nigdy nie pracuje w dniu otwarcia wystawy. Pierwszy dzień to inauguracja, przemówienia, toasty, krzątania, ważne osobistości, zbyt liczna i nerwowa policja. Wystawa należy do nas począwszy od drugiego dnia.

Dzień otwarcia wystawy jest dla każdego z nas równie ważny, jak dla dowódcy ostatnie godziny przed natarciem. Nie odrywa wtedy lornety od oczu, bada pole przyszłej bitwy: ominąć rozpadlinę, z tamtej strony osłonić chłopców zasłoną dymną, do diabła, żeby tylko nie po-

topili się w tym bagnie, mogą nie zauważyć, w tamtym kierunku trzeba dać ogień zaporowy z dziesięciu baterii, stamtąd ruszy kontratak.

Na razie trzymamy się z dala od terenów targowych. Rzesza specjalistów od zdobywania informacji, analizy i agenturalnego ubezpieczenia rozlała się po bulwarach i nabrzeżach, po wąskich uliczkach i szerokich alejach. Każdy lustruje w pamięci pole bitwy: żeby tylko nie oskrzydłili, żeby nie uderzyli z tyłu.

Nie wiem, dlaczego, ale jutrzejsza zmasowana akcja werbunkowa na razie mnie nie podnieca. Serce mi bije spokojnie. Nie, nie dlatego, że jestem wielkim wywiadowcą, odważnie wyruszającym na ryzykowną operację. Po prostu co innego mi w głowie. Zajmuje mnie nie rychły werbunek, lecz wielkie miasto Genewa. Dobra wróżka rzuciła mnie w królestwo przeszłości, gdzie na jednej ulicy pomieszały się wszystkie epoki. Rue de Lausanne - ulica GRU.

Przed wojną tu właśnie, na rue de Lausanne, w niepozornym mieszkaniu, mieściło się centrum nielegalnej rezydentury GRU, którym kierował Sandro Rado. Dyplomatyczny rezydent GRU nawet nie podejrzewał, że tuż obok, kilka domów dalej, działa potężna tajna rezydentura „Dora”, która oplatała swoją siecią Europę. Na tej samej ulicy znajdował się węzeł łączności tajnej rezydentury GRU „Rolland”, którą kierował generał Mraczkowski. Rezydentura „Rolland” działała od Szanghaju do Chicago. Jej Nawigator nie miał pojęcia o istnieniu „Dory”. A Nawigator „Dory” nic nie wiedział o Mraczkowskim i jego wszechmocnej ekipie. A rezydent dyplomatyczny nic nie wiedział ani o jednym, ani o drugim.

Słoneczny jesienny dzień. Upał. W parku liście szeleszczą już pod nogami. Cudzoziemscy robotnicy, Hiszpanie albo Włosi, odziani w pomarańczowe kombinezony zgarniają pierwsze złoto za ścieżek. Naprzeciw parku Mon Repos - szkoła. Jak pałacyk! Zegar na wieży. Pod nim data - „1907”. Znaczy, że i Lenin zachwycił się jej widokiem. A może nie przepadał za tym burżuazyjnym stylem? W każdym razie, mieszkał tutaj. Na rue de Lausanne, tam, gdzie później rozlokowały się rezydentury GRU, gdzie dziś wznoszą się wielkie domy

dla dyploma-

tów. Ręczę głową, że i dziś skutecznie pracują tu nielegalne rezydentury GRU. Piękne miejsce. Wiedział Władi-mir Iljicz, gdzie żyć, w jakich parkach się przechadzać.

W tamtych czasach po parku Mon Repos i po rue de Lausanne spacerowali terroryści marząc o zabiciu rosyjskiego cara - Goc, Griliant, Minor.<sup>8</sup> Gdy spotykali Lenina, na pewno kłaniali mu się, uchylając czarnego melonika, przykładając dłoń do wykrochmalonego gorsu. A może ignorowali się, nie kłaniając się sobie w ogóle? Tak czy inaczej, gdy Lenin zdobył władzę, wystrzelał wszystkich terrorystów, jacy wpadli mu w ręce, a przy okazji i cara, którego terroryści nie zdołali zabić.

Muszę się spieszyć. Mam tylko jeden dzień. Ostatni dzień przed walką, przed moim pierwszym zagranicznym werbunkiem. Muszę poznać pole bitwy jak własną kieszeń. Oczarował mnie stary park, świadek bogatej przeszłości. Tu właśnie w październiku 1941 roku, na jednej z ławeczek odbyła się narada nielegalnych rezydentów GRU z całej Europy. Dopóki Związek Radziecki nie brał udziału w europejskiej wojnie, Gestapo nie ruszało jego agentur, choć orientowało się w ich poczynaniach. Ale pierwszego dnia wojny posypały się wpadki. Zaczęły się masowe aresztowania. Wszelkie próby lokalizacji „wsyp” i „kotłów” nie odnosiły rezultatów. Wpadki mnożyły się jedna za drugą, łańcuchowo. Wpadki na liniach łączności. Kompletna izolacja. Skrzynki kontaktowe niepewne. Każdy jest podejrzany. Każdy rezydent podejrzewa swojego oficera i agenta, każdy z nich podejrzewa wszystkich pozostałych. Każdy rezydent czuje już oddech Gestapo na karku i zapach krwi w celach tortur. Wszzechogarniające poczucie bezsilności.

W tej sytuacji doszło do spotkania w Genewie, w parku Mon Repos. Nie mieli do tego prawa. Żaden z nich nie miał prawa wiedzieć o działaniu innego rezydenta GRU. To straszliwe przestępstwo określa się jako poziome kontakty w agenturalnej sieci operacyjnej. Za takie spotkanie, jeżeli wieść o nim dotrze do Moskwy — pluton egzekucyjny. A mimo to się spotkali. Z własnej inicjatywy.

To były zaszczute wilki. Zapędzone do matni. W jaki sposób zdołali się wzajemnie odszukać? Nie mam pojęcia. Prawie węchem. Jak prostytutka, która w tłumie wśród tysięcy kobiet może bezbłędnie wskazać nieznaną koleżankę po fachu. Jak złodziej widzi złodzieja. Jak ten, co siedział w więzieniu bez trudu, dzięki jakimś nieuchwytnym znakom, rozpozna innego byłego więźnia.

Spotkali się. Siedzieli ponuro, być może pod tym kasztanem. Asy wywiadu. Sama

<sup>8</sup> Socjaliści-rewolucjoniści, członkowie terrorystycznej Organizacji Bojowej eserów [przyp. tłum.].

elita agenturalnej sieci operacyjnej - nielegalni rezydenci. Nawigatorzy i Dowódcy. Siedzieli i milczeli. Może to milczenie było ich pożegnaniem z życiem, psychicznym przygotowaniem do tortur, wzajemnym braterskim wsparciem.

Wątpliwe, by ktokolwiek patrząc na nich z boku mógł przypuszczać, że to kwiat kierownictwa superpotężnej organizacji. Że każdy z nich niepodzielnie włada tajną siatką, zdolną przenikać najwyższe sfery władzy, strącać ministrów i całe rządy, wstrząsać stolice milionowymi manifestacjami. Kto by mógł pomyśleć, że ci ludzie w parku Mon Repos dysponują nieograniczonymi bogactwami? Siedzieli tu odziani w przetarte palta, sfatygowane marynarki, znoszone buty. Prawdziwy wywiadowca nie powinien przyciągać uwagi. Jest niedostrzegalny, jak asfalt. Jest szary. Z wierzchu.

Siedzieli długo, spierali się. Podjęli decyzję: zmienili taktykę, zmienili systemy łączności, sposoby lokalizacji wpadek, weryfikacji i werbunków. Każdy miał podjąć robotę rzekomo z własnej inicjatywy, nie meldując GRU o tajnej zмовie. Zresztą nie było wówczas żadnej łączności.

Wszyscy przeżyli wojnę. Każdy z nich osiągnął znakomite wyniki. W 1956 roku wspólnie zameldowali kierownictwu GRU o odbytej w czterdziestym pierwszym bezprawnej naradzie. Wszyscy zostali bohaterami. Zwycięzców się nie sądzi.

Kto poza granicami ZSRR oszacował ich wkład w zwycięstwo? Kto uwzględnił ich działania, planując błyskawiczne rozgromienie Armii Czerwonej? Czemu nie pamięta się tych ludzi w sfatygowanych marynarkach na ławce genewskiego parku Mon Repos?

## VI

Nazwy genewskich hoteli: „Ascot”, „Epson”, „Amat”, „Derby”. Są to cytadele GRU. W ogóle hotele położone pomiędzy rue de Lausanne, parkiem Mon Repos, brzegiem Jeziora Genewskiego i rue du Mont-Blanc od dawna służą za bazy wypadowe GRU albo KGB. Właśnie z tych hoteli wyruszyły wczesnym rankiem grupy agentów, kierując się w stronę Palais des Expositions. Budowa tej ogromnej konstrukcji trwała wiele lat. Z wielką salą przypominającą halę dworcową, zlewają się inne sale, tworząc pod jednym dachem bezkresne, betonowe pole. Beton przykrywa się wykładziną, hale przecina się przegródkami i każdy wystawia swój dorobek.

Do potężnego pawilonu ściągają ze wszystkich stron grupy agentów GRU najróżniejszych specjalności. Gdyby pozycję każdego wikinga i charta, każdego naszego samochodu zaznaczyć na planie miasta malutką ruchomą żaróweczką, byłby to doprawdy niesamowity obraz.

Ileż wozów z rejestracją dyplomatyczną zjechało na genewskie targi! A ile szarych niepozornych Fordów, autokarów, furgonetek bez numerów dyplomatycznych! Konsul generalny z Berna i konsul z Genewy zaparkowali czarne Mercedesy po przeciwnych stronach Plaine de Plainpalais. Nie biorą udziału w operacji, pozostają w ubezpieczeniu i to nie agenturalnym, lecz ogólnym. Gdyby kóregoś z nas aresztowano, będą interweniować, protestować, grozić pogorszeniem stosunków i odpowiednimi sankcjami ze strony Moskwy - słowem, mają naciskać na policję. Radziecki ambasador w Szwajcarii Gieraslmow i stała przedstawicielka ZSRR przy Europejskim Biurze ONZ w Genewie Mi-ronowa również są na posterunku. Oni też zapewniają ogólne ubezpieczenie. Nie wiedzą dokładnie, co się święci, ale otrzymali zaszyfrowane polecenie z KC, by przez cały czas być w pogotowiu: grozić, straszyć, naciskać, odwracać uwagę. Kurierzy dyplomatyczni są w stanie pogotowia. Być może zajdzie potrzeba pilnego przerzutu do Moskwy. Aero-flot też jest uprzedzony. Jeżeli ktoś zostanie zatrzymany przez policję, tuż po wypuszczeniu ma zapewniony błyskawiczny powrót do kraju. Unikać rozgłosu, żadnej pożywki dla prasy, żadnego skandalu... Cisza i spokój.

Bardzo wiele wejść, przed każdym kolejka. Giniemy w tłumie. Bilety po siedem franków. - Poproszę trzy. -Dwadzieścia jeden franków. - Doskonale. Dwadzieścia jeden to szczęśliwa liczba. Jestem przesądny, jak każdy w tym fachu. Z całej trójki tylko jeden ma w ręku teczkę-dyplomatkę. Do demonstracji. - Możecie skontrolować, prześwielić - same papiery.

Moi towarzysze z miejsca wrywają, do upatrzonych stoisk. O, nie! Tutaj ja rządę. To ja mam faceta werbować, mnie, a nie wam, przyjdzie go obrabiać. Zaczekajcie, jeśli łaska. O, do tego gościa podejźmy. To was nie ciekawi? Trudno. Zamienimy z nim kilka słów, może kawę wypijemy. Teraz przejdźmy do tamtego stoiska. Znow chwilę posiedzimy, pogadamy z przedstawicielami firm, pokiwamy z uznaniem głowami. Proszę, tu też warto rzucić okiem: radiostacje.

Powolutku doszliśmy do naszych stoisk. Wielkie koncerty, wielkie osiągnięcia. Obok gromadzą się grupki ciekawskich, specjaliści tłumaczą coś, wyjaśniają, służba bezpieczeństwa firmy jawnie czuwa. Chodźmy dalej, dalej. O, tu możemy przystanąć. Przy szarych niepozornych pudełeczkach samotnie nudzi się niewysoki jegomość. Mała firma, więc jest sam. Właściciel, czy może dyrektor i obstawa w jednej osobie?

- Dzień dobry.

- Witam panów.

- Bardzo interesują nas pańskie pudełeczka. Niebywałe urządzenie. - Moi towarzysze udają, że nie znają języków, a ja jestem za tłumacza. To dobry chwyt: w ten sposób mają znacznie więcej czasu na odpowiedź. Poza tym wysuwają mnie niejako na pierwszy plan.

- A ile pan sobie życzy za takie cudo?

- 5.500 dolarów.

Wybuchamy śmiechem. Zerkam przez ramię, otwieram teczkę, od razu ukazując drugie dno: niech nasyci wzrok zieloną poświatą. I natychmiast zamykam. Nie odrywa wzroku od zamkniętej teczki.

- Za ten przyrząd gotowi jesteśmy z miejsca odpalić panu 120.000 dolarów. Jeden tylko szkopuł: jesteśmy ze Związku Radzieckiego, a wasze zachodnie rządy w barba-

rzyński sposób gwałcą swobodę handlu, więc, niestety, nie możemy nabyć pańskiego pudełeczka. Wielka szkoda! Odchodzimy. Uszliśmy kawałek, skręciliśmy w bok mieszając się z tłumem.

- No i jak? Prawdziwe czy atrapa?

- Najprawdziwsze w świecie. Do roboty.

Eksperci techniczni chodzą ze mną, żeby rzucić kilka mądrych słów i pomacać towar przed transakcją. Mnie można nabić w butelkę. Ich nie. Zawracam do stoiska, dyplomatka w rękę. Poznał mnie. Uśmiecha się. Mijam go, też z uśmiechem. W pewnej chwili, jakbym się nagle zdecydował, zwracam się do niego: - A może wypijemy wieczorem po kieliszeczku?

Uśmiech gaśnie mu na twarzy. Przeciąglým, zimnym spojrzeniem patrzy mi w oczy. Zerka na teczkę, znowu na mnie, wreszcie kiwa potakująco. Podaję mu kartkę z adresem: „Hotel du Lać” w Montreux. Aby maksymalnie skrócić spotkanie, już poprzedniego dnia zanotowałem na odwrocie: 21.00.

Od stoiska lecę, jakby mi skrzydła urosły. Werbunek! Zgodził się! Jest już moim tajnym agentem! Serce młotem wali. Doganiani moich towarzyszy i spokojnie oznajmiam, że werbunek się powiódł.

Zwiedzamy jeszcze kilka stoisk. Rozmawiamy, podziwiamy, przytakujemy, popijamy kawę. A może raz jeszcze otworzyć teczuszkę? Może jeszcze kogoś zahaczyć? Oczy zapaliły mi się na samą myśl. Dwa werbunki! Ale przypomniał mi się stary, poczciwy *diadia* Misza. Nie. Nie będziemy werbować drugiego. Chciwość - zgubą frajerów.

## VII

Na Plaine de Plainpalais - morze samochodów. Wszystko zastawione po brzegi. Szukaj tu swoich. Wóz radzieckiego konsula generalnego stoi na miejscu, a więc obeszło się

bez jego pomocy. Wszystko idzie zgodnie z planem, mamy na koncie dziesiątki drogocennych werbunków bez wsypy. Bez komplikacji. Z daleka dostrzegam nasz wielki autokar, zaparkowany wśród wielu innych autobusów. W środku Nawigator przyjmuje

swoich najzdolniejszych uczniów. Nie dorosłem jeszcze do takiego zaszczytu, by sprawozdanie o postępach w pracy składać samemu Nawigatorowi. Tymczasem podlegam jego Pierwszemu Zastępcy. Gdzież się, do diabła, podziewa?

Widzę go. Przedzieram się do autokaru lawirując wśród niezliczonych pojazdów.

W autobusie pełno. Wszystkie przednie siedzenia zajmują oficerowie informacji GRU i WPK. Ci, którzy pomagali nam werbować. Tylnie siedzenia są wolne. Zasłony opuszczone, niby chronią przed słońcem. Na ostatnim siedzeniu - Pierwszy Zastępca. Wzywa nas pojedynczo. Melduj szeptem. Jak wódz, co na polu wygranej bitwy odbiera pierwsze raporty. A my wszyscy, wikingowie i charty, tłoczmy się w przejściu, niby bez celu. Hałas, przepychanki, żarty. W rzeczywistości to po prostu kolejka do raportu. Każdemu pilno, oczy płoną. Śmiech.

Pierwszy Zastępca skinął na mnie. Moja kolej.

- Zwerbowałem. Czas: 6 minut 40 sekund. Dziś wieczorem pierwsze spotkanie.

- Zuch. Gratulacje. Następny.

## VIII

Zwerbowałem cennego agenta, który przez dziesięciolecia będzie nam dostarczać najnowocześniejszych oprzyrządowań do samolotów, artylerii, śmigłowców bojowych, rakietowych systemów naprowadzających. Co do tego, że został zwerbowany ani Pierwszy Zastępca, ani ja nie mamy cienia wątpliwości.

To prawda, że o nowym tajnym agencie GRU wiemy tylko to, co widnieje na jego wizytówce. O jego aparaturze wiemy znacznie więcej: dysponujemy dwoma wycinkami z opisem przyrządu RS-77. Ale to nie problem. Ważne, że potrzebujemy tego urządzenia i będziemy je mieć. O samym agencie dowiemy się niebawem więcej. Najważniejsze, że zgodził się na tajną współpracę.

Przez niecałe siedem minut werbunku przekazałem mu masę istotnych wiadomości. Wypowiedziałem kilka banalnych zdań z których wynikało, że:

- jesteśmy oficjalnymi przedstawicielami Związku Radzieckiego;
- interesuje nas nowoczesna elektronika wojskowa, w szczególności jego aparaty;
- jesteśmy gotowi sowicie je opłacać, cena jest znana;



- pracujemy dyskretnie, zrecznie, ostrożnie, nie naciskamy i nie nalegamy;
- nie potrzeba nam wielu egzemplarzy urządzenia, ale tylko jeden, do skopiowania.

Na podstawie tych informacji sam może bez trudu wywnioskować, że:

- nie stanowimy konkurencji dla jego firmy;
- jeżeli produkcja tego sprzętu zostanie uruchomiona w ZSRR, to wcale na tym nie traci, wręcz przeciwnie: wzrośnie popyt na jego aparaturę i niewykluczone, że zachodnie armie zamówią coś nowego, bardziej nowoczesnego, zatem droższego;

- sprzedając nam tylko jeden egzemplarz urządzenia może bez trudu ukryć ten fakt przed władzami i policją: jeden to nie sto i nie tysięcy;

- ma pełną jasność co do naszych ofert i zapotrzebowań, dlatego nie boi się nas; dobrze wie, że sprzedaż urządzenia kwalifikuje się wyłącznie jako szpiegostwo przemysłowe, za które na Zachodzie grozi, nie wiedzieć czemu, znacznie łagodniejszy wyrok.

Wszystkie aspekty transakcji są dlań oczywiste. W jednym zdaniu wyłożyłem mu nasze zainteresowania, warunki i ceny. Skinąwszy głową i przystając na spotkanie, tym samym powiedział jasno „tak” radzieckiemu wywiadowi wojskowemu. Rozumie doskonale, że uprawiamy zabronioną działalność, niemniej zgadza się na kontakty z nami. A więc...

Moja krótka rozmowa werbunkowa stanowi odpowiednik sytuacji, w której zwróciłbym się na przykład z propozycją do młodziutkiej przystojnej studentki: jestem bogatym rozpustnikiem i za stosunki z ładną dziewczyną gotów jestem szczerze zapłacić. Potem pokazuję pieniądze i wymieniam sumę, po czym proponuję spotkanie, by posłuchać muzyki sam na sam. Jeżeli wyrazi zgodę, to o czym mowa? Co tu jeszcze ustalać?

Tak właśnie przeprowadza się na targach błyskawiczne, masowe akcje werbunkowe: to nas interesuje, jesteście gotowi płacić, gdzie się spotkamy?

Z drugiej strony, gdyby ktoś nagrał naszą rozmowę na magnetofon, nie doszukałby się niczego zdrożnego. Obejrzeliśmy urządzenia z zaciekawieniem, wyraziliśmy żal, że nie możemy ich kupić. Dopiero później wróciłem i zaproponowałem wspólne wypicie kieliszka wina.

## IX

Jestem młody i niedoświadczony. Na razie wybaczą mi, że tracę siedem minut na jeden werbunek. Werbunek powinien odbywać się błyskawicznie. Dziesięć słów. Jedno zdanie. Jeden życzliwy uśmiech.

Werbunek musi być natychmiast skutecznie zatajony: powinienem obejść setki stoisk, powtarzając jedno i to samo, uśmiechając się tak samo. I nie werbować. Nawet jeśli jestem

śledzony, jak wyłowić spośród setek ludzi tego jednego, który radzieckiemu wywiadowi wojskowemu powiedział „tak”? Kręci się nas tu cała zgraja. Wielu werbujących, wielu ubezpieczających. Każdy zabezpiecza własny werbunek setką niewinnych rozmów i spotkań. Dookoła tysiące zwiedzających. Spróbuj tu kogoś śledzić...

Świeżego agenta trzeba jak najszybciej oddalić od terenu werbunku. Jeszcze tej nocy moi bardziej doświadczeni koledzy odbędą pierwsze rozmowy ze zwerbowanymi. Spotkają się z nimi na terytorium Francji, Włoch, RFN. Ja mam spotkanie w Montreux. Ktoś inny w Bazylei, *Zurychu*, Lucernie. Byle dalej od Genewy! Jak najdalej! To dopiero *rendez-vous*. Następne odbędą się w Austrii, Finlandii, w USA. Byle dalej od Szwajcarii! Byle dalej!

Długo kluczę, koledzy ubezpieczają. Jeżeli byłem śledzony, dawno zdołałem się urwać. Wyparowałem. Rozpłynąłem się w wielkich supermarketach. Przepadłem na potężnym podziemnym parkingu. Wymknąłem się zapchaną windą.

Z Genewy do Lozanny podróżuję w bagażniku samochodu na dyplomatycznych numerach. To moje pierwsze

210

J

## **AKWARIUM**

ubezpieczenie: wikingowie z genewskiej rezydentury dyplomatycznej GRU. Nie widzieli mnie na oczy i nic o mnie nie wiedzą. Po prostu o określonej porze zostawili wóz z otwartym bagażnikiem na podziemnym parkingu i odeszli. Wszystko w myśl instrukcji. Domyślają się zapewne, że ich ubezpieczanie ma jakiś związek z targami. Ale jaki? Nie mają prawa zaglądać do bagażnika. Pędzą autostradami. Co najmniej cztery godziny sprawdzali, czy nie mają ogona. Teraz też sprawdzają. Podziemny parking w Lozannie: ciemno, masa pięter, schodów i wyjść.

Moi wikingowie załatwiają mnóstwo spraw. Spacerują po mieście, wykonują jakieś niezrozumiałe manewry, potem wracają do wozu i jadą dalej. Kolejne postoje, kolejne podziemne parkingi. Sami nie wiedzą, czy bagażnik jeszcze jest załadowany. A ja już od dawna siedzę w pociągu. Druga klasa. Szary wagon, szary pasażer. Jadę długo. Nagle wysiadam, zmieniam pociąg, znowu jadę. Znikam w przejściach podziemnych, w tłoku, w piwiarniach, w ciemnych uliczkach. To dla mnie nowy kraj, ale znam go na pamięć. Ktoś starannie przygotował dla mnie wszystkie przejścia. Ktoś całymi miesiącami wyszukiwał je i opisywał. Ktoś odwaliał beznadziejną robotę charta, ubezpieczając mój werbunek.

Są tylko cztery warianty, które mogą spowodować wpadkę:

- jestem śledzony;

- obserwowana była jedna z osób, z którymi się dziś widziałem;
- na miejscu spotkania przypadkiem ktoś nas rozpoznał i zawiadomił policję;
- mój nowy przyjaciel jest prowokatorem policji albo przestraszył się, złożył raport i teraz został prowokatorem.

Z tych czterech możliwości trzy odrzucam od razu. Po pierwsze nie jestem śledzony. Po drugie widziałem dziś około setki osób. Nie sposób objąć inwigilacją wszystkich. Po trzecie genewskie charty GRU wybrały całkiem niezłe miejsce na spotkanie. Możliwość natknięcia się na kogoś znajomego w zasadzie wykluczona. Zostaje ostatnia możliwość: mój nowy kumpel. Ale jego też nie trudno będzie sprawdzić. Dziś w nocy eksperci GRU

zbadają dostarczony przez niego aparat. Jeżeli urządzenie działa, znaczy, że mój przyjaciel jest czysty. Mało prawdopodobne, by policja zgodziła się tak słono płacić sekretami, nie otrzymując niczego w zamian.

Miejsce schadzki wybrano mi całkiem przyzwoite. To też zasługa jakiegoś bezimiennego charta. Szukał, opisywał, wykazywał zalety. Gdybym uznał, że miejsce mi nie odpowiada, mógłbym *nazajutrz* poskarżyć się Pierwszemu Zastępcy, a następnego dnia dowiedziałby się o tym szef GRU i niebawem doszłoby to do genewskiego Nawigatora. Ale nie zamierzam się skarżyć. Miejsce jest w porządku. Hotel musi być duży, wtedy nikt nie zwraca na nikogo uwagi; musi być z klasą, ale nie luksusowy. „Hotel du Lac” spełnia te wymagania. I najważniejsze: muszę mieć osłonięty punkt obserwacyjny, by przez godzinę bacznie śledzić wszystko, co się w pobliżu dzieje. Jest taki punkt. Jeżeli koleżka zameldował o naszym spotkaniu, jeżeli policja zdecyduje się na inwigilację, to przy odrobinie szczęścia zauważę jakiś podejrzany ruch.

Czekam godzinę. Nic się nie dzieje. O 20.54 zjawia się mój nabytek. Zajeżdża złotym Audi, sam. Zapamiętuję numer samochodu, to ważny szczegół. Nikt za nim nie jedzie. Przed wejściem do restauracji rozejrzał się. To bardzo dobra oznaka. Gdyby był pod ochroną policyjną, nie rozglądałby się nerwowo. Spoglądanie na boki zdradza kompletnego amatora, ale nie powiem mu tego. Przyjdą następne spotkania. Zawsze będzie przez nas kontrolowany. Niech się rozgląda. Będziemy spokojniejsi. To -oznacza, że nie kombinuje z policją.

O 21.03 opuszczam punkt obserwacyjny i wchodzę do restauracji.

Uśmiechamy się do siebie. Teraz najważniejsze, to go uspokoić, odkryć przed nim karty, przynajmniej sprawić wrażenie, że są wyłożone. Człowiek boi się jedynie niewiadomych; jeżeli sytuacja jest jasna - przestaje się bać. A jeśli się nie boi, to i głupstw nie popełnia.

- Nie zamierzam wciągać pana w żadne afery. - W tej sytuacji zamiast „my” mówię „ja”. Występuję we własnym imieniu, a nie w imieniu organizacji. Nie wiem, dlaczego to znacznie lepiej działa na zwerbowanych agen-

tów. Pragną wierzyć, że o ich zdradzie wiedzą na całym świecie tylko oni i jeszcze ktoś jeden. Tylko jeden. Oczywiście to wszystko bajki. Za moimi plecami stoi super-potężna struktura, ale mam zakaz mówić „my”. W Wojskowej Akademii Dyplomatycznej karano mnie za to.

- Jestem gotów zapłacić za pańskie urządzenie. Jest mi niezbędne. Ale nie nalegam.

- Skąd przyszło panu do głowy, że jestem gotów dla was pracować?

- Tak mi się zdaje. Czemu nie? Gwarancja bezpieczeństwa, świetne ceny...

- Rzeczywiście jest pan skłonny wyłożyć 120.000 dolarów?

- Tak. 60.000 już w tej chwili. Za to, że pan się mnie nie boi. Następne 60.000 dopiero po tym, jak sprawdzę, że urządzenie rzeczywiście funkcjonuje.

- Ile czasu zajmie to panu?

- Dwa dni.

- Jaką mam gwarancję, że otrzymam drugą połowę należności?

- Pan jest dla mnie niezwykle cennym człowiekiem. Mam nadzieję, że nie poprzestaniemy na tym jednym przyrządzie. Jaki miałbym interes oszukiwać pana przy pierwszym spotkaniu?

Spogląda na mnie, uśmiecha się lekko. Rozumie, że mam słuszość. Ja zaś patrzę na niego, na mojego pierwszego zwerbowanego za granicą agenta. Za trzydzieści srebrników sprzedaje bezpieczeństwo swojego pięknego kraju. Zupełnie mi się to nie podoba. Pracuję przy zdobywaniu informacji, ponieważ nie mam innego wyjścia. Taki los. Jeżeli nie tutaj, to w innym miejscu system znalazłby dla mnie odpowiednio okrutne zajęcie. Gdybym odmówił, system by mnie *zmiążdżył*. Jestem człowiekiem zniewolonym, ale on sam rwie się do pomocy. Jeśliby się na mnie napatoczył, kiedy byłem w Spec-nazie, pilnikiem bym mu ząbki spiłował. Nagle przypominam sobie, że agenci winni się uśmiechać, więc składam głowę do uśmiechu.

- Pan nie jest Europejczykiem?

- Nie.

- Myślę, że byłoby lekkomyślnością spotykać się w pańskim kraju, jednak powinniśmy unikać również Szwajcarii. Co by pan powiedział na Austrię?

- Doskonały pomysł.

- W takim razie czekam na pana za dwa dni w Austrii. Oto adres. - Podaję mu pocztówkę z adresem i wizerunkiem hotelu. - Biorę na siebie wszystkie koszty. Również night-club.

Uśmiecha się. Nie wiem do końca, jak ten uśmiech rozumieć: zadowolony, niezadowolony? Znam się na ogół na znaczeniu uśmiechów, ale tu, w półmroku, nie mam pewności.

- Przywiózł pan aparat?

- Tak, jest w samochodzie, w bagażniku.

- Pojedzie pan za mną do lasu i tam wezmę go od pana.

- Czy nie chce mnie pan czasem zamordować?

- Niech pan będzie rozsądny. Potrzebuję przyrzędu, po diabła mi pańskie życie? - Chcę cię mieć żywego - dodaję w myślach - mogę zapłacić ci miliony, tylko daj towar!

- Skoro jest pan gotów zaoferować tak pokaźne sumy, to znaczy, że wasz przemysł zbrojeniowy wiele zyska na tej transakcji. Czy tak?

- Dokładnie.

- Za pierwszy przyrząd płacicie 120.000, a sami oszczędzacie miliony.

- Słusznie.

- W przyszłości zapłacicie mi milion, a zarobicie sto milionów. Dwieście. Trzysta.

- Całkowita racja.

- To jest wyzysk! Nie zamierzam pracować na takich warunkach. Nie sprzedam wam mojego urządzenia za 120.000.

- No to niech pan je sprzeda na Zachodzie za 5.500. Jeżeli w ogóle ktoś je kupi. Jeżeli znajdzie pan nabywcę, który zaoferuje więcej niż ja, pańska sprawa. Ja nie nalegam. A tymczasem kupię niemal identyczny aparat w USA.

To już blef. Nie mam żadnego innego dojścia do odbiorników odbitych promieni laserowych. Niemniej uśmiecham się spokojnie. Nie chcesz - to nie. Nie masz monopolu. Kupię gdzie indziej.

- Kelner, rachunek!

Patrzy mi w oczy. Długo patrzy. Potem uśmiecha się. W tej chwili światło pada na jego twarz i już wiem, że ten uśmiech nie kryje w sobie niczego złego. Sam ponownie uśmiecham się do niego...

Wyciąga pakunek z bagażnika i podaje mi.

- Nie, nie - macham rękami. - Lepiej, żeby tego nie dotykał. Niech pan zanieś do mojego wozu. - W razie czego powiem, że zapomniał: jakie tam szpiegostwo?! Roztargnienie.

Wsiada do mojego wozu (nie jest mój, ma się rozumieć, tylko wynajęty przez chłopców z ubezpieczenia).

Zamykam drzwi od wewnątrz, jak każe instrukcja. Pakunek - pod siedzenie. Rozpinam kamizelkę. To specjalna kamizelka do transportu pieniędzy. Oddaję mu do rąk sześć okazałych paczek.

- Niech pan sprawdzi. Jeżeli za dwa dni otrzymam od pana dokumentację techniczną, wypłacę pozostałe 60.000 i jeszcze 12.000 za dokumentację.

Kiwa głową.

Ściskam mu rękę.

Odchodzi do swojego samochodu. Z piskiem opon znikam w ciemności.

X

Ilu oficerów GRU przydzielono do ubezpieczenia mojej operacji? Nie mam pojęcia. Wiem natomiast, że tej nocy czekają mnie jeszcze dwa spotkania. Po pierwsze otrzymany aparat powinien jak najszybciej *znaleźć* się za murami radzieckiej ambasady. Po drugie muszę oddać wynajęty samochód i odebrać swój własny, dyplomatyczny.

Po pół godzinie na górskiej przełęczy w letniej mgle spotykam drugiego sekretarza radzieckiej ambasady w Bernie. Przyjechał białym Peugeotem, ledwie widocznym w gęstych oparach.

Moja zdobycz jest już ukryta w zielonym brezentowym worku, zamkniętym i podwójnie opieczętowanym. Dyplomata jest podpułkownikiem GRU, ale nawet on nie ma prawa wiedzieć, kim jestem ani co się znajduje w worku.

Ma polecenie spotkać się ze mną, odebrać towar, zamknąć od środka drzwi samochodu - i w te pędy do ambasady. Od momentu kiedy pakunek znajdzie się w wozie dyplomatycznym, jest względnie bezpieczny. Całkowicie bezpieczny jest dopiero za kamiennym murem ambasady.

Zatrzymuję samochód tak, że nieomal ocieramy się drzwiami, uchylam okno. Jego szyba jest opuszczona. -Trzymaj!

Jest dobrze zbudowanym blondynem o zaciętym wyrazie twarzy. Przysiągłbym, że doskonale werbuje. Wiking, to jasne. Tacy *zazarci* faceci w ubezpieczeniu miejsca nie zagrzeją. Po prostu dzisiaj jest zwariowany dzień: z genewskiej i berneńskiej rezydentury wszystkich zmobilizowano do ubezpieczenia.

Nie wolno nam ze sobą rozmawiać, tym bardziej po rosyjsku. Podjechałeś, wrzuciłeś towar i spływasz. W tej jednej krótkiej chwili ujrzałem moją twarz; wydaje mi się, że rozpoznałem we mnie zmordowanego ciągłym uganianiem się charcika, który po raz pierwszy w życiu poczuł się wikingiem. Uśmiechnął się do mnie. Nic nie powiedział, tylko poruszył wargami. Zrozumiałem: - Życzą powodzenia.

Mignęły czerwone światła w białej mgle. Zniknął.

Odczekałem trzy minuty. Teraz on ma pierwszeństwo. To on wiezie ładunek. Za dwie godziny mam następne spotkanie, pod Interlaken: oddać pożyczony samochód, odebrać własny.

Tej nocy mogłem zostać zauważony we Fryburgu i w Neuchatel. Świt zastał mnie w Zurychu. Teraz najważniejsze - pokazać się w wielu miejscach i z różnymi ludźmi. Odwiedziłem wielką bibliotekę, sklep z bronią, piwiarnię, dworzec kolejowy. Rozmawiałem z mężczyznami i z kobietami. Wypytywałem o jakąś firmę, która naprawdę istnieje, ale której wcale nie szukałem. Wertowałem książki telefoniczne, znajdowałem ludzi, którzy kompletnie nas nie interesują. Ponoć lis tak chytrze zaciera swój trop.

Późnym wieczorem przekroczyłem granicę w Bregenz. Na przejściu nie było żywej duszy. Choćby i byli celnicy, kto śmiałyby kontrolować samochód na dyplomatycznych numerach? Gdyby jednak użyli siły ł łamiąc Konwencję Wiedeńską z 1815 roku sprawdzili moje bagaże, nic by nie

znaleźli. To, co naprawdę ciekawe, jest już w Moskwie, na Chodynce, w wielkim gmachu zwanym Akwarium. Podczas gdy ja kluczyłem i myliłem trop, specjalny samolot z uzbrojonymi kurierami dyplomatycznymi dostarczył na miejsce dziesiątki opieczętowanych zielonych worków, starannie poukładanych w aluminiowych kontenerach.

Austriacy policjanci witają mnie uprzejmie. Dokumenty? Bardzo proszę. Obejrzeć samochód? Ani im to w głowie. Opasłe, dobroduszne chłopisko z pistoletem u boku przykłada rękę do daszka: droga wolna!

Po cóż mieliby się czepiać radzieckiego dyplomaty o tak szczerym, ujmującym wyglądzie? Ani trochę nie przypominam tych zarośniętych brodatych terrorystów, których fotografie rozplakatowano na ścianie posterunku.

Salutuję, wolno mijam szlaban graniczny. Nie jestem wrogiem, jestem prawie przyjacielem. Przeprowadziliśmy masowy werbunek, ale wśród naszych nowych agentów nie ma ani jednego obywatela Szwajcarii, ani jednego Austriaka. Waszych ludzi werbujemy gdzie indziej. Moi koledzy, którzy prowadzą operację przeciw Austrii robią to z terytorium innych krajów. Nigdy nie nadużywamy gościnności.

XI Patrze w lustro. Spoziera na mnie szara, zarośnięta twarz. Człowiek w lustrze ma zaczerwienione, zapadnięte oczy. Jest bardzo zmęczony.

- Zasuważ na dół, do sauny, wygrzej gnaty. Potem na dywanik do Starego.

- O co chodzi?

- Nie bój się, nie na rozprawę.

W saunie spotykam trzech kumpli: Czwarty, Dwudziesty, Trzydziesty Drugi.

- Cześć, chłopaki.

- Serwus, wiking.

Widać parzą się tu od dłuższej chwili. Czerwoni jak raki.

- Witia, chcesz piwa?

- Jeszcze jak!

Kola chłocze mnie różgami po plecach, po tyłku.

216

15

Akwarium

- Jak tam krążenie? Lepiej ci?

- O-o-o... Mowa...

- Hej, stary, nie zasypiaj, mówię ci, to niebezpieczne. Lepiej piwka się napij.

Stół w wielkiej sali uroczyście zastawiony. Krzesel nie ma. Któż by teraz usiedział? Wszyscy milczą, miny zadowolone. Zjawia się Nawigator, za nim jak wierny adiutant - pierwszy szyfrant.

- Nie będę się rozwodzić nad szczegółami zakończonej operacji. Nie mam prawa. Powiem tylko, że powiodło się wszystkim bez wyjątku. Niektórzy mają po trzy werbunki. Kilka osób po dwa.

Nawigator zwraca się do szyfranta:

- Aleksandrze Iwanowiczu, proszę *zapoznać* zespół z treścią odpowiedniego ustępu szyfrówki.

Aleksander Iwanowicz otwiera zieloną teczkę i czyta z patosem:

„Generał-major Golicyn, dowódca rezydentury dyplomatycznej 173-W. Osiem kontenerów poczty dyplomatycznej, nadanej przez was z Genewy, Berna i Paryża otrzymałem. Pierwsza analiza, przeprowadzona przez IX Zarząd Służby Informacji jest pozytywna, co pozwala wstępnie wnioskować o wiarygodności wszystkich wciągniętych do współpracy. Podpisali: szef I Zarządu GRU wiceadmirał Jefremow. Szef 5. Sektora I Zarządu



GRU generał-major artylerii Liaszko".

Gęby nam się śmieją.

- Czytaj dalej. - Dowódca promienieje.

„Wasza operacja stanowi jeden z bardziej udanych masowych werbunków w ciągu ostatnich miesięcy. Gratuluję wam i całemu zespołowi rezydentury poważnych osiągnięć. Zastępca szefa Sztabu Generalnego, szef II Zarządu Głównego generał armii Iwaszutin".

- Szampana!

Korki huknęły salwą. Mieni się, iskrzy złocisty napój. Zroszone butelki. Srebrne wiaderka z lodem. Jak bardzo jestem zmęczony. Jak bardzo chce mi się pić - i spać...

Jeden za drugim, pojedynczo - do Nawigatora. Moja kolej.

- Towarzyszu generale, moje gratulacje. Wiele dobrego ma Japonia, wiele Ameryka, ale my od dziś mamy wszystko.

Uśmiecha się.

- Jeszcze nie wszystko, ale mamy już dojścia do wszystkiego. Dlaczego nie zdecydowałeś się na drugi werbunek?

- Nie wiem, towarzyszu generale, bałem się, że sknocę.

- Słusznie zrobiłeś. Najstraszniejsze w naszej robocie to zbyt duża podejrzliwość i nadmierna zachłanność. Jeden werbunek to też bardzo dużo. Gratuluję.

- Dziękuję, towarzyszu generale.

- Aleksandrze Iwanowiczu...

- Tak jest!

- Czytaj ostatnią.

Pierwszy szyfrant ponownie otwiera swoją teczkę: „Do generała-majora Golicyna. Gratuluję owocnej służby. Szef Sztabu Generalnego generał armii Kulikow".

- Hurraaa! - ryknęliśmy pełną piersią.

Dowódca znów jest poważny. Uroczyście wznosi kielich...

## **XII**

Dokładnie cztery i pół godziny po tym, jak przytuliłem głowę do poduszki, obudził mnie trzeci szyfrant. W sali rekreacyjnej ustawiono osiemnaście łóżek polowych. Niektóre już są puste. Na innych śpią jeszcze moi towarzysze, ci, których czeka dziś druga operacja.

- Wiktorze Andriejewiczu, mam nadzieję, że nie pomyliłem godziny? - Szyfrant zerka na swoją listę.

Patrzę na zegarek i kiwam głową.

Śniadanie podano mi w dużej sali. W powietrzu unosi się jeszcze zapach szampana. Nie mam apetytu. Czuję zawroty głowy. Zmuszam się do wypicia szklanki zimnego soku i zjedzenia plastra bekonu. A szyfrant już w drzwiach:

- Pierwszy Zastępca was oczekuje. Kawę możecie wziąć ze sobą.

Pierwszy Zastępca ma przekrwione, obrzękłe oczy. Pewnie w ogóle nie spał tej nocy.

- Kamizelkę z forsą zapnij na wszystkie guziki. Drzwi w samochodzie muszą być stale zamknięte od wewnątrz.

W razie jakichś nieprzyjemności żądaj widzenia z konsulem. Przez noc twój samochód został wymyty, wyregulowany, zatankowany, podkręcono licznik. Marszrutę i system sygnałów na wypadek przerwania operacji uzgodnisz w grupie kontroli. To wszystko. Życzę powodzenia. Następny!

Wróciłem po dwóch dniach. Nowy agent, teraz już występujący pod kryptonimem 173-W-41-706, przywiózł na spotkanie pełną dokumentację techniczną przyrządu RS-77. Przekazał mi listę oficjalnych osobistości utrzymujących kontakty z jego firmą - ewentualnych kandydatów do werbunku. Była to kartoteka z prawdziwego zdarzenia: krótkie życiorysy, zdjęcia, adresy, a co naj-- ważniejsze - wykaz ich skłonności i słabych stron. Wypłaciłem mu pozostałą część należności, ustaliliśmy datę i miejsce kolejnego spotkania. Dane, które zebrał z własnej inicjatywy będą opłacone następnym razem.

Uzyskane dokumenty pozwoliły nam zaoszczędzić miliony i lata.

### **XIII**

Osiem dni później awansowałem na majora Sztabu Generalnego.

Smutno mi jakoś. A zdawałoby się - taki dzień powinien napawać mnie radością. Gdy dowódca odczytał szyfrówkę, wyrecytowałem: „Ku chwale Związku Radzieckiego!”. A w duchu pomyślałem: postępują ze mną tak samo, jak ja z moim agentem. On dostaje parę setek tysięcy, a ci na górze mają z tego miliony. Ja zdobywam te miliony, i w nagrodę - aluminiowa gwiazdka. Nawet nie mam prawa jej nosić: mundur wisi w szafie z naftaliną.

Smutno mi, nie cieszą mnie szlify i ordery, coś mnie dręczy, choć nie wiem, co. Najważniejsze - nie pokazywać, w jakim jestem stanie. Wystarczy, że ktoś zauważy brak optymizmu w moich oczach, a zostaną podjęte odpowiednie kroki. Nie wiem, jakie, ale zostaną podjęte. Tego chcę uniknąć.

Patrzę w generalskie oczy, promienieję radością i szczęściem.

## Rozdział 10

### I

Kiedy śpię, opatulam się razem z głową, owijam się kołdrą jak kozuchem. To stary nawyk żołnierski, bezwiedny odruch, chęć zachowania ciepła do samego rana. Nie sypiam już w zimnych namiotach, w mokrych ziemiankach, w wilgotnym jesiennym lesie. Ale nawyk został mi na całe życie.

Ostatnimi czasy kołdra wywołuje we mnie lęk. Budząc się nagle w środku nocy, w nieprzeniknionych ciemnościach, ogarnia mnie niepewność: czy nie obudziłem się w trumnie? Ostrożnie dotykam nosem miękkiego ciepłego koca. Nie przypomina trumny. A może to całun?

Tak chyba zaczyna się szaleństwo. A może już od dawna jestem schizofrenikiem? To całkiem możliwe. Być wariatem wcale nie jest tak źle. Nie zdziwię się, jeżeli jutro zawiną mnie w prześcieradła i zawiozą do wariatkowa, nie będę się opierać ani protestować - tam moje miejsce. Oczywiście, że jestem nienormalny. Kto wokół mnie jest normalny?

Jeden wielki dom wiariatów. Kompletny obłęd. Dlaczego Zachód wpuszcza nas do siebie setkami i tysiącami? Przecież jesteśmy szpiegami. Czyż nie jest oczywiste, że skierowano mnie tutaj, aby wyrządzić Zachodowi maksymalną

szkodę? Dlaczego mnie nie aresztują, nie wydalą? Dlaczego ci dziwni, niezrozumiali zachodni ludzie nigdy nie protestują? Skąd w nich ta niewolnicza pokora? Może zwariowali? A może wszyscy jesteśmy szaleńcami? Ja na pewno. Nie bez powodu prześladowe mnie wieko trumny. Zaczęło się to przed półtora rokiem na spotkaniu z Kirem.

Kira znają wszyscy, to wielka figura. Kir Łemzenko miał stałą siedzibę w Rzymie, ale pracował, oczywiście, nie tylko we Włoszech. Kir odnosił sukcesy dosłownie wszędzie, zwłaszcza we Francji. Rzymski dyplomatyczny rezydent GRU, generał-major Kir Łemzenko dysponował nadzwyczajną władzą. I przydomek miał odpowiedni: Papież. Teraz jest już generałem-pułkownikiem, pracuje w Wydziale Organów Administracyjnych KC. Z ramienia partii sprawuje kontrolę nad GRU i KGB.

Półtora roku temu, po tym jak przeszedłem komisję wyjazdową GRU, zostałem wezwany do Kira. Pięciominutowa rozmowa. Przeprowadza taką rozmowę z każdym

oficerem GRU i KGB, oddelegowanym do pionu operacyjnego. Kir wszystkich zatwierdza. W jego rękach spoczywa los każdego oficera GRU i KGB.

Stary Plac. Pomnik grenadierów. Dookoła pełno milicji. Grupki cywilów. Szare płaszcze, ołowiany wzrok. Brama nr 6. - Proszę okazać legitymację partyjną!

- Suworow! - wywołuje chorąży w granatowym mundurze.

- Wiktor Andriejewicz - odzywa się drugi, znajdując moje nazwisko na krótkiej liście.

- Tak jest - mówi pierwszy. - Proszę tedy, Wiktorze Andriejewiczu.

Prowadzi mnie przez korytarz trzeci chorąży. Ten nie ma pojęcia, kim jest Wiktor Andriejewicz Suworow. Wie tylko, że ten Suworow został zaproszony do Komitetu Centralnego na rozmowę. Będą z nim rozmawiać na siódmym piętrze, w pokoju 788.

Oto one - korytarze władzy. Sklepione sufity, pod którymi chadzali Stalin, Chruszczow i dalej chadza Breżniew. Komitet Centralny to prawdziwe miasto. KC to osobne państwo w samym centrum Moskwy. Jak Watykan w Rzymie.

222

1

## **AKWARIUM**

Komitet Centralny jest stale w budowie. Dziesiątki budynków są połączone między sobą, a wszystkie wolne dziedzińce i przejścia zabudowuje się wciąż nowymi szklanymi wieżowcami. Dziwne, ale od strony miasta, od Starego Placu, tych białych gmachów niemal nie widać. To znaczy są widoczne, ale nie rzucają się w oczy. Na Stary Plac wychodzą wielkie okna szarych, przedrewolucyjnych gmachów stojących w jednym ciągu. Od wewnątrz kompleks Komitetu Centralnego jest znacznie mniej ascetyczny i ponury. Przemieszały się tutaj wszystkie style architektury.

- Proszę tedy.

Olśniewająca czystość. Czerwone dywany, klamki z polerowanego brązu. Aż strach ująć taką klamkę, żeby przypadkiem nie pobrudzić. Bezszelestne windy.

- Proszę zaczekać.

Przede mną wielkie okno. Za oknem wąskie uliczki starego miasta, biały gmach hotelu „Rossija”, złote ko-pułki cerkwi, zniszczonych i na nowo odbudowanych dla zagranicznych turystów. Widzę też potężną bryłę Wojskowej Akademii Inżynieryjnej. Za oknem świeci słońce i gołębie gruchają na gzymsach. Na mnie czeka Kir.

- Wejdźcie, bardzo proszę.

Ma przestronny gabinet. Cała jedna ściana ze szkła. Widok na spiętrzone zielone dachy kompleksu KC. Pozostałe ściany są w kolorze jasnoszarym. Podłogę pokrywa miękką,

szara mata ze strzyżonej wełny. Duże biurko, bez jakichkolwiek papierów. Duży sejf. Poza tym pusto.

- Dzień dobry, Wiktorze Andriejewiczu - mówi dobrotliwie.

- Dzień dobry, Kirze Gawriłowiczu.

Nie lubi, żeby go nazywać generałem. A może lubi, tylko tego nie okazuje. W każdym razie jest powiedziane, żeby zwracać się zwyczajnie per „Kirze Gawriłowiczu”, a nie „towarzyszu generale”. Kir - co za dziwne imię? Sądząc po nazwisku jest Ukraińcem, a imię jakieś asyryjskie. Po rewolucji prawowierni marksiści wymyślali swoim dzieciom zupełnie nieprawdopodobne imiona: Władlen - Władimir Lenin, Stalina, Iskra, Kim - *Kommunistyczny Internacjo-nal Maładioży*. A niech to diabli! Kir też jest z tego gatunku - *Kommunistyczny Internacjonal*, Komintern.

- Siadajcie, Wiktorze Andriejewiczu. Jak się macie?

- Dziękuję, Kirze Gawriłowiczu, w porządku.

Jest niewysoki, lekko łysiejący. Twarz *raczej* przeciętna. Zobaczysz na ulicy - nawet się nie obejrzysz. Garnitur nosi najzwyczajniejszy w świecie, szary w prążki. Skrojony, ma się rozumieć, z klasą. Przypomina zwyczajnego człowieka, a to przecież Kir!

Spodziewam się po nim jakichś pompatycznych fraz: „Kierownictwo GRU i Komitet Centralny okazały wam wielkie zaufanie...” Ale nie ma takich fraz o wysuniętych placówkach walki z imperializmem, o powinności radzieckiego wywiadowcy, o zwycięskich ideach. Po prostu długo przygląda się mojej twarzy: uważnie, w milczeniu.

- Wiecie, Wiktorze Andriejewiczu, w GRU i w KGB bardzo rzadko zdarzają się ludzie, którzy uciekają na Zachód. Skinałem głowę.

- Wszyscy są bardzo nieszczęśliwi. To nie frazes. 65% uciekinierów wraca ze skruchą. Rozstrzelujemy ich. Wiedzą o tym, i mimo wszystko wracają. Ci, którzy dobrowolnie nie wracają do Związku Radzieckiego, najczęściej popełniają samobójstwo, spijają się, lądują na samym dnie. Dlaczego?

- *Zdradzili* swoją socjalistyczną ojczyznę. Gryzie ich sumienie. Utracili przyjaciół, rodziny, swój język...

- Nie to jest najważniejsze, Wiktorze Andriejewiczu. Są poważniejsze przyczyny. Tutaj, w Związku Radzieckim, każdy z nas należy do najwyższej klasy. Każdy oficer GRU jest nadczłowiekiem w stosunku do wszystkich pozostałych. Dopóki pozostajesz w naszym systemie, posiadasz kolosalne przywileje. Kiedy jest się młodym i zdrowym, ma się władzę, nie pamięta się o takich sprawach. Docenia się je dopiero wtedy, gdy to wszystko

bezpowrotnie znika. Niektórzy z naszych uciekają na Zachód w pościgu za wspianym samochodem, willą z basenem, pieniędzmi. Ale kiedy zdrajca ma już Mercedesa i własny basen, wtedy nagle spostrzega, że jest jednym z wielu, że wszyscy wokół mają porządne wozy i baseny. Nagle zaczyna czuć się jak mrówka w mrowisku. Raptownie traci poczucie wyższości nad otoczeniem. Nawet jeżeli wrogi wywiad *zaangażuje* naszego zdrajcę, to i tak nie odnajdzie on utraconego

poczucia wyższości, bowiem na Zachodzie służba w wywiadzie nie jest wcale traktowana jako najwyższy honor i powód do dumy. Urzędnik, pluskiewka i tyle.

- Nigdy o tym nie myślałem...

- Myśl o tym. Myśl zawsze. Bogactwo, rzecz względna. Jeżeli śmigasz Lada po Moskwie, przystojne dziewczyny odwracają się za tobą. Jeżeli suniesz po Paryżu wielkim Citroenem, nikt cię nawet nie zauważy. Lejt-nant na Dalekim Wschodzie to cesarz i bóg w jednej osobie, władca życia. Pułkownik w Moskwie to pionek; dookoła są tysiące pułkowników. Zdradzisz, stracisz wszystko. Wtedy dopiero przypominasz sobie, że kiedyś należałeś do potężnej organizacji, byłeś zupełnie niezwykłym człowiekiem, wyniesionym ponad miliony innych. Zdradzisz, poczujesz się szarakiem, niedostrzegalną marnotą, taką, jak wszystko wokół. Kapitalizm daje pieniądze, ale nie daje władzy i honorów. Są też wśród nas chytre gagatki: nie uciekają na Zachód, lecz zostają i po kryjomu sprzedają nasze sekrety. Mają pieniądze kapitalizmu i korzystają z pozycji nadczołowieka, jaką im daje socjalizm. Ale takich bardzo prędko odnajdujemy i likwidujemy.

- Wiem, Pieńkowski.<sup>9</sup>

- Nie tylko. Pieńkowski jest znany na całym świecie. Wielu nie jest znanych. Na przykład Władimir Konstantinow. Wrócił do Moskwy na urlop, a trafił prosto na śledztwo. Niezbite dowody. Wyrok śmierci.

- Został spalony?

- Nie. Prosił, by go nie zabijać.

- I nie zabito go?

- Nie, nie zabito. Tyle że pewnego razu zasnął smacznie w swojej celi, a obudził się w grobie. Głęboko pod ziemią. Prosił, by go nie zabijać, więc go nie zabito. Ale trumnę musiano zakopać. Tak każe instrukcja. No, idź już, Wiktorze Andriejewiczu. Życzę ci powodzenia. I

<sup>9</sup> Oleg Pieńkowski, pułkownik GRU. W latach 1961-62 przekazał na Zachód kluczowe informacje dotyczące radzieckich sekretów politycznych i wojskowych, co między innymi umożliwiło prezydentowi Kennedy'emu zręczną rozgrywkę podczas kubańskiego kryzysu rakietowego. Aresztowany jesienią 1962 r., Pieńkowski został skazany na karę śmierci. Jego aresztowanie spowodowało kataklizm w całej radzieckiej hierarchii wojskowej: dymisję dwóch marszałków, upadek gen. Sierowa, odwołanie do Moskwy 300 oficerów operacyjnych GRU [przyp. tłum. I.

pamiętaj: tu nie KGB, tu próg zdrady jest o wiele niższy. Pilnuj się.

## II

W Monachium śnieżycą. Niebo zaciągnięte fioletem. Ulicami spieszą mieszczuchy, nosy pochowane w futrzanych kołnierzach. Na mieście pełno choinek. Latarnie w śnieżnej zadymce. Oślepiająca biel zakrywa brud i szarość cywilizacji. Wszędzie czysto, znikły brudne plamy nawet na dachu Deutsche Bank. Kiedy pada śnieg, jest cicho i ciepło. Jeżeli nastawić ucha, można usłyszeć szelest spadających białych płatków. Ludzie, posłuchajcie jak pada śnieg! Hej, mieszczuchy, gdzie wam tak spieszo? Zaczekajcie! Nie słychać wycia wiatru ani pisku hamulców. Tylko cisza nad białym miastem.

Miękkie płatki śniegu osiadają na mojej twarzy. Lubię śnieg, nie chowam się przed nim. Czasami śnieg bywa ostry i szorstki, ale nie dziś. Dziś prószy przyjemny, dobry śnieg, więc wystawiam nieosłoniętą twarz.

Z dworca kieruję się na Marienplatz. Nikt mnie nie śledzi, a jednak muszę kluczyć, zacierać trop. Pogoda jak *znalazł*. Major GRU, kryptonim 173-W-41. Zacieram ślady po spotkaniu z agentem 173-W-41-706. Schadzka miała miejsce w Hamburgu, tam też jakiś młody chart z bońskiej dyplomatycznej rezydentury GRU odebrał ode mnie otrzymane dokumenty. Do Monachium przyjechałem wyłącznie dla zmylenia przeciwnika. Uliczkami, zaułkami, coraz dalej w śnieżną kurzawę. Pojawiam się w ludnych lokalach, w nie kończących się labiryntach piwiarni, gdzie niegdyś rodziła się partia Hitlera. To nie piwiarnia. To istne miasto z ulicami i placami. Z nieprzebranymi rzędami stołów. Z tłumami ludzi. To niezawisłe piwne państwo, jak Watykan w Rzymie, jak Komitet Centralny w Moskwie.

Dalej, dalej wzdłuż stołów, za róg, za następny. Odczekać chwilę w ciemnej wnęce. Kto się wyłoni zza za-

krętu? W tej czarnej niszy, na masywnym dębowym zydłu przesiadywał zapewne sam Hermann Göring. Teraz siedzę tu ja z wielkim kuflem piwa. Służbowo. Kto przejdzie koło mojego stołu? Kto mnie tropi? Czy w tym wirze ludzkim, w tym półmroku, w piwnych oparach nie szperają za mną czyjeś rozbiegane oczy? Zdaje się, że spokój. W takim razie z powrotem w wąskie uliczki. W błękitną zamieć.

## III

Do Wiednia zawitał przejazdem towarzysz Szeliępin. Udaje się do Genewy na sesję Międzynarodowej Organizacji Pracy. Towarzysz Szeliępin jest szefem radzieckich związków zawodowych. Towarzysz Szeliępin jest członkiem Politbiura. Towarzysz Szeliępin to gwiazda pierwszej wielkości. Ale nie wschodząca gwiazda. Zachodząca. Był czas, kiedy

towarzysz Szeliępin pełnił (tajnie) funkcję zastępcy przewodniczącego KGB i zarazem (jawnie) wiceprzewodniczącego Międzynarodowej Federacji Młodzieży Demokratycznej. Towarzysz Szeliępin organizował potężne manifestacje w obronie pokoju i przyjaźni między narodami. Miliony głupców szły za towarzyszem Szeliępinem. Skandowali, domagali się pokoju, rozbrojenia i sprawiedliwości. Za to właśnie awansował na zastępcę przewodniczącego KGB. Rządził twardo, srogo. Rządził połową świata, w tym również pacyfistyczną demokratyczną młodzieżą, żądającą pokoju za wszelką cenę. Tyle że mu się noga powinęła i teraz rządzi radzieckimi związkowcami. Dlatego też w ambasadzie wysoki gość nie cieszy się szczególnym szacunkiem. Jedziesz do swojej Genewy, to zasuważ. Byle prędzej. Dla wszystkich jest jakby jasne, że towarzysz Szeliępin sunie w dół.

Cała ambasada wie, że towarzysz Szeliępin (dla swoich: *Żelazny Szurek*) spija się do nieprzytomności. Lider radzieckiego proletariatu klnie jak szewc. Bije sprzętaczkę. Cisnął przez okno ciężką kryształową popielnicę i zniszczył dach limuzyny kubańskiego ambasadora. Sam wie, że przyszła na niego kryśka. Były szef KGB żegna się z władzą. Szaleje.

Zderzyłem się z nim w korytarzu. Ma opuchniętą, pooraną zmarszczkami twarz, zupełnie niepodobną do tej z portretów. Poznałem go zresztą tylko po tym, że był w sztok zalany - nikt nie ośmiela się łązić w takim stanie po ambasadzie - i po obstawie. Komuż innemu mogłoby towarzyszyć pięciu goryli? Obstawa ma kamienne twarze, przepisowo. Do obstawy wybiera się tylko takich, którzy nie nauczyli się jeszcze śmiać. Ważniaki. Wsiowe chłopaki na szczytach władzy. Nie rozumieją, rzecz jasna, że gdy spadanie się zacznie, nic go już nie powstrzyma. Szefa goryli poznają po lekkim grymasie. Mnie ten grymas nie zmyli: główny goryl nie chroni towarzysza Szeliępina przed wrogami ludu. Pilnuje, by towarzysz Szeliępin - wódz najbardziej uświadomionej klasy rewolucyjnej - nie dał drapak. Gdyby towarzysz Szeliępin rzucił się do ucieczki, szef ochrony sięgnie po pistolet. I w potylicę! Daleko nie ucieknie. Towarzysz Szeliępin - zachodząca gwiazda pierwszej wielkości - wie dobrze, że naczelnik ochrony nie jest obstawą, lecz konwojentem, że został odpowiednio poinstruowany. I ja to wiem.

Ach, żebym to ja miał taką instrukcję!

#### **IV**

Dezinformacja!

Nawigator ma srogą minę. W rękę trzyma szyfrówkę. Nasz przyjaciel nr 706 zaczął produkować dezinformacje. Analiza dostarczanych przezeń dokumentów nie pozwala wykryć



próby oszukania GRU, ale każdy dokument, każde urządzenie, każdy model broni jest kupowany przez Akwarium w kilku egzemplarzach i w różnych częściach świata. Informacje dotyczące systemu obniżania szumów w reduktorach atomowych okrętów podwodnych klasy George Washington zdobył dyplomatyczny rezydent GRU w Urugwaju, natomiast kompletnej dokumentacji technicznej o tych okrętach dostarczyła belgijska nielegalna agentura GRU. Zestawia się wszystkie analogiczne fragmenty informacji. Jest to normalna procedura, dotyczy dosłownie każdej uzyskanej wiadomości, każdego dokumentu. Spróbuj coś dorzucić od siebie, coś ukryć - Służba

Informacji w lot cię nakryje. To właśnie przytrafiło się obecnie mojemu koleżce z targów nr 173-W-41-706.

Dotychczas wszystko grało. Teraz okazało się, że w ostatnim otrzymanym od niego dokumencie brakuje trzech stron. Są to ważne strony, a usunięto je tak zręcznie, że nie sposób zorientować się, iż kiedykolwiek istniały. Dopiero porównanie z analogicznym dokumentem, zdobytym w Algierze, a może w Irlandii, pozwala stwierdzić, że ktoś umyślnie stara się wyprowadzić nas w pole. Fałszerstwo wykonane po mistrzowsku. Fachowa robota. Wniosek oczywisty: Siedemset Szósty jest kontrolowany. Sam się zgłosił na policję czy też wpadł przez nieuwagę -to nie gra roli. Najważniejsze, że mają go w ręku.

- Czy mam zlikwidować Siedemset Szóstego? Nawigator zerwał się na równe nogi:

- Ocknij się, majorze! Co za brednie! Kryminałów się naczytałeś?! Jeżeli ty zdradzisz, zabijemy, bo to nauczka dla pozostałych. Ale co z tego, że sprzątniemy powszechnie szanowanego burżuja, właściciela firmy? Dla kogo ma to być nauczka? Kazałbym go wykończyć, gdyby stwarzał jakieś zagrożenie, ale przecież nie ma o nas zielonego pojęcia. Nie wie nawet, dla kogo pracował: dla KGB, czy GRU? Zna tylko jeden sekret: że Wiktor Suwo-row jest szpiegiem. Ale o tym wiedzą wszyscy. Zabić, to spora pokusa. Niejeden wywiad się na nią nabiera. Dają się wciągnąć w tajną wojnę i zapominają o swoim podstawowym obowiązku: o zdobywaniu tajnych informacji. A my potrzebujemy tajemnic, jak zdrowy mężczyzna potrzebuje kobiety. Zapamiętaj, majorze: tylko słaby, głupi, chwiejny mężczyzna morduje i gwałci. Tak właśnie przedstawiają nas bulwarowe gazetki i tandetne kryminały: jako słabych i głupich. Mądry, silny, pewny siebie wywiad nie ugania się za agenturą, jak za kobietami. Mądry mężczyzna ma kobiet w bród, same na niego lecą. Mężczyzna, który ma setki kobiet nie mści się na jednej, choćby go zdradziła. Po prostu nie ma na to czasu, musi się zajmować pozostałymi. Nota *bene*, masz coś w rezerwie?

- Macie na myśli nowych „przyjaciół”?

- Wyłącznie to mam na myśli - rozzłościł się nagle.

Nawigator, ma się rozumieć, dobrze wie, że oprócz Siedemset Szóstego nie mam żadnych „przyjaciół”; nic się też nie zapowiada na najbliższą przyszłość. Pyta, żeby wytknąć mi nieudolność.

- Nie, towarzyszu generale, nie mam niczego w zapasie.

- Do ubezpieczania!

- Rozkaz, do ubezpieczania!

V

Odbyłem jeszcze jedno spotkanie z Siedemset Szóstym. To prawda, jest manipulowany, ale wcale nie musi wiedzieć, że GRU rozgryzło jego grę.

Spotkanie przebiegło jak zwykle. Zapłaciłem, powiedziałem, że tymczasem nie potrzebujemy jego materiałów, że spotkamy się za rok. Być może będziemy mieć nowe zamówienie. W ciągu roku pod byle pretekstem zostanie odstawiony do lamusa. Do „uśpionej” siatki. Czekaj na sygnał. Na tym przerywamy wszelkie kontakty: czekaj, aż zgłosi się do ciebie szczególnie ważny agent! Niech poczeka nasz koleżka, wraz z nim policja. Nie doczekają się. Takie posunięcie nosi nazwę „odcięcia pod pozorem konserwacji”. Otrzymaliśmy od niego niezbędne urządzenia. Zaoszczędziliśmy miliony. Jego materiały - wówczas w najlepszym gatunku - były też wykorzystywane do sprawdzania kogoś innego. Teraz żegnaj. Proszę czekać na umówiony sygnał, na szczególnie ważne spotkanie.

Z Siedemset Szóstym sprawa załatwiona, żadnych komplikacji. Ale co mam teraz robić? Znowu zaczęło się pieskie życie. Znowu smętny los charta. Znowu beznadziejna robota w ubezpieczeniu. A czegoż się, Wiktorze Andriejewiczu, spodziewacie? Nie umiecie pracować samodzielnie - popracujecie dla innych.

VI

Znowu więc podlegam bezpośrednio Pierwszemu Zastępcy i nie mam prawa spotkać osobiście Nawigatora. Nie ma czasu dla takich jak ja. To prawda, że niektórzy zdolni wikingowie także pracują w ubezpieczeniu, ale tylko pod-

czas masowych akcji werbunkowych, kiedy cała rezyden-tura wyrusza w teren na określone operacje, których sens pozostaje dla nas tajemnicą. Oprócz tego biorę udział w ubezpieczeniu akcji nielegalnych rezydentur GRU. To zupełnie coś innego. Ubezpieczenie „nielegalnych” uchodzi za zaszczyt. My, charty, bardzo rzadko go dostępujemy. Na nasze barki spada wyłącznie ciężka i niewdzięczna robota: ogromne ryzyko, masa straconego czasu

- i żadnych honorów. Zwyczajne ubezpieczenie agenturalne w ogóle się nie liczy, jak praca maszynistki u wielkiego pisarza: ani pieniędzy, ani sławy, za to spróbuj się pomylić!

Taka właśnie robota przypadła mi dziś w udziale. Jadę w góry na piknik. Pora roku zupełnie nieodpowiednia, pogoda fatalna. Muszę jednak znaleźć się w górach. Jeśliby nas śledzono, aresztowano, wydalano - wymyśliłbym coś bardziej wiarygodnego. Nie warto jednak silić się na oryginalność, bo Anglicy dokuczają nam bardzo rzadko, Amerykanie prawie nigdy, a w pozostałych krajach stosunek do nas - szpiegów - jest niemal życzliwy. Piknik wystarczy aż nadto. Kogo obchodzi, że radziecki dyplomata wyrusza samotnie na piknik w godzinach pracy?

W bagażniku wiozę ręczny granatnik przeciwpancerny RPG-7 i pięć granatów. Całość starannie zawinięta. Wszystko razem mam umieścić w skrytce. Granatnik waży 6 kg. Każdy granat - 2.200 g. Do tego dochodzi waga samego opakowania. Łącznie ponad 20 kg w jednym szarym opakowaniu. Dla kogo przeznaczony jest granatnik? Nie mam pojęcia. Jadę zakopać go w górach, w skrytce, za którą łaziłem sześć dni. Ktoś komuś kiedyś przekaze szczegółowy plan i oznakowanie, wskazujące miejsce kryjówki. Adresat zawsze dostaje opis skrytki dopiero po tym, jak materiał został w niej umieszczony, nawet gdyby chciał nas zdradzić, nie zdoła tego uczynić. Otrzyma opis i pospieszy w umówione miejsce, ale mnie już tam nie zastanie. Ani ja sam, ani moja dyplomatyczna rezydentura, ani radziecki wywiad wojskowy, ani cały Związek Radziecki - nie mamy z tym nic wspólnego. Leżał granatnik w ziemi i tyle. Był tu chyba od zawsze, był tu od początku świata. Że radzieckiej produkcji? A może Amerykanie zdobyli go w Wietnamie i chowają teraz w Alpach?

Komu potrzebny jest ten granatnik? Nie mam zielonego pojęcia. Jedno pewne: nie jest to rezerwa na wypadek wojny. Do długotrwałego przechowywania stosuje się ciężkie kontenery, a ten ma całkiem lekkie opakowanie. To znaczy, że w najbliższych dniach ktoś go stąd zabierze. Niewykluczone, że niebawem zostanie użyty. W przeciwnym razie musiałby dłużej czas u kogoś leżeć, a to zawsze niebezpieczne. Jasny gwint, przecież ja w tej chwili tworzę Historię! Może mój granatnik odwróci bieg dziejów ludzkości? RPG-7 to potężna broń, lekka i prosta w obsłudze. Wszyscy zachodni przywódcy pochowali się za pancernymi szybami. A jeżeli rąbnąć w was, panowie, granatem PG-7W? Nie ostatnie się żadna kulooodporna limuzyna. Ależ będzie wrzasku. Ciekawe, kogo też upatrzyło sobie Akwarium? Dla kogo przeznaczyło te pięć granatów? Dla głowy państwa? Generała? Papieża? A przecież można rąbnąć nie tylko w samochód. Obrońca środowiska naturalnego może na znak protestu palnąć w cysternę z gazem trującym albo w reaktor atomowy. Obrońca pokoju może zacząć

się na konwój z amerykańskimi głowicami bojowymi - i spokojnie nacisnąć spust. Szum się zrobi na cały świat. Do eksplozji jądrowej oczywiście nie dojdzie, ale prasa podniesie taki rwetes, że Zachód nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko się rozbroić.

Krażę po skrzyżowaniach, zwalniam, znów przyspieszam, wyskakuję na autostrady, zawracam na wyboiste polne drogi. Kto mnie śledzi? Chyba nikt. Komu jestem potrzebny? Nikomu. Jestem sam, na wąskiej leśnej drodze. Nad głową szumi las. Zostawiam wóz na poboczu. Turyści też tu nieraz parkują.

Siedzę w zaroślach i z pagórka obserwuję własny samochód. Nie miałem ogona, to pewne. Możliwe jednak, że policja zamontowała w wozie „pluskwę”, która sygnalizuje im moją pozycję. Może nie śledzili mnie jak zwykle, może trzymali się na dystans? Gdyby tak było, wkrótce ktoś powinien zjawić się w pobliżu. Naokoło las i góry, więc mogą nadjechać tylko z jednej strony. Pokręca się chwilę przy samochodzie, zastanawiając się, w jakim poszedłem kierunku. Wówczas wezmę mój drogocenny pakunek, *zatoczą* wielkie koło, i gdy już nikogo

tu nie będzie, wrócę do punktu wyjścia. Wsiądę do samochodu, pozamykam drzwi od wewnątrz i będę krążyć po górach i lasach. Następnie wrócę do ambasady i jutro powtórzę wszystko od początku.

Spoglądam ponownie na zegarek: minęło trzydzieści minut. Na drodze nadal pusto. Pakunek z granatnikiem można było na dobrą sprawę zostawić w bagażniku i teraz, wiedząc, że nikt mnie nie śledzi, wrócić po ładunek i ruszyć w góry. Ale to nie nasza technika.

Jeszcze chwilę zostaję w krzakach, wsłuchując się w leśne szmery. Żywego ducha. Wkładam gumiaki, czapkę z dobrotliwym brytyjskim lwem, plecak: klasyczny turysta. W rękę cygaro. Nie palę, ma się rozumieć: od lat obowiązuje mnie zakaz palenia. Niemniej jednak zawsze mam ze sobą duże, aromatyczne cygaro. Teraz odłamuję koniuszek, rozcieram tytoń w dłoniach, rozsypuję wokół. To moje pozdrowienia dla piesków. Długo przedzieram się przez zarośla, wychodzę nad strumień i brnę pod prąd. Teraz nikt mnie nie śledzi. A jeżeli zwałą się tutaj za kilka godzin z psami, z helikopterami?

Szkoda, że granatnik tak bardzo rzuca się w oczy. Ktokolwiek zauważy, że z plecaka sterczy mi taki dziwaczny pakiet omotany nieprzemakalnym płótnem od razu pojmie, że jestem chłopcem na posyłki GRU, że pracuję w niewdzięcznym ubezpieczeniu za karę za to, że nie potrafię samodzielnie znaleźć dojsć do tajnych informacji.

Czeka mnie długa droga. Piechotą, cały czas na nogach, strumieniem pod górę, jak za dawnych dobrych lat w Specnazie. Rewolucyjne oddziały bojowników o wolność / potrzebują

broni, aby zrzucić jarzmo kapitalizmu. Może na ten granatnik czekają włoskie albo niemieckie zuchy, by raz jeszcze przypieprzyć kapitalistycznej zgniliznie? - Długi marsz to świetna okazja, by poćwiczyć szare komórki. Cóż mam wymyślić, by wrócić do samodzielnej pracy? Może skreślić raport do szefa 5. Sektora I Zarządu proponując coś oryginalnego? Niech na przykład chłopcy w RFN albo we Włoszech porwą prezydenta, albo ministra obrony. To by im dobrze zrobiło, odświeżyłoby rewolucyjne idee, podniosłoby rewolucyjną świadomość

232

mas. Porwanego niech postawią przed rewolucyjnym trybunałem. Niech go stracą. Przed wykonaniem wyroku moglibyśmy pogadać z nim na osobności: pilnikiem po zębach - wysypiewaj, bydlaku, wszystkie sekrety!

Brnę w wodzie, śmiejąc się z własnych fantazji. Oczywiście, nie zamierzam niczego takiego zaproponować. Dawanie rad jest bardzo niewdzięcznym zajęciem. Nikt nigdy nie wspomni inicjatora. Nagradza się nie pomysł, a wykonanie. Idea jest na tyle prosta, że znajdują się inni równie mądrzy. Muszę wymyślić coś takiego, żebym sam był inicjatorem i wykonawcą. Zanim przedstawię dowódcy własny projekt, muszę opracować tysiące szczegółów, muszę być obkuty pod każdym względem, żeby nie dało się zepchnąć mnie na bok, zlecając przeprowadzenie operacji bardziej doświadczonym wikingom.

Czysty górski potok pluszcze pod moimi stopami. Czasem wychodzę na brzeg, omijam siklawy. Wtedy odłamuję kawałeczek cygara, kruszę w palcach i rozsypuję po ziemi. Skaczę z kamienia na kamień, nie zostawiać śladów.

Jestem na miejscu. Kryjówkę wybrałem sam; zaakceptował ją Pierwszy Zastępca, zatwierdził szef I Zarządu GRU. To nie żadna jaskinia ani tajna piwniczka. Skrytka to miejsce, które bez trudu odszuka osoba wtajemniczona, i którego za nic nie powinien znaleźć człowiek postronny. Skrytka to miejsce, gdzie nasz towar nie może zostać przypadkowo odkryty.

Moja kryjówka spełnia te wymagania pod każdym względem. Znajduje się z dala od ludzi, w górach, w rozpadlinie. Strzegą jej nieprzebyte chaszcze kolczastych krzaków. Turyci tu nie chodzą, nie bawią się ciekawskie dzieci, budowy tu też nie będzie. Mojej skrytce nie grożą tąpnięcia ani powodzie. A znaleźć ją jest bardzo prosto. Jeżeli wiesz, jak. Oto linia wysokiego napięcia, rozciągająca na potężnych metalowych słupach. Od słupa nr 042 należy iść w stronę słupa nr 041, po czym w miejscu, gdzie przewody zwisają najniżej - skrócić w

lewo. Teraz trzeba oddalić się trzydzieści metrów w kierunku prostopadłym od kabli. Kolce kłują w twarz? To nic. W krzakach sterta głazów, obok ślady dawnego ogniska. Stąd dziesięć kroków na prawo. Wciskam się w skalną szczelinę. Oto kupa kamieni. To jest

właśnie skrytka. Niezbyt sympatyczne miejsce. Wilgoć, półmrok, kolczaste zarośla. Ostatnim razem nawrzucałem do rozpadliny najróżniejszych śmieci, co tylko znalazłem w pobliżu: zardzewiałą puszkę, butelkę, jakieś druty. Żeby nikomu nie wpadło do głowy rozłożyć się tu na piknik.

Jeszcze raz omiatam wszystko uważnym spojrzeniem. Od poprzedniej wizyty nie zmieniło się dokładnie nic. Puszka po konserwach leży w tym samym miejscu. Długo wsłuchuję się w szum wiatru na szczytach gór. Żywej duszy. *Zrzucam* na ziemię plecak: nieźle dał mi w kość na tym podejściu. Proponowałem dowódcy, by zakopać granatnik, ale polecił tylko przywalić go kamieniami, wybierając co cięższe. Proponowałem też, żeby dostarczyć na miejsce jakiegoś bezdomnego kota i złożyć go tu w ofierze interesom światowego proletariatu. Jego szczątki odpędziłyby wszystkich myśliwych, turystów, zakochane pary szukające zacisznych kąciaków. Tej propozycji również nie zatwierdzono. Pierwszy Zastępca rozkazał mi użyć płynu ZRG wariant 4. Niewielka buteleczka, ale woń trzyma się długo. ZRG wariant 4, to smród spalonej gumy, zostanie tu na wiele tygodni, odstręczając nieproszonych gości i gwarantując samotność odbiorcom mojej przesyłki. Cóż, życzę wam powodzenia, nieustraszeni bojownicy o wolność i sprawiedliwość. Wsłuchuję się w świst wiatru i jak czujny zwierz przemykam wśród skał.

## VII

Europę Zachodnią znam już nieźle. Mógłbym pracować jako przewodnik turystyczny w Amsterdamie albo Hamburgu: proszę wycieczki na lewo, proszę wycieczki na prawo. Wiedeń też znam dobrze, choć nie tak, jak Zurych. To zrozumiałe: Cygan nie kradnie tam, gdzie mieszka. Jasne, że moi koledzy z Rzymu, Bonn, Paryża, Genewy znają Wiedeń lepiej ode mnie. Oni pracują tu, a ja jadę na „gościnne występy” w ich strony. Wszyscy stosujemy tę samą taktykę: nie należy zadzierać z miejscowymi władzami, skoro można przeprowadzić operację gdzieś bardzo daleko.

Dziś pracuję w Bazylei. Nie pracuję samodzielnie: ubezpieczam. Bazylea to styk Francji, Szwajcarii i RFN. Bardzo

wygodne, wyjątkowe miejsce. Skrzyżowanie. Byłeś - zniknąłeś. Łatwo tutaj zniknąć, bardzo łatwo.

Siedzę w niewielkiej knajpce, naprzeciw dworca. W ogóle trudno orzec czy to restauracja, czy piwiarnia. Sala przedzielona na dwie części. Z jednej strony mała restauracyjka, czerwone obrusy na stołach. Z drugiej strony piwiarnia. Dębowe stoły bez obrusów. Tu właśnie siedzę. Sam. Na ciemnym drzewie wyżłobiony wzorek i data: „1932”. To znaczy, że ten stół pojawił się tu jeszcze przed Hitlerem. Dobrze być Szwajcarem. Sąsiednią ulicą biegnie granica z Niemcami. Wojny nigdy nie było.

Sympatyczna, niewysoka panienska stawia przede mną na tekturowej podstawce kufel piwa. Skąd ta piersiasta ma wiedzieć, że siedzę na bojowym posterunku? Że sekundy biją w mojej głowie, że siedzę tutaj właśnie, ponieważ mogę widzieć duży dworcowy zegar? Skąd ma wiedzieć, że jego wskazówki bacznie śledzi jeszcze ktoś inny, ktoś, kogo nigdy nie znałem i nigdy nie poznam? Skąd ma wiedzieć, że koniuszki palców mam już nasmarowane kremem MPP, dzięki czemu nie zostawiają odcisków? Skąd ma wiedzieć, że w mojej kieszeni leży zwyczajna porcelanowa rączka, taka, jakie wiszą w toaletach na łańcuszku? Tę rączkę wykonano w Instytucie Kamuflażu GRU. Wewnątrz mieści się pojemnik. Może zawierać opis skrytki, pieniądze, złoto, diabli wiedzą co. Nie wiem, co jest w środku. Wiem tylko, że za siedem minut wyjdę do toalety i w przedostatniej kabynie zdejmę rączkę z łańcuszka, schowam do kieszeni, a na jej miejsce powieszę tę, którą mam ze sobą. Ktoś inny, kto właśnie w tej chwili patrzy na dworcowy zegar, wejdzie po mnie do tej samej kabiny, zdejmie rączkę z pojemnikiem, a na jej miejsce zawiesi zwyczajną. On zapewne też ścisną ją w kieszeni palcami wysmarowanymi kremem MPP. Wszystkie trzy rączki są identyczne. Nie odróżnisz. Nie na darmo trzyma się Instytut Kamuflażu.

Strzałka na zegarze drgnęła. Jeszcze sześć minut. Tuż koło dworca znajduje się wielka budowa. Może poszerzają hale dworcowe, może budują hotel. Spod rusztowania wylania się zgrabna konstrukcja, jakby wieży. Ściany z brązowego metalu, okna też ciemne, prawie brunatne. Wysoko w niebie - robotnicy w pomarańczowych kaskach. Go-

łobie na gzymsach. Jeden z gołębi powoli i w skupieniu zabija swojego towarzysza. Dziobem w łepkę: bęc, bęc. Chwilę odczeka. I znów dziobem. Gołąb to obrzydliwe ptaszysko. Ani jastrząb, ani wilk, ani krokodyl nie zabijają dla zabawy. Gołębie zabijają swoich współbraci wyłącznie dla rozrywki. Zabijają powolutku, rozkładają przyjemność.

Żeby tak miał w ręku karabin Kałasznikowa! Przerzuciłbym bezpiecznik na ogień ciągły, zarepetowałbym jednym ruchem dłoni - i straszliwy huk targnąłby dworcowym placem pogrążonej w półśnie Bazylei. Pociągnąłbym długą serią w gołębia-zabójcę. Rozłupałbym go ołowiem, zamieniłbym w strzęp pierza i krwi. Ale nie mam przy sobie

karabinu. Nie jestem w Specnazie, lecz w agenturalnym zdobywaniu informacji. Szkoda. Przecież zabiłbym naprawdę, nie przyszłoby mi na myśl, że ratując słabego gołębia przed powolną śmiercią, ratuję zarazem zabójcę. Wszystkie one mają tę samą gołębią naturę. Dojdzie do siebie, oprzytomnieje, wyszuka obok słabszego - i łup! Dziobem w łeb! Gołąb to odrażający ptak. A przecież są ludzie, którzy tego bezwzględnego mordercę mają za symbol pokoju.

Słaby gołąb na gzymsie rozrzucił skrzydła. Główka mu zwisa. Silny gołąb cały zebrał się w sobie. Dobija. Cios. Jeszcze jeden. Wali z całych sił. Czubek dzioba ma czerwony od krwi. Rób swoje, na mnie czas. Do toalety. Na ściśle tajną operację.

### VIII

Staram się nie tracić czasu. Gdy ubezpieczam kogoś w RFN, rozmyślam, jakby tu samemu rozgryźć niemieckie tajemnice. Jeżeli jestem we Włoszech, analizuję możliwe dojścia do włoskich sekretnych planów. We Włoszech można też zwerbować Amerykanina, Chińczyka lub Austriaka. Szukam takich, którzy mają dostęp do informacji wagi państwowej.

Wróciłem właśnie z Bazylei i składani Nawigatorowi raport z przebiegu operacji. Zazwyczaj melduję się u Pierwszego Zastępcy, ale dziś przyjął mnie sam szef. Pewnie była to bardzo ważna akcja. Korzystając z oka-

zji, przedstawiani Nawigatorowi moje propozycje, jak wejść w posiadanie ściśle tajnych dokumentów dotyczących systemu Floryda. Floryda to system obrony powietrznej Szwajcarii. Sam w sobie jest tylko małą cegiełką, ale z takich cegiełek zbudowany jest system obrony powietrznej USA. Jeżeli uda się nawiązać znajomość ze szwajcarskim sierżantem, amerykański system ukaże się nam w nowym świetle...

Nawigator utkwiał we mnie ciężkie spojrzenie. W oczach ołów, nic więcej. Spojrzenie byka, sycącego wzrok widokiem młodziutkiego toreadora, nim weźmie go na swe potężne rogi. Od tego wzroku mąci mi się w głowie. Zdołałem już zebrać nazwiska i adresy oficerów z punktu dowodzenia obrony powietrznej Szwajcarii, wiem też, jak nawiązać kontakt z sierżantem, ale od tego morderczego spojrzenia gubię wątek i zapominam całą logiczną konstrukcję moich wywodów:

- Postaram się to zrobić... Milczy.

- Przygotuję szczegółowy raport... Milczy.

Wciąga w nozdrza metr sześcienny powietrza, wyrzuca z siebie:

- Do ubezpieczania!

Ubezpieczanie jest dla wywiadowcy tym, czym miód dla muchy. Niby bez ryzyka,



słodko, a wydostać się nie można. Skrzydełka zlepione - zdechniesz w tej słodczy. Tylko ten będzie prawdziwym wikingiem, kto potrafi się wyrwać z pułapki. Na przykład Żenia-konsul. Wylądowaliśmy w Wiedniu w tym samym czasie. Dostaliśmy po trzy miesiące na rozpoznanie miasta: mamy być lepsi od wiedeńskiej policji. Po upływie tego okresu - egzamin. Co się znajduje na Luegerplatz? Dziesięć sekund na zastanowienie. Nazwy sklepików, hoteli, restauracji, przystanki autobusowe, jakie konkretnie - wszystko po kolei. Szybciej! A może w ogóle nie ma tam ani jednego hotelu? Szybciej, szybciej! Znać miasto lepiej niż tutejsza policja! Jakie ulice przecinają Taborstrasse? Szybciej! Ile przystanków? Ile skrzynek pocztowych? Gdyby jechać w kierunku... co będzie po lewej? Co? Co? Jak? Jak? Jak?

Zdaliśmy egzaminy za drugim podejściem. Nie zdasz za trzecim - cofną do Związku. Zaraz po egzaminach rzucono mnie do ubezpieczania, a Żenię nie. *Łącząc* po mieście poznał jakiegoś machera, handlującego paszportami: podrabianymi, czystymi blankietami albo zwyczajnie skradzionymi turystom. Była to spora gratka dla 1. Wydziału, który hurtem skupuje wszelkie dyplomy, prawa jazdy, książeczki wojskowe. Nikt ich ponownie nie używa, służą tylko za wzorce, niezbędne do produkcji własnych fałszywek. Wszystkie te papiery nie uchodzą, rzecz jasna, za rzecz wielkiej wagi, a ich zdobywanie za najwyższą klasę pracy agenturalnej. Tyle że mnie skierowano do ubezpieczania, a Żenię nie: niech załatwia te zakichane paszporty. Póki kręcił się wokół paszportów, miał też sporo czasu na inne *rzeczy*, nie zmarnował okazji. Tu kogoś poznał, tam z kimś pogadał. Wtedy też skierowano mnie do ubezpieczania jego operacji, do osłaniania mu ogona. Po jego kolejnych spotkaniach odbierałem od niego jakieś teczki i woziłem do ambasady. Jeżeli kogoś aresztują przy wejściu do budynku, to mnie, a nie Giennadija Michajłowicza. On ma ręce czyste. Z czasem wciągnął się w jakieś poważniejsze sprawy. Idzie na operację, a pięciu albo i siedmiu chartów ubezpiecza go. Po roku awansował przedterminowo na podpułkownika. Tylko dwa lata chodził w stopniu majora.

Nie jestem zawistny. Niech ci się, Żenią, wiedzie jak najlepiej. Powodzenia! Ja też, staruszkę, zostanę niebawem wikingiem.

Ósma wieczór. Spieszę do domu. Cztery godziny snu, a potem w teren, na ubezpieczanie.

...Nawigator uśmiecha się do mnie, po raz pierwszy od wielu miesięcy.

- Nareszcie! Zawsze wiedziałem, że potrafisz znaleźć samodzielnie drogę. Jak go poznałeś?

- Przypadkiem. Pracowałem w ubezpieczeniu, w Inns-brucku. W drodze powrotnej postanowiłem poszukać skrytki, tak, na wszelki wypadek. Zatrzymałem się przy szosie, znalazłem odpowiednie miejsce, chcę już wracać...

nic z tego. Tylne koła buksują na mokrym poboczu. Z tyłu skarpa, więc sam za nic nie ruszę. Stoję przy drodze, macham, wszyscy pędzą przed siebie. W pewnej chwili zatrzymuje się Fiat. Kierowca jest sam. Pomógł mi popchnąć samochód, wydostałem się z błota, ale za ostro przygazowałem i ochlapałem go od stóp do głów. Przeprosiłem, chciałem dać mu butelkę whisky, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie. „Proszę mi wybaczyć, powiadam, może wejdziemy do restauracji. Wyczyści pan ubranie, przekąsimy. Stawiam kolację.”

- Zgodził się?

- Tak.

- Pytał, kim jesteś?

- Nie, zapytał tylko, gdzie mieszkam. Powiedziałem, że w Wiedniu, co dziś jest zgodne z prawdą.

- Miałeś dyplomatyczną rejestrację?

- Nie. Pracowałem w ubezpieczeniu. Cudzym wozem.

Nawigator obraca w palcach wizytówkę. Nie może się nacieszyć. „Otto Yelara. Inżynier”. Rzadko kiedy generał GRU ma w ręku taki skarb. Otto Yelara! Istna złota żyła. Nie wszyscy doceniają Włochy jako ojczyznę genialnych myślicieli, ale z pewnością nie należy do nich GRU. GRU wie, że Włosi mają głowy do genialnych wynalazków. Mało kto dziś pamięta, że przed wojną Włochy wzniosły się na niesłychany poziom technologicznego rozwoju. Walczyli niespecjalnie i to właśnie przyćmiło włoskie osiągnięcia w dziedzinie techniki militarnej. Ale ich zdobycze, zwłaszcza w zakresie lotnictwa, okrętów podwodnych, szybkich kutrów torpedowych były doprawdy zdumiewające. Pułkownik GRU Lew Maniewicz przed wojną przerzucił do ZSRR całe tony dokumentacji technicznych najwyższej wagi. Włochy - zapoznany geniusz wojenno-morskiej technologii! GRU wie o tym doskonale. Otto Yelara! Inżynier!

- Myślisz, że nie jest podstawiony? - Nawigator sam nie wierzy w podobną możliwość, ale jest zobowiązany zadać to pytanie.

- Wykluczone! - zapewniam żarliwie. - Sprawdzaliśmy go. Grupka kontroli radiowej też nie zauważyła niczego podejrzanego.

- Nie gorączkuj się. W takich sprawach trzeba zachować zimną krew. Jeżeli nie jest

podstawiony, to trzeba przyznać, że ci się poszczęściło.

Tyle to wiem i bez niego.

- No dobra - mówi Nawigator. - Na wszelki wypadek przygotuj natychmiast kwestionariusz. Zdasz na jutro?

- Nocą pracuję w ubezpieczeniu.

Skrzywił się. Potem zdjął słuchawkę telefoniczną i nie wykręcając żadnego numeru mówi:

- Wpadnij.

Wchodzi Pierwszy Zastępca.

- Trzeba by na jutro znaleźć zastępstwo dla Wiktora Andriej ewicza.

- Nie mam nikogo, towarzyszu generale.

- Zastanów się.

- Chyba że Giennadija Michajłowicza?

- Konsula?

- Tak.

- Dawaj go do ubezpieczenia. Niech pobiega trochę z chartami, bo coś ostatnio *zadziera* nosa. Wiktora Andriejewicza zwolnisz ze wszystkich operacji w terenie. Kroi mu się bardzo ciekawy wariant.

IX

Po dwóch dniach nadeszła szyfrówka z odpowiedzią. Nawigator nie ma najmniejszej chęci rozstawać się z Otto Velarą, z firmą budującą zdumiewająco szybkie i potężne okręty wojenne. Nawigator nie ma ochoty czytać mi otrzymanej depechy. Po prostu przekazuje odpowiedź Akwarium: „Nie”. Szyfrówka nie podaje powodów. W każdym razie krótka i zdecydowana odmowa oznacza, że mój znajomy figuruje w centralnym komputerze GRU. Gdyby nic nie było o nim wiadomo, odpowiedź byłaby pozytywna: „Spróbujcie”. Szkoda. Szkoda tracić takiego ciekawego gościa. A Dowódca pewnie użala się nade mną, może po raz pierwszy. Widzi, że za wszelką cenę chcę zostać wreszcie wikingiem. Nie ma wcale ochoty ponownie wciskać mnie między charty. Milczy. Wiem doskonale, że tam właśnie najbardziej brakuje ludzi.

- Towarzyszu generale, jutro pracuję w ubezpieczeniu. Czy mogę się odmeldować?

- Idź. - I nagły śmiech. - Wiesz, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

- W moim przypadku jest raczej na odwrót.

- Właśnie że nie. Zabronili ci dalszych spotkań, to źle. Tyle że skarbnica naszych

doświadczeń wzbogaciła się o jeszcze jedno ziarenko.

- ??

- Wpadłeś w tarapaty i tylko dzięki temu zawarłeś znajomość z ciekawym człowiekiem. W naszym fachu najtrudniejszy jest pierwszy moment, nawiązanie kontaktu. Jak podejść do faceta? Jak *zagaić* rozmowę? Jak utrwalić znajomość? Na przyszłość gdy tylko znajdziesz interesującego dla nas człowieka, ładuj się samochodem w jego pojazd. W ten sposób pierwszy kontakt masz załatwiony. Weź od niego adres. Przepróż, zaprosz na kieli-cha. Czym się pan interesuje? Monety? Znaczkę? Mam jeden ciekawy egzemplarz...

- Towarzyszu generale, zgadzacie się płacić za rozbite samochody? - pytam rozbawiony.

- *Zgadzam* się - odpowiada z poważną miną.

## Rozdział 11

### I

Czuje, jak z każdym dniem coraz bardziej grzęznę w bagnie drugorzędnej agenturalnej harówki, zapadam się, tracę wszelką swobodę ruchu. Już się nie wyrwę.

Murarz na budowie potrzebuje do pracy trzech pomocników: jeden miesza zaprawę, drugi podaje cegły, trzeci w miarę potrzeby rozłupuje je na połówki. W agenturalnym zdobywaniu informacji trzeba znacznie więcej pomocników, a nikomu nie chce się mieszać zaprawy, każdy pragnie od początku być murarzem. Mistrzem możesz zostać dopiero, gdy wykazesz się, że sam jesteś niegorszy od innych mistrzów, a może nawet lepszy. A jak to zrobić, skoro ubezpieczenie pochłania cały czas, noce, niedziele, święta?

Towarzysz Nikołaj Wiktorowicz Podgórny, radziecki prezydent, przepadł bez śladu. Ulotnił się. Wiadomo, że przewodniczący Prezydium to pionek, zero, parawan. Podobnie jak radziecki ambasador: chodzi po ambasadzie dumny jak paw, rozmawia z różnymi szychami, ściska dłonie, uśmiecha się - ale żadnych decyzji nie podejmuje i nie ma dostępu do żadnych tajemnic. Uśmiechaj się, ściskaj dłonie, za to ci płacą. My zaś mamy własną hierarchię. Nawigator podlega szefowi GRU, szef GRU podlega szefowi

Sztabu Generalnego, szef Sztabu podlega KC. Ambasadorowie, prezydenci - to tylko kamuflaż.

Do diabła! Skoro prezes, choćby nawet lipny, znika raptem jak kamfora i zaledwie pół dnia go wspominają, to czy kto w ogóle zauważy, jeżeli ja pewnego dnia zapadnę się pod ziemię?

yciągnąłem pod stołem zmęczone nogi. Jest mi dobrze. Tak tu cicho i przytulnie. Żeby tylko nie zasnąć. Jestem zmordowany. Cicha melodia. Siwy pianista, niewątpliwie dobry muzyk, też znużony, jak ja. Przymknął oczy, jego długie, zwinne palce tańczą po klawiszach fortepianu. Mógłby grać w najlepszej wiedeńskiej orkiestrze, a produkuje się w wiedeńskiej kawiarni „Schwarzenberg”.

Czy znacie kawiarnię „Schwarzenberg”? Szczerze polecam. Jeżeli macie ciężką, wyczerpującą pracę, zmęczone nogi i napięte nerwy - idźcie do „Schwarzenberga”, zamówcie małą kawę i usiądźcie w kąciku. Można, oczywiście, usadowić się na zewnątrz, przy małym

białym stoliku. Podczas upałów wiedeńczycy siadają na świeżym powietrzu. Przyjemnie, ale to nie dla mnie. Ktoś mógłby mnie obserwować z oddali. Zawsze wchodzę do środka, skręcam w prawo i zajmuję miejsce w rogu, przy wielkim oknie, zasłoniętym przezroczystymi białymi firankami. Ze swojego kąta widzę każdego, kto wchodzi na salę. Czasem zerkam na zewnątrz, na Schwarzenbergplatz. Dziś chyba nikt mnie nie śledzi.

Dobrze mi samemu w tym przytulnym miejscu. Lustra w secesyjnych ramach. Abstrakcyjne obrazy. Puszyste dywany. Dębowa boazeria. Cicha melodia. Aromat kawy pobudza i uspokaja zarazem. Gdybym miał własny pałacyk, zamówiłbym sobie takie właśnie ściany, na nich rozwiesiłbym te dekadentkie lustra i obrazy, kazałbym postawić fortepian, zaprosiłbym tego staruszka pianistę, a sam siedziałbym nad filiżanką kawy z wyciągniętymi nogami i policzkiem opartym na ręce. Mam wrażenie, że gdzieś już tę melodię słyszałem. Wydaje mi się, że widziałem już te obrazy na dębowych ścianach i te malutkie stoliki. Oczywiście, że widziałem. Naturalnie, pamiętam te łagodny aromat i czarującą melodię. Tak, wszystko to już widziałem. Dawno, kilka lat temu...

Było wielkie, piękne miasto, cichy plac z tramwajowymi szynami, duże okna kawiarni. Na placu, tuż koło kawiarni i białych stolików stały trzy brudne, zdrożone czołgi z szerokimi białymi pasami<sup>10</sup>. Stały w ciszy. Było upalne lato. Wielkie okna kawiarni otwarto na oścież i piękna muzyka spokojnie, jak leśny strumyk, sączyła się na zewnątrz. Nie wiedzieć czemu zupełnie wyraźnie wyobraziłem sobie trzy błotem oblepione czołgi z białymi pasami na Schwarzenbergplatz.

Czołg ma osobliwy zapach. Nie sposób go pomylić z żadnym innym. Lubicie zapach czołgu? Ja przepadam. Zapach czołgu kojarzy się z metalem, superpo-tężnymi silnikami, polnymi drogami, z lasami i świeżą trawą, z przestrzenią i mocą; upaja, jak zapach wina i krwi. Ten zapach nagle odurza mnie w cichej wiedeńskiej kawiarence. Majaczą mi się tysiące zabłoconych czołgów na ulicach Wiednia.

Kipi miasto ogarnięte strachem, a na ulicach dudnią nieskończone kolumny czołgów. Z wąskich uliczek, zza zakrętów wylaniają się wciąż nowe i nowe pancerne dinozaury. Przy zmianie biegów bryzgają czarnym dymem i płatami sadzy. Zgrzyt i łoskot. Iskry spod gąsienic. Czarne osmolone twarze żołnierzy. Czołgi na mostach, przed dworcem, przed wspaniałymi pałacami, na szerokich bulwarach i w wąskich uliczkach. Wszędzie czołgi. Starzec z rozwianą białą brodą krzyczy coś i wymachuje pięścią. Kto go usłyszy? Nie przekrzyczy ryku dieslo-wskich silników. Za późno, staruszk. Kiedy po chodnikach wala

<sup>10</sup> Na wszystkich pojazdach bojowych uczestniczących w Operacji Dunaj (interwencja w Czechosłowacji 1968) wymalowano szerokie białe pasy, aby można je było odróżnić od tego samego typu sprzętu, należącego do armii czechosłowackiej [przyp. tłum.].

podkute buty, kiedy wokoło słycać zgrzyt i łomot niezliczonych czołgów - za późno na krzyk. Trzeba strzelać albo milczeć. Miasto wre. Miasto spowite dymem. Gdzieś strzelają. Gdzieś krzyczą. Swąd spalonej gumy. Zapach kawy. Zapach krwi. Zapach czołgów.

Chyba zwariowałem. A może to nie ja, to świat oszalał. Szaleńcami są ci, co na swoich brudnych czołgach wdzierają się do pięknych spokojnych miast; szaleńcami są ci, co wiedzą, że wcześniej czy później te czołgi wtargną na Schwarzenbergplatz i nic nie robią, aby temu zapobiec. Do diabła, a co ze mną? Gdzie jest moje miejsce? Byłem już wyzwolicielem. Nigdy więcej. Co robić? Uciec?! Będę żył w tym zadziwiającym świecie naiwnych i beztroskich ludzi. Będę siedział w kawiarni z wyciągniętymi nogami i podpartym policzkiem. Będę słuchał czarującej melodii. Kiedy zjawią się czołgi z białymi pasami, będę razem z tłumem krzyczał i wygrażał pięścią. Źle być bezradnym obywatelem kraju, po którego drogach ze zgrzytem i hukami suną pancerne kolumny wyzwolicielei. A czyż lepiej być wyzwolicielem?

### III

Zniknął radziecki *attache* wojskowy w Wiedniu. Przepadł. Wyparował. Wywieziono go do domu, do Związku. „Ewakuowano”, jak to się u nas mówi. Ewakuacja oficerów GRU i KGB następuje z powodu rażących błędów, nieróbstwa lub podejrzenia o niedozwolone kontakty, czy też o zamiar ucieczki.

Nie mam pojęcia, za co ewakuowano *attache* wojskowego. Takich rzeczy nigdy się nie mówi. Zniknął. Przepadł. Wyjechał na urlop i nie powrócił. Związek Radziecki to duży kraj, można się zgubić.

Jego zielonego Mercedesa przejął w spadku pułkownik Cwietajew, nowy *attache* wojskowy. Chodzi napuszony, ma się za naczelnika. Sąsiedzi z KGB są przekonani, że to on jest Pierwszym Zastępcą. Jednak w GRU, jak w każdej tajnej organizacji, oficjalnie zajmowane stanowiska nic nie znaczą. Mamy własną hierarchię. Tajną. Zakonspirowaną. Niewidoczną dla świata.

Paraduj sobie, pułkowniku, strugaj waźniaka. Ale uważaj, już wkrótce Nawigator wezwie cię na dywanik, aby w zaciszu swojego gabinetu łagodnie poinformować, że nie

podlegasz bezpośrednio jemu osobiście ani Pierwszemu Zastępcy, ani też żadnemu ze zwyczajnych zastępców, lecz po prostu któremuś z lepszych agentów rezydentury, jednemu z wikingów. Może to być byle kto, choćby twój adiutant. Oficjalnie nadal będziesz robić dobrą minę, ścisnąć dłonie, a twój asystent w stopniu majora albo podpułkownika będzie nosił za

tobą teczkę. Ty Mercedesem, on Fordem. Ale to tylko oficjalnie, a strona oficjalna naszej działalności nie odgrywa żadnej roli. Szef mafii może w ciągu dnia udawać kelnera, co wcale nie oznacza, że dyrektor restauracji ma większą od niego władzę. W GRU obowiązuje ten sam system. Szarże, pełnione funkcje - to wszystko tylko na pokaz. Butaforia. Przywódców i najbardziej utalentowanych oficerów zawsze wycofuje się na drugi plan, wystawiając na proscenium różnych pyszałków. Za kulisami obowiązują nas własne rangi, własne szarże, własna skala wartości. Tu, za kulisami, wiking rozkazuje chartom, trzyma je za gardło. Wiking zdobywa tajne informacje, trzeba go ubezpieczać. Twój pomocnik już się wybił na wikinga, ty zaś, pułkowniku, póki co jesteś chartem: Pimpek, Azorek. Będziesz jeździł zielonym Mercedesem i osłaniał operacje swojego pomocnika. Za błahe uchybienia major wyśmieje cię publicznie w obecności całej ekipy operacyjnej. Za poważne błędy wsadzi cię do pudła. To on będzie ci wystawiał opinię, twój los spoczywa w jego rękach. Jeden fałszywy krok - i przepadłeś, wyparowałeś. Ewakuacja. Tak było z twoim poprzednikiem. Pamiętaj, za trzy miesiące egzamin ze znajomości miasta. Masz znać Wiedeń lepiej niż wiedeńska policja! Sto pytań. Musisz dać sto prawidłowych odpowiedzi. Błędna odpowiedź - to błąd w ubezpieczeniu, w akcji. To wpadka, skandal, komisja KC, konwejer, więzienie. Jeżeli, pułkowniku, zdasz egzamin, czeka cię ubezpieczenie. Będziesz osłaniał ogony. Bez urlopów. Bez niedziel i świąt. Bez wytchnienia.

#### IV

Istnieją dwa rodzaje ubezpieczenia agenturalnego: bezpośrednie i ogólne. Tym razem cała nasza dzielna rezydentura uczestniczy w akcji bezpośredniej. Wszyscy bez wyjątku.

Ubezpieczenie koordynuje sarn Nawigator. Ogólną asekurację zapewniają ambasador ZSRR i konsul generalny. Tym razem również nie mają pojęcia, co się święci. Znowu dostali szyfrówkę z KC, czyli z „Instancji”: obstawiać, osłaniać, bronić własną piersią. Jeżeli my, ubezpieczenie bezpośrednie, dopuścimy się błędu, ubezpieczenie ogólne postara się odgrodzić nas zasłoną dymną. Ambasador z konsulem mają wtedy podnieść wrzawę, zarzucać austriackiej policji potwarz i prowokację, absolutnie wszystkiemu zaprzeczać. Mają bezczelnie patrzeć w oczy odgrywając niewinnych, grozić pogorszeniem przyjaznych stosunków i końcem odprężenia, przypomnieć, że Armia Czerwona bezinteresownie wyzwoliła Austrię, przypomnieć ofiary wojny i zbrodnie nazizmu. To ich zadanie. Po to są, by w razie błędu z naszej strony osłaniać odwrót.

Na razie nie zrobiliśmy żadnego fałszywego kroku. Na razie wszystko idzie jak po maśle. Operacja, którą prowadzimy, wymaga zgranej współpracy kilku rezydentur i



wszystkich oficerów operacyjnych z tych placówek: przez Austrię jedzie silnik czołgowy.

Jak na razie przemierzył już kilka krajów. Tranzytem. Rzekomy punkt docelowy: Turcja. Jakoby. Austria - to ostatni trudny etap tej złożonej podróży. Stąd silnik pojedzie na Węgry, po czym raptownie zmieni marszrutę.

Silnik czołgowy waży 1,5 tony. Nasi wikingowie zwędzili go w jakimś kraju i przerzucili przez granicę jako zupełnie niewinne urządzenie. Podróżuje już dość długo, przekroczył kolejne granice, za każdym razem zmieniając nazwę, jak nielegalny agent GRU, który w drodze raz po raz zmienia tożsamość.

Teraz kontener z silnikiem znajduje się na terytorium Austrii. W papierach figuruje jako „eksperymentalny układ zasilania drenażowych systemów irygacyjnych”. Kraje Azji i Afryki głodują! Przepuście „eksperymentalny układ zasilania”! Niech wreszcie biedne kraje rozwiążą dramatyczny problem braku żywności!

Nerwowa praca, ciężka. Kto nigdy nie miał okazji trudnić się przesyłaniem potężnych ładunków przez granice państwowe, ten nie ma pojęcia, ilu biurokratów uczestniczy w takiej procedurze! Z kolei GRU musi mieć

absolutną pewność, że żaden z nich nie podejrzewa, jakie jest prawdziwe przeznaczenie „eksperymentalnego układu zasilania”. Gdyby jednak któryś się domyślił, powinien szybko otrzymać godziwą rekompensatę za swoją domyślność, aby mu się opłacało nie wiedzieć, w czym rzecz. Każdego z nich GRU musi przez cały czas tranzytu uważnie kontrolować, przynajmniej z oddali. Tym się właśnie zajmujemy.

Na pewno któryś z naszych wikingów wierci już dziurkę na order. Silnik czołgowy! Najnowszy! Nie do kopiowania, ma się rozumieć. Do zbadania. Tak samo amerykański producent samochodów wyścigowych byłby zainteresowany najnowszym japońskim silnikiem Formuły I.

Jasny gwint, gdzie mógłbym skombinować coś podobnego? Ciekawych rzeczy jest cała masa. Czasem nawet nietrudno je zdobyć. Ale Służba Informacji kupuje trzy, cztery jednakowe egzemplarze albo dokumenty w różnych częściach świata - więcej nie potrzeba. Żądają czegoś nowego, czego nikt nie może zdobyć. Nieraz proponujesz jakieś rewelacje, lecz GRU odpowiada odmownie: - Dziękujemy, rezydentura dyplomatyczna w Tunisie była szybsza. Dziękujemy, już to mamy.

GRU to bezlitosna konkurencja. Utrzymują się tylko najsilniejsi.

V

Czas wlecze się niemiłosiernie. Mam dziś nocną służbę. Jest 2.43. Muszę się przejść,

przemóc senność.

Prawie wszystkie pomieszczenia rezydentury są pozbawione okien. W całym gmachu w Wiedniu są tylko trzy. Trzeba opuścić wielką salę, przejść hol, dalej po schodach, minąć laboratorium fotodekodażu, dojść do korytarza C, stamtąd znowu schodami do góry. Czterdzieści osiem stopni. Tu właśnie mamy małą korytarzyk, który prowadzi do masywnych drzwi centrum antenowego. Z korytarzyka wychodzą trzy okna. To miejsce nazywamy Newskim Prospektem, chyba dlatego, że każdy z nas, nasiedziawszy się w ciemnościach kazamatów

rezydentury, stara się zajrzeć tu na chwilę, by na tych paru metrach przestrzeni złapać choć promyk słońca.

Od naszych roboczych pomieszczeń dzielą go mury, przegrody, dziesiątki drzwi. Obowiązuje tu zakaz omawiania sekretnych zagadnień. Niemniej wszystkie trzy okna są chronione zgodnie ze specjalnymi przepisami GRU. Z zewnątrz niczym się nie różnią od zwykłych okien. Takie same kraty, jak w całej ambasadzie. Ale nasze okna są jakby nieco przymglone. Z zewnątrz nie można dojrzeć, co się dzieje w środku. Grubość szyb też specjalna, nie do przebiccia. Poza tym grube szkło znacznie słabiej wibruje. Więc gdyby nacelowano nań silne źródło promieniowania elektromagnetycznego, nie byłoby mogło służyć za membranę. Szyby sprawiają wrażenie niestarannie wykonanych - tu trochę grubsze, tam trochę cieńsze. Na tym dowcip polega: wszystkie nierówności zostały komputerowo opracowane i ktoś nawet dostał nagrodę za pomysł. Gdyby przeciwnikom przyszło do głowy wykorzystać nasze szyby w charakterze membrany, to nierówne szkło chaotycznie rozpraszając padającą wiązkę promieniowania uniemożliwiłoby należyty odbiór modulowanej drganiem fali. Lufcików oczywiście nie ma. System wentylacyjny też jest specjalny, chroniony, mało wiem na ten temat. Jedno pewne: okien do tego celu się nie używa.

Każde okno ma potrójną szybę i ramy z metalu. Pomiedzy poszczególne elementy rami włożono miękkie uszczelki, również w celu zmniejszenia wibracji. Szyby wewnętrzna i zewnętrzna wyglądają jak zwykłe szkło, ale wystarczy przyjrzeć się wewnętrznej, by zauważyć, że żadna z nich nie jest płaska. Wszystkie szyby są lekko zgięte, każda ma inny kąt nachylenia, też wyliczony komputerowo. To również służy uniemożliwieniu podsłuchu. Mury, rzecz jasna, chronione są jeszcze lepiej. Zwłaszcza tam, pod ziemią.

Za oknami - nieprzenikniona noc. Wiedziałem o tym. Przyszedłem tu tylko po to, żeby pochodzić po schodach i korytarzach. Jestem oficerem dyżurnym i nie mam prawa zasnąć.

Cała nocna zmiana pracuje praktycznie bez mojego udziału. Grupa TS na okrągło, przez całą dobę prowadzi nasłuch i dekodaż depesz wojskowych i rządowych. Gru-

pa kontroli także prowadzi nasłuch, ale to zupełnie inna sprawa. TS pracuje dla Służby Informacji GRU, zdobywa szcątkowe dane, na podstawie których punkt dowodzenia i centralny komputer bezustannie modelują obraz sytuacji w świecie. Grupa kontroli radiowej ma inną, choć nie mniej odpowiedzialną funkcję. Pracuje wyłącznie na rzecz naszej rezydentury. Radiokontrola śledzi działalność wiedeńskiej policji. Jest na bieżąco zorientowana, co robi policja, kogo inwigilują jej cywilni agenci. Radłokontrola zawsze może powiedzieć, że dziś śledzili oni pod dworcem jakiegoś podejrzanego Araba, a wczoraj wszystkie siły policyjne brały udział w osaczeniu grupy handlarzy narkotykami. Bardzo często nie sposób rozszyfrować poczynań policji, ale nawet w takiej sytuacji grupa kontroli radiowej może z wielką dokładnością ostrzec, w jakim rejonie miasta ma miejsce ta niezrozumiała aktywność.

Oprócz grup nasłuchu nocny dyżur mają też łącznościowcy i szyfranci, ale nie mam prawa wtrącać się do ich pracy. Po co więc sterczę tu przez całą noc? To konieczne. Przecież pracuje kilka grup, niepodporządkowanych sobie wzajemnie. To znaczy, że ktoś musi stać nad nimi. Dlatego dyżurujemy po nocach.

Jestem zwyczajnym oficerem operacyjnym, nie mam szczególnych zasług, ale w ich oczach stanowią uosobienie władzy. Nieważne, czy jestem wiking czy chart. Należę do wyższej kasty. Zdobywam informacje, stoję więc wyżej niż ci, którzy nie mają bezpośrednich kontaktów z cudzoziemcami. Dla każdego z nich, niezależnie od wojskowego stopnia, zostać oficerem operacyjnym to piękne, lecz nieosiągalne marzenie.

- Wiktorze Andriejewiczu, kawki?

To Borys, trzeci szyfrant. Nudzi się, nie ma nic do roboty. Główny odbiornik milczy, w odbiorniku radiostacji agenturalnej cisza.

- Tak, poproszę.

Zamierzałem skończyć opis znalezionych przeze mnie lądowisk dla brygady Specnazu 6. Gwardyjskiej Armii Pancernej. Na polecenie GRU wyszukałem trzy odpowiednie miejsca. Na wypadek wojny. Ale gdy Boria wy-lezie ze swojej dziury, nie ma co marzyć o dalszej pracy.

- Cukru?

- Nie, Boria, dziękuję. Nigdy nie słodzę.

Boria jest żarliwym czcicielem bogini Wenus. Wszyscy szyfranci GRU i KGB, rozproszeni po świecie składają jej hołdy. Boria wie, że mam masę roboty, krąży wokół mnie, usiłując odciągnąć moją uwagę od przyszłej wojny i skierować na kwestie bardziej pasjonujące.

- Wiktorze Andriejewiczu!

- Co takiego? - nie odrywam się od zeszytu.

- Kurierzy przywieźli nowy wierszyk.

- Świński, ma się rozumieć?

- Innych nie zbierają.

- Pies ci mordę lizał! Powiedz swój wierszyk. Boria odchrząknął, przyjął pozę recytatora:

*Gdy po rosie lażę, Obmywa mi nogę. I o jednym marzę: Bez dupy - nie mogę!*

- To już, Boria, dawno słyszałem. Zmarkotniał, ale tylko na moment:

- Mieliśmy w Leningradzie takiego jednego cierpiętника. Poeta pełną gębą:

*Leningradzie, Leningradzie! Miasto moich snów! Wszyscy ludzie - bladzie. A ja jestem zuch!*

Nie da mi spokoju. A nie mogę psuć sobie z nim stosunków, bo co prawda szyfranci to niższa kasta, ale za to są najbliżej Nawigatora, jak wierni lokaje. Nie mam ochoty zagłębiać się w jego poezję, ale też byłoby nierozsądne przerwać mu w pół zdania. Lepiej sprowadzić dyskusję na inny temat:

- Służyłeś w sztabie Leningradzkiego Okręgu?

- Nie, w Ósmym Wydziale sztabu 7. Armii.

- A potem?

- Potem prosto do Watutinek.

- Ho, ho!

Watutinki to otoczone ścisłą tajemnicą miasteczko poci Moskwą. Centralna stacja odbiorcza GRU. Tam wszystko jest tajne, nawet cmentarz. Watutinki to istny raj i podobnie jak prawdziwy biblijny raj posiada jedną niedogodność: nie ma stamtąd wyjścia. Jeżeli ktoś trafi do Watutinek, może być pewny, że będzie pochowany na tamtejszym tajnym cmentarzu.

Zdarza się, że któryś ze szczęściarzy zamkniętych w tym rajskim zakątku zostaje oddelegowany za granicę. Jednak jego życie wcale nie jest przez to bardziej urozmaicone. Wszyscy szyfranci zatrudnieni w rezydenturze mają ściśle wyznaczone strefy, w których wolno im się poruszać. Każdy ma własną. W przypadku Borii jest to szesnaście pokoi, łącznie

z tym, w którym mieszka, wielką salą, gabinetem Nawigatora i jego zastępców. Dalej nie ma prawa wysunąć nosa. Opuszczenie wyznaczonej strefy jest przestępstwem. Tym bardziej opuszczenie ambasady. W tej strefie Boria spędzi dwa lata, po czym zostanie odwieziony do Watutinek. Do żony Boria nie jeździ. Jest przewożony. Pod eskortą. Ale Boria jest zadowolony. Większość z tych, którzy wylądowali w Watutinkach, w ogóle nie opuszcza granic miasteczka. A przecież i oni są szczęściarzami, w porównaniu z tysiącami szyfrantów, służących w sztabach okręgów, flot i armii. Dla nich Watutinki są tylko pięknym, nieziszczalnym marzeniem.

- Wiktorze Andriejewiczu, opowiedzcie, proszę, coś o prostytutkach. Już wkrótce wracam. W Watutinkach chłopaki mnie wyśmiejają: byłeś w Wiedniu i nie przywoziłeś żadnych opowiastek.

- Boria, nie mam zielonego pojęcia o prostytutkach. -Ręcę głową, że Boria nie prowokuje mnie na odgórne polecenie, po prostu jest ciekaw. Szyfranta wracającego z wielkiego świata do Watutinek ocenia się wyłącznie według jego repertuaru na tematy seksualne. Wszyscy wiedzą, że w ambasadzie miał bardzo ograniczony teren poruszania się, czasem tylko pięć pokoi. Każdy rozumie, że te jego historie to czysta bujda, że żaden oficer operacyjny nigdy nie pozwoli sobie na takie zwierzenia, nie-

mniej w Watutinkach zdolny gawędziarz nie ma ceny, jak bazarz wśród niepiśmiennych.

- Wiktorze Andriejewiczu, no proszę was, opowiedzcie o prostytutkach. Co, tak zwyczajnie stoją na ulicy? A jak ubrane? Wiktorze Andriejewiczu, wiem, że się do nich nie *zbliżacie*, ale jak one wyglądają z daleka?

Przed 1945 rokiem życie szyfrantów wyglądało zupełnie inaczej. Cieszyli się nieograniczoną swobodą. Mieli prawo poruszać się po gmachu ambasady, czasem mogli ją nawet opuszczać. Z obstawą, ma się rozumieć. Byli jednak wolni. Na święta mogli jechać do Watutinek, a po roku służby przysługiwał im miesięczny urlop.

Taki system pracy stwarzał szyfrantom wiele pokus. We wrześniu 1945 roku Igor Guzenko, szyfrant w ambasadzie radzieckiej w Ottawie, skorzystał ze sposobności - i wybrał wolność.

Ucieczka Guzenki była dla ZSRR szokiem, porównywalnym z wybuchem II wojny światowej.

W owym czasie, podobnie jak dziś GRU swoje operacje wymierzone w dany kraj prowadziło z terytorium innego kraju. Kanadyjska ekipa GRU miała na celowniku USA. Pod

koniec II wojny światowej rezydentura w Ottawie odniosła ogromny sukces. Rezultaty były tak zdumiewające, że na czele Akwarium musiał na pewien czas stanąć pierwszy zastępca szefa GRU, bowiem sam szef osobiście kierował pracą rezydentury w Ottawie. W apogeum tej operacji Igor Guzenko zwrócił się do władz kanadyjskich o azyl polityczny. Zachód dowiedział się ze zdumieniem, że Moskwa jest już w posiadaniu planów amerykańskiej bomby atomowej.

Dla szyfrantów nastaly ciężkie czasy. Wszelka próba ucieczki stała się nie do pomyślenia. Przewidziano najbardziej karkołomne warianty: gdyby samolot wiozący szyfranta stanął nagle w płomieniach i zaczął spadać, szef eskorty ma rozkaz zastrzelić swojego „podopiecznego”. Podobnie kurier dyplomatyczny: gdyby w sytuacji zagrożenia uznał, że zawartość kontenera może dostać się w niepożądaną rękę, ma polecenie złamać pieczęcie i wcisnąć czerwony guzik.

- Wiktorze Andriejewiczu, czy to prawda, że łapią przechodniów za ręce i zapraszają, by się z nimi przespali?

Prostytucja to zawód, puszczenie się to hobby. Anastazja, żona Bori, należy do tej drugiej kategorii. Siedzi tuż obok, głaszcząc mnie po ramieniu. Trzymam ręce na kierownicy i nie mogę jej w tym przeszkodzić. Śmiejąc się mówi, że to ze strachu przed zderzeniem z nadjeżdżającym z przeciwka, że po prostu chciałaby mi pomóc. Gdy z przeciwka nic nie jedzie, jej ręka zostaje na moim ramieniu.

Anastazja wielbi Wenus jak jej małżonek. Tyle, że on siedzi w klatce, a ona może fruwać swobodnie. Siedzi koło mnie. Ma piękne kolana.

Żony szyfrantów nie mają dostępu do żadnych tajemnic, dlatego mogą cieszyć się względną swobodą. Raz na miesiąc, nawet częściej, mają prawo opuścić ambasadę w towarzystwie raczej niepoważnej eskorty: jednego oficera operacyjnego. Naturalnie, nie wolno im przebywać poza ambasadą po zmierzchu ani wchodzić do wielkich supermarketów, skąd mogłyby zostać porwane. Wszelkie rozmowy ze sprzedawcami są zabronione, zresztą nie mają prawa znać żadnych języków obcych, więc zmuszone są porozumiewać się na migi.

- Witia. - Nie mówi do mnie „Wiktorze Andriejewiczu” i nie rozróżnia stopni. Całą ludzkość dzieli na *mężczyzn* i kobiety. Wśród mężczyzn wyróżnia dwa gatunki: seksualnie aktywnych, i resztę. Najwyraźniej zaliczyła mnie do tej pierwszej grupy. - Witia, byliśmy już w sklepie i mamy czyste sumienie. Może zabrałbyś mnie do kina?

- Na co?

- Najlepiej na jakiś film miłosny.

- To jest zabronione.

- Wiesz, Witia, w Somali mieliśmy Nawigatora: generał-major Szerstniew, może znasz?... który powiedział mi kiedyś: gdy masz pewność, że nikt trzeci się nie dowie, możesz robić to, na co masz ochotę. W przeciwnym razie życie nie byłoby zbyt interesujące.

- I co, robiłaś z nim, to, o czym nikt trzeci nie wiedział?

- Robiłam, Witia.

- Ale możemy być śledzeni...

- Witia, jesteś oficerem operacyjnym, wiesz, jak się przekonać...

VI

Cierpię na dotkliwy brak wyobraźni. Wielka szkoda. Oficer, który samodzielnie planuje swoje posunięcia, ze wszech sił stara się zniknąć w cieniu, wystawiając ubezpieczające charty na pastwę policyjnych szperaczy. Policja austriacka jest niezwykle poczciwa, ale nawet ona traci cierpliwość. Nie wydalaj ą nas publicznie, to jasne -nie jesteśmy wszak w Wielkiej Brytanii. Niemniej w Austrii też czasem zdarza się jakaś ekspulsja. Po cichu, bez zbędnego hałasu. Skoro nie potrafisz pracować w Austrii, to czyż można wysłać cię do Holandii, gdzie policja całkiem serio traktuje swoją robotę albo do Kanady, gdzie warunki i perspektywy dawno już przestały przypominać stare dobre czasy?

Każdy wiking pozostaje w cieniu, każdy chart znany jest całemu światu. Wikingowie słusznie robią, wystawiając nas na strzał, zasłaniając się naszą nieporadnością i ignorancją. Ale i ja zostanę wikingiem, na mur! Choćbym miał nie spać całe noce, znajdę dojścia do tajemnic!

Wszystko, czego uczono nas w Akademii, trąci myszką; chwyt, stosowane co najmniej od dwudziestu lat, wielokrotnie już wykorzystane do niczego nie prowadzą. Nie ma rady, trzeba szukać nowych dróg.

Może to zabrzmie dziwnie, ale dla rozbudzenia w nas tej specyficznej wyobraźni, nieodzownej w działaniach nielegalnych, przestępczych, zmuszano nas do czytania kryminałów. Chodziło raczej o pobudzenie krytycznego stosunku do poczynąń i decyzji innych. Autorzy kryminałów, to przecież specjaliści od zabawiania publiczności, a nie zawodowcy od zdobywania tajemnic. Ale jak wykonać zadanie zdobycia nowego typu broni, skoro o tej broni nie wiadomo nic. NIC. Świat w ogóle się jeszcze nie domyśla, że podobna broń może istnieć. A prze-

cięż GRU rozpoczęło łowy na amerykańską bombę atomową, gdy nikt na świecie

nawet nie podejrzewał, że można coś takiego stworzyć, gdy sam prezydent USA nie potrafił jeszcze docenić jej znaczenia.

Aby nauczyć nas złodziejskiego podejścia do zdobywania informacji, wożono nas do tajnego działu Muzeum Kryminalistyki, ul. Pietrowka 38. Moskiewska milicja nie miała, naturalnie, pojęcia, kim jesteście. Muzeum odwiedza masa tajnych delegacji z MWD, z KGB, z Kontroli Ludowej, z Komsomołu, diabli wiedzą skąd jeszcze. Wszyscy powinni rozwijać kryminalny sposób myślenia.

Ciekawe muzeum, nie powiem. Najbardziej spodobała mi się maszyna do robienia pieniędzy. Model opracowali studenci moskiewskiej Wyższej Szkoły Technicznej i sprzedali Gruzinom za 10.000 rubli: potrzebujemy prawdziwej forsy, a taką maszynę możemy sobie zrobić jeszcze jedną. Pokazali, gdzie nalewać farbę, spirytus, jak wkładać papier. Zakręcili korbą-wylatuj ą wspaniałe, szeleszczące dziesięciurublowki. Żaden ekspert nie był ich w stanie odróżnić od prawdziwych banknotów. Studenci uprzedzili nabywców: nie przeginajcie pały, chciwość gubi frajerów! Nie przegrzewajcie urządzenia, bo filigrany mogą stracić kontrast. Gruzini spakowali manatki, wzięli aparat - i do Gruzji. Siedzą wieczorami, drukują pieniążki. Raptem maszyna się zacięła. Trzeba było wciągnąć do szajki mechanika. Przyszedł, zdjął wieko - i tylko gwizdnął. Zrobili was w konia, powiada. Ta maszyna nie drukuje fałszywych pieniędzy. W środku było sto prawdziwych banknotów. Przekręcisz korbkę - wylatuje nowiutka dycha. Ale już się skończyły. Koniec, szlus, nic już więcej nie wyskoczy. Gruzini na milicję. Studentów złapano -i po trzy lata za oszustwo. Gruzinom - po dziesięć. Za zamiar i próbę robienia fałszywych pieniędzy. Słusznie: studenci oszukali tylko Gruzinów, a Gruzini chcieli oszukiwać nasze robotniczo-chłopskie państwo.

Mają ludzie głowy, mają fantazję. A ja co wymyślę?



## Rozdział 12

### I

Werbunek nie jest rzeczą prostą. Jak polowanie na sobole. Trzeba mierzyć prosto w oko, żeby nie zniszczyć futerka. Prawdziwy myśliwy nie ma z tym trudności. Wytropić sobola w tajdze - to dopiero wielka sztuka.

GRU poluje na ludzi mających dostęp do tajemnic. Jest ich niemało. Sęk w tym, że doradcę prezydenta, konstruktora rakiet czy generała sztabowego oddzielają od nas goryle, zasieki, psy wartownicze. GRU poszukuje takich, którzy mają dostęp do poufnych informacji, a mieszkają samotnie, bez ochrony, nie mają przed sobą świetlanych perspektyw, nie inkasują zawrotnych honorariów i potrzebują pieniędzy. Jak ich znaleźć? Jak ich wyłuskać w morzu osobników stykających się z tajną informacją? Nie wiecie? Bo ja wiem! Teraz już wiem. Wpadłem na wyśmienity pomysł.

Najgorzej, że w żaden sposób nie mogę dostać się do Nawigatora. Od wielu dni siedzi zaszyty w swoim gabinecie, jak w celi, nikogo nie przyjmuje. Pierwszy Zastępca chodzi wściekły jak pies. Lepiej nie *zbliżać* się do niego. On też prawie na okrągło przesiaduje w gabinecie dowódcy. Jest tam z nimi Piotr Jegorowicz Dunajec. Oficjalnie pełni funkcję wicekonsula, nieoficjalnie jest pułkownikiem GRU, zastępcą Nawigatora. Teraz do tego dobranego towarzystwa dołączył kontradmirał Bodnar -zastępca szefa I Zarządu GRU. Przyleciał do Wiednia w składzie jakiejś delegacji - cywilnej, ma się rozumieć. Delegacja nie widziała go w ogóle na oczy. Ma ważniejsze sprawy na głowie.

Całe towarzystwo - generał, kontradmirał i dwóch pułkowników - z rzadka tylko opuszcza gabinet, siedzą jak stachanowcy w kopalni. Czyżby atakowali nowy rekord świata?

Żenią, piąty szyfrant, zanosí im do gabinetu posiłki -śniadanie, obiad, kolacje. Wynosi stamtąd pełne tace -na talerzach wszystko zimne, nietknięte; wynosi sterty filiżanek po kawie, piramidy niedopałków. Co się tam dzieje? Żenią, oczywiście, nie ma o tym zielonego pojęcia. Wszystkie szyfrówki do i od dowódcy przechodzą wyłącznie przez ręce Aleksandra Iwanowicza - pierwszego szy-franta. Ale ten ma zawsze kamienną gębę bez wyrazu.

Nie ma wątpliwości: chodzi o tak zwaną „lokalizację wsypy”. Wszystko zdaje się wskazywać, że tym razem wsypa jest poważna. Trzeba odcinać wszelkie nici, które mogłyby naprowadzić policję na trop. Do gabinetu wzywani są pojedynczo najlepsi z najlepszych

wikingów rezyden-tury, a po krótkim instruktażu znikają na kilka dni. Nie mam pojęcia, co robią w tym czasie. Jedno pewne: zacierają ślady. Jak? Można się tylko domyślać. Wręczają agentom pieniądze i paszporty: wiej do Chile, wrywaj do Paragwaju, szmalu starczy ci na całe życie. Nie wszyscy mają takie szczęście. W tej grze stawką jest bezpieczeństwo GRU. Czy potężna organizacja zdoła, jak zawsze, pozostać w cieniu, czy też jak KGB i CIA stanie się łupem sensacyjnych, bulwarowych gazet? GRU musi za wszelką cenę oddalić się w mrok, dlatego energicznie przecina nici. Ktoś w nagrodę za lata wiernej służby z przeraźliwym krzykiem wpada pod pociąg. Ktoś utonął w kąpieli. Każdemu może się przydarzyć. Najczęściej dochodzi do wypadków samochodowych. GRU, jak anakonda, nigdy nie zabija dla przyjemności. GRU zabija tylko w ostateczności, ale zabija pewnie i czysto. Szarpie nerwy taka robota. Dlatego lepiej teraz nie *zbliżać* się do Pierwszego Zastępcy.

## II

iesz, Witia, zgubi cię twoja dobroć. Nie można być takim dobrym. Człowiek powinien być dobry tylko do określonej granicy. Potem albo sam będziesz gryzł, albo inni cię zagryzą. Darwin nawet uzasadnił naukowo to prawo. Przeżyć może tylko najsilniejszy. Powiadają, że ta teoria stosuje się tylko do zwierząt. Słusznie. Ale przecież i my jesteśmy zwierzętami. Mało czym się różnimy. Zwierzęta nie mają chorób wenerycznych, a ludzie mają. Co jeszcze? Tylko uśmiech. Człowiek potrafi się uśmiechać. Tyle że od tych uśmiechów świat wcale nie staje się lepszy. A utrzymanie się przy życiu to ciągła walka, walka o miejsce pod słońcem. Nie bądź mięczakiem, Witia i nie bądź dobry. Zatrutąją.

Północ już dawno minęła. Od Dunaju ciągnie chłodem. Gdzieś daleko ląduje samolot. Deszcz ustał, z drzew spadają ostatnie ciężkie krople. Naprzeciw mnie siedzi ze smętną miną Pierwszy Zastępca. Co prawda nie jest już Pierwszym Zastępcą, ale nazywamy go tak z przyzwyczajenia. Teraz to po prostu pułkownik GRU Mikołaj Tarasowicz Moroz, oficer operacyjny działający pod przykrywką dyplomatyczną. Nie jest to wiele. Pułkownik GRU to też niewiele. Pułkowników mamy w GRU na kopy. Liczy się nie stopień, tylko osiągnięcia i zajmowana pozycja. Pułkownik operacyjny może być zwyczajnym chartem, jak wojskowi *attache*, których ewakuowano jednego po drugim. Może też być wydajnym, pewnym siebie wikingiem. Pułkownik może być zastępcą Szefa albo Pierwszym Zastępcą. W pewnych przypadkach może być nawet Szefem jakiejś niewielkiej rezydentury dyplomatycznej albo nielegalnej. Teraz pułkownik Mikołaj Tarasowicz Moroz został ściągnięty z przedostatniego szczebla na sam dół. Lokalizacja wpadki dobiegła końca. Usunięto Pierwszego Zastępcę. Trzy charty, które zawsze go ubezpieczały, ewakuowano do Moskwy. Wszystko ucichło.

Jakby nic się nie stało.

Skończyła się władza pułkownika Moroza. Na razie nie przysłano nikogo na jego miejsce, więc Nawigator kieruje nami osobiście i poprzez swoich zastępców. Nie jest mu łatwo bez Pierwszego Zastępcy, ale szczerze

mówiąc Nawigator też się specjalnie nie wysila. Wszystko jakoś toczy się samo przez się.

Upadek Pierwszego Zastępcy przeżył każdy inaczej. Dla oficerów TS, radiokontroli, fotodekodażu, szyfrantów i całej reszty nie biorącej udziału w zdobywaniu informacji, pułkownik Moroz wciąż pozostaje półbogiem. Wszak nadal jest oficerem operacyjnym! Ale wśród nas, operacyjnych, różnie się do niego odnoszą. Oczywiście, kapitanowie, majorzy i podpułkownicy nie pozwalają sobie na żadne wyskoki. To prawda, że ma taką samą jak oni pozycję, ale zawsze to pułkownik. Natomiast w grupie pułkowników, zwłaszcza tych mniej rzutkich, słyszy się kpiny pod jego adresem. Ciekawa jest natura ludzka: pierwsi do szyderstw są ci, którzy wczoraj najbardziej mu się podlizywa-li. Podobno przyjaciół poznaje się w biedzie. Mikołaj Tarasowicz nie obraża się, nie odcina się. Mikołaj Tarasowicz pije. Ostro pije. Nawigator patrzy przez palce: niech pije, ma powody. Coś mi się widzi, że Nawigator sam też pociąga. Boria, trzeci szyfrant, powiada, że Nawigator zaszywa się w gabinecie i pije do lusterka, bo uważa picie w samotności za poważny objaw alkoholizmu. Nie wiem, czy Boria żartuje, czy mówi prawdę, wiem tylko, że trzy miesiące temu nie odważyłby się na takie żarty, nie zdradzałby osobistych tajemnic dowódcy. Osłabła widać ręka Nawigatora, ojczulka naszego. Być może spotykają się czasem z byłym Pierwszym Zastępcą i pociągają we dwóch po kryjomu. Ale Stary potrafi zachować to w tajemnicy, a Mikołaj Tarasowicz nawet się nie kryje.

Dziś wieczór pędzę w ulewnym deszczu do samochodu, a ten biedaczyna, cały przemoczony, nie może trafić kluczykiem do zamka swojego Citroena.

- Mikołaju Tarasowiczu, wsiadajcie, podrzucę was do domu!

- A jak ja, Witia, wrócę rano do ambasady?

- Wpadnę po was. Jedziemy.

- Słuchaj, Witia, może po kielichu?

Jakże miałbym odmówić? Zawiozłem go za Dunaj, mam tam kilka fajnych niedrogich miejsc, mało który wywiad o nich wie. Pijemy.

- Dobry z ciebie człowiek. Witia. Nie można tak. Wyciągniesz człowieka z biedy, a on

cię poźre. Powiadają, że ludzie to bestie. Nic podobnego, ludzie są gorsi od zwierząt. Są okrutni jak gołębie.

- Mikołaju Tarasowiczu, jeszcze wszystko wróci do normy, nie warto się zamartwiać. Nawigator ma was za brata, wstawi się gdzie trzeba. Macie wielkie chody w Akwarium: w naszym Zarządzie i w Informacji...

- Wszystko to prawda, Witia... Ale wiesz... to tajemnica. Miałem wpadkę... Potężną... Doszło do Komitetu Centralnego... tu już nie pomogą nawet moje chody w Akwarium. Dlaczego, myślisz, jeszcze tu jestem? No bo jak by to wyglądało: w jednym kraju toczy się proces o szpiegostwo, a z sąsiedniego znikają radzieccy dyplomaci... Dziennikarze cwaniaki zaraz się zorientują, skojarzą! Aha, przyznają się do winy, zacierają ślady!... Dla polityki odprężenia to jak sierpem przez gardło. Tymczasem jestem w Wiedniu. Trochę wszystko przycichnie, przyschnie, wtedy mnie zaborą, odeślą. Ewakuacja.

- A gdybyśmy zdążyli zwerbować jakiegoś ważniaka?

Patrzy na mnie markotnym wzrokiem. Trochę mi niezręcznie za to, co powiedziałem. Obaj wiemy, że cudów nie ma. Ale coś mu się spodobało w moich słowach i uśmiecha się do mnie smutno.

- Wiesz co, Suworow, dzisiaj za dużo gadam, chociaż nie mam prawa. Gadam tak, bo jestem pijany, a jeszcze dlatego, że spośród znajomych jesteś chyba najmniej zarażony podłością. Słuchaj, Suworow i pamiętaj: teraz w naszej zgrał nastąpiło kompletne rozluźnienie, półdrzemka, jak po stosunku. Dlatego tak się dzieje, że Nawigator dostał po głowie, ledwo się utrzymał, mnie wywalono, tranzyt „nielegalnych” przez Austrię chwilowo zawieszony, cały potok zdobytej dokumentacji płynie do Akwarium innymi kanałami. Większości wydaje się, że nic nie trzeba robić. Wszyscy rozleniwili się, rozbisurmanili bez ciężkiej ręki ojczulka. To nie potrwa długo. Nasza zgraja straciła niesłychanie cenne źródło informacji i KC niebawem nam to wypomni. Stary wpadnie w furję. Wtedy każdemu wystawi rachunek, każdego weźmie w karby i znajdzie ofiarę, by ją złożyć na ołtarzu radzieckiego wywiadu wojsko-

wego. Żeby innym odeszła ochota do obijania się. Miej się, Wiktor, na baczności. Wkrótce przyniosą Staremu szy-frówkę od Kira. Stary jest straszny w swoim gniewie, wiele karier roztrzaska. I słusznie. Na diabła czekają na instrukcje jak stado baranów?! Wiktor, pracuj już dziś. Jutro może być za późno. Słuchaj mojej rady...

- Mikołaju Tarasowiczu, mam jeden niezły pomysł, ale już od dawna nie mogę się przebić do Nawigatora. Może jutro spróbuję?

- Nie radzę ci, Witia, nie radzę. Poczekaj, wkrótce zaczniesz wzywać każdego po kolei

na dywanik, na sąd ostateczny, wtedy powiesz, jaki masz pomysł. Tylko nic mi nie mów, mnie nie masz prawa opowiadać swoich konceptów. Zresztą mógłbym ci też sprzątnąć jakiś pomysł. Piekielnie potrzebuję teraz pomysłów. Nie boisz się?

- Ani trochę.

- Na próżno, Suworow, na próżno. Jestem takie samo bydlę jak inni. Może nawet gorsze. No to co, może na dupy?

- Już późno, Mikołaju Tarasowiczu.

- Najlepsza pora. Chodź, pokażę ci takie dziewczynki, że padniesz! Nie bój się, chodź.

W ogóle nie mam nic przeciwko temu, żeby rzucić okiem na dziewczynki. Wcale się go nie boję. Chociaż ma się za zwierzę, chociaż ręka jego przywykła do zadawania śmierci, mimo wszystko jest człowiekiem. Rzadki okaz pośród tysięcy dwunogich bestii, jakie spotkałem na swojej drodze. Jestem bardziej zwierzęciem niż on, mam normalnie rozwinięty instynkt rozrodczy i wcale nie gorzej - instynkt zachowawczy, który mi podpowiada, że facet jest na bani i może nas wpakować w niezłą kabałę. A to oznacza ewakuację.

- Późno już.

Mikołaj Tarasowicz wie, że nie mam nic przeciwko dziewczynkom, że lubię *rozluźnić* się w ich towarzystwie, ale że dziś nie pójdę. Nie protestuje.

III

Ludzie dzielą się na kapitalistów i socjalistów. Jedni i drudzy potrzebują pieniędzy. Różnią ich tylko metody zdobywania. Jeżeli kapitalista potrzebuje pieniędzy, ostro

zabiera się do pracy. Jeżeli socjalista potrzebuje pieniędzy, rzuca robotę i innych namawia, by poszli w jego ślady.

U kapitalistów podobnie jak u socjalistów wszystko jest jasne i logiczne. Ja zaś należę do jakiejś niezrozumiałej kategorii.

W naszym społeczeństwie wszystko stoi na głowie. U nas też każdy potrzebuje forsy, jednak powszechnie uważa się, że nie uchodzi rozmawiać o pieniądzach, a robić je - to przestępstwo. Nie społeczeństwo, a diabli wiedzą co. Gdybym należał do normalnego społeczeństwa, niezawodnie zostałbym socjalistą: strajkowałbym na okrągło i w ten sposób doszedłbym do wielkiej fortuny.

Mam teraz ochotę myśleć o czymkolwiek, o kapitalistach, o socjalistach, o świetlanej przyszłości naszej planety, kiedy wszyscy już zostaną socjalistami, gdy każdy będzie miał swoje prawa i żadnych obowiązków. W ogóle mam ochotę uciec myślami jak najdalej, zastanawiać się nad wszystkim, tylko nie nad tym, co mnie czeka za chwilę za pancernymi

drzwiami Nawigatora.

Straszny jest Stary w swoim gniewie. Straszny zwłaszcza w chwili, gdy otrzymuje szyfrówkę od Kira. Na polecenie Starego, Aleksander Iwanowicz, pierwszy szyfrant, odczytał depezę z „Instancji” całej naszej zgrai. Ostra depeza.

Jeden za drugim pomaszrowali pułkownicy na dywanik. Stanęli przed obliczem. Za pułkownikami - podpułkownicy. Nie patyczkuje się Stary, szybko zapadają decyzje. Wkrótce moja kolej... Strach.

- Referuj.

- Turystyka alpejska.

- Turystyka alpejska? - Nawigator wolno unosi się z fotela. - Powiedziałaś: turystyka alpejska? - Nie może usiedzieć. Szybkimi krokami przemierza pokój i patrząc gdzieś nade mną powtarza: - Turystyka al-pej-ska. -Palcem wskazującym prawej dłoni dotknął wielkiego czoła i z miejsca nacelował go na mnie, jak pistolet: -Zawsze wiedziałem, że masz głowę na karku.

Rozsiada się w fotelu. Pomarańczowy odblask lampy zaświecił w rozumnych oczach.

- Opowiedz mi o alpejskiej turystyce.

- Towarzyszu generale, VI Flota amerykańska kontroluje Morze Śródziemne. Jasna sprawa, że GRU śledzi ich z Włoch, Grecji, Turcji, Syrii, Libanu, Egiptu, Libii, Tunezji, Algierii, Maroka, Hiszpanii, Francji, z Malty, z Cypru, z satelitów, z okrętów piątej eskadry. VI Flotę możemy obserwować też od wewnątrz, nie tylko z boku. Punkt obserwacyjny: Alpy Austriackie. To jasne, że nasze doświadczenia będą wykorzystane niebawem w Szwajcarii i w innych krajach, ale to my będziemy pierwsi. VI Flota amerykańska to żyła złota. Lotniskowce atomowe, najnowocześniejsze samoloty, okręty podwodne, okręty desantowe, a na nich czołgi, artyleria, wszelkie uzbrojenie wojsk lądowych. W VI Flocie jest wszystko: ładunki jądrowe, reaktory atomowe, elektronika...

Słucha nie przerywając.

- ...Służba w VI Flocie, to *zarazem* możliwość zobaczenia co nieco w Europie; po cóż lecieć do USA, skoro można spędzić wspaniały urlop w Austrii, Szwajcarii, we Francji? Po wyczerpujących miesiącach w znojmym upale oficer marynarki trafia w śnieżne góry...

Oczy mu błyszczą.

- Gdybyś się był urodził w rodzinie szakali-kapitalistów, byłbyś przedsiębiorcą...  
Mów dalej.

- Proponuję zmienić taktykę. Proponuję przestać łowić mysz w norze, a łowić ją

dopiero w chwili, gdy wyjdzie z nory. Proponuję nie penetrować specjalnie chronionych obiektów, zaprzestać polowania na konkretną, określoną mysz. Zbudujemy łapkę na myszy. Niewielki hotel w górach. Praktycznie za darmo. 500 tysięcy dolarów to góra. Dla zrealizowania planu potrzeba mi tylko jednego: agenta, który długo pracował przy zdobywaniu informacji i wyszedł z obiegu. Potrzebuję jednego ze starców, bez reszty, na amen wciągniętego w nasze sprawy, kogoś, komu ufacie. Myślę, że powinniście mieć kogoś odpowiedniego w agenturalnej „konserwacji”. Znajdziemy niewielki hotel w górach na skraju bankructwa. O taki nietrudno. Tchniemy weń nowe życie, wprowadzając naszego agenta z forszą w charakterze partnera. Uratujemy hotel i właściciela będziemy mieli w kieszeni. Zgromadzimy dane o wie-

lu hotelach, a wybierzemy ten, w którym Amerykanie z VI Floty goszczą najczęściej. Hotel nie ma być miejscem werbunków, lecz punktem rozpracowywania obiektów. Błyskawiczny werbunek później, gdzie indziej.

- Mimo wszystko hotel to wariant bierny: ktoś przyjedzie, albo nie przyjedzie... za dużo czekania...

- Rybak też czeka, musi tylko wiedzieć, gdzie zarzucić wędkę i z jaką przynętą.

- Dobra. Masz zebrać materiał na temat małych górskich hotelików, które z różnych względów są do sprzedania. Wybieraj takie, w których interes nie idzie najlepiej.

- Towarzyszu generale, zebrałem już odpowiednie materiały. Oto one...

#### IV

Nie pracuję już w ubezpieczeniu. Cały „przodek” to widzi. Każdy stara się przepowiedzieć mi przyszłość. Czy aby na długo te przywileje? Odgadnąć, co może nastąpić nie jest trudno, wystarczy obserwować pierwszego szyfranta. Wie wszystko, jest barometrem aktualnych sympatii i antypatii Starego.

Pierwszy szyfrant raptem zaczął zwracać się do mnie z szacunkiem per „Wiktorze Andriejewiczu”. Szyfrówka dla was, Wiktorze Andriejewiczu. Dzień dobry, Wiktorze Andriejewiczu. Proszę tu podpisać, Wiktorze Andriejewiczu.

Prawdziwy wstrząs. Nigdy go jeszcze takim nie widziałem. To nic, że nie jest oficerem operacyjnym, ale za to stoi najbliżej Nawigatora. Ma stopień podpułkownika. Z takim szacunkiem zwracał się dotychczas tylko do pułkowników operacyjnych, a do podpułkowników, majorów czy kapitanów zwracał się bezosobowo: - Szyfrówka dla was! - i tyle. A tu raptem taka zmiana: przypomniał sobie moje imię! Gdy po raz pierwszy publicznie zwrócił się do mnie po imieniu, cała sala przycichła z wrażenia. Zdumione oczy patrzyły w

moją stronę. Sie-riozy Dwudziestemu Siódmemu aż szczęka opadła.

Wtedy właśnie, kiedy pierwszy raz dostałem takiej łaski, szyfrant wzywał mnie do Nawigatora:

- Wiktorze Andriejewiczu, dowódca was oczekuje.

Teraz wszyscy zdążyli się już przyzwyczać i tylko ciekawi ich, czemu zawdzięczam takie wyróżnienie. Czasem wpadnie mi w ucho strzęp rozmowy: zwerbował chińskiego attache! Różne słuchy krążą na mój temat. Do ścisłego grona wtajemniczonych należą tylko Nawigator, pierwszy szyfrant i Mikołaj Tarasowicz Moroz, były Pierwszy Zastępca. Już nie pije. Nikt już się z niego nie nabija. Poprzednio, gdy był Pierwszym Zastępcą, mówił: „Rozkazuję!”. Potem nic nie mówił. Teraz, będąc nadal zwyczajnym oficerem operacyjnym, zaczął mówić: „W imieniu Rezydenta rozkazuję!”. Jego głos znów nabrał pewności. Skoro wydaje rozkazy, znaczy, że ma pełnomocnictwa, że ma za sobą prawo.

- Towarzyszu generale, potrzebuję na jutro trzech ludzi do ubezpieczenia, a w nocy z soboty na niedzielę pięciu.

- Bierz.

- Kogo?

- Uzgodnisz z Mikołajem Tarasowiczem. Kto wolny, tego zabieraj.

- A jeżeli to będą pułkownicy, podpułkownicy?

- Też możesz wziąć.

- I dowodzić nimi?

- Jak najbardziej. W dniu operacji zezwalam na formułę: „W imieniu Rezydenta”.

- Dziękuję, towarzyszu generale.

Pracuję w parze z Mikołajem Tarasowiczem. Jak dwóch asów przestworzy pod osłoną całej eskadry.

Zastawiamy w górach pułapkę. Rozkręcamy wielki interes. Nie mam nic przeciwko temu, że były Pierwszy Zastępca został podłączony do mojego projektu, że jestem mu podporządkowany: ma wielkie doświadczenie z własną agenturą.

Za zgodą Akwarium Nawigator wyciąga z „konserwacji” starych agentów i ściąga ich do Austrii celem przeprowadzenia operacji „Turystyka alpejska”. Kupiono nie jeden hotel, lecz trzy. Niewielki wydatek jak na kieszeń GRU.

Zdjęci z „konserwacji” starzy agenci operacyjni mają bardzo różne zadania. W większości weszli w skład gru-



py agenturalnej z bezpośrednim kanałem łączności. Mogą przesyłać swoje doniesienia prosto do Watutinek, bez narażania siebie i nas na jakiegokolwiek ryzyko. Kilku starych pracuje pod kontrolą Mikołaja Tarasowicza, jeden podlega mnie.

Dawniej występował pod kryptonimem 173-W-106-299, teraz nazywa się 173-W-41-299. Zwerbowano go w 1957 roku w Irlandii. Pięć lat pracował przy zdobywaniu informacji. Co zdobywał konkretnie, tego *dossier* nie ujawnia. Między wierszami można domyśleć się dużej aktywności i znacznych osiągnięć. Dalej następuje tajemnicza przerwa w życiorysie. *Dossier* mówi jedynie, że w tym czasie nie podlegał wiedeńskiemu rezydentowi GRU i miał bezpośrednią łączność z Akwariem. Ten okres zakończył się przyznaniem mu Orderu Lenina, wypłatą potężnej premii i wycofaniem na dłuższą „konserwację” z równoczesnym przejściem pod kontrolę naszej rezydentury.

Przez całe lata „konserwacji” nikt nie zjawiał się u niego na żadne spotkanie. Obecnie powraca ze śpiączki do czynnej służby. Otrzymał kontrolne zadanie; sądzi, że pracuje, ale jest tylko sprawdzany: Czy nie sypnął? Czy nie przeszedł na drugą stronę?

V

Nawigator zmienia kurs - wszyscy to czujemy. Ostro zawinął sterem i prowadzi nasz okręt przez wzburzone fale. Ryzykuje. Przechył jest coraz większy. Jeszcze trochę i nabierzemy wody przez burtę! Ale Stary ma pewną dłoń.

Coś się zmienia. Wzrasta intensywność ubezpieczenia. Zaczęły się zupełnie nowe operacje. Skontaktować się z biurem podróży! Zebrać odpowiedni materiał o przewodnikach górskich i personelu hotelowym. Ściśle tajne. Nawiązać kontakt z agencją reklamową na wybrzeżu śródziemnomorskim. Niech to diabli, w głowie się kręci od tego turystycznego biznesu!

Oficerowie operacyjni tłumnie walą do zastępców Nawigatora, potem nie ma ich po kilka dni. Schować nadajnik w górach. Włożyć pieniądze do skrytki. Więcej pieniędzy. Zastępcy Nawigatora weryfikuj ą wykonane zadania. Co się, u diabła, dzieje? Nawigator zajęty, nikogo nie przyjmuje, a zastępcom niezbędna jest jego rada. Nic nie pomoże, trzeba pójść do Mikołaja Tarasowicza. Co prawda już nie jest Pierwszym Zastępcą, ale nadal, drań, wszystko wie jak dawniej. Tłoczą się zastępcy w gabinecie Mikołaja Tarasowicza. Na dobrą sprawę nie należy mu się gabinet, bo jest jednym z wielu operacyjnych. Ale nowy Pierwszy Zastępca jak dotąd nie przybył...

Mikołaj Tarasowicz jest nikim, a mimo to zastępca Nawigatora woli zajrzeć do niego, przekonsultować to i owo, niż *narazić* się na wymówki Starego, niż się pomylić. Wystarczy jeden błąd - i Syberia.

Znowu ubezpieczanie wciągnęło wszystkich w swój kierat. Dnie i noce bez niedziel, bez świąt, bez wytchnienia.

- Mikołaju Tarasowiczu, nie ma kogo dać do ubezpieczania!

- Pomyślcie, Aleksandrze Aleksandrowiczu, zastanówcie się.

Aleksander Aleksandrowicz myśli. :i - Może Witę Suworowa?

- Nie. Jego nie można.

- W takim razie kogo? - Aleksander Aleksandrowicz, zastępca Nawigatora, ma tylko jednego oficera operacyjnego w rezerwie, jest nim Mikołaj Tarasowicz Moroz. Spogląda nań pytająco. Może sam się zgłosi? Wiadomo, że nie ma kogo posłać. Wszyscy w terenie. Ale Mikołaj Tarasowicz milczy.

- No i co, ja sam mam iść na ubezpieczanie, czy jak? Jestem bądź co bądź zastępcą.

- A czemu nie mielibyście się raz przelecieć, skoro nie ma nikogo innego?

Aleksander Aleksandrowicz zastanawia się jeszcze chwilę, wreszcie znajduje rozwiązanie: Saszka-Aeroflot skoczy dwa razy w ciągu jednej nocy.

- No widzisz? Mówisz, że nie ma kogo posłać w teren.

Gdzież ty nas, Nawigatorze, tak popędzasz? Czy można dawać tyle pary? Żeby tylko nie skończyło się wybuchem... Nie wybuchną, są wyćwiczeni, wszyscy ze Spec-nazu. Do ubezpieczania! Wszystkich! Aleksander Ale-

ksandrowicz, do ubezpieczania! A ciebie obstawia nowy *attache*, zielonym Mercedeselem.

Wszyscy są zmordowani, nerwy napięte. Jedna pomyłka - i *Hurma*. Każdą operację uzasadnia szczegółowy plan, z każdej operacji składa się szczegółowe sprawozdanie. Wszystko na piśmie, żeby w razie czego ułatwić oficerom śledczym z I Zarządu GRU ustalenie winnych.

W wielkiej sali światło już w ogóle nie gaśnie, nie wyznacza się dyżurnych, bo o każdej porze dnia i nocy tkwi tam masa oficerów operacyjnych.

Po lewej ode mnie siedzi przy biurku Sława z przedstawicielstwa handlowego, młodziutki kapitan. Pisze raport, zasłania go ręką przed moim wzrokiem. Słusznie, nikt nie ma prawa znać cudzych sekretów. Skąd miałby wiedzieć, że to ja jestem autorem operacji, że przed tygodniem całą noc ustalaliśmy wszystkie szczegóły: Nawigator, Mikołaj Tarasowicz i ja. Skąd miałbyś, Sława, wiedzieć, że to mnie właśnie ubezpieczałeś? Widziałem cię wyraźnie, gdy wyszedłeś na leśną przesiekę. A ty mnie nie widziałeś, wiedzieć nie mogłeś i nie miałeś prawa wiedzieć. Dobrze już, pisz, pisz.

## VI

Boli mnie głowa, pieką mnie oczy. Siedzę w gabinecie Mikołaja Tarasowicza. Sprawdzam hotelowe księgi meldunkowe. Z różnych hoteli, włącznie z tymi, które do nas nie należą. Mamy kopie rejestrów. To już historia, ale kto zna historię, potrafi wyciągnąć wnioski na przyszłość. Słuszne czy niesłuszne - to już inna sprawa. Nie można jednak przewidzieć przyszłości nie znając przeszłości i teraźniejszości.

W Austrii są tysiące hoteli, miliony turystów. Gdy grupy operacyjne zbiorą większą liczbę ksiąg meldunkowych, zaprzęgniemy do roboty komputer: niech analizuje dane i wydaje prognozy. Tymczasem robimy to sami, ręcznie.

Grupa japońskich turystów, szesnaście osób. Czy mogą nas interesować! Ewentualnie, tylko nie mamy do nich żadnego klucza. Nie wiemy czy są ciekawi, czy nie, i niestety musimy z góry zaliczyć ich do nieciekawych,

jakby w ogóle nie istnieli. W dodatku japoński turysta nigdy nie powraca na to samo miejsce - zupełnie jak dywersant Specnazu - bo pragnie jak najszybciej zwiedzić całą planetę. Japońskich turystów z reguły przepuszczamy.

Para Anglików z Londynu. Ciekawe? Nie wiem. Przepuszczamy.

- Mikołaju Tarasowiczu, proszę zobaczyć, co znalazłem!

Patrzy, kiwa głową, cmoka z zadowolenia. Samotny Amerykanin z małego włoskiego portu Gaeta. Co wam mówi ta nazwa? Co ta nazwa może komukolwiek powiedzieć? Co ta nazwa powie oficerowie KGB? Dokładnie nic. *Zwyczajna* wioska rybacka. Każdy, komu powiecie, że w ustronnym austriackim hoteliku, gdzieś w górach, stanął Amerykanin z Gaety, wzruszy ramionami.

Każdy, ale nie my. Jesteśmy oficerami wywiadu wojskowego. Wszyscy bez wyjątku zaczynaliśmy służbę w grupie albo wydziale informacji. Wkuwaliśmy tysiące liczb i miejscowości. Dla nas nazwy takie, jak Pirma-sens, Penmarch, Oban, Holy Loch, Woodbridge, Zwei-brticken grzmiały jak muzyka. Co za rozkosz usłyszeć nazwę Gaeta! W tej portowej wiosce bazuje jeden jedyny okręt wojenny. Na burcie widnieje wielki numer 10. To amerykański krążownik USS „ATbany”, okręt flagowy VI Floty - kondensacja wszelkich tajemnic marynarki wojennej. Co za idiota ze mnie! Czemu dopiero dziś, a nie przed rokiem przyszedł mi do głowy pomysł górskich hoteli? Całkiem niedawno w jednym z tych pensjonatów wypoczywał Amerykanin z Gaety. Z pewnością miał coś wspólnego z krążownikiem „ATbany”. Nie wiemy, kto to taki, ale nie ulega wątpliwości, że Amerykanin z tej zabitej deski dziury nie mógł nie znać rodaków z krążownika. Nie musi być kapitanem

ani oficerem, ani w ogóle służyć na „ATbany” i mieć cokolwiek wspólnego z marynarką wojenną. Może być pastorem albo sprzedawcą pornografii; kimkolwiek był, miał kontakt z załogą krążownika - a to najważniejsze. Gdybyśmy naszą pułapkę zastawili rok temu, całą zgrają rzucilibyśmy się na tego Bogu ducha winnego Amerykanina.

Wielka nagonka! Dziesiątki szpiegów na jedną ofiarę! Nieszczęśnik czuje, że rekiny otaczają go ze wszystkich stron, że nie ma odwrotu. *Zdarza się*, że ofiara nie wytrzymuje zmasowanego, bezlitosnego ataku całej zgrai, naporu tej bez mała macedońskiej falangi - i kończy samobójstwem. Najczęściej jednak przystaje na współpracę. Gdybyśmy przed rokiem wiedzieli o nim tyle, co dziś, miałby na karku całą potęgę GRU! Gdyby Nawigator poprosił o wsparcie, Akwarium mogłoby rzucić siły kilku rezydentur na jeden werbunek. W takich przypadkach ofiara krzyczy i miota się bezsilnie, otoczona zgrają chartów i wikingów. Gdyby zadzwonił na policję, mógłby natknąć się na naszych chłopców przebranych w policyjne mundury. Policja przysłaby mu z pomocą, po czym doradzałaby samobójstwo albo zgodę na propozycje GRU. Kiedy horda naciera, nieszczęsna ofiara może dzwonić pod dowolny numer, wszędzie usłyszysz to samo: - Zapędzić go w ką! W matnię! - Różne bywają matnie: fizyczne, moralne, finansowe... Umiemy zapędzać w ką! Umiemy poniżać i wywyższać. Potrafimy zmusić do skoku w otchłań i w ostatniej chwili podać pomocną dłoń.

- Rozmarzyłeś się?

- Och tak, Mikołaju Tarasowiczu.

- Patrz, co znalazłem.

Czytam wpis w księdze meldunkowej. Małżeństwo Anglików z małego miasteczka Faslane; mieści się tam baza brytyjskich atomowych okrętów podwodnych. Jest więc bardzo prawdopodobne, że mają z tą bazą coś wspólnego. Ów jegomość może się okazać dowódcą jednostki albo wartownikiem, śmieciarzem obsługującym bazę lub jej okolice, mleczarzem, właścicielem pobliskiej knajpy. Może pracować w bibliotece albo w kantynie, albo w szpitalu. Każdy wariant stwarza wspaniałe możliwości, *oznacza* bowiem, że styka się on z załogami, z brygadami remontowymi, z oficerami sztabowymi.

Jeżeli w Faslane są prostytutki, można śmiało powiedzieć, że też są związane z bazą. Można za ich pośrednictwem zdobywać tajne informacje, o jakich nawet dowódcy jednostek nie mają pojęcia.

Faslane to zapadła dziura, więc każdy jest tam w jakiś sposób *związany* z bazą.

We Francji też istnieje baza atomowych okrętów podwodnych - Brest. Brest to wielkie

miasto, nie każdy mieszkaniec musi mieć coś wspólnego z marynarką wojenną. Właśnie dlatego staramy się wyszukiwać małe miściny, w których znajdują się ważne obiekty wojskowe. Na przykład -Faslane. Londyńska rezydentura dyplomatyczna unika wysyłania tam swoich ludzi; brytyjski kontrwywiad nie próżnuje: łapie często i bez skrupułów wydalą. Nie rozwiniesz tam skrzydeł. Zresztą każdy obcy wzbudziłby czujność miejscowych. Właśnie dlatego siedząc w Austrii polujemy na przybyszów z tych małych miasteczek, których nazwy tak słodko brzmią w uszach każdego oficera operacyjnego.

Całe noce spędzamy na wertowaniu rejestrów. Licho wie, a nuż komuś z gości przyjdzie do głowy jeszcze raz odwiedzić ten sam pensjonat? Jeśli nie, to trudno. Znajdziemy sobie nowych.

Księgi meldunkowe to przeszłość. Co było, nie wróci, jednak z lektury wczorajszych zapisów wyłania nam się wyraźnie kształt jutrzejszych operacji.

## VII

Nawigator ma srogą minę.

- Rozkazem szefa Sztabu Generalnego został wyznaczony mój Pierwszy Zastępca. Milczymy.

- Aleksandrze Iwanowiczu, proszę odczytać szyfrówkę.

Pierwszy szyfrant obrzuca nas obojętnym wzrokiem, a następnie czyta z niewielkiego, jaskrawożółtego karte-luska:

„Ściśle tajne. Rozkazuję mianować na stanowisko pierwszego zastępcy dowódcy rezydentury dyplomatycznej GRU 173-W pułkownika Moroza Mikołaja Tarasowicza. Szef Sztabu Generalnego marszałek Związku Radzieckiego Ogarkow. Szef GRU generał armii Iwaszutin”.

Dowódca uśmiecha się. Uśmiecha się pierwszy szyfrant. Mikołaj Tarasowicz jest wzruszony - znowu jest

Pierwszym Zastępcą. Cieszę się, moi towarzysze również. Nie wszyscy.

U nas w GRU, w Armii Radzieckiej i w KGB, w całym Związku Radzieckim bardzo rzadko się *zdarza*, żeby ze stanu niełaski awansować na wyższe stanowisko. To prawie jakby z grobu powstać. Tylko nielicznym się udaje. Na ogół jeżeli już spadasz, to na samo dno i na zawsze.

Podchodzimy do Pierwszego Zastępcy i po kolei składamy mu gratulacje. Koniec z formułą „w imieniu Rezydenta”, odtąd jest wszechmocny również pod względem prawnym. Myślę, że nie całkiem zapomniał, kto pozwalał sobie na kpiny w trudnych dla niego chwilach.

Kpiarze też to rozumieją i wiedzą, że przypomni im to w odpowiednim czasie. Nie teraz, poczeka. Każdy wie, że oczekiwanie zemsty jest znacznie gorsze, niż sama zemsta. Pierwszy Zastępca ma dużo czasu.

- Winszuję wam, Mikołaju Tarasowiczu. - To moja kolej. Ściska mi dłoń, patrzy prosto w oczy, mówi cicho: - Dziękuję.

Oprócz nas tylko Nawigator i pierwszy szyfrant rozumieją prawdziwe znaczenie tego „dziękuję”. W ubiegłym miesiącu podlegający mi agent 173-W-41-299 - obecnie współwłaściciel małego hoteliku - zwrócił się do mnie o kontakt. Chciał zawiadomić mnie o pobycie gościa z małego belgijskiego miasteczka, którego nazwa śni się po nocach wszystkim oficerom GRU. Powinienem był natychmiast udać się na werbunek. Połączyłem się z Nawigatorem - i odmówiłem. Nie mogę, za mało mam doświadczenia. Za ten werbunek dostałbym czerwoną gwiazdę na pierś albo srebrną na ramię. Doświadczenia też mi nie brakuje. Ale... odmówiłem. Nawigator wysłał Mikołaja Tarasowicza, no i dzisiaj jest jubilatem.

- Dziękuję, Witia. - To Nawigator ściska mi prawicę. Wszyscy na nas patrzą, nikt nie rozumie. Za co mi Nawigator dziękuje, za co mi dłoń ściska, co za święto? A Nawigator położył mi rękę na ramieniu, klepie po plecach: i przed twoim okienkiem stonce zaświeci. Nie wiem, czemu spuściłem wzrok. Nie żał mi tego werbunku, ani trochę.

Powodzenia życzę, Mikołaju Tarasowiczu.

## VIII

Chorują tylko lenie. Czy to aż taki wysiłek - raz na miesiąc skoczyć do lasu, aby zażegnać wszelkie choróbska? Ja osobiście zawsze znajdę chwilę czasu, nawet kiedy mam nawał pracy. Tym bardziej teraz.

Jestem daleko w górach. Wiem, że nikogo tu nie ma, umiem to sprawdzać. Nie, nie czekają mnie żadne skrytki ani tajne spotkania. Przyszedłem tu na mrówki. Wielkie, rude, leśne mrówki. Na słonecznej polance, wśród sosen mają swoje królestwo, swoje miastopństwo. Rozbieram się i skaczę w mrowisko, jak do zimnej wody. Są ich tysiące! Cała masa, mrówczy Szanghaj. Biegają oszalałe po rękach i nogach, wpijają się boleśnie w moje ciało. Gdyby zostać dłużej, zjedzą żywcem, lecz jedna minuta uzdrawia, jak jad żmii. Dużo - to śmierć, odrobina -to lekarstwo.

Nie na darmo wąż uchodzi za symbol medycyny. Nigdy nie leczyłem się jadem żmii, nie miałem na to czasu. Na mrówki nie potrzeba czasu, starczy znaleźć duże mrowisko i hop!

Substancja wydzielana przez mrówcze gruczoły to wspaniały środek konserwujący. Dopadnie mrówka gąsienicę, ukąsi - i taszczy do swojej mrówczej spiżarni. Po tym ukąszeniu

odwłok przechowa się przez całe lata jak w zamrażalniku.

Z żywym ciałem prawdziwe cuda się dzieją: twarz bez zmarszczek, cera zdrowa, zęby mocne. Mój dziadek zmarł w wieku 93 lat bez jednej zmarszczki i z prawie wszystkimi zębami. Te trzy brakujące - Czerwoni wybili.

Nie tylko mój dziadek, cała Ruś znała sekret mrówczej terapii. A przedtem Bizancjum. Już w starożytnym Egipcie wystawiano faraonów po śmierci na dwie doby na mrówcze zgromadzenia. Mijają tysiąclecia, a ciała ich nie uległy rozkładowi.

Mrówka wie, gdzie kąsać. Kłuje swym żądłem dokładnie tam, gdzie trzeba. Jak w chińskiej akupunkturze.

Galopuję przez krzaki, strącam mrówki. Dobra, kochane, starczy na dzisiaj.

y ix

ł ^niknął Przyjaciel Ludu. Przyjaciel Ludu - to przydomek rezydenta KGB, naszego Głównego Sąsiada. Chłopcy z bezpiecznieckiego gniazdka chodzą posepni. Pewnie sami dobrze nie wiedzą, co się dzieje. Rezydenci KGB z Wiednia, Genewy, Bonn i Kolonii zostali wezwani do Moskwy i z niewiadomych powodów nie wrócili. Póki co rezydenturami kierują ich zastępcy.

Ewakuacja - rzecz okrutna i nieodwołalna. Dostajesz szyfrówkę: ojciec ciężko chory, pragnie pożegnać się przed śmiercią. Lecisz samolotem - a tu eskorta, żebyś czasem nie przysnął. Przybywasz do bohaterskiego miasta Moskwy i prosto z lotniska na śledztwo. Kto u nas jest bez winy? Dajcie tylko człowieka, paragraf zawsze się znajdzie. Prawda, że *teraz* nie rozstrzeliwują jak w trzydziestym siódmym. Rozstrzeliwują, tylko na mniejszą skalę.

Na czym się Przyjacielowi Ludu noga powinęła? Kto to wie? Można, oczywiście, posłuchać plotek, ale wiadomo, że specjalna sekcja je rozsiewa, żeby ukryć prawdziwe przyczyny...

Często tak bywa, że rozkręcasz jakiś interes i od początku leci jak z płatka, szalone powodzenie. Nie na długo. Tak też było z naszymi przedsięwzięciami komercyjnymi. Ledwo zaczęliśmy operację - od razu niebывały sukces: werbunek, za który Pierwszemu Zastępcy przebaczone haniebną wyspę.

Pierwszy Zastępca wraz z grupą ubezpieczenia raz po raz przynosi kolejne supertajne dane. Po każdym takim wypadku generał-pułkownik Zotow, szef Informacji GRU, śle entuzjastyczne szyfrówki.

W Służbie Informacji słowo „dostatecznie” pada tylko wówczas, gdy jakość dostarczanych informacji jest słaba. W każdym innym wypadku słyszymy „niedostatecznie”.

Podobnie miliarder zawsze chce mieć więcej pieniędzy, kobiecie nigdy nie dość pięknych strojów, zbieraczowi zawsze brakuje jednego zardzewiałego miedziaka. Sztab Generalny chce znać jak najwięcej sekretów wroga. Bez względu na to, ile zdobędziemy, zawsze będzie czegoś brakować w ustaleniu dyslokacji przeciwnika, jego planów, uzbrojenia.

Nasze pensjonaty alpejskie na razie nie przynoszą spodziewanych rezultatów. Nie jest to prosta sprawa. Nie co dzień trafiają w nasze progi ludzie z małych miasteczek o dziwnych nazwach, jak Minot albo Offutt. Nasza hotelarska agentura otrzymała karteczki ze spisem miejscowości, gdzie praktycznie każdy mieszkaniec musi być związany z obiektami najwyższej wagi. Na razie cisza, do sieci trafiła jedna rybka, to wszystko. Tę jedną jedyną rybkę dobrowolnie odstąpiłem Pierwszemu Zastępcy, ponieważ pilnie potrzebował sukcesu.

Ton szyfrówek z Akwarium *zdradza* lekkie rozdrażnienie: dlaczego Czterdziestego Pierwszego nie dajecie do ubezpieczenia? Sam przecież przyznał, że nie dorósł do samodzielnej pracy.

X

U naszych sąsiadów odświętny nastrój. Kilka lat temu z radzieckiego okrętu wojennego uciekł oficer. Polowały nań bezskutecznie rezydentury KGB w różnych krajach, a w końcu dopadła ofiarę właśnie wiedeńska rezydentura dyplomatyczna. Zastępca rezydenta KGB nawiązał kontakt z wywiadem amerykańskim i podsunął mu zupełnie wiarygodne tajne informacje. Po pewnym czasie wyraził chęć przejścia na stronę Amerykanów. Przed podjęciem ostatecznej decyzji postawił warunek, że chce się spotkać z radzieckim oficerem, który zwał jakiś czas temu, aby przekonać się, jak mu się żyje. Wywiad amerykański nie zwęszył sprytnej prowokacji, przysłał nieszczęśnika na spotkanie z KGB, dlatego dziś sąsiedzi świętują.

Cóż, powodzenia, przyjaciele ludu. Nieźle nauczyliście się wykradać ludzi, ale jednak nie potrafiliście dobrać się do amerykańskich sekretów atomowych, nie udało wam się przechwycić szkiców francuskich rakiet przeciwpancernych, angielskich torped, niemieckich silników czołgowych? Co?

- Wiktorze Andriejewiczu, sygnał dla was.

Filizanka z kawą na bok. Dokumenty do teczki, teczka do sejfu, klucz do skrytki pancerniej. Dziś zmienili szyfr, trzeba zapamiętać.

- Biegiem.

Czwarty szyfrant przodem, ja za nim. Betonowymi schodami w dół, do bunkra.



Przyciska guzik sygnalizacji, drzwi szczęknięły - można wejść.

Jesteśmy w małym, betonowym pomieszczeniu. Ściany białe, chropowate, zachowały do dziś ślady szalunku z budowy bunkra. Następne drzwi szczelnie zamknięte. Obmacują nas ciekawskie kamery. Czwarty szyfrant zamyka za nami wejście. Od wewnątrz przypomina hermetyczny właz okrętu podwodnego. Szyfrant wkłada rękę pod zasłonkę i wystukuje kod. Nie widzę jego dłoni, nie wiem, co tam majstruje, nie mam prawa. Podobno wystukanie niewłaściwej kombinacji automatycznie uruchamia potrzask. Nie wiem, czy to prawda, czy tylko szyfranci tak żartują. Oficer operacyjny nie zna ich sekretów.

Gdy wewnętrzna ochrona bunkra sprawdziła wreszcie, że to swoi, główne drzwi płynnie i bezszelestnie przesunęły się w bok. Za drzwiami widzę Pietię ze Specnazu. - Prosimy. - KGB dobiera swoich wartowników spośród oficerów wojsk ochrony pogranicza, a GRU - z oficerów batalionów dywersyjnych. Jednym strzałem dwa zające. Po pierwsze GRU ma pewną, wypróbowaną ochronę, po drugie dywersanci mogą sobie czasem pojeździć autokarem po kraju, żeby poznać przyszłe lądowiska, skrytki, kryjówki, posterunki policji.

Wiedeńską rezydenturę dyplomatyczną GRU ochraniają komandosi z 6. Gwardyjskiej Armii Pancerniej. Jest to armia wysokogórska ze szczególną tradycją. Swego czasu przedarła się przez Chingan Wielki, docierając do wybrzeży Pacyfiku. Jednym rzutem przebyła 800-kilometrowy dystans przez tereny, które wszyscy teoretycy uważali za niedostępne dla czołgów. Teraz 6. Gwardyj-ska Armia Pancerna szykuje się do skoku *przez* Austrię, lewym odsłoniętym brzegiem Renu - do Morza Północnego. Alpy w porównaniu z Chinganem to niewinne wzgórza. Niemniej jednak też trzeba wiedzieć, jak się przez nie przedostać. Właśnie dlatego w Wiedniu służą dywersanci wyłącznie z tej armii. To oni będą szli przodem, torując drogę swymi ostrymi nożami.

- Dzień dobry, Wiktorze Andriejewiczu. — Pietia wita mnie ciepło.

- Jak się masz, rzezimieszku. Zgnuśniałeś do reszty w tym bunkrze?

- Nie zgnuśniałem, tylko odpiąłem - śmieje się Pietia. -Sześć miesięcy nie widziałem spódniczki. Nawet z daleka.

- Trzymaj się, na okrętach podwodnych bywa gorzej.

Idę korytarzem wzdłuż pancernych drzwi. W poprzek zawieszono dziesiątki ciężkich kotar, więc nie wiadomo, czy jest długi, czy nie. Być może już za następną kotarą korytarz się rozwidla albo zakręca. Nie mam prawa tego wiedzieć. Drzwi do sali sygnalizatorów — pierwsze po lewej.

W niskim pomieszczeniu też pełno szarych zasłon. Podobno na wypadek pożaru. W

każdym razie bywałem tu dość często, a jednak pojęcia nie mam, ile sygnalizatorów znajduje się w sali.

Jedna zasłona jest odsunięta, czeka na mnie. Za nią stoi szara skrzynka. Na tabliczce informacyjnej starannie wykaligrafowany napis: „Nadał 299. Przyjął 41”. Szyfrant wkłada kluczyk, przekręca go, po czym opuszcza pokój. Teraz ja wkładam swój klucz, też przekręcam i otwieram stalowe drzwiczki. Ukazują się rzędy zielonych żarówek. Jedna z nich się świeci: 28. Wciskam guzik, światelko gaśnie. Równocześnie gaśnie kontrolka nad moim aparatem: znak dla szyfranta, że został odebrany jakiś sygnał. Szyfrant nie ma prawa wiedzieć, jaki to sygnał. Tylko ja wiem, że chodzi o sygnał „28”. Nawet gdyby szyfrant dowiedział się, że otrzymałem sygnał „28” od agenta 173-W-

-41-299 i tak nic by z tego nie zrozumiał. Zapalona żaróweczka 28 oznacza, że agent 173-W-41-

-299 pragnie skontaktować się ze mną. Sygnał „28” ustala, że łączność pośrednia, „nieosobista”, nastąpi w pierwszą sobotę licząc od dnia nadania sygnału. Czas spotkania - między 4.30 a 4.45 nad ranem. Miejsce spotkania - Attersee, rejon Salzburga.

Dwieście Dziewięćdziesiąty Dziewiąty ma do dyspozycji cały system sygnałów i może w dowolnej chwili zażądać kontaktu pośredniego lub bezpośredniego. Każdy sposób łączności jest opracowany w najdrobniejszych szczegółach i ma ustalony numer. Pod numerem 28

kryje się precyzyjny plan, zawierający różne warianty i zapasowe kombinacje.

GRU zapewnia sobie bezpieczeństwo unikając spotkań z cenną agenturą; sprowadza je do minimum, w miarę możliwości - do zera. Już dziesięć miesięcy pracuję z agentem 299, ale nigdy nie widziałem go na oczy, co więcej - nigdy go nie zobaczę. Dwa, trzy razy na miesiąc nawiązuje się z nim łączność nieosobistą, ale w ciągu 21 lat pracy dla GRU Dwieście Dziewięćdziesiąty Dziewiąty miał zaledwie 6 kontaktów osobistych i widział tylko dwóch oficerów GRU. To bardzo słuszna taktyka. Dzięki niej agentura nie ponosi konsekwencji naszych błędów, a oficerom operacyjnym nie zagrażają skandaliczne wsypy i sensacyjne zdjęcia na pierwszych stronach gazet.

Podczas kontaktu nieosobistego oficer GRU i jego agent mogą być oddaleni o dziesiątki kilometrów. Ani jeden, ani drugi nie wie, gdzie się znajduje jego rozmówca. Chcąc przekazać wiadomość albo wymienić jakieś uwagi nigdy nie korzystamy z radiostacji ani linii telefonicznych. Używamy rur kanalizacyjnych albo wodociągów. Można też podłączyć dwa telefony do metalowego ogrodzenia lub rozciągniętych drutów kolczastych. Te „odcinki

łącności" są zawczasu ustalane i sprawdzane przez oficerów ubezpieczenia.

Najczęściej jednak do komunikacji z cennym agentem GRU używa wielkich zbiorników wodnych. Niech sobie policja przesłuchuje eter. Woda jest najlepszym przewodnikiem sygnałów, niemal niekontrolowanym. Kiedy policja zacznie śledzić wszystkie rezerwuary, wszystkie rzeki, jeziora, morza i oceany, wtedy zmienimy system. Do tego czasu Instytut Łączności GRU na pewno coś wykombinuje.

## XI

Krople rosy na butach. Brnę w wysokiej, mokrej trawie w stronę jeziora. Wokoło brzozy i jodły. Czubki choinek obwarowały wodę gęstym częstokołem. Cisza dzwoni w uszach. Żeby tylko nie nadepnąć na suchą gałąź, nie naruszyć spokoju tej czystej wody, tej kryształowej przej-

rzystości nieba i różowych szczytów gór. Kiedyś przyjdzie tutaj Specnaz, ale miękkie obuwie dywersantów nie zakłóci tej ciszy. A po nich z hukiem i wyciem przejdzie tędy 6. Gwardyjska Armia Pancerna. I znowu cisza. Mały, przytulny obóz koncentracyjny na brzegu jeziora nie zburzy tej sielanki. Może będę komendantem obozu, a może zwyczajnym *zekiem* — współtowarzyszem niedoli miejscowych socjalistów i pacyfistów. Tak było zawsze: kto pierwszy wita Armię Czerwoną, ten pierwszy pada pod jej ciosem.

Zorza zwiastuje nadchodzący dzień. Zaraz wschód słońca. Już niebawem zza górskich szczytów wytrysną kaskady światła. Jeszcze moment i ogłuszający szczebiot triumfalnym hymnem powita światłość. Na razie cisza. Natura zamarła na chwilę przed wybuchem olśnienia, radości i życia.

Kto podziwia ten widok? Tylko ja. Witia-szpieg. No i mój agent nr 299. Skrada się do jeziora od drugiej strony. Czy zdaje sobie sprawę, że w tej właśnie chwili obaj przygotowujemy na tym pięknym brzegu teren pod budowę kacetu? Czy stary dureń pojmuje, że obaj możemy się znaleźć w tym malowniczo położonym łagrze, a jego agenturalny numer kodowy może być jego przyszłym numerem obozowym? Ja to co innego. Nie wiem, co począć, urodziłem się i wychowałem w tym systemie. A ta zakuta pała pomaga nam z własnej, nieprzymuszonej woli. Jeżeli komuniści nie postawią mnie pod mur, jeżeli nie spalą mnie żywcem w krematorium i nie zatopią na przepelnionej barce, lecz zrobią mnie komendantem łagru, wtedy wszystkich tych wolontariuszy umieszczę w osobnym sektorze i nie dam im nawet kęsa. Niech pożerają się nawzajem. Niech każdego dnia ustalają, kto z nich jest najślabszy. Niech każdy boi się zmrużyć oka, żeby nie udusili go we śnie i nie zjedli. Wtedy może zrozumie, że nie ma na świecie harmonii i być nie może. Że każdy musi bronić

sam siebie. Do diabła, żeby też zechcieli zrobić mnie komendantem obozu!

Już czas.

Zarzucam wędkę. Wygląda jak zwyczajna wędka. Różnica polega na tym, że z uchwytu można wyciągnąć malutki drucik i podłączyć go do zegarka. Z kolei zegarek jest połączony przewodem z malutkim szarym pudełkiem; przewód ukryty w rękawie znika w wewnętrznej kieszeni. Tarcza mojego trochę niecodziennego zegarka zaświeciła i po minucie zgasła. To znaczy, że emisja została odebrana i nagrana na cieniutki drucik magnetyczny mojego magnetofonu. Fale niosące komunikaty nie trafiają w eter. Nasze sygnały rozchodzą się między dwoma brzegami i nie przekraczają granic jeziora. Komunikaty nagrywa się zawczasu na magnetofon, a emisja odbywa się z maksymalną szybkością. Przechwycenie meldunku agenturalnego jest bardzo trudne, nawet jeżeli z góry wiadome jest miejsce, czas, częstotliwość. Bez tych informacji jest wręcz niemożliwe.

Udaję, że nakręcam zegarek. Tarcza *jarzy* się przez moment i gaśnie: odpowiedź została wysłana. Czas zwijać manatki.

## Rozdział 13

I

Towarzyszu generale, nawiązałem kontakt przez wodę z Dwieście Dziewięćdziesiątym Dziewiątym. Zawiadamia, że jest mało prawdopodobne, by w najbliższych miesiącach pojawili się u niego w hotelu klienci z interesujących nas miejscowości.

- To fatalnie.

- Ale nr 299 nie próżnuje. Zawarł przyjazne stosunki z właścicielami okolicznych pensjonatów i czasem pod różnymi pretekstami ma możliwość przejrzenia rezerwacji na kilka tygodni naprzód.

- Myślisz, że to niczym nie grozi? - Dowódca wie, że to niczym nie grozi, ale ma obowiązek zadać mi to pytanie.

- Nie, towarzyszu generale, niczym. Dwieście Dziewięćdziesiąty Dziewiąty jest sprytny i doświadczony. Dowiedziałem się od niego, że w sąsiednim hoteliku - przysuwam kartkę papieru i piszę nazwę: nawet w specjalnie chronionych pomieszczeniach notujemy takie *rzeczy* na papierze, na głos przytaczając przypadkowe miejsca i daty - że w sąsiednim hoteliku zarezerwował pokój niejaki... - tu znowu piszę nazwisko. - Pracuje w Hiszpanii, w mieście...

Na leżącej przede mną kartce stawiam triumfalnie cztery litery: ROTA.

Patrzy na mnie, nie wierzy własnym oczom. Jeszcze raz piszę tę krótką, cudowną nazwę, o której całe GRU może tylko śnić po nocach, która w naszych uszach brzmi jak anielski śpiew: Rota.

Radość mnie rozsadza. Na całym świecie są setki miejsc interesujących radziecki wywiad wojskowy, a każde z nich to gratka, uśmiech fortuny. Tym razem trafiłem w dziesiątkę: Rota!

- Mam cię sprawdzić? - żartuje, naturalnie. Nie ma takiego oficera GRU, który nie znałby szczegółowej charakterystyki tej bazy. Na słowo ROTA w mózgu jak w komputerze zapalają się krótkie sygnały: powierzchnia akwenu - 25 kilometrów kwadratowych; wejścia do portu chroni falochron - 1.500 metrów; trzy pirsy po 350 metrów, głębokość przy pirsach -

12 metrów; skład amunicji - 8.000 ton; zbiorniki paliwa - 300.000 ton; lotnisko, jeden pas startowy - 4.000 metrów. O tym, że jest to baza amerykańskich atomowych okrętów podwodnych, wie każde dziecko.

Nawigator przemierza gabinet wzdłuż i wszerz, zaciera ręce.

- Przygotuj kwestionariusz.

- Rozkaz!

II

Człowieku z hiszpańskiego miasteczka Rota, nic o tobie nie wiem. Nie wiem nawet, czy jesteś Amerykaninem, czy Hiszpanem. Siedzę i pracowicie wypełniam kwestionariusz. Jutro zostanie przepuszczony przez centralny komputer GRU, który powie mi o tobie wszystko, co wie.

Centralny komputer GRU jest dziełem genialnych amerykańskich inżynierów. Sprzedali go Związkowi Radzieckiemu krótkowzroczni amerykańscy politycy. Za ten komputer Ameryka dostała wiele milionów, a straciła - miliardy. Centralny komputer zna wszystkich. Jest bardzo mądry - pochłania istne morze informacji o całej ludzkości.

Jest bardzo żarłoczny - wsysa książki telefoniczne, listy absolwentów wyższych uczelni, pracowników za-

chodnich firm. Jest nienasycony - pochłania miliony ogłoszeń prasowych, zawiadomień o narodzinach i śmierci. Żywi się nie tylko tą makulaturą. Pożera również tajne dokumenty w niesłychanych ilościach. Każdy z nas troszczy się, by to żarłoczne amerykańskie dziecię nigdy nie zaznało głodu.

Być może dane dotyczące człowieka z Roty będą bardzo wrywkowe i niekompletne. Może centralny komputer poda nam tylko datę urodzenia albo dzień, kiedy jego nazwisko po raz pierwszy pojawiło się na liście zastrzeżonych numerów telefonicznych. Może dowiemy się nazwy banku, w którym ma swoje konto. Te wrywkowe informacje w zupełności wystarczą, by punkt dowodzenia GRU niezwłocznie skierował kilka szyfrówek tam, gdzie można zdobyć coś więcej na jego temat. Jakiś chart być może odszuka rodziców, kolegów ze szkolnej ławy, miasto rodzinne, zdjęcie. Więc kiedy spotkamy się w niewielkim hoteliku nad brzegiem górskiego jeziora, będę wiedział o tobie, człowieku z Roty, znacznie więcej, niż sądzisz. Do zobaczenia, drogi przyjacielu. *A propos*, dla większej wygody masz już swój numer: 713. W pełnym brzmieniu - 173-W-41-713. Odtąd każdy wtajemniczony wie od razu, że pracuje z tobą czterdziesty pierwszy oficer operacyjny wiedeńskiej rezydentury dyplomatycznej GRU.

### III

Czas pędzi jak oszalały. Znowu dzień i noc mieszały się w białocarnym wirze: tranzyt z Libanu; nawiązanie łączności z grupą zwerbowanych ostatnio w RPA; pośredni kontakt z jakimś nieznanym „przyjacielem”; ubezpieczanie „nielegalnych”; tranzyt do Irlandii. Nawigator i Pierwszy Zastępca zabraniają mi tracić czas na głupstwa, jednak co chwila wyskakuje jakieś ubezpieczenie wyższej wagi: a to „nielegalnych”, a to ubezpieczenie masowe, kiedy wszyscy jak jeden mąż ruszają w teren z zastępcami rezydenta włącznie. Bez wyjątków! Wszyscy do ubezpieczania! Skąd brać ludzi? Pójdiesz dwa razy w jedną noc! Tranzyt z Francji. Tranzyt z Hondurasu. Kręcka można dostać.

I nagle - stop! Wśród zapisanych gęstym maczkiem kartek mojego notesu niespodziewanie natykam się na zupełnie białą stronicę. Na niej tylko jedna notatka: „praca z 713”. Ta biała strona nosi dzisiejszą datę! A ja jak głupi siedzę w swoim fotelu z głową napęczniałą od kolejnych tajnych spotkań i operacji.

Długo wpatruję się w lakoniczny zapis, biorę słuchawkę telefoniczną i nie wykręcając żadnych cyfr pytam:

- Towarzyszu generale, czy moglibyście poświęcić mi krótką chwilę?

- Nie możesz zaczekać do jutra?

- Już od dłuższego czasu zabiegam o rozmowę - zmyślam, wiedząc, że nie ma teraz czasu na sprawdzanie. -Dziś jest ostatni dzień.

- Jak to ostatni?

- Nawet nie ostatni, towarzyszu generale, ale pierwszy.

- O, cholera. Słuchaj, w tej chwili nie mogę. Przyjdź za pół godziny. Jeżeli zobaczysz kogoś w poczekalni, poślij w moim imieniu do diabła. Zrozumiałeś?

Zrozumiałem.

Przedstawiłem mu całą marszrutę, wszystkie sztuczki i chwytaki, których zamierzałem użyć dla zatarcia śladów. Wyłożyłem też wszystko czego zdołałem się dowiedzieć o człowieku z Roty.

- No cóż, nienajgorzej. Powodzenia.

Wstał. Uścisnął mi dłoń. Po raz trzeci w ciągu czterech lat.

### IV

Tłok na drogach, sezon turystyczny w pełni. Spieszę się. Liczę, że pod wieczór znajdę się w hotelu i jeszcze dziś wezmę się do roboty. Pięć godzin spędzam w samochodzie. Czasami ruch na szosie w ogóle staje, tworzą się gigantyczne zatory, ale gdy tylko się da,

gnam przed siebie nie oszczędzając silnika ani opon, wyprzedzam wszystkie pojazdy. Słońce już chyli się ku zachodowi, zjeżdżam na boczną, wąską drogę i nie zmniejszając prędkości pędzę naprzód. Zza zakrętu wyłania się biały Mercedes. Ostry *zgrzyt* hamulców, tumany kurzu - zniosło go na pobocze. Kierowca smaga mnie światłami po oczach, ogłusza klak-

sonem; kobieta na tylnym siedzeniu Mercedesa puka się palcem w czoło, pokazując, że jestem nienormalny. Wiem o tym bez pani, *madonne*. Zakręt. Lekko muskam pedał hamulca, pisk opon, znosi mnie na przeciwny pas - i gaz do dechy, aż stopa oprze się o podłogę. Ręczę, że nie zapamiętali moich numerów, nie zdążyli nawet dojrzeć. Mocno trzymam kierownicę i nie wypuszczę jej, choćbym leciał w przepaść. Silnik wyje na wysokich obrotach, nie podobają mu się moje wybryki. Na pierwszym skrzyżowaniu odbijam w bok, na wążutką leśną drogę. Długo wspinam się pod górę, a potem w dół, do górskiej kotliny. Nie korzystam z mapy, znam te okolice na pamięć, purpurowe słońce służy mi za punkt orientacyjny.

Do hotelu dotarłem o zmroku. Stoi nad brzegiem leśnego jeziora u stóp łagodnego *zbocza*. Zimą na pewno wszystko mieni się tutaj kolorami narciarskich skafandrów. Teraz, latem - cisza i spokój. Z gór ciągnie chłodem, nad łąką ściele się wieczorna mgła. Nie mam czasu na podziwianie piękna przyrody. Idę do swojego pokoju, na drugie piętro. Nie mogę trafić kluczem do zamka. Trzeba wziąć się w karby. Otwieram drzwi, walizkę ciskam w kąt - i pod prysznic.

Czysty, wykąpany, wkładam świeży, wyprasowany garnitur, na szyję jaskrawą apaszkę, stoję przed lustrem. Nie, nic z tego: oczy nalane ołowiem, wargi zaciśnięty - fatalnie. Wyraz twarzy powinien być pogodny, beztroski. O, już lepiej. Teraz na dół, powoli, niespiesznie. Patrzą na mnie ludzie i nikomu nie przyjdzie na myśl, jakie mam trudne, wypełnione ciągłą pracą życie bez niedziel i świąt, jaki mam za sobą wyczerpujący dzień. A przecież jeszcze nie fajrant - dopiero zaczynam.

Na sali orkiestra gra na całego. Kolorowe światła miotają się po ciemnych ścianach, po suficie, po rozbawionych twarzach tryskających energią ludzi. Naraz wyrywa się trąbka, przeraźliwym głosem zagłuszając kaskady dźwięków i zniewalający rytm wciąga roztańczony tłum.

Czuję w dłoni ostry chłód wilgotnego kryształu, unoszę roziskrzony kielich z przezroczystym palącym napojem i zasłaniając nim twarz wolno omiatam wzrokiem salę. Staram się opanować napięcie, kątem oka dostrze-



gam człowieka, który w zielonej glansowanej teczce figuruje pod numerem 713. Widziałem go przedtem tylko jeden raz, na malutkiej fotografii, ale teraz poznaję bezbłędnie. To on. Przykładam szkło do ust, pociągam alkohol, wolno odwracam twarz. On powoli podnosi na mnie wzrok. Nasze spojrzenia krzyżują się. Udając radosne zdziwienie macham mu ręką na powitanie. *Zdumiony* odwraca się za siebie - nikogo. Znow patrzy na mnie pytająco: - Do kogo machasz? - do ciebie, do ciebie, do kogóżby innego! - Rozsuwając tańczących, z kieliszkiem w dłoni przepycham się w jego kierunku.

- Jak się masz! Nigdy bym nie przypuszczał, że cię tu spotkam! Pamiętasz ten wspaniały wieczór w Vancouver?

- Nigdy w życiu nie byłem w Kanadzie.

- O, przepraszam - mówię speszony, wpatrując się w jego twarz. - Tak tu ciemno, a pan tak bardzo przypomina mojego znajomego... Proszę wybaczyć...

Znow przebijam się do baru. Ze dwadzieścia minut przyglądam się tańczącym. W moim życiu nigdy nie było czasu na tańce. Staram się teraz zapamiętać najbardziej charakterystyczne ruchy. Kiedy przyjemne ciepło rozlewa się po całym ciele, wstępuję na parkiet, a tłum życzliwie się roz-stępuje. Tańczę długo. Stopniowo moje ruchy nabierają właściwej giętkości i swobody. A może tylko mi się tak zdaje. W każdym razie nikt nie zwraca na mnie uwagi. Rozbawiony tłum przyjmuje wszystkich i wybacza wszystkim.

Nie wiem nawet, kiedy odszedł. Opuściłem bar późną nocą jako jeden z ostatnich...

V

Rankiem dźwięk budzika wyrywa mnie ze snu. Długo leżę z twarzą wtuloną w poduszkę. Męczy mnie chroniczne niewyspanie. Pięć godzin to stanowczo za mało jak na wielomiesięczne zaległości.

Wreszcie zmuszam się do wstania. Kwadrans katuję się forsowną gimnastyką, potem lodowaty prysznic, po nim gorący i znow lodowaty, i znow prawie wrzący. Kto regularnie stosuje tę procedurę, wygląda o 15 lat młodziej. Dziś muszę mieć rześki i wesoły wygląd.

Schodzę pierwszy na dół i z obojętną miną pograżani się w porannej prasie.

Oto schodzi na śniadanie starsze małżeństwo. Po chwili kobieta w nieokreślonym wieku, nieokreślonej narodowości z głupim, napastliwym pieskiem. Oto grupa Japończyków. A oto i mój człowiek. Uśmiecham się, kiwam mu głową. Poznaje mnie, odpowiada na pozdrowienie...

Po śniadaniu wracam do pokoju. Sprzątanie jeszcze się nie zaczęło. Wywieszam na drzwiach tabliczkę „Nie przeszkadzać”, zamykam drzwi na klucz, spuszcza żaluzje i w

półmroku z rozkoszą wyciągam się na łóżku. Dawno marzyłem o takim dniu, kiedy nigdzie nie trzeba się spieszyć. Staram się odtworzyć w pamięci szczegóły z poprzedniego dnia, lecz tylko błogi uśmiech wypływa na mojej twarzy. Z tym uśmiechem najpewniej zasypiam.

Wieczorem tańczę zapamiętałe. On siedzi na tym samym miejscu, co wczoraj. Jest sam. Ujrzawszy go uśmiecham się przyjaźnie. Puszczam do niego oko i na migi zapraszam do rozochoconego tłumu. Uśmiecha się i gestem odmawia.

Następnego ranka znów jestem pierwszy w holu. Zjawia się tuż po mnie.

- Dzień dobry - mówię, podsuwając mu poranną prasę.

- Dzień dobry - odpowiada uprzejmie.

Na pierwszych stronach wszystkich gazet prezydent Ugandy Idi Amin. Zamieniamy kilka słów i idziemy na śniadanie.

Teraz najważniejsze, żeby go nie spłoszyć. Można, ma się rozumieć, chwycić byka za rogi, ale mam kilka dni w zapasie i dlatego stosuję „kontakt stopniowy”. Wiele stron jego osobowości pozostaje dla nas tajemnicą, ale nawet kilkudniowa obserwacja dostarcza masy bardzo ważnych informacji: jest sam, nie ugania się za spódniczkami, nie szasta pieniędzmi, ale też nie liczy się z każdym dolarem. Ma wesołe usposobienie, co nie jest bez znaczenia: najgorzej werbować ponuraka. Nie spija się, ale sączy regularnie. Dużo czyta. Uważnie ogląda dziennik telewizyjny. Ma poczucie humoru, ceni dobry dowcip. Ubiera się starannie, bez luksusu. Nie nosi drogich ozdób. Włosy nie zawsze ma nienagannie uczesane: ten szczegół też wymownie świadczy o pewnych cechach. Często zaciska szczęki, co sugeru-

je wewnętrzną samokontrolę, dyscyplinę, siłę woli. Trudno takiego zwerbować, za to potem łatwo się z nim pracuje. Długo śledzę ukradkiem jego twarz. Szczególnie interesują mnie oczy, każdy szczegół jest ważny: szeroki rozstaw, niewielkie worki pod oczami. Źrenice poruszają się wolno, na długo zatrzymując się w jednej pozycji. Powieki opuszcza bardzo wolno i równie wolno podnosi. Spojrzenie przeciągłe, nie zawsze wnikliwe, najczęściej nieobecne, rzadziej badawcze. Analizując czyjaś osobowość należy pilnie obserwować mięśnie ust w różnych sytuacjach: śmiech, gniew, rozdrażnienie, relaks. Uśmiech może być pobłażliwy, wzdorczy, szczęśliwy, ironiczny, sarkastyczny, bywa uśmiech zwycięzcy i uśmiech zwyciężonego, uśmiech człowieka speszzonego i uśmiech złowrogi. Wszystko to zależy od mięśni twarzy; ich praca jest jakby zwierciadłem duszy. Wszystkie te szczegóły są o wiele ważniejsze niż znajomość finansowych i służbowych kłopotów delikwenta, choć i te mają swoje niewątpliwe znaczenie...

Nocą rzucam do bagażnika plecak, gumki, wędkę i jadę nad odległe jezioro na ryby.

O brzasku z sitowia wylania się Pierwszy Zastępca. Siada koło mnie i zarzuca spławik. Dokoła żywej duszy. Woda jest ciepła, lekko paruje, różowa poświata zapowiada rychły świt, choć słońca jeszcze nie widać.

Zastępca Nawigatora nienawidzi wędkarstwa. Zwłaszcza mierzi go myśl, że są na świecie ludzie, którzy dobrowolnie gołymi rękami nabijają robaka na haczyk. Boi się tknąć rosówkę palcem. Gdyby był rozkaz, to co innego. Tutaj jednak on jest szefem i nie musi brać ich do ręki, dlatego *zarzuca* pusty haczyk. Jest bardzo zmęczony, oczy ma przekrwione, szarą cerę. Dla tej krótkiej rozmowy ze mną spędził całą noc za kierownicą, a ma przecież na głowie masę ważnych spraw. Słuchając mnie nie jest w stanie pohamować ziewania. Co prawda pod koniec opowieści przestaje ziewać i nawet się rozpogadza.

- Wszystko w porządku, Wiktor.

- Myślicie, że można werbować?

Trzeci raz w życiu obdarzył mnie spojrzeniem, jakim zmęczony nauczyciel patrzy na wyjątkowo niepojętnego ucznia. Nauczyciel trze opuchnięte z niewyspania oczy.

- Słuchaj, Suworow, mam wrażenie, że ty czegoś nie rozumiesz. Przecież w takiej sprawie zwyczajnie nie masz prawa pytać o zgodę. Jeżeli zapytasz, powiem nie. Kiedyś zostaniesz Pierwszym Zastępcą albo nawet Nawigatorem, ale zapamiętaj: nawet wtedy nie powinieneś nikogo pytać. Wyślesz szyfrówkę do Akwarium, a odpowiedź z pewnością spóźni się z przyczyn technicznych. Mogę bardzo dużo wiedzieć o twoim człowieku, ale przecież nie mogę go wyczuć. To ty z nim rozmawiasz i tylko twoja intuicja może przyjść ci z pomocą. W tej sytuacji ani ja, ani Nawigator, ani Akwarium: nikt z nas nie ma ochoty brać na siebie odpowiedzialności. Jeżeli go nie zwerbujesz, będzie to twój błąd, który nieprędko zostanie ci zapomniany. Jeżeli przypadkiem zostaniesz aresztowany w chwili werbunku, to też nie będzie ci wybaczone. Decyzja należy wyłącznie do ciebie. Zwerbujesz, zarobisz na swój własny order. Będzie to twój sukces i twoja kariera. Wtedy wszyscy staniami za tobą. Zapamiętaj: Akwarium ma zawsze rację. Zapamiętaj: Akwarium zawsze jest po stronie tych, co odnoszą sukcesy. Jeżeli złamiesz reguły i wpadniesz, staniesz przed trybunałem GRU. Jeśli będziesz postępować zgodnie z regułami i wpadniesz, oskarżą cię o dogmatyczne stosowanie regulaminu. Jeżeli odniesiesz sukces, wszyscy cię poprą i wszystko ci wybaczą, łącznie z naruszaniem elementarnych reguł. „Twórczo i elastycznie wykorzystał regulamin, odrzucając przestarzałe, zdezaktualizowane zasady”. Jesteś pewny sukcesu, idź i werbuj. Nie jesteś pewny, wycofaj się już teraz. Poślę kogo innego, każdy wywiadowca tylko marzy o takiej okazji. Twoja sprawa.

- Będę werbować.

- To już inna rozmowa. I zapamiętaj: ani ja, ani Nawigator, ani Akwarium nie zaaprobowaliśmy twoich zamiarów. Najzwyczajniej w świecie ich nie znamy. Pomylisz się, powiemy, żeś głupi szczeniak, który przekroczył swoje uprawnienia i zasługuje wyłącznie na kosmodrom w Plesiecku.

- Rozumiem.

- W takim razie powodzenia.

Zabrał kilka złowionych przeze mnie rybek i skrył się w szuwarach.

W,,

VI

Wieczorem pijemy z Siedemset Trzynastym. Nie podejrzewa, że od dawna ma swój numer, że centralny komputer poświęcił mu szczególną uwagę, że dookoła górskiego hotelu zgromadzono niebagatelne siły GRU, że z Akwarium przybył jeden z czołowych psychologów II Zarządu Głównego pułkownik Streszniew, który dokonał wnikliwej analizy nakręconego przeze mnie króciutkiego filmu. Siedemset Trzynasty nie wie, że pracę mięśni jego twarzy badali być może najlepsi psychiatrzy tajnego świata wywiadu.

Pijemy i żartujemy. Rozmawiamy o wszystkim: o pogodzie, o pieniądzech, o kobietach, o sukcesie, o władzy, o obronie pokoju i zapobieganiu światowej katastrofie nuklearnej. Musi się znaleźć jakiś temat, który on podchwyci i sam *zacznie* mówić. Najważniejsze, żeby mówił więcej ode mnie. Trzeba tylko znaleźć właściwy kluczyk, właściwy temat. Znowu pijemy i opowiadamy zabawne historyjki.

Kluczyk już jest. Interesują go rekiny. Pyta, czy widziałem film „Szczęki”? Nie, jeszcze nie. Ach, co za film! Paszcza rekina pojawia się w najmniej spodziewanym momencie. Efekt piorunujący! Opowiada mi o zwyczajach rekinów. Zdumiewające istoty... Śmiejemy się. Stara się odgadnąć moją narodowość. Grek? Jugosłowianin? Czech skrzyżowany z Włochem? Turek z Niemcem? Nie, jestem Rosjaninem. Obaj wybuchamy śmiechem. Cóż ty, Rusku, tutaj porabiasz? Jesteś szpiegiem? Chcesz mnie zwerbować? Tak! Ryczymy ze śmiechu.

Raptem przestaje się śmiać.

- Naprawdę jesteś Rosjaninem?

- Naprawdę.

- Jesteś szpiegiem?

- Szpiegiem.

- Przyszedłeś mnie zwerbować?
- Jak najbardziej.
- Wiesz o mnie wszystko?
- Wszystkiego nie wiem. Tylko co nieco. Długo milczy.

292

1

## **AKWARIUM**

- Nasze spotkanie zostało sfilmowane i będziesz mnie teraz szantażować?
  - Nasze spotkanie zostało sfilmowane, ale nie mam zamiaru cię szantażować. Być może to się kłóci z kanonem powieści szpiegowskiej, ale szantaż nigdy nie przynosił pożądaných wyników i dlatego nie stosujemy szantażu. Przynajmniej moja instytucja.
  - Jesteś z KGB?
  - Nie, jestem z GRU.
  - Nigdy o czymś takim nie słyszałem.
  - Tym lepiej.
  - Słuchaj, Rusku, składałem przysięgę, że nigdy nie przekażę żadnych informacji obcym mocarstwom.
  - Nie musisz nikomu przekazywać żadnych sekretów.
  - No więc, czego się po mnie spodziewasz? — Najwyraźniej nigdy w życiu nie spotkał żywego szpiega i rozmowa ze mną bardzo go ciekawi.
  - Napiszesz książkę.
  - O czym?
  - O okrętach podwodnych z bazy Rota.
  - Wiesz, że jestem z tej bazy?
  - Przecież werbuję właśnie ciebie, a nie tych przy sąsiednim stoliku.
- Znowu wybuchamy śmiechem.
- Mam wrażenie, że oglądam film sensacyjny.
  - Zawsze ma się takie wrażenie. Ja też nigdy nie przypuszczałem, że trafię do wywiadu.
  - Słuchaj, Rusku, zaczekaj. Dobra, powiedzmy, że napiszę książkę. I co dalej?
  - Opublikuję ją w Związku Radzieckim.
  - Milionowy nakład?
  - Nie. Tylko 43 egzemplarze.
  - To niewiele.

- Płacimy po 17.000 dolarów za każdy egzemplarz. Kontraktu nie podpisujemy. 10% z góry. Reszta po otrzymaniu rękopisu, pod warunkiem, ma się rozumieć, że porusza zagadnienia interesujące naszych czytelników. Potem książkę można będzie wydać po angielsku. Jeżeli pewne szczegóły okażą się nieciekawe dla zachod-

nego czytelnika, to w wersji amerykańskiej można będzie je pominąć. Nie ma więc żadnego przekazywania tajemnic. Jest wyłącznie wolność druku. Ludzie piszą nie tylko o okrętach podwodnych, piszą na znacznie straszniejsze tematy i nikt ich za to nie sądzi.

- Im wszystkim również płacicie?

- Niektórym.

Uregulowałem rachunek i poszedłem spać.

## Rozdział 14

I

C'udowne, niezapomniane chwile powrotu z samodzielnego werbunku do betonowych rodzimych kazamatów.

Tygodniową nieobecność zauważyli wszyscy bez wyjątku, cała zgraja. Kiedy oficer operacyjny znika na trzy dni, wiadomo, że był przy ubezpieczeniu. Ale ponad tydzień? Gdzie się podziewał? Nie ulega wątpliwości: werbunek.

Idę korytarzem. Cała nasza brać szpiegowska rozstę-puje się, milkną rozmowy. Zaciskam wargi, żeby nie pokazywać, jak mnie radość rozpiera. Nie wolno cieszyć się przed spotkaniem z dowódcą. To uchodzi za nieprzy-zwoitość.

Oni też szanują tradycję. Żaden nie wyrwie się z nie-dyskretnym pytaniem, nikt się nie roześmieje, nie pogratuluje. Pierwszeństwo należy do Nawigatora. Nikt, oczywiście, nie ma pojęcia, za co mi się gratulacje należą, ale każdy czuje szóstym zmysłem, że coś tam być musi, że to dzień mojego triumfu.

Jak przyjemnie, że nie ma w nich zawiści, a tylko zrozumienie, szacunek, radość. I duma. Dumni są ze mnie i z całej naszej bandy: widzisz, Witia, idziesz po czerwonym dywanie prosto do generalskiego gabinetu i cieszymy się, że ci się udało. Tak samo stąpaliśmy po

tym dywanie, a jeżeli dopiero nas to czeka, z pewnością będziemy jak ty - dumni i opanowani.

Drzwi gabinetu otwierają się przede mną, sarn Nawigator wychodzi mi na spotkanie. Bez zbędnych ceregieli przepuszcza mnie przodem: - Wejdz, proszę, Wiktorze Andriejewiczu. - Na pozór nic specjalnego, ale ten zwrot w jego ustach brzmi doprawdy niezwykle. W zapadłej ciszy ktoś z wrażenia westchnął głęboko, aż dowódca zatrzymał się w drzwiach, obejrzał się i wybuchnął śmiechem.

A za nim cała banda.

Regulamin GRU kategorycznie zabrania informowania oficerów o pracy ich kolegów, o ich sukcesach czy niepowodzeniach. Nawigatorzy ściśle przestrzegają zasady, że każdy powinien wiedzieć tylko tyle, ile jest niezbędne do wykonywania pełnionej funkcji. Nie

więcej. Jak w takim razie podtrzymywać stale ducha współzawodnictwa wewnątrz tajnej organizacji? Dowódcy wynajdują różne chwytły, pozwalające obejść sztywny regulamin i zademonstrować całej zgrai swoją sympatię do jednych i niezadowolenie z innych. Mają na to sposoby.

W moim przypadku Nawigator zastosował wariant prosty, ale pewny. Ledwie drzwi gabinetu zamknęły się za nami, korytarzem przededefilował szósty szyfrant w białych rękawiczkach z butelką szampana w srebrnym za-potniałym wiaderku.

Na widok wiaderka z lodem i nakrochmalonej serwetki rozległ się szmer aprobaty! Nieźle ojczulek wykombinował! A nasz Witia Suworow też złapał wiatr w *żagle*, patrzcie, na jakie wzbil się wyżyny. Ostro pruje! Młode charty z błyskiem w oku komentują mój nagły wzlot. Starzy doświadczeni wikingowie kiwają głowami. Wiedzą, jak trudna w życiu oficera operacyjnego jest chwila sukcesu. Poprzedza ją straszliwe napięcie, nadludzka koncentracja uwagi na każdym słowie, na każdym kroku, na każdym oddechu. Podczas werbunku wywiadowca natęża całą swoją wolę, swój charakter, całą posiadaną wiedzę, aby uderzyć w ofiarę, a równocześnie ani na moment nie traci z oka tego, co dzieje się wokół niego.

Sukces to nagłe odprężenie. Raptowne rozładowanie napięcia może się skończyć katastrofą, załamaniem, głę-

boką depresją, histerią, samobójstwem. Mądrzy wikingowie dobrze o tym wiedzą.

Nawigator też to wie, dlatego mimo zadowolenia stara się być surowy. Wytyka mi jakieś bzdurne niedopatrzania, żeby tylko nie rozsadziło mnie z radości. A jak tu się nie cieszyć? Zgodził się. Zainkasował zaliczkę. Wziął spis zagadnień, które powinny *znaleźć* się w jego książce. Biorąc pieniądze dobrowolnie oddał się w nasze ręce. Niebawem wyda otrzymane 73.000 i zechce odebrać pozostałe. GRU wie z doświadczenia, że wielu ludzi postanawia wziąć 10--procentową zaliczkę i na tym skończyć. W rzeczywistości, gdy tylko poczują smak łatwych pieniędzy, nie związanych z dużym ryzykiem, robią rzetelnie co było ustalone i zgłaszają się po następne. Ta reguła nie zna wyjątków.

T

J. o

II

To dziwne, ale niedawny wyczyn mnie nie cieszy. Chyba rację mają ci, co mówią, że szczęściem jest tylko droga do sukcesu, szczęście się kończy, kiedy dopniesz celu. Spójrzcie na ludzi, którzy stanęli u szczytu sławy. Niewielu naprawdę wie, co to szczęście. Wśród obdartych, brudnych, wygłodzonych włóczęgów prędzej znajdziesz szczęśliwych, niż wśród



gwiazd ekranu albo ministrów. Częściej zdarzają się samobójstwa wśród sław aniżeli wśród śmieciarzy.

Jest mi źle. Nie wiem, dlaczego. Jestem teraz gotowy na wszystko. Ciekawe, dlaczego nas nikt nie werbuje? Mógłby podejść do mnie, powiedzmy, amerykański dyplomata i rzucić: - Hej ty, chodź no tutaj, chcę cię zwerbować!

Zgodziłbym się natychmiast, nie żartuję. *Znając zwyczaje* GRU na pewno oniemiałyby ze zdumienia. - Ty kretynie -zdumiałby się mój amerykański kolega - czy zdajesz sobie sprawę, na co się narażasz w razie wyspy? - W pełni -odpowiedziałbym radośnie. - No już, werbuj mnie wreszcie, przeklęty kapitalisto! Za darmo będę dla ciebie pracować, zapłatę od CIA możesz pakować do własnej kieszeni! Chcę po prostu ryzykować własną głową. Czyż nie upaja spacer po krawędzi przepaści? Czy nie wciąga igranie ze śmiercią? Są przecież na świecie szaleńcy, co ujeżdżają

dzikie mustangi albo tańczą na arenie przed rozszalałym bykiem. Nie dla pieniędzy. Dla przyjemności.

Wrogowie! Werbujcie mnie! Godzę się na wszystko!

Czemu milczycie?

Znów weryfikacje, sprawdziany, kontrole. Wykończyły mnie te wieczne weryfikacje.

Kontrolowanie zwerbowanych przez nas „przyjaciół” nie przysparza większych trudności. Wszyscy pozostają pod stałą obserwacją Służby Informacji GRU, która nie zna, oczywiście, ich nazwisk, życiorysów ani zajmowanych stanowisk.

Zagadnienia interesujące Akwarium bada się z wielu miejsc, nieraz oddalonych o tysiące kilometrów od śledzonego obiektu. Plany Sztabu Generalnego Bundeswehry rozpracowywano z Genewy, ale także z Tokio i z Nikozji. Żadne z tych źródeł nie podejrzewało istnienia innych, nie miało pojęcia, że ktoś je może dublować. Jeżeli dane otrzymane od jednego agenta odbiegają od pozostałych, to dowód, że coś z tym agentem nie gra. Pamiętacie mojego przyjaciela z targów genewskich? Może też być odwrotna sytuacja: coś niedobrego dzieje się u pozostałych agentów, na przykład dali się nabrać na dezinformację i tylko jedno źródło przesyła wiarygodne wiadomości. Tak czy owak, jeżeli z różnych krańców świata dociera identyczny aparat, który po skopiowaniu działa bez zarzutu i jest przydatny dla armii, to można się nie kłopotać, choćby nasz facet przeszedł na drugą stronę i był teraz podwójnym agentem. Nic wielkiego, niech tylko nadsyła odpowiednie materiały. Skoro policja gotowa jest zapłacić taką cenę za złudzenie rozgrywki z GRU - niech płaci. Takie podarunki przyjmujemy z otwartymi ramionami. Gdy tylko okaże się, że prezenty zaczynają

się psuć i zalatywać zapaszkiem, bardzo prędko to zasygnalizuje Służba Informacji.

Akwarium sprawdza nie tylko przyjaciół, sprawdza również nas, nie daje nam spokoju, czepia się, stosuje prowokację. Przez wszystkie lata nauki i pracy nieraz miałem okazję zakosztować tych sztuczek. Stale niepokoi ich jedno: jak też tym razem zareaguję? Ja zaś reaguję zawsze jak trzeba: niezwłocznie składam do-

wódcy wyczerpujący raport o wszystkim, co się przytrafiło mnie albo moim kolegom. Zobaczę w lesie kumpla -zaraz leczę zameldować. Jeżeli nic mu się nie stało, znaczy że był w lesie na operacji, a może umyślnie go tam skierowano, by dowódca mógł skontrolować, czy go zauważy, czy zamelduję na czas. Nieustannie sprawdzają: kogo wolę - Akwarium czy przyjaciela? Jasne, że Akwarium. Spróbuj tylko nie zameldować! A jeżeli to kontrola? Koniec zabawy, trafisz na konwejer.

Muszę przyznać, że ostatnimi czasy zaczęto mi bardziej ufać. Teraz sam biorę udział w sprawdzaniu innych. Również dziś. Czarna noc, samochód porzucony daleko z tyłu, człapię w ciemności po kałużach. Nogi mi przemokły, trzęsę się z zimna. Jak tylko wrócę do domu, naleję wannę gorącej wody, poleżę z godzinę, wygrzeję się.

W kieszeni mam niewielką paczuszkę, a w niej Biblię. Mała książeczka, wydrukowana na cieniutkim papierze. To te różne stowarzyszenia religijne specjalnie tak wydają, żeby łatwiej było przewozić do Związku. Biblię włożę do skrzynki na listy Wowki Fomiczewa. Wowka to pomocnik *attache* wojskowego, a więc nasz chłop, z Akwarium, od niedawna w rezydenturze. Nie wiem, czy się domyśla, że Akwarium podkłada mu ostatnio całą serię świństw. Teraz też idę do niego w tym celu.

Jutro rano wyciągnie Biblię ze skrzynki. Nic w tym nadzwyczajnego, wszystkie te organizacje religijne i gminy stale podrzucają nam podobne publikacje. Przez myśl mu nie przejdzie, że tym razem to nasza robota. Może książeczka go zaciekawi, może z chęci zysku postara się ją zachować: w Związku ludzie całkiem poszaleli, za takie rzeczy płacą kupę forsy, nie żałują. Jutro niedziela, nie idziemy do pracy, no więc zobaczymy, co zrobi: przyleci skoro świt, żeby zameldować czy zaczeka do poniedziałku. A może w ogóle nie powie, schowa lub wyrzuci, żeby uniknąć kłopotów. Każdy jednak wariant prócz pierwszego - prócz natychmiastowego raportu - *oznacza* dla niego koniec. Konwejer.

Zimno i mokro, na ulicach żywego ducha. Tylko ja, samotny szpieg, trybik wielkiego systemu. Sprawdzam właśnie swego współbrata. Zresztą trudno orzec, kto

kogo sprawdza. Wowka Fomiczew to mój dobry kumpel. Dwa razy wychodziliśmy

już razem na operację. Pracuje po mistrzowsku, na pewniaka. Diabli go jednak wiedzą: przybył dopiero co, ale bardzo możliwe, że ma zleczone specjalne zadanie. Może to z jego pomocą mnie właśnie sprawdzają? Coś za bardzo narzuca się ze swoją przyjaźnią. Doświadczenie chciałby zdobyć, powiada. Wcale niewykluczone, że to ja dziś jestem sprawdzany. Biblię wrzucę do skrzynki, a sam po przyjaźni spróbuję go uprzedzić, żeby w te pędy poleciał z raportem. I już mnie mają. I już ląduję na konwejerze: przyjaciel jest ci droższy niż radziecki wywiad wojskowy!

Dom Wowki Fomiczewa jest duży i elegancki, mieszka w nim bardzo wielu dyplomatów wszelkich narodowości. Gmach znajduje się, oczywiście, pod kontrolą policyjną, a już na pewno główne wejście. Chociaż może i nie, ale zawsze to lepiej wybrać gorszy wariant i na nim opierać swoje plany. Właśnie dlatego nie wchodzę główną bramą, lecz od tyłu podwórkami przekradam się koło schludnych pojemników na śmieci - i do garażu. Mamy klucze od bardzo wielu garaży i bram domów, zamieszkałych głównie przez dyplomatów. Mogę również bez trudu dostać się do dowolnego wiedeńskiego hotelu. Mamy całą wielką szafę kluczy i wytrychów. Gdziekolwiek przejdzie ktoś z Akwarium, zrobi odbitkę klucza. Najważniejszy jest dobry stan ewidencji i przechowywania, żeby zawsze móc na czas odnaleźć właściwy kluczyk. Dziś mam w kieszeni trzy. Gdyby zaszła potrzeba, mogę dostać się nawet do mieszkania Wowki. Skąd miałby wiedzieć, że przed trzema laty w tym samym apartamencie mieszkał jego pechowy poprzednik i to on właśnie wykonał dla GRU odbitki kluczy? Niestety, nie stać go było na nic bardziej heroicznego, więc został haniebnie ewakuowany i wydalony ze Sztabu Generalnego.

Koty z dzikim wrzaskiem rozpierzchły się spod śmiet- , nika na wszystkie strony. To dobry znak, to znaczy, że nikogo nie ma w pobliżu. A może śledzi mnie ukryta kamera? Ciemno choć oko wykol, pewnie oszczędzają prąd. Zresztą światło na podwórku nie jest konieczne, a ukryta kamera może pracować również na promienie podczerwone. Nie zapinam płaszcza, aby widoczna była

spinka krawata. Wygląda jak najzwyklejsza w świecie spinka, ale pokrywająca ją farba luminescencyjna świeci się w promieniach podczerwonych i od razu wykrywa obecność noktowizora. Obracając się mogę go bez trudu zlokalizować. Jeżeli jestem obserwowany, wysikam się pod śmietnikiem i poczlapię dalej. Ale spinka nie świeci się, nie ma kamery. Wyciągam klucz i ostrożnie wkładam do zamka. Drzwi garażu ustępują bezszelestnie. Znajduję się w wielkiej hali z setkami pojazdów.

Stąпам ostrożnie, starając się jednak nie skradać, nie rozglądać się ukradkiem jak

złodziej. Powinienem sprawiać wrażenie człowieka, który przed chwilą zaparkował samochód i udaje się właśnie do domu. Drugim kluczem otwieram żelazne drzwi. Jadę windą prosto z garażu na ostatnie piętro i tam odczekuję kilka minut pilnie nasłuchując. Dom śpi. Nie słyszę otwierania drzwi ani zjeżdżającej windy. Spoglądam na zegarek. Jeżeli nawet jestem śledzony, nikt nie jest w stanie połączyć się w moich zamiarach. Może mam spotkanie z amerykańskim dyplomata, może czeka na mnie kobieta. Jeżeli jestem śledzony, wówczas włożenie Biblii do skrzynki na listy wyda się kamuflażem i przeciwnik długo będzie sobie głowę łamał nad prawdziwym celem mojej wizyty.

Windy nadal stoją, nikt nie idzie po schodach. Martwa cisza.

Ostrożnie schodzę w dół. Stąпам nie na palcach i nie całą podeszwą, dotykam stopni tylko zewnętrznymi kantami butów, posuwając się jak kłown na zgiętych nogach, Mam buty na miękkich zelówkach, nie skrzypią, lepiej jednak chodzić tak, jak mnie uczono; w ten sposób nigdy nie słyszę kroków. Już jestem na parterze. W wyłożonym marmurami westybulu widzę z dziesięć skrytek na listy. Wiem, która mnie interesuje, ale zatrzymuję się po kolei przed każdą, wczytuję się w nazwiska mieszkańców. Potem całym ciałem przywieram do bloku skrzynek i niedostrzegalnym ruchem wrzucam paczkę do właściwego otworu. Gdyby nawet ktoś śledził mnie z tyłu, nie wiedziałby, która skrzynka mnie zaintrygowała i co przy niej majstrowałem.

Pieszko, schodami, z obojętną, zblazowaną miną kieruję się z powrotem do garażu.

Kto wchodzi i wychodzi tą samą drogą, pokazuje, że nie czuje smaku konspiracji. Ja nabrałem tego smaku. Nie przypomina smaku wina ani miłości, ani walki. Smak konspiracji jest zupełnie inny, jedyny w swoim rodzaju. Lubię ten smak, potrafię się nim delektować. To nie brak smaku goni mnie znów do ciemnego garażu, po prostu nie ma stąd innego wyjścia.

### III

Znowu jestem niewyspany. Kiedy miałbym się wyspać? Oczywiście nie dzisiaj. Skoro świt zjawiam się na „przodku”, choć dziś niedziela. Czekam na Wowkę. Jakże byłoby wspaniale, gdyby zjawił się jeszcze przede mną! Ale na razie tylko Saszka-Aeroftot ziewa smętnie w kącie. Też ma opuchnięte oczy, też pewnie podkładał komuś świnie, może nawet mnie. On też pewnie czeka na kogoś, kto powinien przybiec z wywieszonym jęzorem. Usprawiedliwia się przede mną, że niby musi pilnie zamknąć rozliczenie finansowe. Wiem, oczywiście, że to prawda, choć nie cała. Co innego przygnało go w niedzielę o szóstej rano. Mówię mu, że zalegam ze sprawozdaniami z przeprowadzonych operacji. Kurier nie będzie czekać. Saszka jednak też nie w ciemność bity, wie, że to nie jest jedyny powód mojej porannej wizyty. Udaje,

że pilnie pracuje, ale co rusz zerka na zegarek. Ja tak samo, ale robię to ukradkiem. Rozłożyłem papiery na biurku, a sam gapię się w ścianę. Szkoda, że nie wolno nam mieć tu okienek.

O 10.00 Pierwszy Zastępca zaprasza Saszkę-Aeroftota do swojego gabinetu. Zostałem sam.

O 11.32 zjawia się Nawigator.

- No i co?

- Towarzyszu generale, włożyłem prezent bez przeszkód. Jeszcze nie ma reakcji.

Z miny Nawigatora wnoszę, że to nie mnie sprawdzano, tylko Wowkę Fomiczewa. Elementarna prowokacja. Połknął przynętę. *Znalazł* Biblię, ale nie wiadomo dlaczego nie powiadomił natychmiast przełożonych. Jak w takim razie postąpi, jeżeli przytrafi mu się coś poważniejszego? Zamelduje czy też przemilczy? Jasna sprawa: ^

stanowi zagrożenie dla naszej tajnej organizacji i dla całego systemu.

- Wiktorze Andriejewiczu, idź do domu, wyśpij się porządnie. Bądź tu z powrotem o 18.00.

- Tak jest.

GRU nie wie, co to wypoczynek. KGB również. Wyobraźmy sobie jednak na moment, że w każdy dzień wolny część dyplomatów nie zjawia się w pracy, natomiast reszta - zdecydowana większość - przychodzi jakby nigdy nic. Od razu stanie się jasne, kto jest rzeczywiście dyplomata, a kto nie.

Aby uniknąć podobnej sytuacji, wymyśla się masę pretekstów i sztuczek, żeby każdy dyplomata musiał również w soboty i niedziele zajrzeć do biura: musimy schować się za kurtuazyjnym, dyplomatycznym uśmiechem, musimy utrzymać w tajemnicy nieprzerwaną pracę rezydentur.

W święta i dni wolne od pracy ambasada przypomina rozgrzebane mrowisko. Nie bez powodu. Tylko w te dni można odebrać korespondencje z ZSRR. Listy i prasę. Każdy potrzebuje świeżych „Izwestij”, aby sprawdzić najnowsze kursy walut. Każdy rachuje zapamiętałe: warto dzisiaj wymienić dewizy na bony, czy może jeszcze zaczekać? Kurs skacze, co dzień inne notowania. Jaki będzie za tydzień kurs Gosbanku? - jeden Pan Bóg raczy wiedzieć.

Ponadto w dni świąteczne w radzieckich ambasadach na całym świecie otwierane są specjalne sklepy: ceny takie, że oko bieleje. Cała radziecka kolonia zwartym tłumem pcha się do lady.

W niedziele odbywają się ponadto prelekcje. Sale nabite po brzegi. Nie to, żeby lgnęli do wiedzy, bynajmniej. Na wykładach sprawdza się obecność, zaznacza krzyżykami, kto był, kto opuścił. W zasadzie nie ma przymusu, wolna wola, ale jeżeli ktoś raptem uzna, że powiedzmy, Iwan Pawłowicz ostatnio nie za bardzo się udziela, przejawia skłonność do apatii i przestał interesować się polityką, to do ewakuacji jeden krok. Którejś nocy stukanie do drzwi: tatuś niedomaga, pragnie się pożegnać. Eskorta -jak na zawołanie; nieważne czy sam Iwan Pawłowicz chce się pożegnać z rodzicielem, czy nie: - Do samolotu!

Również w niedziele w ambasadach radzieckich odbywają się projekcje. Pokazują nowe i nie całkiem nowe filmy. Znowu pełno: masowe uczestnictwo - to oznaka rozwiniętej świadomości i nierozzerwalnych więzów z socjalistyczną ojczyzną.

Tłoczno jest w niedziele w radzieckich ambasadach, Nie ma gdzie zaparkować samochodu. Mnie to nie dotyczy, mam zarezerwowane specjalne miejsce.

Spacerujemy z Nawigatorem po ogromnym parku. Gawędzimy, zerkamy dyskretnie na główną bramę. Przechadzają się również wicekonsul Piotr Jegorowicz Dunajec i Mikołaj Tarasowicz Moroz, pierwszy sekretarz ambasady. Niby nie zwracają na nas uwagi, ale wiem, że nieprzypadkowo postanowili się przewietrzyć. Szykuje się ewakuacja. Pomocnik radzieckiego *attache* wojskowego w Wiedniu kapitan GRU Władimir Dmitriewicz Fomiczew okazał się osobnikiem niepewnym. Samolot już czeka. W ewakuacji bierze udział bardzo ograniczona liczba osób: Nawigator - to on podjął decyzję; ja - bo brałem udział w kontroli, więc jestem zorientowany w całej sprawie; pułkownicy Dunajec i Moroz - zastępca i Pierwszy Zastępca rezydenta.

Szary Ford Fomiczewa miękko wpłynął przez bramę. Pomocnik *attache* wojskowego przyjechał z małżonką do kina. Ech, Wowka, czemuś nie przyleciał zdyszany skoro świt? Czemu nie przyniosłeś Biblii? Po co ją schowałeś? Na cholere ci ona potrzebna? Boga nie ma, najwyższy czas, żebyś wbił to sobie do łba. Wszystkie te religijne hocki-klocki, to wredna antyradziecka robota. Nie ma raju po śmierci. Raj trzeba budować na ziemi. Jeżeli wierzysz, że raj nastąpi po śmierci, automatycznie sam się odsuwasz od aktywnego budowania raju na ziemi. Niepiśmiennej babinie można to wybaczyć, tobie - nie. Pójdiesz na konwejer, tam już się przyznasz do wszystkiego. Po coś chował Biblię? A może wcale jej nie schowałeś, może wyrzuciłeś ją do śmieci, żeby uniknąć nieprzyjemnych wyjaśnień. Sądziłeś, że nikt się nie dowie, a my wiemy wszystko. Masz obowiązek meldować cokolwiek się przydarzy. GRU nie przebaczy ci milczenia.

Zastępca Nawigatora statecznym krokiem spaceruje i jakby nigdy nic przesuwa się w kierunku bramy. Do ambasady prowadzi jedna droga; opuścić teren można tylko przez bramę wejściową. Pomocnik *attache* wojskowego nie ma już drogi odwrotu. Przy bramie stoją wartownicy. Nie są wtajemniczeni w całą operację. Jeżeli Fomiczew nie rzuci się do ucieczki, w ogóle niczego się nie dowiedzą. Gdyby próbował zwiać, pułapka zatrzaśnie mu się przed samym nosem. Nawigator i Pierwszy Zastępca niespiesznie, spacerkiem kierują się do biblioteki. Przy samej bibliotece jest zapasowe wejście do bunkra.

Zaczekam tu jeszcze chwilę.

Boria, trzeci szyfrant, spieszy na parking. Boria nie jest wtajemniczony. Ma za zadanie podejść, przywitać się i powiedzieć: - Władimirze Dmitriewiczu, szyfrówka dla was.

Obserwuję z oddali.

Boria zbliża się do samochodu. Fomiczew wysiada. Nie widzę jego twarzy. Mówi coś do żony, lekko ją całuje. Już poszła sama do sali projekcyjnej. Kapitanie, nie wiesz, co cię czeka! Jesteś przestępcą. Nie zameldowałeś dowódcy, że zgniły kapitalizm usiłuje cię zdemoralizować, ściągnąć na manowce. Za to, kapitanie, nikt cię nie rozstrzela, to jasne, ale do tury pójdziesz - za próbę oszukania rezydenta. W więzieniu dołożą ci kolejny wyrok. Takim jak ty zawsze dokładają. Jeżeli kiedyś nawet wyjdiesz z pudła, to nie jest pewne, czy twoja żona jeszcze cię zechce. Rzuci cię. Widziałem ją kiedyś z bliska na jakimś przyjęciu dyplomatycznym. Rzuci, jak nic.

Na mnie czas.

Pancerne drzwi. Korytarz. Schody w dół. Następne drzwi, te z trupią czaszką. Znow w dół. Do bunkra. Wielka sala. Korytarz. Mała sala. Jeszcze jeden korytarz. Drzwi na prawo i zaraz na lewo. Naciskam dzwonek. Wychyla się twarz Pierwszego Zastępcy. Zasłania się drzwiami jak tarczą. Co w środku - nie widać.

- Czego chcesz?

- Trzeba w czymś pomóc?

- Nie, nie. Idź, obejrzyj film. Damy sobie radę.

- Do widzenia, Mikołaju Tarasowiczu.

- Do widzenia.

Korytarz. Schodami do góry. Mała sala...

- Witia! - Pierwszy Zastępca dogania mnie zdyszany.

- Tak?

- Słuchaj, Witia, na śmierć zapomniałem. Zaczekasz, aż film się skończy. Podejdiesz

do jego żony, Walentyny, powiesz, że mąż dostał pilne zadanie. Wróci za dwa dni. Niech się nie niepokoi. Powiesz, że poufne zadanie. Wykombinujesz coś, żeby się nie zorientowała. Odwiesz ją do domu. Tymczasem zabierz wóz Fomiczewa z parkingu i zjedź do podziemnego garażu. Masz klucze. To wszystko. Do jutra.

- Do jutra, Mikołaju Tarasowiczu.

Walentyna Fomiczew należy do specjalnego gatunku kobiet. Za takimi kobietami mężczyźni oglądają się na ulicy. Jest niewysoka, ostrzyżona na chłopca. Ogromne, czarujące oczy. Lekko kapryśny uśmiech. W kącikach ust ma coś rozwiązłego, ale żeby to dostrzec, trzeba przyjrzeć się bardzo uważnie. Jest w niej niewątpliwie coś szatańskiego. Co? Dobrze nie wiem. Może cała jej uroda jest szatańska. Po coś, Wowka, taką żonę sobie wybrał? Piękna żona - cudza żona. W ambasadzie kto żyw wodzi za nią wzrokiem. W mieście tak samo. *Zwłaszcza* południowcy, wysocy, korpulentni, lekko łysiejący. Ta zgrabna figurka nie daje im spokoju. Jedziemy samochodem, zatrzymujemy się na światłach, świdrują mnie ironiczne spojrzenia: na co ci, brzydalu, taka ślicznotka?

A ona wcale nie moja. Odwożę ją do domu, bo małżonek trafił na konwejer, śpiewa aż miło. Jeszcze tutaj, w Wiedniu, wyrwą z niego odpowiednie zeznania. Potem trafi do Akwarium, do wielkiego szklanego gmachu na Chodynce.

Walentyna, jego żona, na razie niczego się nie domyśla. Wyruszył na noc, na akcję. Jest przyzwyczajona, nie denerwuje się. Opowiada mi o nowych połyskujących płaszczach, cały Wiedeń teraz je nosi. Byłoby jej w takim płaszczu bardzo do twarzy. Jak królewna Śnieżka macisz nasz spokój swym zimnym, wyniosłym spojrzeniem. Ileż władzy w tych zaciśniętych, wąskich dłoniach! To pewne, że potrafi owinać wokół palca każdego, kogo napotyka na swojej drodze. Gdyby je ścisnąć, rozsypałaby się jak kryształowa waza. Z taką kobietą można spędzić tylko jedną noc i zaraz

trzeba ją porzucić. W przeciwnym razie ujarzmi, rzuci na kolana. Znam takie, miałem kiedyś taką samą, też malutką i delikatną, też się za nią oglądano. Odszedłem od niej sam, nie czekałem aż przepędzi, oszuka, złamie.

Głupiś, kapitanie, żeś za taką poszedł. Wiem na pewno, że śmiała ci się w nos, a ty, miotany zazdrością, śledziłeś ją zza węgła. Później, ulegając chwilowej zachciance, zgodziła się zostać twoją żoną. Teraz pewnie na konwejerze też myślisz tylko o niej i dręczy cię, że nie wiesz, kto ją teraz odwozi do domu. Uspokój się, kapitanie, to ja, Witia Suworow. Niepotrzebna mi ona, omijam takie z daleka. Zresztą Wiedeń to nie miejsce na takie zabawy. Zbyt uważnie śledzimy się nawzajem.



- Suworow, dlaczego nigdy się do mnie nie uśmiechasz?
- Czy ja jeden?
- Tak. Wszyscy się do mnie uśmiechają. Boisz się mnie?
- Nie.
- Boisz się, Suworow. Aleja cię zmuszę do uśmiechu.
- Grozisz?
- Obiecuję.

Resztę drogi jedziemy w milczeniu. Wiem, że to nie prowokacja GRU. Takie kobiety tak właśnie mówią. Zresztą GRU nie może mnie teraz śledzić. Operacje GRU są precyzyjne i nieskomplikowane. GRU różni się od innych wywiadów prostotą swoich operacji.

GRU nigdy nie stara się złapać naraz dwóch srok za ogon. Właśnie dlatego działa tak skutecznie.

- Mam nadzieję, Suworow, że nie porzucisz mnie przed domem. Jestem ładną kobietą, może mnie ktoś zgwałcić na klatce. Wtedy wszystko będzie na ciebie.

- W Wiedniu takie *rzeczy* się nie zdarzają.

- Mimo wszystko boję się sama.

Nie boi się niczego na świecie, znam takie, zwierz w spódnicy.

Jesteśmy sami w windzie, Walentyna śmieje się figlarnie:

- Jesteś pewny, że Wołodia nie wróci na noc?

- Jest na operacji.

- A nie boisz się zostawić mnie samej? Ktoś mógłby tynie porwać...

Winda zatrzymuje się, przepuszczam ją przodem. Otwiera drzwi do mieszkania.

- Co robisz dziś w nocy?

- Śpię.

- Z kim ty śpisz, Suworow?

- Sam.

- Ja też sama - wzdycha.

Przekracza próg i nagle odwraca się do mnie. Płonący wzrok. Twarzyczka wzorowej uczennicy. To najbardziej perfidny rodzaj kobiet. Nie cierpię takich.

**iv**

Ewakuacja zawsze odbywa się samolotem, szybko, tylko jedna kontrola policyjna.

Ewakuacja zawsze odbywa się w dzień. W nocy policja jest bardziej podejrzliwa, rano przychodzi nowa zmiana, świeże siły, z kolei pod wieczór samoloty z reguły nie wyruszają na

dalekie trasy. Dlatego w dzień.

Rozkład lotów Aeroflotu z większości zachodnich stolic do Moskwy został tak opracowany, żeby samoloty startowały w dzień. Nie zawsze jest to możliwe, ale w większości wypadków ustalono właśnie tak. Ludzi ewakuuje się nie każdym rejsem Aeroflotu, ale w razie nagłej potrzeby wszystko jest z góry zaplanowane.

Były kapitan GRU, były pomocnik *attache* wojskowego siedzi na taborecie. Głowa zwieszona. Nie jest skrupowany, po prostu siedzi. Nie ma już ochoty krzyczeć i awanturować się. Przeszedł pierwsze stadium konwe-jera. Zeznał już wszystko: tak, była Biblia w skrzynce na listy. Nie, religia mnie nie interesuje. Tak jest, wykazałem karygodne niedbalstwo. Tak, wyrzuciłem do śmieci. Trzeci pojemnik od lewej. Biblia leży już na stole. Znaleziono bez trudu. Dowód rzeczowy, leży w celofanowym opakowaniu.

Kiedy wiozłem twoją żonę, wyciągano z ciebie, kapitanie, pierwszą serię zeznań.

- Tak, wcześniej też oszukiwałem Nawigatora. Cztery razy odwiedzałem prostytutki. Nie, nie mam żadnych kontaktów z zachodnimi wywiadami. Nigdy nie otrzy-

małem żadnych propozycji współpracy. Nie, nie przekazywałem im tajnych informacji. Ewakuacja.

- Spirytus.

Zamiast spirytusu aptekarskiego używamy najczęściej dżinu Gordon z barku Nawigatora.

- Strzykawka.

Strzykawka jednorazowa. Zupełnie jak w Specnazie. Ale to nie Błoga Śmierć, to po prostu Błogość.

Miejsce zastrzyku trzeba starannie przetrzeć watką z dżinem, żeby nie było zakażenia.

Lotnisko. Huk silników. Lśniące podłogi. Koski z pamiątkami. Lalki w strojach regionalnych, zapalniczki Ronsona.

- Kontrola biletów. Bagaż?

- Bez bagażu. Krótka podróż służbowa.

- Paszporty proszę.

Zielone paszporty. „W imieniu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Minister spraw zagranicznych ZSRR...”

- Proszę przechodzić.

Jest nas trzech: były kapitan, ja, wicekonsul. Były kapitan podróżuje, my dwaj go odprowadzamy. Jakoby. W rzeczywistości zapewniamy bezpośrednie ubezpieczenie. A tam

dalej, przy kiosku - konsul generalny ZSRR. Ubezpieczanie ogólne. Grozić! Protestować! Osłaniać!

Teraz do samolotu. - Poczta dyplomatyczna - to o nas.

Płytą lotniska - do samolotu. Dwa kroki, nie potrzeba autobusu. TU-134. Dwa trapy. Tylne dla wszystkich. Przedni - dla szczególnie ważnych osobistości i poczty dyplomatycznej, to znaczy dla nas. Przy wejściu na schodki jeszcze jedna stewardesa, szczerzy zęby do pasażera. Nie wie, że kapitan przestał być szczególnie ważną osobistością, a uśmiecha się tylko dlatego, że go naszprycowano Błogością.

Przy trapie - kurierzy dyplomatyczni. Jest ich dwóch. Osilki. Wiedzą, jaki wiozą dziś ładunek. Są uzbrojeni i nie kryją się z tym. Taka jest międzynarodowa praktyka dyplomatyczna. Takie są zasady ustalone już w 1815 roku na Kongresie Wiedeńskim.

Pomagają byłemu kapitanowi wgramolić się po trapie. Byłemu kapitanowi jakoś nogi się płaczą, nie może trafić na stopnie. Nic strasznego. Pomożemy. Przy samym włączu dwaj kurierzy odwrócili byłego kapitana bokiem: we trzech naraz się nie zmieszczą. Znowu widzę ich twarze. Były radziecki dyplomata wojskowy uśmiecha się potulnie i dobrotliwie. Do kogo się uśmiecha? Może nawet do mnie.

Ja też uśmiecham się do niego.

## Rozdział 15

### I

Włóż - rozkazuje Nawigator. Wkładam na głowę przezroczysty hełm, on również, obaj wyglądamy jak kosmonauci. Hełmy są połączone elastycznymi i przezroczystymi rurkami.

Podsluchanie jakiegokolwiek rozmowy w gabinecie dowódcy jest nawet teoretycznie niemożliwe. Jeżeli pomimo wszystkich istniejących zabezpieczeń i zagłuszarek Szef poleca mi użycie hełmowego interfonu, to znaczy, że ma coś niezwykle interesującego do zakomunikowania.

- Robisz postępy, nie tylko w zdobywaniu informacji. Niedawno przeszedłeś serię testów i weryfikacji zorganizowanych przez Akwarium i przeze mnie osobiście. Nie domyślałeś się niczego, ale przebyłeś wszystkie próby celująco. Tym samym przeszedłeś do najwyższej kategorii zaufania.

Jeżeli to prawda, to GRU z lekka przesadza. Mam parę grzeszków na sumieniu, nie jestem święty. A może Nawigator nie mówi mi wszystkiego. Nie na darmo nazywają go Przecherà.

- GRU powierza ci przeprowadzenie operacji najwyższej wagi. Do Wiednia przybywa agent występujący pod kryptonimem Stary Przyjaciel. Jest dla nas bezcenny,

najlepszy dowód, że w Moskwie kieruje nim osobiście generał-pułkownik Mieszczeriakow. Nie wiem, kto to taki i nie mam prawa wiedzieć. Ty tym bardziej nie masz prawa. Jasne, że z takim człowiekiem nie spotykamy się osobiście. Nigdy, pod żadnym pozorem. Pracuje on w oparciu o system skrytek i umówionych sygnałów. Jednak GRU jest przygotowane do nawiązania z nim bezpośredniego kontaktu w dowolnej chwili. Musimy mieć pewność, że taki kontakt da się nawiązać w każdych warunkach i w każdej chwili. Dlatego raz na kilka lat przeprowadzamy spotkanie kontrolne. Przyjaciel otrzymuje odpowiedni sygnał i pojawia się w ustalonym miejscu. Nie nawiązujemy z nim żadnego kontaktu, tylko obserwujemy go z oddali. Jeżeli się zjawia, znaczy, że łączność funkcjonuje bez zarzutu. Poza tym sprawdzamy, czy wokół niego jest czysto. Teraz właśnie nastąpi taka operacja. Rozkazem szefa GRU zostałeś wyznaczony do jej przeprowadzenia. Zarezerwujemy

ci pokój w hotelu. Przez dwie doby będziesz sprawdzał z silną grupą ubezpieczenia czy nie masz ogona. Zjeździsz cały kraj wzdłuż i wszerz. Porzucisz samochód w Innsbrucku. Znikniesz. Ulotnisz się. Zjawisz się w Wiedniu jak widmo. Przeprowadzisz ostateczną kontrolę. Do hotelu wejdiesz przez restaurację, na górę do pokoju, gdzie wszystko będzie przygotowane. Dostaniesz Minox z teleobiektywem. Aparat będzie załadowany taśmą Mikrat-93-Tarcza. Negatyw ma dwie warstwy światłoczułe: na jednej zdjęte zostały austriackie lotniska wojskowe. Ty będziesz eksponował drugą warstwę. W razie aresztowania postaraj się wyrwać taśmę z aparatu i ją prześwietlić. Jeżeli ci się nie uda, sami ją wywołają. Otrzymają tylko zdjęcia lotnisk, bo wywoływacz automatycznie zniszczy drugą warstwę, właściwą. Niech cię mają za zwykłego szpiega, płótkę. Wszystko jasne?

- Jasne.

- Więc słuchaj dalej. O umówionej porze Stary Przyjaciel pojawi się przed wystawą sklepu z obuwem. Będziesz go obserwował z odległości 100 metrów i z wysokości 18 metrów. Sfotografujesz moment pojawienia się Przyjaciela. Nie wiem, kto to będzie, może kobieta prze-

brana za mężczyznę, a może mężczyzna przebrany za kobietę. Niech cię nie peszy, że facet na przykład jest niechlujnie odziany i rozczochrany. Tak jest lepiej dla sprawy. Pół godziny przed wyznaczonym spotkaniem zacznij fotografować wszystko, co wyda ci się podejrzane. Jak go poznasz? Zjawi się o ściśle ustalonej porze w ściśle ustalonym miejscu. Zwinięta gazeta w prawej ręce to znak rozpoznawczy i zarazem sygnał, że wszystko jest w porządku. Ta sama gazeta w lewej ręce *oznacza* niebezpieczeństwo. Stary Przyjaciel udaje się na spotkanie. Nie wie, czy tym razem my się stawimy. Gdyby został w międzyczasie namierzony, może zapobiec spotkaniu, może uratować naszego oficera, a zarazem własną skórę. Jeżeli jest kontrolowany przez policję, to w jego własnym interesie leży zaniechanie kontaktów z nami. Jeśli w ciągu pięciu minut nikt się nie zjawi, odejdzie i ponownie zgłosi się na kontakt, gdy tylko otrzyma od nas wezwanie. Może to być za 10 lat i na drugim końcu planety. Być może tylko go sprawdzimy, nie nawiązując kontaktu bezpośredniego. Czy coś jest niezrozumiałe?

- Wszystko jasne.

- Jeszcze jedno. Czas i miejsce operacji podam ci w ostatniej chwili. Od tego momentu, aż do jej zakończenia, absolutny zakaz kontaktowania się z cudzoziemcami. O każdym przymusowym kontakcie masz mi osobiście meldować. Operacja jest ściśle tajna, nawet pierwszy szyfrant nie jest wtajemniczony. Depesza z Centrali z moim osobistym

kodek jest zapieczętowany. W pokoju hotelowym nie masz prawa mieć żadnego innego aparatu oprócz tego, który ci wręcę tuż przed operacją. Za dodatkowy aparat możesz zapłacić głową. Musisz bardzo ostrożnie obchodzić się z Minoxem. Film założono w Akwariu, aparat opieczęto. Pieczęci prawie nie widać, uważaj, żeby jej nie uszkodzić. Nie masz prawa mówić nikomu, nawet mnie, jak wygląda Stary Przyjaciel. Zapieczętowany Minox poleci pocztą dyplomatyczną do Akwariu, tam dopiero film zostanie odpowiednio wywołany. Czy masz jakieś pytania?

- Żadnych.

- W takim razie powtórz wszystko od początku.

## II

Numer w hotelu wybrano ze znajomością *rzeczy*. Jest to narożny pokój, mogę więc obserwować równocześnie trzy zaciszne zaułki. O, tam znajduje się sklep obuwniczy. Na przyległych uliczkach niemal pusto, żadnego ruchu. Do pojawienia się Starego Przyjaciela mam jeszcze trzy godziny i dziesięć minut.

Czyjaś troskliwa ręka przyszykowała wszystko, co tylko może być potrzebne: teleobiektyw do Minoxu wielkości baterijki, dużą lornetkę Zeissa, chronometr Omega, komplet filtrów, plan miasta, termos z gorącą kawą. Sam aparat przyniosłem ze sobą.

Minox. Chromowane kwadratowe pudełeczko z guziczkami i okienkami. Od dziesięcioleci wszystkie wywiady świata posługują się wyłącznie tym aparatem. Kim Philby używał Minoxu pracując dla wywiadu radzieckiego przeciw Brytyjczykom. Pułkownik Oleg Pieńkowski pracował Minoxem dla angielskich służb specjalnych przeciw radzieckim. Oto on, trzymam go w dłoni. Malutki poręczny Minox. Podłączam teleobiektyw i próbuję fotografować. Na razie tylko się przymierzam. Dla takiego małego aparatu 100 metrów tu duża odległość. Przy najlżejszym drgnieniu ręki wszystko zamazane, nieostre. Minox do tego się nie nadaje, wymyślono go do fotografowania rozłożonych na stole dokumentów.

Czas wlecze się niemiłosiernie. Z domu naprzeciw wychodzi tęga kobieta, idzie przed siebie. Nic ciekawego. Przejechał listonosz na rowerze. Znowu wszystko zamarło. Przemknął czarny Mercedes, na tylnym siedzeniu facet odziany w białe prześcieradła. To przedstawiciel biednego kraju udaje się na konferencję, by żądać pieniędzy od krajów bogatych. Dyplomaci z bogatych krajów też jadą na konferencję, ale ich pojazdy są skromniejsze - Fordy, Volkswageny. Specjaliści twierdzą, że przepaść oddzielająca kraje biedne od bogatych w przyszłości ma się pogłębiać: przedstawiciele biednych krajów będą jeździć wyłącznie Rolls-Royce'ami, a dyplomaci z krajów bogatych przesiądą się na rowery, bo to oszczędniej.

Cienka wskazówka malutkiego chronometru niezmordowanie krąży po cyferblacie. Znowu przeszła tęga ko-

bieta. Znowu zaskrzypiały opony dużej czarnej limuzyny z przyciemnionymi szybami: jeszcze jeden biedak pojechał po wsparcie. Ponownie omiatam Zeissem ulicę. Żeby tylko nikogo nie przegapić. Zapamiętać numery. Zapamiętać twarze. Zapamiętać każdy ruch, każdą zmianę. Minox czeka odbezpieczony jak cekaem w czołgu. Pogotowie bojowe. Każdy podejrzany szczególnie - na kliszę. Klatki na filmie są mikroskopijne, więc mieści się ich bardzo dużo. A to co takiego?

Co??! Zanim cokolwiek zdążyłem sobie uświadomić, poczułem, że stała się rzecz straszna i nieodwołalna. Przy krawężniku *zatrzymał* się elegancki Citroen. Poznałbym go wśród tysięcy innych samochodów: to Citroen Pierwszego Zastępcy. Z wozu wysiada kobieta, która szybkim ruchem pochyła się ku Pierwszemu Zastępcy i całuje go na pożegnanie. Właśnie ten moment utrwała mój mały niezawodny Minox. Kobieta wsiada do sportowego Fiata i odjeżdża. Pierwszy Zastępca już dawno zniknął za rogiem.

Siedzę w fotelu, zaciskam wargi. Kobieta nie jest, oczywiście, żoną Pierwszego Zastępcy. Znam jego żonę. Nie jest to również tajna agentka: Nawigator zna czas i miejsce każdej operacji i z pewnością zabronił jakichkolwiek działań w moim rejonie. To znaczy, że GRU znowu mnie sprawdza. Wpakowali mnie do tego kretyńskiego pokoju i odegrali komedię. Teraz czekają: zamelduję o występkach uwielbianego przeze mnie człowieka czy też przemilczę? Aparat dali mi, żeby sprawdzić, czy się zawahałem choć chwilę, czy też użyłem go natychmiast. Po samym zdjęciu też potrafią ocenić czy zadrżała mi ręka, czy też zachowałem spokój i opanowanie.

Nie bez powodu zagryzam wargi. Jest jeszcze jedna możliwość. Cicha, spokojna uliczka to wymarzone miejsce na tajną schadzkę. Mało kto wie, że siedzę tu, na szóstym piętrze, ukryty za ciężką kotarą. Mikołaj Tara-sowicz nie ma o tym pojęcia, jeżeli nie bierze udziału w operacji. Pierwszy Zastępca i kochanka. Amerykanka? Angielka? Oczywiście, że cudzoziemka. Kobieta radziecka za granicą nie powinna mieć samochodu, tym bardziej sportowego. Na co jej sportowy wóz? Wszystkie samo-

chody należą do państwa radzieckiego i korzystają z nich tylko ci, co stoją na straży jego potęgi. Jeżeli to nie była gra ani weryfikacja, to przyszła kryska na Pierwszego Zastępcę. Kłapa. Szlus. *Funta la commedia*. Konwejer. Pełny konwejer z bardzo nieprzyjemnym finałem.

A może to jednak kontrola? Mało to razy tak właśnie nas sprawdzali? Postąpiłem jak należało. Szybko i zdecydowanie. Patrząc przez okno szklanym wzrokiem. Pusta ulica, nic nie zakłóca spokoju. Tylko jakiś nieprzyjemny garbus z gazetą w łapie sterczy przed sklepem z obuwiami. Co tam, człowieku, takiego ciekawego?

Zanurzam się w fotelu, gapię się w sufit. Nagle zrywam się na równe nogi, przewracam termos. Łapię Mi-noxa, pstrykam. Przecież to ON! A niech to wszyscy diabli, to STARY PRZYJACIEL! Pstryk, pstryk, pstryk. Jeszcze raz. Szlag by trafił wszystkich przyjaciół do kupy z pułkownikiem Mieszczeriakowem, z Pierwszym Zastępcą i jego dziwką. Czas minął. Przyjaciel obojętnie rzuca gazetę do kosza i znika za rogiem.

Marna jakość zdjęć może zdradzić mój stan ducha, może zasugerować, że się wahałem, że nie chciałem wydać Pierwszego Zastępcy.

Podrywam się z miejsca. Wykręcam teleobiektyw. Zawijam termos, obiektyw i lornetę, paczkę wkładam do kosza na śmieci. Ktoś to później zabierze. Minoxę ściskam w lewej ręce. W ten sposób łatwiej wyrwać film w razie aresztowania. Ach, gdyby mnie teraz aresztowano! A może upozorować napaść policji? Nie, taki numer nie przejdzie. Konsul generalny zaraz zadzwoni na komisariat i dowie się, że to czysta bujda. Wtedy czeka mnie konwejer.

Wychodzę na ulicę, jaskrawe słońce razi prosto w oczy. Nie, ten radosny świat nie może być aż tak okropny. To była najzwyczajniejsza kontrola, zwyczajna prowokacja GRU. Nie dałem się nabrać. W Akademii nie takie badania nam urządzano. Wtedy naprawdę bywało gorąco, życie najbliższych istot rzucono na jedną szalę. Potem okazywało się, że to nasi szefowie takie z nas żarty sobie stroili. Niejeden tego nie wytrzymał. Ja wytrzymałem.

### III

Skąd nadszedł Stary Przyjaciel? Przez moment zawahałem się: skłamać czy nie?

- Nie widziałem, towarzyszu generale.

- Miałeś przecież chronometr. Czyżby nie przyszedł punktualnie? Milczę.

- Czy coś cię zbiło z tropu? Zobaczyłeś coś podejrzanego? Niezrozumiałego? Dziwnego? Czy coś cię speszyło?

- Wasz Pierwszy Zastępca...

W jego oczach maluje się nieopisana trwoga.

- Wasz Pierwszy Zastępca był na miejscu spotkania 12 minut przed pojawieniem się Starego Przyjaciela... z kobietą.

Kostki zaciśniętych pięści robią się białe. Twarz jak kreda. Milczy. Patrzy przeze mnie



na wskroś, na ścianę. Potem pyta cicho i spokojnie:

- Ma się rozumieć, nie zdążyłeś go sfotografować... Trudno zrozumieć, pyta czy stwierdza. A może grozi.

- Zdążyłem...

Boję się spojrzeć mu w oczy. Patrzę pod nogi. Czas wlecze się potwornie. Zegar cyka na ścianie.

- Co teraz zrobimy?

- Nie wiem - wzruszam ramionami.

- Co teraz zrobimy!?! - wali pięścią w stół i bryzgając śliną syczy mi w twarz: - CO ZROBIMY!?!

- Ewakuację! - odcinam się nagle, rozwścieczony.

Mój krzyk uspokaja go. Przycichł. Jest po prostu starym, zmęczonym człowiekiem, na którego zważyło się wielkie nieszczęście. To silny mężczyzna. Ale system jest od nas silniejszy. System jest najsilniejszy. Pod jego nieubłagany topór może trafić każdy z nas. Patrzy nie-widzącym wzrokiem.

- Wiesz, Witia, pułkownik Moroz w sześćdziesiątym czwartym roku uratował mnie od KS. Od tego czasu ciągnąłem go za sobą po całym świecie. Werbował kobiety. Ale jakie kobiety! Kochał je i one go kochały. Wiedziałem o jego wyskokach, wiedziałem, że w każdym mieście ma kochankę. Wybaczałem mu. I wiedziałem, że prędzej czy później wpadnie. Wiedziałem. Jakże się tu ukryjesz

w tej Austrii? Dobra. Czy damy radę we dwóch przeprowadzić ewakuację?

- Damy.

- Weź strzykawkę z szafy.

- Mam.

Naciska guzik interfonu:

- Pierwszy szyfrant.

- Jestem, towarzyszu generale - odpowiada aparat.

- Wezwać do mnie Pierwszego Zastępcę.

- Rozkaz!

- Siadaj - mówi zmęczonym głosem dowódca. Sam zostaje za biurkiem. Lewa dłoń na blacie, prawa znieruchomiała w szufladzie. Staję za krzesłem, na którym siedzi już Mikołaj Tarasowicz. Ręka w szufladzie mówi Pierwszemu Zastępcy wszystko, a moja obecność podpowiada mu, że to ja go sprawdzałem i coś doniosłem. Przeciąga się całym ciałem,

wszystkimi mięśniami, aż słycać chrzęst kości. Następnie spokojnie zakłada ręce za poręcz krzesła. Zna reguły gry. Zatraskuję kajdanki. Ostrożnie podwijam rękaw jego marynarki, rozpinam złotą spinkę i odsłaniam przegub. Cienką serwetką zwilżoną dżinem z zielonej butelki przecieram skórę w miejscu zastrzyku. Wciągam do strzykawki przezroczysty płyn z butelki, unoszę ją na wysokość oczu, naciskam tłok, aż kilka kropelek spływa po igle. Ostrożnie wbijam igłę pod skórę. Gdy strzykawka jest pusta, nie puszczając tłoka - mógłby zassać wszystko z powrotem - delikatnie wyciągam igłę. Już po wszystkim.

Nawigator kiwnięciem głowy pokazuje, że mam opuścić gabinet. Wychodzę, zamykając za sobą drzwi słyszę jego beznamiętny głos:

- Opowiadaj.

#### IV

Czuję się fatalnie, po prostu bardzo źle się czuję. Nigdy nie przytrafiło mi się coś podobnego. Kwękają tylko słabeusze. To oni wymyślają sobie choroby i głęboko przejmują się migrenami, zawrotami głowy, utratą przytomności, wyrzutami sumienia. W rzeczywistości

niczego takiego nie ma, wszystko to choroby z urojenia. Nie uważam siebie za supermena. Jestem normalny, a człowiek normalny nie miewa bólów głowy, ataków serca, rozstrojów nerwowych. Nigdy nie chorowałem, nigdy nie stękałem i nie prosiłem niczyjej pomocy.

Ale dziś naprawdę miejsca sobie znaleźć nie mogę. Przerażliwa, śmiertelna chandra. Zarznąłbym kogoś z rozkoszą!

Zaszyłem się w kącie małej piwiarni. Siedzę w kącie jak zaszczute zwierzę. Trzymam łokcie na stole nakrytym czystym obrusem w czerwono-białą kratkę. Przede mną wielki kufel z rżniętego szkła napełniony piwem koloru koniaku. Na pewno pyszne, ale nie czuję dziś smaku. Na sali tłok. Wesole towarzystwo, wszyscy się pewnie znają, bawią się. Naprzeciw mnie siedzi czwórka potężnych dryblasów: kapelusiki z piórkiem, skórzane krótkie spodnie na szelkach. Zdrowe, czerstwe gęby, ryże brody. Cały stół zastawiony opróżnionymi kufkami. Co wam tak wesoło? Och, z jaką chęcią strzeliłbym kuflem w te wasze roześmiane mordy. Co z tego, że jest was czterech, że kułaki macie jak te kufle, zupełnie jak mój dowódca pułku.

A może skoczyć na nich? Niechby mnie tu zatłukli na miejscu. Niechby mi roztrzaskali łeb dębowym taborem albo austriackim kuflem. Nie ma mowy, nie zabiją, wyrzucą tylko na zbity pysk i zawołają policję. A może rzucić się na policjanta? Albo jeszcze lepiej: wkrótce do Wiednia przyjeżdża Brezniew na spotkanie z naiwniaczkiem Carterem.

Może rzucić się na Breźniewa? Wtedy murowane, że zabiją.

A co to za przyjemność zginąć z ręki policjanta albo obstawy Breźniewa? To już lepiej niech zabiją cię ludzie dobrzy i silni jak ci naprzeciw.

A oni wciąż rechoczą.

Nigdy nikomu nie zazdrościłem, a tu nagle zawiść jak gadzina, trawi duszę. Wiele bym oddał, żeby teraz siedzieć w takich gatkach na szelkach, kapelusiku z piórkiem na głowie! Kufel piwa już mam. Czego jeszcze potrzeba człowiekowi do szczęścia?

Śmieją się do łez, zrywają boki. Jeden aż się zakrztusił, ale dalej ryczy. Inny usiłuje wstać - pełny kufel w dłoni -pokłada się ze śmiechu. Patrzę mu prosto w oczy. Nie

wiem, co mam w oczach, ale skrzyżowały się nasze spojrzenia i potężny Austriak, dusza towarzystwa, umilkł w jednej chwili, twarz mu się zmieniła. Też patrzy mi w oczy przeciągle i badawczo. Ma jasny, czysty wzrok, patrzy na mnie, zaciska wargi, przechyla głowę.

Czy to z moich oczu powiało chłodem śmiertelnym, czy też zrozumiał, że jestem u kresu? Nie wiem, co sobie ten wielkolud pomyślał, dość, że kiedy zbiegły się nasze spojrzenia, z miejsca dziwnie przygasł. Podchmielona kompania śmieje się wesoło, a on siedzi ponury ze wzrokiem wbitym w ziemię. Aż mi się go żal zrobiło. Po co zepsułem człowiekowi zabawę?

Wreszcie wstają i kierują się do wyjścia. Na samym końcu idzie mój olbrzym. Przy drzwiach zatrzymuje się, odwraca, spogląda na mnie spode łba, nagle całym potężnym cielskiem rusza w mój ą stronę. Groźny jak rozpędzony czołg. Zastygłem w oczekiwaniu na druzgocący cios w szczękę. Nie czuję strachu. Bij, Austriaku, bij, ile wlezie, spieszyłem ci ten wieczór, należy mi się w pysk. Tak nasz obyczaj każe. Zbliża się, potężnym swoim kałdunem przesłania mi cały świat. Bij, wal, nie mam zamiaru się bronić. Ciężka ręka opada na moje lewe ramię, czuję lekki uścisk. Silna ręka, ale ciepła, życzliwa. Spływa na mnie coś jakby ludzkie współczucie. Uścisnąłem mu rękę, uścisnąłem z wdzięcznością. Nie patrzę mu w oczy, odwracam wzrok. Dziwnie mi jakoś. Pochyliłem głowę nisko nad stołem. Poszedł do wyjścia niezgrabnym, ociężałym krokiem nie obejrzawszy się. Obcy człowiek, istota z innej planety. A przecież lepszy ode mnie. Stokroć lepszy.

V

Co się ze mną dzieje? Co za przemiana? Co za wyskoki? Na szczęście już mi lepiej. Pewnie od piwa. A może od szerokiej spracowanej łapy, która poklepała mnie po ramieniu, powstrzymała na skraju przepaści. Ale co mi się stało? Dlaczego przygasł nagle cały świat?

Może właśnie to nazywają ludzie słabi wyrzutami sumienia? Wykluczone. Nie mam sumienia, nie dręczą mnie żadne wyrzuty. Czemu miałyby mnie dręczyć? Z jakiej racji? Że zdradzi-

łem Pierwszego Zastępcę? To dobry człowiek, ale co z tego? Rachunek jest prosty: albo ja jego, albo on mnie wepchnąłby na konwejer. Taką mamy robotę. Wydając Pierwszego Zastępcę ochroniłem GRU przed możliwą przykrą niespodzianką. Za takie rzeczy w Komitecie Centralnym sam Kir mówi „dziękuję”. Zabiorą Pierwszego Zastępcę, przyślą innego. Czy warto się rym aż tak bardzo przejmować? Gdyby każdy dawał upust swoim uczuciom, cały system dawno by się zawalił. A przecież stoi i rośnie w siłę. Rośnie w siłę dzięki temu, że natychmiast uwalnia się od każdego, kto pozwala sobie na chwilę słabości.

Czy rzeczywiście miałem chwilę słabości? Bez wątplenia. Czy mógł mnie ktoś w tym stanie zobaczyć? Niewykluczone. Czy widać było, że jestem w rozterce? Na pewno. Nieszczęśnik ze zwisającymi rękami, ze zgaszonym wzrokiem - czegoż więcej trzeba? Jeżeli nawet Austriak zrozumiał, że źle ze mną, to co dopiero doświadczony wywiadowca, który by mnie śledził. A *przecież* Nawigator spokojnie mógł po ewakuacji Pierwszego Zastępcy dać mi dyskretną obstawę: jak się zachowuje Czterdziesty Pierwszy? Czy nie stracił ducha?

Niewątpliwie coś się ze mną stało, że na kilka godzin przestałem nad sobą panować. Jeżeli Nawigator dowie się o tym, najbliższej nocy czeka mnie ewakuacja. Kolejny samolot odlatuje dopiero za trzy dni. Cały ten czas spędzę w ciemni fotograficznej. Tej nocy z pewnością zawloką mnie do ciemnicy. Samolotu, w którym może choć przez chwilę nawalić coś w układzie sterowania, nie dopuszcza się do lotów. Wywiadowcy tym bardziej. Wywiadowca, który traci kontrolę nad sobą staje się niebezpieczny. Wycofuje się go niezwłocznie.

Wlokę się z piwiarni do samochodu. Jeśli chcesz wykryć inwigilację, udawaj obojętność. Patrz pod nogi, idź niespiesznym krokiem, postaraj się uspokoić śledzących. Wtedy ich zobaczysz, bowiem pozbywszy się obaw zaczynają popełniać błędy.

Od lat prowadzę wóz i wciąż jak pilot myśliwca zerkam wstecz. Patrzą do tyłu więcej, niż przed siebie. Taki fach. Ale nie dziś. Teraz chciałbym uspokoić tych, którzy być może mnie śledzą, uśpić ich czujność. Samo-

chód mój sunie spokojnie. Żadnych sztuczek, żadnych prób ucieczki.

Jadę wzdłuż Dunaju, most, znów nabrzeże. Nie spieszę się, nie szarpie wozu, nie próbuję odskoczyć w stronę torów kolejowych, choć to wymarzone miejsce, żeby sprawdzić

czy ciągnie się ogon. Omijam śródmieście, jadę szerokimi ulicami w potoku samochodów. Dla śledzących to wymarzona sytuacja. Fatalna dla śledzonego. Od Schwedenplatz zawracam w kierunku Aspern-platz, po czym skręcam ostro w pierwszą uliczkę w lewo do Poczty Głównej i znowu odbijam w lewo. Tutaj stanę na światłach. Wiem o tym dobrze. Pytanie, czy ogon również wie o światłach?

Jeżeli jestem śledzony, to albo ktoś wyskoczy zaraz zza zakrętu, albo mnie zgubi. Innej drogi nie ma, równoległymi uliczkami nie sposób się przedostać. Znam ten rejon jak własną kieszeń, wydeptałem tu wszystkie chodniki.

Stoję na światłach. Pusto. Uliczka kręta i stroma. No jak, wyjedzie ktoś, czy nie? Jeszcze chwila i będzie zielone światło. Zza zakrętu wypada szary zdezelowany Ford. Piszczą hamulce, widać, że kierowca narwany. Nie wiedział o tych światłach. Nie przypuszczał, że mogę stać na skrzyżowaniu i czekać na niego. Ruszam płynnie. Zielone. Jednym spojrzeniem w lusterko taksuję twarz za okularami. Tak jest, kolego. *Znam* cię, okularniku, znam twoją gębulę. To nic, że nie masz dyplomatycznej rejestracji. Jesteś radzieckim dyplomata! Pamiętam cię z delegacji na konferencję w sprawie redukcji zbrojeń w Europie. Nie przypuszczałem, że jesteś z naszej zgrai. Myślałem, że jesteś czysty. Ale po co czysty dyplomata miałby kręcić się po mieście w godzinach pracy? Dlaczego z taką prędkością wyskakuje zza zakrętu, przecież mógł zarobić mandat?!

Nie spieszę się. Na twarzy obojętność. Nie zwracam na nic uwagi, na nic nie reaguję. Ford więcej się nie pojawia. Może zresztą kręci się w pobliżu, ale przestało mnie to zajmować. Raz zobaczyłem, i wystarczy. Wiem, że jestem śledzony. Ani cienia wątpliwości.

Kierowcę Forda dręczy teraz niepewność: zauważyłem go? Rozpoznałem? Pociesza się, naturalnie, że jestem roztargniony, nie patrzę za siebie, że nie mogłem go dostrzec.

Ciekawe, ile samochodów wysłał ojczulek na miasto, żeby kontrolowały moje ruchy? Jasne, że nie jeden. Gdyby śledził mnie tylko jeden, siedziałyby w nim dwie osoby. Kierowca był sam, zatem musi być więcej wozów. Elementarne. Ta heca musi zakończyć się ewakuacją.

Trzeba zrozumieć dowództwo GRU. Skoro człowiek pod wpływem takiego głupstwa traci panowanie, więc i w przyszłości może się to powtórzyć, przy czym w najmniej odpowiednim momencie. A może to nie pierwszy raz? Może wrogie organizacje zdołały już skorzystać z takiej chwili słabości?

Zabiorą mnie tej nocy. Gdybym był na miejscu Nawigatora, postąpiłbym dokładnie tak samo: po pierwsze -zaraz po tym, co *zaszło*, poleciłbym śledzić; po drugie -stwierdziwszy

niezadowolający stan rzeczy, nakazałbym ewakuację.

Nie jadę do ambasady. Ambasada to kajdanki i zastrzyk. Jadę do domu. Muszę przygotować się do nieuchronnego uderzenia losu.

## VI

Drzwi wejściowe zamknąłem od wewnątrz, uchyliłem okno. Jeżeli nie starczy mi męstwa, by spotkać ich twarzą w twarz, wyskoczę. Pode mną - siedem pięter. Wystarczy. Okno to najprostsze wyjście, ale trzeba się zastanowić, bo to wyjście dla bojaźliwych. Jeżeli w ostatniej chwili obleci mnie strach, skorzystam z tej drogi. Niedawno dumny wiking z GRU tak właśnie uniknął konwejera - w samym centrum Paryża runął z okna na bruk. Inny wiking GRU, tym razem w Londynie, pracował w Szwajcarii przy ubezpieczaniu najwyższej wagi. Popelnił błąd. Nie chciał iść na konwejer. Podciął sobie żyły. Jednak major Anatolij Fiłatow, chart GRU, nie uląkł się konwejera. Ja też się nie ulękę.

A w ogóle to diabli wiedzą. Łatwo teraz się zaklinać. A, pal to sześć! Wstaję i zdecydowanym ruchem zamykam okno. To nie dla mnie. Nie pójde na konwejer, przez okno też nie. Kiedy zastukają, otworzę drzwi i wpiję się komuś zębami w gardło.

Co mam począć? Teoretycznie mógłbym zejść w podziemie, przyszykować sobie jakąś kryjówkę gdzieś w górach. Nauczono mnie tego w Specnazie...

Spoglądam na zegarek. Ciarki po plecach: minęła północ! Znam taktykę Akwarium. Ewakuacja zwykle zaczyna się o 4.00. Akwarium wymierza ciosy o świcie. Wtedy śpi się najmocniej... Mogą, oczywiście, zacząć wcześniej. W takim razie musieliby jeszcze wcześniej porozstawiać ludzi, więc pewnie już się spóźniłem. Całkiem możliwe, że dwóch czeka już na klatce na właściwy moment. Jeszcze dwóch przy bramie. Ktoś, ma się rozumieć, obstawia garaż. Główna grupa czai się gdzieś w pobliżu.

Mam tylko jedną szansę - ostrożnie opuścić mieszkanie, zejść dwa, trzy piętra w dół, stamtąd dopiero zjechać windą prosto do podziemnego garażu, a z garażu wyjechać nie wyjazdem, lecz wjazdem, jeśli się tylko da otworzyć bramę od wewnątrz... Bezgłośnie otworzyłem zasuwę.

Ostrożnie naciskam klamkę, najważniejsze, żeby nie zaskrzypiała. Głęboko wciągam powietrze i ciągnę drzwi. Pasma światła wpada z klatki do pokoju. Wstrzymuję oddech, ciągnę mocniej, rozlega się cichy, przeciągły zgrzyt. Samochód zaparkowałem w znacznej odległości od domu. Stoi w ciemności, na dużym parkingu, wśród setek innych, ale mój dom widać stąd doskonale. Na ,razie nie dzieje się nic podejrzanego. Wszyscy śpią.

Nagle w oknach mojego mieszkania zapala się światło. Jest godzina 3.40. No cóż, tego

się właśnie spodziewałem...

Jestem w lesie. Zimny szary świt. Mgła. Lodowata rosa. Na razie nigdzie nie uciekam. Przyszedłem tu po to, żeby spokojnie się zastanowić. Nie lubię, kiedy tok moich myśli przerywa niespodziewane pukanie albo dzwonek do drzwi. Przede wszystkim muszę dokonać wyboru: wrócić, oddać się w ich ręce, pójść na konwejer albo... W tej ostatniej decydującej chwili miliony ludzi stając twarzą w twarz z systemem zadawały sobie to samo pytanie. Nic mnie nie obchodzi, co pomyślą sobie o mnie inni, teraz i później. Tak czy owak ci inni odsądzą mnie od czci i wiary, jak to uczynili z moimi poprzednikami. W *rzeczy* samej, ludzi, którzy szli pokornie pod komunistyczny topór bez słowa protestu, dziś się osądza - zniewolone duszyczki, niezdolne do sprzeciwu, macie to, na coście zasłużyły. Ludzi, którzy nie zgodzili się iść dobrowolnie na rzeź, którzy uciekali albo walczyli, też się potępia: zdrajcy, kolaboranci, przeniwiercy, poplecznicy wroga! Jeżeli poddam się dobrowolnie - jestem głupcem, fagasem, niewolnikiem. Jeżeli się nie poddam - jestem renegatem.

Możecie mnie kochani, uważać za przestępcę, ale nie za fagasa. Przestępcy też nie róbcie ze mnie zbyt wielkiego. Wszyscy bliscy towarzysze Lenina okazali się zdrajcami, renegatami i agentami obcych wywiadów, łącznie z Trockim, Zinowiewem, Kamieniewem, Rykowem, Bu-charinem i innymi. Kim więc był Lenin? Czyżby był hersztem szajki zdrajców, szpiegów i terrorystów? Jak zatem nazwać tych wszystkich, którzy mu wiernie służyli, którzy do dziś biją przed nim czołem? Ze Stalinem była podobna historia. Jego również otaczali sami wrogowie, szpiegzy, zdeprawowani antypartyjni kombinatorzy. On też okazał się zwyczajnym bandziorem. Jak nazwać tych, którzy pokornie spełniali każdy rozkaz tego przestępcy? Prędzej czy później wszyscy nasi kolejni wodzowie znajdą się na liście zdrajców i łotrów. Uciec od nich to, oczywiście, przestępstwo. A zostać i wysługiwać się?

Zimno w lesie, ziąb. Nie przywykłem tak intensywnie myśleć, filozofia to nie moja dziedzina. Muszę odpowiedzieć sobie na jedno zasadnicze pytanie: czy uciekam dlatego, że nienawidzę systemu, czy też dlatego, że dał mi kopniaka? Nie ma wątpliwości: zawsze byłem mu przeciwny, gotów byłem oddać wszystko, nawet własną głowę, żeby zamienić obecny ustrój na jakikolwiek inny, choćby na dyktaturę wojskową. A jednak, gdyby system nie nadepnął mi na ogon - nie uciekałbym, to pewne. Nadal służyłbym wiernie, osiągając coraz lepsze rezultaty. Nie wiem czy kiedykolwiek odważyłbym się na słowo protestu, wiem natomiast, że w tej chwili po prostu ratuję własną skórę.

Odpowiedź jest jednoznaczna i mało dla mnie pochlebna. Trzeba było, drogi Witia, wcześniej się do tego zabrać! Trzeba było wiać przy pierwszej nadarzającej się okazji. Albo jeszcze lepiej: trzeba było związać się z zachodnim wywiadem i przekazywać mu materiały o

Akwarium, jak to czynili Pieńkowski, Konstantinow, Fiła-tow. Żle się stało. A może jeszcze da się coś zrobić? Za późno. Gdybym zdołał wyrwać się ze szponów Akwarium, siedziałbym cicho jak mysz pod miotłą. Albo mógłbym...

Znieruchomiałem z napięcia. Ostateczny, nieodwracalny wniosek sam się nasuwa: jestem zdrajcą i renegatem, samowolnie porzucam reżim i dlatego zasługuję na najwyższy wymiar kary. Za to, że nigdy tego systemu nie zwalczałem również należy mi się KS. Teraz ratuję własną skórę, ale jeżeli wybrnę z tych tarapatów, wydam mu śmiertelny bój. Jeżeli zdołam się wywinąć, nie będę siedzieć cicho. Będę pracować dzień i noc, po wiele godzin. Jeżeli nie potrafię zrobić czegoś poważnego, napiszę przynajmniej kilka książek. Ale to sprawa drugorzędna. Uczynię, co w mojej mocy, żeby *zadać* im dotkliwe ciosy. Wiem, jak to zrobić, sami mnie tego nauczyli. Będę ryzykować. Nie dbam o własną skórę.

Ostatnia sprawa: dokąd wiać? Wybór jest prosty: Wielka Brytania. Nie tak dawno Londyn wypędził 105 radzieckich dyplomatów - rezydentury KGB i GRU w pełnym składzie. Poza Wielką Brytanią nikt nie odważył się na takie posunięcie. Skoro potrafią skutecznie bronić własnych interesów, to może i moje uda się ochronić? Stu pięciu! Statystyka przemawia na korzyść Anglików.

*Teraz* muszę pomyśleć, w jaki sposób skontaktować się z rządem Jej Królewskiej Mości. Jest tylko jedna droga, a mianowicie poprzez przedstawicieli tego rządu. Im mniej biurokratycznych szczebli, tym szybciej zapadnie decyzja. Do ambasadora nikt mnie nie wpuści, więc pójdę do byle jakiego wysoko postawionego angielskiego dyplomaty. Przed ambasadą brytyjską, amerykańską czy francuską na pewno czekają na mnie chłopcy z Akwarium. Muszę udać się do prywatnej rezydencji. Nasz Przechera ma się rozumieć i to przewidział, ale nie jest w stanie kontrolować wejść do wszystkich domów zachodnich dyplomatów wysokiej rangi. Poza tym pójdę pieszo, samochód ukryję w lesie.

## VII

Angielski dyplomata mieszka w wielkim białym domu z kolumnami. Dróżki wysypane żwirem, wspaniały ogród. Jestem nieogolony, mam na sobie czarną skórzaną kurtkę, nie mam wozu. Zupełnie nie wyglądam na dyplomatę. Zresztą nie jestem dyplomatą. Już nie reprezentuję mojego kraju. Wręcz przeciwnie, jestem przestępcą ściganym przez mój kraj.

W domu angielskiego dyplomaty wszystko jest inaczej niż zwykle. Nie ma dzwonka. Zamiast dzwonka na drzwiach mosiężna kołatka w kształcie lisiej mordki. Stukam. Najważniejsze, żeby otworzył gospodarz, a nie ktoś z domowników. Mam szczęście. Dziś sobota, nie poszedł do pracy i służba też ma wolne.



- Dzień dobry.

- Witam pana.

Podaję mu mój paszport dyplomatyczny. Przez chwilę go wertuje, po czym gestem zaprasza do środka.

- Mam list do rządu Jej Królewskiej Mości.

- Proszę zgłosić się do ambasady.

- Do ambasady nie mogę. Przekazuję ten list za pana pośrednictwem.

- Nie ma mowy. Niczego nie przyjmuję. - Wstaje i otwiera przede mną drzwi wyjściowe. - Nie jestem szpiegiem i proszę mnie nie wciągać w te wasze szpiegowskie historie.

- To nie szpiegostwo. Już nie... Jest to list do rządu Jej Królewskiej Mości. Może pan go przyjąć albo nie, ale uprzedzam pana, że za chwilę zatelefonuję do ambasady brytyjskiej i powiem, że list do rządu jest w pańskim posiadaniu. Zostawiam go tu, na biurku... Zrobi pan z nim to, co uzna za stosowne.

Patrzy na mnie wzrokiem, który nie wróży niczego dobrego.

- Proszę dać ten list.

- Przepraszam, ale potrzebuję koperty.

- Nie ma pan nawet koperty - oburza się.

- Niestety...

Kładzie przede mną papier, koperty, pióro. Papier odsuwam na bok, z kieszeni wyciągam plik karteczek z nazwami i adresami kawiarni i restauracji. Każdy szpieg ma w zapasie ze dwadzieścia takich karteluszków. Aby uniknąć tłumaczenia nowemu „przyjacielowi” miejsca przyszłego spotkania, daje mu się kartkę: zapraszam pana do tego lokalu.

Szybko przeglądam cały plik. Wybieram jedną. Chwila zastanowienia, co napisać. Biorę pióro i stawiam trzy litery: GRU. Kartkę wkładam do koperty. Zaklejam i adresuję: „Do Rządu Jej Królewskiej Mości”. Na kopercie przybijam swój ą pieczętkę: 173-W-41.

- To wszystko?

- Tak. Do widzenia.

Jestem znów w lesie. Oto mój samochód. Pędzę przed siebie, byle dalej. Teraz spotkanie z miejscową policją również może zakończyć się fatalnie. Ambasada radziecka mogła dać znać na policję, że jeden z jej dyplomatów zwariował i krąży po kraju. Mogli zawiadomić Interpol, że uciekłem z milionem dolarów. Mogą wystosować protest, oświadczyć, że zostałem siłą porwany przez władze austriackie i zażądać natychmiastowego

zwolnienia, w przeciwnym bowiem razie... Szumne deklaracje to przecież ich specjalność.

Już czas. Muszę połączyć się telefonicznie z ambasadą brytyjską. Muszę wyjaśnić sprawę, nim pierwszy lepszy wiejski posterunkowy nie zatrzyma mnie i nie zawiadomi radzieckiego konsula. Wtedy będzie za późno na tłumaczenie. Po tym pierwszym spotkaniu raptem zacznę się niepohamowanie ślinić, śmiać się albo płakać, i przyślą po mnie specjalny samolot. Dopóki nie mam jeszcze ślinotoku, będę próbować... Znam kilka ustronnych budek telefonicznych.

- Halo, ambasada brytyjska? Przekazałem list... Tak, wiem, że nie mogę rozmawiać z ambasadorem, ale potrzebuję kogoś odpowiedzialnego... Nie chcę nazwiska, sami zdecydujecie... Skierowałem list...

Wreszcie kogoś znaleźli.

- Słucham... kto mówi?

- Przekazałem list. Ten, komu go oddałem zna moje nazwisko...

- Naprawdę?

- Tak jest. Proszę spytać.

W słuchawce głucha cisza. Za moment ożyła.

- Czy pan reprezentuje swój kraj?

- Nie, reprezentuję tylko siebie. Słuchawka znowu zamilkła.

- Czego właściwie pan od nas oczekuje?

- Chcę, żebyście otworzyli teraz kopertę i przekazali list do brytyjskiego rządu. Cisza.

Sapanie.

- Nie mogę otworzyć koperty, skoro nie jest zaadresowana do mnie, a do rządu...

- Niech pan otworzy, bardzo pana proszę. To ja ją zaadresowałem w ten sposób, żeby treść listu nie została ujawniona. Ale teraz upoważniam pana do otwarcia koperty...

Z telefonicznych otchłani dobiegają mnie jakieś szepty.

- To bardzo dziwne pismo. Jakaś restauracja...

- Nie, to nie to... Proszę spojrzeć na odwrocie...

- Tutaj też coś dziwnego. Widzę tylko jakieś litery...

- Właśnie. Proszę je przekazać...

- Pan oszalał. Posianie z trzech liter nie może być ważne.

- O tym, jeśli pan pozwoli, zdecyduje już rząd Jej Królewskiej Mości...

Słuchawka milczy. Jakieś trzaski, piski... Znowu ożyła.

- Znalazłem rozwiązanie kompromisowe. Nie będę wysyłać komunikatu radiowego ani teleksu, wyślę pański list pocztą dyplomatyczną! - W jego głosie słyszę zadowolenie

uczni, który rozwiązał trudne zadanie.

- Szlag by was trafił z waszymi angielskimi kompromisami! Komunikat może być ważny albo bez znaczenia, nie do mnie należy ocena, ale jest pilny! Za godzinę, może wcześniej, będzie za późno. Proszę mi wierzyć, potrafię być uparty, skoro za coś się zabrałem, to nie ustąpię tak łatwo. Zadzwońię do pana za kwadrans. Bardzo proszę przekazać ambasadorowi moje posłanie.

- Ambasadora dziś nie ma.

- W takim razie komukolwiek. Na przykład pańskiej sekretarce. Może czasem bierze gazetę do ręki. Może podszeplnie panu rozwiązanie...

Rzucam słuchawkę.

Przenoszę się z miejsca na miejsce. Omijam wioski. Omijam ludzi. W uszach dudni mi straszna pieśń „Oblawa”. Dopiero co czułem się jak zaszczuty zwierz, ale teraz jestem pełen świeżych sił. Kurczowo wczepiłem się w kierownicę jak kamikaze w ster samolotu. Nie wezmą mnie żywcem. Roztrzaskam każdego, kto stanie mi na drodze. A gdyby co, w kieszeni mam duży śrubokręt. Wepchnę go komuś w gardło po samą rękojeść. Życie na sprzedaż! Komu, komu? Tanio nie odstąpię!

Dzwonię do ambasady brytyjskiej. Druga i ostatnia próba. Rzadko o coś dwa razy prosiłem. Trzy razy nigdy. Również na przyszłość nie mam zamiaru... Zresztą nie zostało jej tak wiele...

Obiecałem, że zadzwonię za piętnaście minut, ale udało mi się dopiero po czterdziestu trzech: do budki, którą sobie obrałem była kolejka.

- Ambasada brytyjska?

- Tak. - I z miejsca słyszę radykalną zmianę. Krótka odpowiedź brzmi ostro i wyraźnie jak rozkaz. Znajomy męski głos:

- Czy wszystko u pana w porządku? Niepokoiliśmy się... Pan tak długo nie dzwonił.

- Mój list...

- Został przekazany do Londynu. To bardzo ważna wiadomość. Otrzymaliśmy już nawet odpowiedź. Czekają na pana... Czy jest pan gotów?

- Tak.

- Adres na karteczce to miejsce, gdzie mamy pana spotkać?

- Tak.

- Nie podał pan godziny. Czy to znaczy, że mamy pana spotkać jak najszybciej?

- Tak.

- Tak też myśleliśmy. Nasi oficjalni przedstawiciele są już na miejscu.

- Dziękuję. - Jakoś to ostatnie słowo powiedziało mi się po rosyjsku. Nie wiem, czy mnie zrozumiał.

KONIEC

WŁADIMIR BOGDANOWICZ REZUN (ps. Wiktor Suworow) rosyjski pisarz i historyk ur. w 1947 roku. Był oficerem wywiadu w sztabie okręgu wojskowego. Od 1970 roku - w nomenklaturze KC KPZR. W 1974 roku ukończył Wojskową Akademię Dyplomatyczną. Cztery lata -jako dyplomata radzieckiego MSZ - pracował w rezydenturze wywiadu wojskowego Sztabu Generalnego Armii Radzieckiej (GRU) w Genewie. W 1978 roku uciekł do Wielkiej Brytanii. Wyrokiem Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego ZSRR skazany zaocznie na karę śmierci. Autor dziesięciu książek: m.in. *Akwarium*, *Żołnierze wolności*, *Specnaz*, *Lodolamacz*, *Dzień «M»*, *Kontrola*. Po upadku komunizmu wyroku śmierci nie uchylono. Mieszka z rodziną w Wielkiej Brytanii.